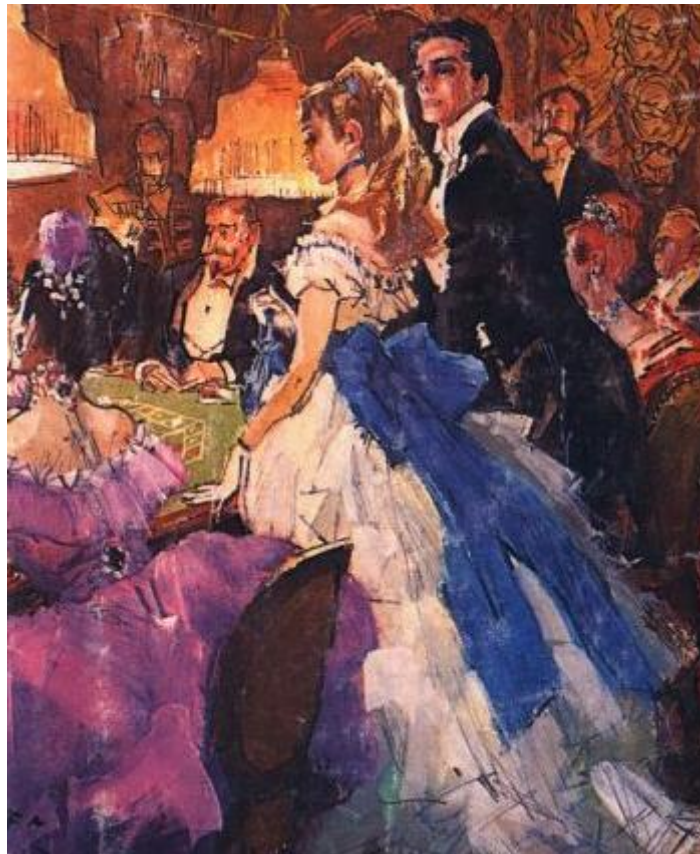


Barbara Cartland

Duch w Monte Carlo

A ghost in Monte Carlo



Rozdział 1

U szczytu schodów rozległy się kroki, po chwili brzęk stawianej na stoliku tacy ze śniadaniem, w końcu - ciche pukanie do drzwi sypialni.

Nie czekając na odpowiedź, Jeanne otworzyła drzwi i podeszła do okna, by je odsłonić. Emilia obserwowała tęą sylwetkę majaczącą w stłumionym przez kotary świetle. Ile to już lat minęło od dnia, gdy po raz pierwszy ocknęła się, słysząc znajome dźwięki. Nigdy nie zbudziło jej otwieranie drzwi, lecz zawsze te przygotowania - kroki Jeanne, brzęk naczyń i kaszel.

Czy Jeanne pracuje u niej już osiemnaście lat? Nie, dziewiętnaście, a znają się od dziecka.

Rozsunięte story odsłoniły deszczowy dzień. Dachy Paryża były szare i wilgotne, niebo zasnutę chmurami, przez które daremnie próbowało się przebić blade światło słońca. Emilia gwałtownie siadła na łóżku. Nie spała już od dawna. Przespała tej nocy chyba nie więcej niż godzinę czy dwie i spoglądając na swoje odbicie w lustrze toaletki, stojącej naprzeciw łóżka, dostrzegła wyraźne ślady nie przespanej nocy.

Tego ranka wyglądała staro", staro i nieatrakcyjnie; może spowodował to kolor jej włosów. Nie miała jednak czasu myśleć o tym. Zbyt wiele innych, ważniejszych spraw przyciągało jej uwagę.

Otuliwszy ramiona grubym wełnianym kaftanem, Emilia wygładziła za sobą poduszki i czekała, aż Jeanne poda jej śniadanie. Trwało to nieprawdopodobnie długo, gdyż Jeanne zaczęła przestawiać wszystko na tacy: najpierw przesunęła dzbanek z kawą odrobinę na lewo, następnie filiżankę i spodeczek nieco na prawo, a teraz okazało się, że musi zająć się łyżeczką.

Emilia nie dała się zwieść. Doskonale wiedziała, że Jeanne czeka, aby się odezwała. Ostro, bo zawsze ją złościło, gdy Jeanne usiłowała przewidywać jej postanowienia, powiedziała:

- Zamknij drzwi, Jeanne!

- Tak, proszę pani, właśnie zamierzałam to zrobić.

- Więc pośpiesz się, siadaj i słuchaj uważnie tego, co za chwilę powiem. Mamy mnóstwo do zrobienia.

Jeanne przeszła przez pokój tak, jakby nogi jej zeszywniały, a każdy krok wywoływał ból w stopach. Grubokoścista, o powolnych ruchach wieśniaczki z północy, siwowłosa, o zadziwiająco gładkiej twarzy i oczach lśniących jak u dziecka. Mimo swoich sześćdziesięciu lat z łatwością wykonywała najbardziej wymyślne i subtelne hafty.

Zamknęła drzwi, wróciła i przysiadła na twardym krześle przy łóżku, splatając na podolku szorstkie, spracowane dłonie. Emilia, zerkając na nią znad filizanki, pomyślała, że wygląda jak uczennica czekająca na słowa nauczyciela. Zirytowało ją to. Jeanne była jej przyjaciółką i powiernicą, ale wciąż jeszcze zdarzało się, że przybierała pozę najzwyczajszej służącej. Był to znak, że jest albo obrażona, albo rozdrażniona. Emilia spostrzegła, że tym razem Jeanne jest i obrażona, i rozdrażniona.

A więc wiedziała! Wszystkie ich wysiłki poprzedniej nocy, by poruszać się bezgłośnie i nie zbudzić jej, okazały się daremne. Jeanne nie spała i teraz była obrażona, że nie wezwano jej na dół.

Zadźwięczała filizanka odstawiona z impetem na spodek.

- Jeanne, tej nocy coś się zdarzyło - powiedziała. - Mamy gościa.

- Tak...?

W głosie Jeanne nie było zdziwienia. Zupełnie nieoczekiwanie Emilia roześmiała się.

- Przestań udawać obrażoną, Jeanne! Doskonale wiesz, tak samo jak ja, że ów gość przybył tu niespodziewanie, powtarzam: niespodziewanie. Nie miałam pojęcia, że przyjedzie, no, w każdym razie nie w ciągu najbliższych trzech tygodni, i miałam zamiar powiedzieć ci o tym odpowiednio wcześniej. Mała mówi, że napisała przed czterema dniami, ale poczta działa tak fatalnie, że nie dostałam jej listu. Wyobraź sobie, Jeanne, to biedne dziecko przyjeżdżające na stację, gdzie nikt jej nie oczekuje, nikt nie wita. Ledwie starczyło jej pieniędzy na powóz.

- Więc ten gość to panienka - kwaśno stwierdziła Jeanne.

Emilia wciąż uśmiechała się wyrozumiale.

- Przecież doskonale wiesz, że to panienka, bo nawet jeżeli nie zlustrowałaś jeszcze jej bagaży w holu, to z pewnością zerknęłaś do pokoju gościnnego przez dziurkę od klucza, by na nią popatrzeć. Myślę, że jeszcze śpi, nieprawdaż?

Jeanne zapomniała o swojej dumie.

- Tak, tak, proszę pani, śpi jak aniołek. Kiedy ją zobaczyłam, serce prawie stanęło mi w piersi. Prawdziwy anioł, powiedziałam sobie, anioł z nieba.

- Mała jest ładna - przyznała Emilia. - Zawsze wierzyłam, że tak będzie, ale ten ostatni rok wiele zmienił. Ona ma osiemnaście lat! Jeanne, czy uwierzysz, że to już osiemnaście lat minęło od śmierci Alicji?

Głos Emilii nagle stężał z bólu, jej wargi zacisnęły się, a oczy zwężyły. Raptownym gestem odsunęła tacę i mówiła dalej energicznym tonem:

- Teraz słuchaj uważnie. Jeanne, bo mamy mnóstwo do zrobienia, i to natychmiast.

- Słucham, proszę pani.

Jeanne mówiła spokojnym głosem, ale nie spuszczała wzroku z twarzy Emilii. Dostrzegała każdy grymas, błysk w

ciemnych oczach i skrzywienie wąskich, twardych ust. Zdarzały się momenty, w których Emilia Bleuet wyglądała niezmiernie pociągająco, ale ta chwila do nich nie należała. Jasne światło bezlitośnie eksponowało każdą zmarszczkę, każdą bruzdę na szczupłej twarzy. Oświetlało bezbarwną skórę szyi, obwisły podbródek, głęboką zmarszczkę pomiędzy brwiami i długie bruzdy biegnące od nozdrzy do cienkich kącików ust.

Nie było w tym jednak nic dziwnego. Jeanne doskonale знаła Emilię, jej najlepsze i najgorsze chwile. Nie było dla niej tajemnicą, że Emilia, urodzona tego samego dnia co ona sama, jest od niej młodsza równo o dwanaście miesięcy. Jeanne urodziła się 7 stycznia 1814 roku, Emilia - tego samego dnia następnego roku, miała zatem pięćdziesiąt dziewięć lat. Żadna kobieta w tym wieku nie może oczekiwać życzliwości od mijającego czasu.

Zaskoczył natomiast Jeanne wyraz podniecenia na twarzy jej pani. Nigdy nie widziała jej tak poruszonej, z gorączkowo błyszczącymi oczyma i zmienionym głosem. Tylko w chwilach wielkiego zdenerwowania i całkowitego zapomnienia Emilia powracała do ojczystego akcentu. Zwykle mówiła po francusku elegancko jak paryżanka, nienagannie, tonem chłodnym i obojętnym. Lecz tego ranka jej mowa była echem mowy Jeanne i gdyby ktokolwiek się im przysłuchiwał, zwiędziałyby, że obie pochodzą z wybrzeży Bretanii.

Emilia zaczerpnęła powietrza i zaczęła: - Miałam zamiar powiedzieć ci o wszystkim, Jeanne, za kilka dni. Spodziewałam się przyjazdu siostrzenicy w końcu miesiąca. Naprawdę byłam zaskoczona jej widokiem wczorajszej nocy. Powiedziała, że wielebna matka zgromadzenia zmarła i siostry postanowiły wysłać uczennice do domów o trzy tygodnie wcześniej, niż zamierzały. Panienka pisała do mnie, ale jak już mówiłam, list nie dotarł.

Emilia przerwała na chwilę, splotła palce, następnie spojrzała na Jeanne. Zniżyła głos niemal do szeptu.

- Dziś, Jeanne - oznajmiła - rozpoczynamy nowe życie, ty i ja. Przeszłość odeszła.

- Nowe życie, proszę pani! - powtórzyła Jeanne - Ale co to znaczy?

- To, co powiedziałam - burknęła Emilia. Jej głos brzmiał znowu zwyczajnie. - To nie jest zwrot retoryczny, Jeanne, ale fakt. Przedwczoraj sprzedałam interes.

- Proszę pani! Tym razem w głosie Jeanne brzmiało prawdziwe zdziwienie.

- Tak, sprzedałam i to sprzedałam dobrze. Śmiem twierdzić, że nikt nie potrafiłby zrobić tego lepiej. Ale od dzisiaj, Jeanne, numer 5 przy Rue de Roi przestał dla nas istnieć, właściwie nigdy nie istniał. I madame Bleuet umarła również.

- To dlatego zmieniła pani kolor włosów? - zgadywała Jeanne.

- Oczywiście - odrzekła Emilia znów spoglądając na swe odbicie w lustrze. - Moje włosy są siwe, jak Pan Bóg przykazał. To mnie postarza, Jeanne, ale nie jest już ważne, abym wyglądała młodo czy pociągająco. W rzeczywistości mam inne plany, zupełnie inne plany. Będę hrabiną, Jeanne. Madame la Comtesse. Nieźle brzmi; co? Mam zamiar od dzisiaj być kimś. Nie zapominaj o tym.

- Mon Dieu! Ale jak to możliwe, proszę pani? To znaczy...

- Słuchaj, Jeanne, i nie przerywaj mi. Mamy bardzo mało czasu. Za chwilę panienka obudzi się i nasza historyjka musi być gotowa. Ja jestem madame la Comtesse. Byłam mężatką, owdowiałam. Musisz pamiętać, Jeanne, że panienka nie wie nic o panu Bleuet. Nigdy jej o nim nie mówiłam. Odwiedzałam klasztor jako panna Rigoad. Byłam nią i dla

panienki, i dla zakonnice. Tak było bezpieczniej z wielu względów i teraz dziękuję Bogu, że byłam taka ostrożna.

Teraz twoja rola. Kilka dni temu, idąc przez Rue de Madeleine, widziałam w oknie wystawowym sakwojaże na sprzedaż. To ubogi sklep sprzedający towar używany lub uszkodzony. Było tam sporo kufrów i waliz z dobrej skóry z wytłoczonym herbem. Dziś pójdziesz tam i kupisz je dla mnie. Uprawdopodobnię moją historyjkę.

- Sakwojaże, proszę pani? Czy pani ma zamiar wyjechać?

- Tak, Jeanne, wyjeżdżam, a ty jedziesz z nami, z panią i ze mną. Mówiłam ci: przeszłość odeszła, zaczyna się przyszłość.

- Dokąd pani jedzie, proszę pani? I po co to udawanie?

- Nie zdradzę ci wszystkich moich sekretów, Jeanne. Nigdy tego nie robiłam, prawda? Wolę pracować sama, to mądrzejsze. Jeśli mi się nie powiedzie, będę oskarżała tylko siebie. Ale tym razem nic się nie zdarzy. Musi się udać! Myślałam o tej chwili od osiemnastu lat i zapracowałam na nią. Tak, ciężko zapracowałam. Wszystko, co robiłam, robiłam tylko po to.

Głos Emilii przeszedł w syk. Jej oczy zmieniły się w wąskie szparki osadzone w pobladłej twarzy. Rozkładając dłonie, zmieniła gwałtownie wyraz twarzy.

- Nie patrz tak dziwnie, Jeanne. Musisz mi tylko zaufać. Pośpiesz się. Idź kupić te sakwojaże, bo będą nam potrzebne. Później przejrzymy moją garderobę, większość sukien będzie mi już niepotrzebna.

- Niepotrzebna?

W tonie Jeanne, powtarzającej to słowo, brzmiało najwyższe zdziwienie.

- Ależ oczywiście! Zupełnie niepotrzebna! Jestem teraz hrabiną, Jeanne, damą! Otwórz no drzwi szafy i powiedz mi, które z wiszących tam strojów byłyby dla mnie odpowiednie.

Posłusznie, jakby na wpół zahipnotyzowana, Jeanne podeszła do ogromnej mahoniowej szafy, która zajmowała całkowicie jedną ze ścian sypialni. Szybkim ruchem otworzyła na oścież podwójne drzwi. Szafa zapakowana była ciasno toaletami różnego rodzaju. Zdawało się, że suknie, mieniające się wszystkimi kolorami tęczy, nagle ożyły, bo zdobiące je falbany, wstążki i koronki zatrzepotały w podmuchu wywołanym nagłym otwarciem drzwi.

- Sprzedaj je - odezwała się z łóżka Emilia. - Nie dadzą za nie zbyt wiele, ale wdowa Wyatt na bazarze, chociaż jest oszustką, zapłaci ci więcej niż ktokolwiek inny. Powiedz jej, ile są warte, i wytarguj tyle, ile zdołasz. Ta zielona, z welwetu, jest prawie nowa, mam ją zaledwie od trzech miesięcy, a tę satin de laine w kolorze cyklamenu dostarczono tydzień przed Bożym Narodzeniem.

- Ale, proszę pani, tę cyklamenową miała pani na sobie zaledwie trzy razy!

Mówiąc to, Jeanne zdjęła suknię z wieszaka niemal z czułością. Satynowa, z krepowanymi falbanami, ozdobiona była kokardami z aksamitnych wstążek, na staniku i wąskich rękawach lśniły diamenciki. Widać było, że sporo kosztowała, ale w porannym świetle wyglądała tandetnie. Była w pewien sposób pospolita, a gdy tak zwisała z rąk Jeanne, falując na usztywnionym gorsie, wydawało się, że wciąż kryje w sobie jakąś bezcielesną istotę.

- Zabierz to, Jeanne - nakazała ostro Emilia. - Teraz widzę, jak musiałam w tym wyglądać.

Jeanne posłusznie powiesiła suknię na wieszaku i zamknęła drzwi szafy. - A co pani będzie nosiła, gdy się ich pozbędzie? - dopytywała się.

- Zamówię od razu nowe stroje, zarówno dzienne, jak i wieczorowe; panienska też będzie ich potrzebowała. Pójdiesz

zaraz do madame Guibout i sprowadzisz ją do nas. Powiedz jej, że to sprawa najwyższej wagi i spore zamówienie.

- Madame Guibout! Ona będzie droga!

- Wiem o tym dobrze, Jeanne. To nie pora na oszczędzanie pieniędzy. Jak ci już mówiłam, zaczyna się nowe życie.

Wtem, gdy głos Emilii niósł się po pokoju dźwięcznie jak ton trąbki, rozległo się pukanie do drzwi. Na ułamek sekundy spotkały się oczy pani i służącej, żadna nie wypowiedziała ani słowa. Po chwili, niemal z wysiłkiem, Emilia zawołała:

- Entrez!

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Mistral. Była wciąż w nocnej koszuli, długiej, białej szacie z batystu, uszytej przez zakonnice. Ramiona otuliła białym kaszmirowym szalem. Powoli weszła do pokoju. Oczy jej lśniły, a usta uśmiechały się. Gdy podchodziła do łóżka ciotki, promień słońca musnął jej głowę, zamieniając ją w pochodnię z żywego złota, które zdawało się oświetlać pokój swoim blaskiem.

Włosy, rozdzielone pośrodku, okalały drobną twarz i spływały na piersi dwoma grubymi, ciężkimi warkoczami, sięgającymi poniżej kolana. Miały kolor dojrzewającej pszenicy, słońca wyglądającego właśnie zza linii horyzontu. Miały również, o czym się później dowiedziała, miękkość i barwę pączkującej mimozy. Były to takie włosy, jakie spotyka się tylko wśród Anglosasów: jasnopłowe, dopasowane do błękitnych oczu i bladej cery. Jednak, co zadziwiające, oczy Mistral nie miały barwy błękitu. Wydawały się niemal fioletowe w ciemnym obramowaniu rzęs, co sprawiało, że wyglądała dziwnie, zaskakująco, wręcz tajemniczo.

Przyglądając się jej, Emilia zastanawiała się przez chwilę, dlaczego w ogóle mogła pomyśleć, że Mistral podobna jest do swojej matki. Nagle, jakby uprzedzając te wątpliwości, podobieństwo wróciło. Ruch głowy, spontaniczny uśmiech

sprawiły, że u stóp łóżka stanęła nie Mistral, lecz Alicja. Na jej twarzy malował się wyraz szczęścia i niepohamowanej radości. Jednak oczy Alicji były błękitne i bez wątpienia wyglądała na Angielkę i arystokratkę. Mimo to, uświadomiła sobie z niechęcią Emilia, uroda Mistral była jeszcze bardziej uderzająca. Zadziwiające połączenie złotych włosów i ciemnych oczu było cudownie fascynujące, usta o bezbłędnej linii kontrastowały czerwienią z białą skóry. Było w niej coś nieuchwytnego, egzotycznego, coś, co kazało się zastanawiać, jakież to sekret kryją te ciemne oczy. Jedna rzecz nie budziła wątpliwości: Mistral była damą w każdym calu jak niegdyś jej matka. Od dumnego, królewskiego, a zarazem pełnego gracji sposobu trzymania głowy po drobne stopy o wysokim podbiciu. Była arystokratką. Sposób, w jaki się poruszała, długie, szczupłe palce i maleńki, prosty nos obwieszczały jej błękitną krew tak dobitnie, jakby trzymała w ręku swój rodowód.

Emilia westchnęła i wyciągnęła dłoń. Mistral podbiegła do niej.

- Bonjour, ciociu Emilio. Wybacz mi, że spałam tak długo, ale byłam zmęczona wydarzeniami wczorajszej nocy. Zbudziłam się przed kilkoma minutami i niczego nie pamiętając, zaczęłam się zastanawiać, gdzie jestem.

Francuski Mistral był czysty, bez skazy.

- Chciałam, żebyś pospała sobie dłużej, kochanie - odrzekła Emilia. - A teraz Jeanne przyniesie ci śniadanie. Czy pamiętasz Jeanne?

Mistral przebiegła pokój chyżo jak jaskółka i wyciągnęła do Jeanne obie dłonie.

- Oczywiście, pamiętam! - wykrzyknęła. - Pamiętam cukierki, które mi zawsze dawałaś, czesząc moje włosy. Nie potrafię nawet opowiedzieć, jak bardzo brakowało mi tych cukierków i ciebie, gdy po raz pierwszy znalazłam się w

klasztorze. Musiałam sama rozczesywać sobie włosy i nie cierpiałam ich za to, że są długie i że się plączą. Zawsze wtedy chciałam je obciąć.

- Helas, panienko, to byłaby zbrodnia! - krzyknęła Jeanne z rozpromienioną twarzą. - Pomyśleć tylko, pamięta mnie panienka po dwunastu latach! Tiens, ale zawsze była panienka najśłodsza istotą w całej Bretanii.

- Za Bretanią też tęskniłam - przyznała cicho Mistral. Później, zwracając się do ciotki, dodała: - Ach, ciociu Emilio, jak cudownie jest być tutaj, ten dom jest wprost czarujący. Dlaczego nigdy przedtem nie pozwoliłaś mi się odwiedzić?

- To długa historia, Mistral - odparła Emilia. - A mamy jeszcze parę innych, ważniejszych spraw, o których chciałabym z tobą porozmawiać. Jeanne przyniesie ci tu śniadanie i będziemy mogły pomówić, gdy będziesz jadła.

- O, cudownie! - zawołała Mistral, a Jeanne pospiesznie wyszła z pokoju. - Tak się cieszę, że będziemy mogły porozmawiać. Tak wiele rzeczy chciałabym wiedzieć. Nie sądzę, ciociu, że się skarzę, byłam szczęśliwa w klasztorze, ale czasami czułam się osamotniona. Wszystkie inne dziewczęta miały rodziny i mnóstwo krewnych. Ja miałam tylko ciebie. Zawsze byłeś dla mnie dobra, ale widywałam cię tak rzadko, a brak domu, do którego jeździłabym na wakacje, powodował, że czułam się inna.

- To zrozumiałe - powiedziała Emilia - ale istniały pewne powody, dla których nie mogłam cię zabierać. Nie ma potrzeby wnikać w nie, bo teraz wszystko uległo zmianie i możemy już być razem.

- To wspaniałe, ciociu Emilio. Gdybyś tylko wiedziała, jaka jestem szczęśliwa. Bałam się czasami, okropnie się bałam, że nigdy mnie nie zabierzesz, że zostanę na zawsze w klasztorze i będę zakonnicą.

- Nie chciałybyś? - spytała Emilia zaciekawiona. Mistral potrząsnęła głową.

- W głębi duszy czuję, że nie mam powołania. Kochałam siostry. Nie można było ich nie kochać i nie podziwiać. One, prawie wszystkie, były święte, a ja zawsze się modliłam, żeby stać się tak dobra jak one, ale przez cały czas coś mi mówiło, że nie zostanę w klasztorze. Chciałam wiedzieć więcej o świecie, chciałam żyć innym życiem. Och, może jestem głupia i będziesz się ze mnie śmiać, ale czasami czułam się tak, jakbym słyszała głosy nawołujące mnie, abym żyła pełniej, abym cieszyła się światem, zanim całkowicie poświęcę się służbie niebu.

Głos Mistral brzmiał miękko, niemal tajemniczo. Patrząc na nią, uświadamiając sobie sens jej słów, Emilia jeszcze ostrzej dostrzegała wiele innych rzeczy: prawie magnetyczny ton dziewczęcego głosu, miękki powab rozchylonych ust, nieświadomy wdzięk szeroko otwartych oczu i siłę promieniujących z niej uczuć, gdy mówiła.

- Nie myliłaś się, myśląc w ten sposób - powiedziała po chwili Emilia. - Jesteś młoda, a szkoda byłoby zamykać tak młode i ładne stworzenie za murami klasztoru.

- Ładne? Mnie masz na myśli? - spytała Mistral. - Och, ciociu Emilio, czy ty naprawdę tak uważasz? Miałam nadzieję, że jestem ładna, ale nigdy nie byłam tego pewna. Wyglądałam zupełnie inaczej niż inne dziewczęta.

- Nie mówiły ci, że jesteś ładna? - zdziwiła się Emilia. W policzkach Mistral pojawiły się dwa dołeczki.

- Czasami! Ale też mi dokuczały z powodu moich jasnych włosów. Byłam w klasztorze jedyną dziewczynką z Anglii i tylko ja nie byłam brunetką.

- Jedyną dziewczynką z Anglii! - powtórzyła Emilia. - Tak, Mistral, jesteś Angielką, bo twoja matka była Angielką.

- A mój ojciec?

Mistral zadała to pytanie szybko i w momencie, w którym je wypowiedziała, spostrzegła cień przebiegający twarz Emilii, zmieniający całkowicie jej wyraz. Dobrotliwa, uśmiechnięta ciocia, z którą rozmawiała, zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się kobieta o skrzywionej twarzy. Mistral nigdy dotąd nie spotkała się z uczuciem nienawiści, ale teraz je rozpoznała, rozpoznała je w zaciśniętych wargach, w zwężonych oczach, w zmarszczkach, które pojawiły się wszędzie, przeobrażając twarz Emilii w przerażającą maskę chimery.

Ale gdy Mistral wstrzymała oddech, czując, że strach wzbiera w niej jak ciemna chmura, Emilia rozpromieniła się ponownie.

- Nie będziemy mówić o twoim ojcu - oznajmiła. - Nie teraz. Któregoś dnia opowiem ci o nim, ale na razie mamy do załatwienia inne, ważniejsze sprawy. Przyjechałaś, aby ze mną zamieszkać, Mistral, i bardzo ci jestem rada, ale jedną rzecz muszę postawić jasno, bardzo jasno od samego początku. Oczekuję posłuszeństwa. Masz mnie słuchać bez względu na to, czy rozumiesz powody moich poleceń, czy też nie. Bądź mi całkowicie posłuszna i nie zadawaj żadnych pytań, poczynawszy od teraz. Rozumiesz?

Głos Emilii był twardy. Mistral znów poczuła przyplływ strachu, ale zdecydowanie odepchnęła go od siebie.

- Oczywiście, ciociu Emilio. Nie zamierzam postępować inaczej.

- To dobrze! Więc powiem ci, co będziemy robić. Dzisiaj zamówimy dla ciebie stroje. Posłałam po madame Guibout, jedną z najlepszych krawcowych w Paryżu. Wprawdzie jest droga, ale ma do tego prawo, bo wyuczył ją monsieur Worth, którego klientką jest cesarzowa Eugenia. Madame przygotowuje wszystkie toalety, jakie będą ci potrzebne. Tak, twoje suknie będą kosztowne, lecz fantastycznie powabne i kiedy je

nałożysz, poczujesz się pewniej i nabierzesz przekonania, że możesz przyciągać uwagę innych.

- O, dziękuję, ciociu Emilio - szepnęła Mistral. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo pragnęłam...

- Pozwól, że będę mówić dalej - przerwała jej Emilia. - Mam ci jeszcze sporo do powiedzenia.

- Tak, ciociu.

- Widywałyśmy się, ty i ja, rzadko od czasu, gdy wyjechałaś do klasztoru przed dwunastu laty. Nie wiem, co pamiętasz ze swego dzieciństwa i z historii twojej rodziny. Twoim dziadkiem był szlachetnie urodzony John Wytham, najmłodszy syn lorda Wythama, szlachcic angielski. Ja byłam jego najstarszym dzieckiem, ale on nigdy nie poślubił mojej matki, która była Francuzką. Twoja prawdziwa babka była Angielką pochodzącą z szacownej rodziny. Zmarła, gdy twoja matka miała pięć lat, powierzając wychowanie córki swoim rodzicom, sir Herewardowi i lady Burghfield. Zaniedbywali oni twoją matkę, traktowali ją źle i gdy odkrył to twój dziadek, przywiózł ją do Bretanii i zostawił pod opieką mojej matki i moją. Twój dziadek nie był bogaczem, ale był niezmiernie lekkomyślny. Ja cię utrzymywałam - ja sama! Przez dwanaście lat twojej edukacji ja pokrywałam wszystkie wydatki, ja kupowałam ci ubrania, ja czuwałam nad twoim wykształceniem. Opłacałam dodatkowo twoje lekcje muzyki i płaciłam za angielski, francuski i niemiecki. Lekcje dykcji, tańca i dobrych manier - wszystkie były dodatkowe. To ja za nie płaciłam, osobiście!

- Nie wiedziałam - wyszeptała Mistral. - Dziękuję, ciociu Emilio.

- Nie oczekuję wdzięczności - powiedziała Emilia. - Mówię ci to tylko po to, żebyś zrozumiała swoje położenie. Wasi krewni w Anglii nie próbowali odszukać twojej matki, gdy ich opuściła, a ponieważ twój dziadek w ostatnich latach

swojego życia prawie nie kontaktował się z Anglią, wątpię, czy w ogóle wiedzą o twoim istnieniu. Dlatego ja jestem jedyną twoją krewną. Twoją ciotką i całą twoją rodziną.

- Tak, ciociu Emilio. - Mistral była zmieszana. W sposobie mówienia ciotki było coś nieprzyjemnego, coś niemal agresywnego.

- Zatem rozumiemy się? To wystarczy - podjęła Emilia. - Teraz mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Jestem zamężna. Poślubiłam pewnego hrabiego. On nie żyje i nie widzę potrzeby, żebyśmy o tym mówiły, ale faktycznie jestem hrabiną. Tam, dokąd pojedziemy, nie będę używała swego tytułu. Będę się posługiwała przybranym nazwiskiem. Mam osobiste powody do zachowania incognito.

- Wyjeżdżamy! - zawołała Mistral. - Dokąd?

- Powiem ci we właściwym czasie - odparła Emilia. - Wyruszamy w długą podróż, którą planowałam od wielu lat.

- Planowałaś jechać... ze mną? - zdziwiła się Mistral.

- Tak, planowałam jechać z tobą - odrzekła Emilia. - Pomówimy o tym, gdy będziemy gotowe, ale zapamiętaj sobie jedno: z nikim nie będziesz rozmawiała ani o moich sprawach, ani o swoich własnych. Bez względu na to, jak wielu ludzi będzie o nas pytać, dopytywać się, ty nic im nie powiesz.

- A jeżeli ludzie będą pytali, kim jestem? - zapytała Mistral, - Co mam odpowiedzieć? Czy i ja będę nosiła inne nazwisko?

- Tak, z pewnością - powiedziała Emilia. - Nie wolno ci nikomu mówić, że nazywasz się Wytham. Czy to jest dla ciebie jasne? Nazwisko Wytham nie padnie z twoich ust. Ja będę się nazywała... madame... tak, madame Secret! To cudowne nazwisko. Ludzie będą ciekawi, chcą, żeby byli ciekawi, będą zadawać pytania, będą o nas mówić. Chcę, żeby mówili.

- Ale, ciociu Emilio, ja tego nie rozumiem.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Powiedziałam ci już, że musisz być mi posłuszna. Dodam jeszcze, że powinnaś mi zaufać. Wiem, co jest dla ciebie najlepsze, tak samo jak wiem, co jest najlepsze dla mnie. Czy to jest jasne?

- Tak, ciociu Emilio.

- Więc się zgadzamy. Będziemy podróżowały razem, ty i ja, a cel naszej podróży niech pozostanie na razie moją tajemnicą.

Mistral miała właśnie coś powiedzieć, ale w tejże chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Jeanne.

- Przyszła madame Guibout, proszę pani.

- To dobrze - powiedziała Emilia. - Poproś ją tutaj. Ty, Mistral, idź i ubierz się, ale nie wkładaj sukienki. Madame pobierze miarę, gdy będziesz w halce.

- Ale panienska musi najpierw zjeść śniadanie! - wykrzyknęła Jeanne. - Zaniiosłam je do pokoju panienski prawie dwadzieścia minut temu, tak jak pani sobie życzyła.

- Jakaś ty głupia, Jeanne! Życzyłam sobie, żeby panienska zjadła je tutaj, ale trudno. Zjedz śniadanie u siebie, Mistral, podczas ubierania, ale niech to nie trwa zbyt długo.

- Dobrze, ciociu Emilio - posłusznie powiedziała Mistral i wyszła za Jeanne z pokoju.

Emilia patrzyła za odchodzącą. Tuż przy drzwiach Mistral zerknęła na ciotkę przez ramię, przesyłając jej nieśmiały uśmiech. Skinęła lekko głową na pożegnanie. Przez chwilę Emilii zdawało się, że uśmiecha się do niej Alicja, że to Alicja kiwnęła głową. Emilia nieomal krzyknęła wstrząśnięta tym podobieństwem, ale w tym momencie drzwi za Mistral zamknęły się i została sama.

- Alicja - szepnęła sama do siebie.

Wydaje się, że zaledwie wczoraj uśmiechała się tak słodko. Jakaż była cudowna, jaka kochająca! Jak często oplatała ciasno ramionami jej szyję. Teraz widziała ją tak

samo jak tego dnia, gdy John Wytham przywiózł ją z Anglii. Dziesięcioletnią, przerażoną, chudą dziewczynkę ze zbyt dużymi oczami w szczupłej twarzy, oczami pełnymi łez. Jej usta drżały pod wpływem jednego szorstkiego słowa.

Emilia właśnie karmiła kurczęta, gdy na fermie pojawił się ojciec. Widziała go, jadącego aleją. Czarne konie rżały i stawały dęba, jakby dopiero opuściły stajnię. Zajechał z kawalerską fantazją, rzucił cugle stajennemu, zeskoczył z powozu i wyciągnął ręce do dziecka, które było usadowione za nim na koźle.

Wszedł przez bramę do ogrodu i wspiał się zwirową ścieżką, niosąc w ramionach Alicję. Przywarła do niego kurczowo, ukryła twarz wtuloną w jego kark tak, że nie można było zobaczyć nic poza falą długich, złotych włosów, spływających na plecy błękitnej kurtki z aksamitu.

Powitanie Johna Wythama ze swoją córką było szorstkie i typowe.

- Jak tam, Emilio, czy znalazłaś już sobie męża?

Emilia mogła mu odpowiedzieć na wiele różnych sposobów. Mogła zauważyć, że bycie nieślubnym dzieckiem angielskiego malarza i córki francuskiego rolnika nie stanowi waloru na matrymonialnym rynku.

Mogła też powiedzieć, że jedyni mężczyźni, jakich spotyka w tej ponurej, choć pięknej części Bretanii, to wieśniacy i rolnicy, którzy jej nie interesują, jako że angielska krew uczyniła z niej istotę niezwykle wymagającą. Mogła wreszcie odpowiedzieć, że gdyby on był trochę mniej samolubny i pamiętał, że francuskim dziewczętom do wyjścia za mąż potrzebne jest wiano, może znalazłaby sobie kogoś, ale za takie pieniądze, jakie dawał matce przez ostatnie dziesięć lat, nie dałoby się utrzymać przy życiu nawet jednego zwierzęcia.

Jednakże Emilia z językiem związanym jak zawsze w obecności ojca, zdołała tylko wyjąkać w odpowiedzi:

- Nie.... nie... oj.... ojcie!

John Wytham uszczypnął ją w policzek, a ona, ulegając czarowi ojca, uśmiechnęła się do niego.

- A jesteś już po trzydziestce! Czas, abyś się pospieszyła i znalazła sobie kochanka, bo będzie za późno. Gdzie twoja matka?

- W domu.

Bez zbędnych słów minął ją i wszedł do środka. Emilia weszła za nim do dużej kuchni wyłożonej dębowymi belkami. Matka właśnie gotowała kolację, z rozstawionych na piecu garnków i patelni rozchodziły się smakowite zapachy. Twarz Marii Riguid była zarumieniona od ognia, zaczynające siwieć włosy nie były ułożone, ale sylwetka pozostała po dziewczęcemu smukła. Kiedy zobaczyła wchodzącego, jej głos zadźwięczał radośnie, stęskniony i podekscytowany jak u małego dziecka:

- John!

- Tak, John. Czyżbyś była zaskoczona, widząc mnie tu po tylu latach?

- To zaledwie cztery lata od twojej ostatniej wizyty, a ja wiedziałam, że znów nas odwiedzisz.

- Naprawdę wiedziałaś? Miałaś rację. Przywiozłem kogoś ze sobą. Delikatnie posadził Alicję na stole. Mruknęła coś niezrozumiale i nadal wtulała się w niego, kryjąc twarz.

- To Alicja - rzekł krótko do Marii.

- Domyśliłam się - powiedziała. - Opowiadałeś mi o niej, kiedy byłeś tu ostatnim razem. Mówiłeś, że opiekują się nią rodzice twojej żony.

- Ale nie mówiłem, jak moi przekłeci teściowie ją traktowali, co? Ten zarozumialec, dla którego nigdy nie byłem dość dobry, i jego damulkowata żona z nosem w chmurach i

protekcjonalnym sposobem podawania dwóch palców, jakbyś mógł jej ukraść resztę dłoni, gdyby wyciągnęła do ciebie całą. Nic dziwnego, że dzieciak był u nich nieszczęśliwy, ale nie wiedziałem, jak bardzo nieszczęśliwy, dopóki nie pojechałem jej odwiedzić kilka dni temu. Ona mi tego nie powiedziała, bo była zbyt zastraszona, żeby cokolwiek mówić. Zmusiłem nianię, żeby powiedziała mi prawdę. Powiedziała, że Alicja była ciągle karcona i straszona, nieustannie jej wmawiali, że nikt jej nie chciał i że jej ojciec jest złym człowiekiem.

Pozwoliłem im przekonać się, jak bardzo złym. Powiedziałem, żeby poszli do diabła, i wziąłem dziecko ze sobą. Jest chora i mizerna, więc przywiozłem ją do ciebie, Mario. Skończyłem z obowiązkami i skończyłem z Anglią. Wracam do malowania, ale nie mogę wlec ze sobą chorowitego berbecia. Weźmiesz ją?

Emilia prawie nie słuchała odpowiedzi matki, bo znała ją wcześniej, nim została wypowiedziana.

- Wiesz, że wezmę, John.

Tak jak Maria Riguid, jej córka zwracała uwagę tylko na Johna Wythama. Jego ogromna siła zdawała się wypełniać izbę. Był wysoki i przystojny. Miał w sobie jakąś dzikość, którą wyczuwała, choć wcale nie znała mężczyzn. Było coś nieposkromionego w jego wielkiej żywiołowości, zmysłowych ustach i oczach, które magnetycznie przykuwały uwagę każdego, kto na niego spojrzał.

- A więc postanowione - rzekł. - Tu jest trochę pieniędzy. Przyślę ci więcej, gdy tylko będę miał.

Rzucił na stół zwitek banknotów. Emilii wydawało się, że jest tego mnóstwo. Wkrótce miała się przekonać, że nie będzie ich więcej.

- Zostaniesz, John? Przynajmniej na kolacji? - żałośnie wyrzuciła z siebie Maria Riguid, gdy zwrócił się w stronę drzwi.

- Nie, moja droga, mam już inne zobowiązania. Dziękuję za przygarnięcie Alicji.

Uwolnił się od zaciśniętych kurczowo paluszków i pocałował dziecko w głowę, później podszedł do kobiety, którą kochał, gdy miał lat dwadzieścia, i która jego kochała niezmiennie od trzydziestu lat. Ujął ją pod brodę i odchylił jej głowę. Spojrzała mu w oczy. Wyraz jej twarzy zmienił się, złagodniał.

- Więc wciąż mnie kochasz - powiedział po chwili. - Cóż ze mnie za szczęściarz.

Pocałował ją w usta, następnie wyszedł z kuchni, a Maria nie czyniła już dalszych prób zatrzymania go. Stała tylko wpatrzona w przestrzeń, z rękami przyciśniętymi do piersi, które falowały ze wzruszenia pod tanią, flanelową bluzką.

To Emilia obserwowała jego odjazd. Emilia widziała, jak z wielką wprawą zawrócił konia na wąskiej alei. To ona słyszała jego pokrzykiwania, widziała, jak unosi kapelusz i macha nim na pożegnanie, podczas gdy konie pędzące galopem ciągnęły za sobą rozkołysany powóz.

Nagle inny dźwięk przyciągnął uwagę Emilii. Był to rozpaczliwy krzyk dziecka:

- Tatusiu! Tatusiu! Nie zostawiaj mnie!

Z żalonym, nieutulonym płaczem mała istota wybiegła z kuchni do ogrodu. To właśnie wtedy Emilia pochwyciła Alicję w ramiona i przytulając ją czuła, jak drobne ciało drży w jej ramionach, czuła ciepłą wilgoć łez spływających po policzkach.

- Pauvre petite! - wyszeptała. - No, już dobrze, już dobrze! Ja się tobą zaopiekuję.

Sama nie wiedziała wtedy, jak prorocze były jej słowa. Teraz widziała całą górę zadań, jakie wówczas przed nią stały: Alicję nakłanianą do jedzenia; Alicji strach przed ciemnością; Alicję uciekającą przed krowami; Alicję

domagającą się spaceru; Alicję płaczącą z powodu dokuczających jej wiejskich dzieci; Alicję potrzebującą nauczycieli, lekarzy, lekarstw, książek, sukienek, butów, rozrywek; Alicję czekającą na wyszczotkowanie jej długich włosów, okrywających złotym welonem białe ramiona.

Emilia westchnęła.

Dźwięk za drzwiami uprzytomnił jej, że wspomnienia trwały zaledwie kilka sekund, choć wydawało się, że przeistaczają się one w żywe obrazy tak wolno, jak wolno mijał czas, który wspomniane zdarzenia wypełniały.

- Madame Guibout, proszę pani.

Jeanne wprowadziła krawcową. Była to drobna, energiczna kobieta, z cerą ziemistą od długich godzin spędzanych w dusznej pracowni, z oczami przekrwionymi od ślęczenia nad częściami garderoby, które tak zręcznie wytwarzała.

- Bonjour, madame.

Wymiana powitań i grzeczności trwała kilka sekund, po czym, jak kobiety interesu, Emilia i madame Guibout darowały sobie uprzejmości.

- Suknie na podróż, przedpołudniowe kostiumy, toalety wieczorowe, stylowe suknie, wierzchnie okrycia, paltoty i kasaki. Panienska będzie potrzebowała wszystkiego - oznajmiła Emilia.

- A dla pani?

- Całkowita wyprawa.

- Na kiedy?

- Żądam rzeczy niemożliwej! Za trzy dni - najdalej za tydzień.

- To będzie kosztowało.

- Jestem tego świadoma - powiedziała Emilia - ale będę też pilnować, żebym nie została oszukana.

- Będę musiała zatrudnić dodatkowe pomocnice. One nie są tanie.

- To zrozumiałe.

- Oznacza to też męczącą ilość przymiarek dla pani i panienki.

- Będziemy do dyspozycji.

- W taki razie będzie tak, jak pani sobie życzy.

- Dziękuję.

Madame Guibout przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Na korytarzu czekały dwie pomocnice. Ich ręce niemal załamywały się pod ciężarem dźwiganych bel materiałów. Były wśród nich satyny, aksamity, rypsy, muśliny, fulary, alpaki, popeliny, zwoje tkanin o najprzeróżniejszych wzorach, splotach i kolorach.

Madame Guibout skinęła na pomocnice. Wyjęła belę aksamitu o barwie lazurowego błękitu i rozpostarła ją na skraju łóżka.

- Z Lyonu - rzekła krótko.

Emilia pomyślała o włosach Mistral na tle błękitnego aksamitu. Którejś wiosny Alicja nosiła ten sam kolor. Przez nie zamknięte drzwi wbiegła Mistral.

- Jestem prawie ubrana, tak jak kazałaś, ciociu Emilio - powiedziała. - O! Jakie cudowne, cudowne kolory!

Wyciągnęła rękę, aby dotknąć lazurowego aksamitu. Madame Guibout nakryła go zwojem szarej gazy. Była zwiewna jak mgiełka unosząca się nad wodą jeziora rankiem, tuż przed wschodem słońca i miała barwę puchu leśnego gołębia lub miłkiego popiołu z tłącego się ogniska.

- To dla pani - stwierdziła madame Guibout. Emilia zerknęła najpierw na gazę, a później na Mistral.

- Nie, dla panienki - powiedziała cicho.

- Dla mnie? - spytała zdziwiona Mistral.

- Tak, dla ciebie - powtórzyła Emilia - Wszystko, co będziesz nosić, każda suknia, każde okrycie będzie w tym właśnie kolorze: fantastycznej, nieziemskiej szarości.

- Ależ ciociu, będę wyglądała jak duch! - wykrzyknęła Mistral.

- Właśnie! - powiedziała Emilia - Będziesz wyglądała jak duch, duch w Monte Carlo.

Rozdział 2

Sir Robert Stanford cicho zamknął za sobą drzwi Willi Róż i zatrzymał się na chwilę, spoglądając w stronę morza. Noc była olśniewająco piękna i choć księżyc w tym momencie stanowił zaledwie cień samego siebie, na wschodzie pojawiła się niska światłość, która zapowiadała niedaleki świt. Wiatr od morza wzmógł się i sir Robert, czując jego podmuch na swojej twarzy, odetchnął nagle głęboko, jakby ostre, surowe powietrze orzeźwiało go i przywracało mu życie. Doznawał tego szczególnego wyostrenia zmysłów, które możliwe jest tylko wczesnym rankiem. Syci ono wszelkie fizyczne potrzeby człowieka i wyczerpując jego organizm, pozwala człowiekowi intuicyjnie, szóstym zmysłem, uświadomić sobie potrzeby ducha.

Za nim, w zaciszu Willi Róż, pozostawała ciepła, pachnąca ciemność - egzotyczna, miękka i przytulna, ale tu, na zewnątrz, powietrze - choć słodkie od woni mimozy i kwiatu pomarańczy - było niezwykle rześkie.

Sir Robert podniósł głowę i spojrzał w niebo, a później znów na ogród i schody wiodące w dół wśród bujnych roślin i krzewów. Ich barwy przyćmione przez nocny mrok, czekały tylko świtu, by słońce odsłoniło ich niemal orientalny przepych.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, sir Robert ujrzał przed sobą zamiast śródziemnomorskiego krajobrazu - park i starannie przystrzyżone trawniki dookoła swego domu w Northamptonshire. Widział go w tej chwili niezwykle wyraźnie. Szary dom, osadzony niczym klejnot pośród okalających go tarasów, jego dach i kominy rysujące się na tle czystego nieba. Architektoniczną perfekcją tego domu odbijała tafla jeziora, którego brzegiem dochodziło się do kolumnowego portyku. To był wspaniały dom - dom, z

którego mógł być dumny, ale zupełnie nie wiedział, dlaczego przypomniał mu go wiatr nad Morzem Śródziemnym.

Czuł się teraz tak, jakby ten dom stanął przed nim, oskarżając go bez słów, domagając się wyjaśnień i, jak każdy człowiek w chwili słabości, sir Robert zaczął się usprawiedliwiać sam przed sobą. Dlaczego - perswadował sobie - miałbym się przywiązywać do domu, nazwiska, dziedzictwa, choćby tak szlachetnego, tak świetnego? Przeżyję życie na swój własny sposób. Dlaczegoż by nie? Jestem dość dorosły, aby wiedzieć, czego chcę.

Rozmyślając tak, sir Robert przypominał sobie o liście, który czekał na niego w hotelowym apartamencie. Doręczono go pod wieczór. Gdy rozpoznał charakter pisma na kopercie, odłożył list na stół, nie otwierając go. To był jeszcze jeden list od matki. Teraz, nagle, Robertowi zaczęło się wydawać, że ten skrawek papieru, czekający na jego powrót jest jakoś niezwykle groźny w swej bezradności.

Niespodziewanie powróciło do niego wspomnienie ostatniej rozmowy z matką. Pamiętał każde słowo, każdy gest; pamiętał, jak światło, padające od ognia w kominku, igrało na bladej twarzy matki; pamiętał cichy, dostojny widok za oknami: Chevron otulone śniegiem, było prawie nieznajome, ale też nieprawdopodobnie piękne.

- Więc jedziesz do Monte Carlo - powiedziała matka, a ton jej głosu zdradził mu, że tego nie pochwała.

- Tak, do Monte Carlo - odparł. - Tam jest cudownie o tej porze roku. Zastanawiam się czasem, czemu ty, mamó, nigdy nie zdecydowałaś się pojechać na południe. To świetnie służy zdrowiu.

- Nie wątpię - odrzekła lady Stanford. - Ale trzymają mnie tu liczne obowiązki i poczucie odpowiedzialności, Robercie.

W tym momencie zawiesiła wyczekująco głos, a syn w odpowiedzi uśmiechnął się nieco kwaśno.

- Zatem mam nadzieję, że przejmiesz i moje obowiązki, droga mammo.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła, lecz niestety jestem tylko kobietą. To ty jesteś właścicielem posiadłości, Robercie, ty odziedziczyłeś zaszczytną pozycję, jaką miał przed laty twój ojciec. Jesteś głową rodu, a Stanfordowie zawsze byli wierni rodzinnej tradycji.

Sir Robert przeszedł przez pokój i zatrzymał się, obserwując pokryte śniegiem trawniki. Na kilka minut zaległa cisza, aż wreszcie matka, z trudem dobywając głosu przez zaciśnięte gardło, spytała:

- Ta... ta kobieta... czy ona jedzie z tobą? Sir Robert odwrócił się ku niej.

- Sądzę, że lady Violet Featherstone... jeżeli to o niej myślisz... będzie w swojej willi w Monte Carlo.

- Och, Robercie, jak możesz tam jechać z nią? Czy nie pojmujesz, że ona ciebie niszczy, całkowicie cię rujnuje?

Sir Robert podszedł niespiesznie do kominka.

- W jaki sposób? - zapytał. - Finansowo, intelektualnie, fizycznie? Nie! Oczywiście, znam twoją odpowiedź. Towarzysko, to właśnie masz na myśli, prawda, mammo?

Zamiast odpowiedzi lady Stanford podniosła do oczu czarno obrębioną chusteczkę. W jej łzach, w jej całkowitej bezradności było coś, co wprawiało syna we wściekłość i powodowało, że pragnął ją zranić jeszcze mocniej.

- Proszę, nie trap się, mammo - rzekł. - Jak właśnie mi przypomniałaś, jestem właścicielem wspaniałego majątku i szczęśliwym posiadaczem ogromnej fortuny. Ludzie będą woleli raczej wybaczyć mojej żonie wszystko, tak, wszystko, niż zamknąć przed sobą bramy Cheveron.

Jeśli zamierzał zranić matkę dotkliwie, to mu się to udało.

- Robercie!

Sposób, w jaki wymówiła jego imię, wyrażał równocześnie zdziwienie i przerażenie.

- Robercie, ty chyba nie sądzisz... że mógłbyś... poślubić tę kobietę... i przywieźć ją tutaj?

- A dlaczego nie? - zdziwił się sir Robert. - Czyżbyś, mamó, zapomniała, że lady Violet jest księżącą córką?

- Nie, nie zapomniałam - powiedziała lady Stanford - ale dobre urodzenie czyni jej zachowanie jeszcze bardziej niewybaczalnym. Poza tym, jeżeli zamierzasz poślubić lady Violet, ona będzie musiała najpierw uzyskać rozwód. Czy pomyślałeś o tym? Rozwód, Robercie!

- Tak, myślałem i o tym - odpowiedział Robert.

Lady Stanford wstała. Była niegdyś piękną kobietą. Zachowała jeszcze ślady swej dawnej urody i czaru, który nie mijał, lecz rósł wraz z upływem lat. Wyglądała teraz niezwykle dostojnie, choć twarz jej poszarzała, a na policzkach widniały ślady łez.

- Doskonale, Robercie - odezwała się cicho. - Jesteś dorosły i nie potrzebujesz nauczycieli. Jeżeli zdecydujesz się ją poślubić, nikt nie będzie mógł cię powstrzymać. Ona ma złą reputację i jest o dziesięć lat starsza od ciebie, ale wiem, że żadne moje słowa ani słowa kogokolwiek innego nie zdołają zmienić twej decyzji, gdy już ją raz podejmiesz. Ja jednak jestem zdecydowana na jedno. Jeżeli poślubisz Violet Featherstone - ja jej nie zaakceptuję. To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

- Rozumiem.

Lady Stanford zwróciła się w stronę drzwi. Sir Robert otworzył je przed matką, a złośliwy, ironiczny uśmiech wykrzywił mu usta gdy czekał, aż ona wyjdzie z pokoju. Przez chwilę patrzyła na niego, może w nadziei, że wyraz jego twarzy złagodnieje, lecz napotkawszy jego wzrok wrogi,

nieufny i bardzo obcy, odwróciła głowę i bez słowa opuściła pokój.

Był okrutny! Sir Robert wiedział o tym i teraz, i już wtedy, gdy wybuchł w nim ten gorzki, pełen pasji gniew, który ogarniał go zawsze, kiedy coś plątało się i nie toczyło dokładnie tak, jak on sobie tego życzył. Dlaczego, pytał w takich chwilach sam siebie, nie spotkałem Violet, gdy oboje byliśmy młodszy? Zapomniał o tym, że gdy ona wychodziła za mąż, on był zaledwie uczniem w Eton, pamiętał tylko, że jest cudowną kobietą i że jej pragnie.

Jakże była inna od tych wszystkich małomównych panien, które jego matka uważała za odpowiednie kandydatki do małżeństwa z nim! Jak bardzo różniła się od kobiet, w których się podkochiwał i z którymi flirtował. One zawsze stawały się nudne z powodu swych natrętnych wymagań i wyznań miłosnych, w miarę jak on obojętniał, coraz gorętszych.

Nigdy do końca nie był pewny Violet. Raz była ustępliwa, delikatna, tak że gotów był uwierzyć, iż pragnie całkowicie mu się poddać, dając mu swoje ciało i swoją miłość. Innym razem, nawet wtedy, gdy trzymał ją w ramionach, zwodziła go. Wykpiwała jego szczery zapał, śmiała się z jego namiętności, a on wyczuwał i odgadywał zmiany jej nastroju, jeszcze zanim się odezwała. Należała nie do niego, lecz do samej siebie. Była jak błędny ognik tańczący nad trzęsawiskiem uczuć.

W jej niezwyklej lekkomyślności i uporze było coś pociągającego. Violet nie dbała o to, co mówi o niej świat. Doskonale znała takie gadanie. Wiedziała, że jej krewni i większość przyjaciół wyraźnie opowiada się po stronie jej męża. Odeszła od niego kilka miesięcy temu po osiemnastu latach małżeństwa, ponieważ - jak twierdziła - poznała już wszystkie mężowskie opowiastki i była nimi znudzona.

Plotkarze, którzy od lat mówili z zapartym tchem o lady Violet Featherstone, nie byli zdziwieni, zaskoczył ich natomiast fakt, że Violet odeszła sama, nie uciekła do nikogo. Po prostu założyła osobny dom i dalej szła swoją drogą, zdobywając serca niemal wszystkich młodych mężczyzn, których spotykała.

Wtedy właśnie poznał ją Robert i od pierwszej chwili ich spotkania marzył i myślał tylko o niej. Był jednak zbyt dorosły, aby bez namysłu, bez zastanowienia podejmować tę najważniejszą w życiu decyzję.

Wiedział dobrze, że jeśli zaproponuje małżeństwo Violet Featherstone, będzie to oznaczało poważne zmiany w jego, przemyślanych już, planach na przyszłość.

Mógł odgrywać buntownika przed matką, mógł wobec niej udawać, że wprowadzenie do Cheveron Violet jako żony to prosta sprawa, ale w głębi duszy wiedział, jakie to skomplikowane i trudne. W tych chwilach, gdy Violet uśmiechała się do niego, gdy przyglądała mu się spod rzęs, gdy się z nim droczyła w cudowny, poufały sposób, co było jedną z najbardziej ujmujących jej sztuczek, czuł, że nic się na świecie nie liczy oprócz możliwości zdobycia tej fascynującej, nieobliczalnej kobiety.

Ale w tym momencie, jak zwykle wtedy, gdy nie było jej przy nim, miał przed oczyma piękno Cheveron. Niemal słyszał prośby matki. Wiedział, że mówiła nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu dzierżawców, miała na względzie przyjęcie go do Izby Gmin, pozycję zajmowaną przez niego w hrabstwie, rolę, jaką Stanfordowie zawsze odgrywali w kręgach dworskich. Jakże banalne wydawało się to wszystko, istna góra przeciwieństw, tak potężna w porównaniu ze smukłą kruchością Violet - cudownej, fascynującej, ponętnej, a czasem zwodniczej aż do utraty zmysłów.

Niespodziewanie Robert spostrzegł, że stoi już zbyt długo na zewnątrz Willi Róż i że jest mu zimno. Podmuch wiatru od morza był silniejszy, niż sądził. Ruszył w dół ogrodu. Ścieżka kluczyła, co kilka jardów natrafiał na stopnie, po których schodził coraz niżej i niżej, aż przez żelazną, misternie kutą bramę, wyszedł na wąską drogę.

Nie skręcił jednak w dół drogi, lecz ją przeciął i przez bramę po przeciwnej stronie wszedł do ogrodów publicznych, założonych zaledwie przed kilku laty przez pracowitego Francoisa Blanca, gdy ten budował nową dzielnicę Monte Carlo. Ogrody, choć jeszcze nie w pełni urządzone, zapowiadały się pięknie. Ścieżka, która przez nie wiodła, wiała się pomiędzy drzewami oliwek i palm, obok żywopłotów i klombów pełnych rozmarynu. Unosiła się tu ciężka woń eukaliptusów i egzotyczna słodycz jaśminu i mirtu. Przechodnia w świetle dnia zachwyciłyby kaskady szkarłatnego geranium, fioletowe kobierce fiołków i girlandy niebieskich heliotropów. Lecz wśród ciszy nocy i w cieniu drzew nawet kwiaty wydawały się uśpione.

Sir Robert nie zwracał uwagi na otaczające go piękno. Myśłami wciąż był przy Cheveron. Przypominał sobie te poranki, gdy wstawał przed śniadaniem, by podziwiać krople rosy na trawie, niebo wyłoczone promieniami słońca i powietrze pełne ptasiego świergotu. Wspominał długie dni spędzane na polowaniach, stadka kuropatw przelatujące ponad ścierniskiem kukurydzy, swego spaniela powracającego triumfalnie z ustrzelonym ptakiem w pysku; myślał o tych wieczorach, gdy po całym dniu polowania zdrożony wracał konno do domu, a Cheveron witało go przyjaznym blaskiem świateł, rozjaśniających zimowy mrok.

Cheveron, zawsze Cheveron! Powinien myśleć tylko o Violet, o jej ustach tuż przy jego ustach, o jej ramionach otaczających jego szyję.

Dotarł do szczytu schodów i właśnie okrążał szarą skałę, którą obrastała wistaria, gdy ktoś, wpadając na niego, krzyknął z przerażenia. Rozłożył ręce, by uchronić tego kogoś od upadku, i poczuł, że trzyma w ramionach kobietę.

- Uwaga! Proszę uważać! - zawołał, a ponieważ myśłami był ciągle w dalekim Cheveron, instynktownie odezwał się po angielsku.

- Pardon, monsieur - powiedziała ona i po chwili, usłyszawszy jego słowa, dodała po angielsku: - Ach, pan jest Anglikiem!

- Tak, jestem Anglikiem - odrzekł sir Robert. - Czy ma to jakieś znaczenie?

Widział ją trochę niewyraźnie, gdyż oboje znajdowali się w cieniu drzewa aloesu, ale spostrzegł, że oddychała szybko, tak jakby prędko biegła, i że jest przestraszona.

- Nie, nie, już wszystko dobrze, skoro pan jest tutaj - odpowiedziała kobieta. - Bo właśnie... zaczepił mnie jakiś mężczyzna. Myślę, że on za dużo... za dużo wypił. W pierwszej chwili nie rozumiałam, co mówi... przestałam go słuchać. Potem, gdy zorientowałam się, co... co on mówił, ja... zaczęłam uciekać.

- Pójdę się z nim rozprawić - gniewnie oznajmił sir Robert, ale gdy tylko wyrzekł te słowa, przyszło mu do głowy, że może to być jakaś pułapka. Ładne kobiety, które nie lubią być zaczepiane przez obcych mężczyzn, nie spacerują o świcie po ogrodach Monte Carlo. Zawahał się, a ona jakby instynktownie przeczuła zmianę w jego nastawieniu, jak i to, co pomyślał. Odsunęła się od niego.

- Już dobrze... dziękuję - powiedziała. - To... to była oczywiście moja wina, wyszłam... sama. Nie powinnam była, wiem... ale obudziłam się wcześniej i zapragnęłam zobaczyć wschód słońca nad morzem.

W jej głosie dźwięczało coś tak dziecinnego, że nagle podejrzenia opuściły Roberta. To nie była żadna pułapka, a ta kobieta... czy dziewczyna, bo domyślał się, że jest bardzo młoda... mówiła szczerze, był tego pewny.

- Nie będzie pani musiała długo czekać. Myślę, że najlepiej zobaczy pani stąd.

Wskazał miejsce nieco na lewo, gdzie ścieżka dochodziła aż do skraju głębokiego urwiska, odgrodzonego jedynie żelazną balustradą.

- Och, dziękuję.

Kobieta odsunęła się od niego i wyszła z cienia drzew. Teraz mógł sir Robert wreszcie zobaczyć, że istotnie była to dziewczyna. Jej szary płaszcz, z jakiejś miękkiej materii, spływał z ramion aż do ziemi, włosy ocieniał kaptur. W bladym świetle można było dojrzeć zaledwie kontury twarzy - delikatne rysy, ogromne, ciemno obramowane oczy i pięknie wykrojone usta, rozchylone teraz, gdy podekscytowana spoglądała w kierunku morza.

- To tutaj przywieziono świętą Devote - szepnęła. Niemal nieświadomy tego, że za nią idzie, sir Robert spytał:

- Co pani powiedziała?

Podniosła na niego wzrok.

- Naprawdę mówiłam sama do siebie. Nie... nie wolno mi pana zatrzymywać.

- Myślę, że powinienem zostać przy pani kilka minut, a nuż człowiek, który panią przeraził, znowu się pojawi.

Zerknęła nieco lekliwie przez ramię. Z miejsca, w którym stali, mogła obserwować ścieżkę prowadzącą przez ogrody ku dołowi, w stronę miasta. Była pusta.

- Odszedł - stwierdziła.

- A więc może pani w spokoju podziwiać wschód słońca! Ale chciałbym, żeby powtórzyła pani to, czego nie dosłyszałem.

- Powiedziałam: To tutaj przywieziono świętą Devote.
 - Tak właśnie mi się wydawało. Myślałem jednak, że to jakaś pomyłka. W Monte Carlo nie przebywa wielu świętych. Roześmiała się łagodnym, melodyjnym śmiechem.
 - Teraz może nie, ale święta Devote przybyła tu w roku 300.
 - Ach tak! I została patronką skały.
 - Tak, została, ale ja sądziłam, że pan nic o niej nie wie.
 - Nie wiem. Zgadłem. Proszę opowiedzieć coś więcej.
 - Święta Devote mieszkała na Korsyce i po tym, jak została chrześcijanką, zamordowano ją. Kapłan, który ją nawrócił, zamierzał zawieźć jej ciało do Afryki, ale wiatr zwał statek z kursu. Którejś nocy kapłan ujrzał we śnie białą gołębicę, która wyfrunęła z piersi dziewczyny i usiadła w ciasnym wąwozie. Gdy się ocknął, zobaczył, że statek przybił do plaży w Monako; przed nimi w ciasnym wąwozie siedziała biała gołębicą.
- Głos dziewczyny był niski, słodki i uduchowiony, gdy opowiadała mu tę legendę.
- Kto opowiedział pani to wszystko? - zapytał sir Robert.
 - Siostra w klasztorze. Pochodziła z Monako i zawsze opowiadała o swoim domu i o cudownych pomarańczowych gajach, o Monte Angel, o wioskach wysoko w górach i o świętej Devote, która pomogła jej odkryć powołanie.
 - A więc to z powodu tej zakonnicy pragnęła pani zobaczyć wschód słońca nad Monte Carlo?
 - Nie nad Monte Carlo, ale nad Zatoką Herkulesa i nad Monako. Proszę spojrzeć tam - tam na pewno znajduje się kaplica świętej Devote.
- Wyciągnęła rękę. Sir Robert patrzył jednak nie w kierunku, który wskazywały jej palce, lecz na same palce. Były długie i szczupłe, piękne w pełnym wdzięku goście.
- Och, proszę popatrzeć!

Usta jej wyszeptały te słowa niemal w ekstazie. Pierwsze promienie złotego słońca pięły się po niebie i szybko, jak zwykle na południu, kiedy przychodzi świt, nastąpiła nagła zmiana. Na chwilę wszystko stało się szare i bezbarwne, a za moment ujrzeni błękit morza, wspaniałość nieba, majestat górskich szczytów zwieńczonych śnieżnymi czapami, otoczył ich przepych fioletu i karmazynu, fiołków i heliotropów.

Świt! Magia chwili, w której dzień spotyka się z nocą, pierwsza pieśń ptaka niosącego swą serenadę ku słońcu!

- Cudowne! Cudowne! - krzyknęła dziewczyna i teraz dopiero sir Robert mógł wyraźnie zobaczyć jej twarz. Powtórzył nieomal na głos jej słowa.

To ona była cudowna, tak, cudowna. Nigdy przedtem nie widział piękniejszej, bardziej powabnej twarzy. Jakże była młoda! Tak młoda jak ten dzień, który właśnie wstawał przed ich oczami, tak młoda, jak pąki na drzewach mimozy, jak bladozielone wiosenne pędy pomiędzy oliwkami, jak kwiecie gajów pomarańczowych.

- Uważam, że powinna pani nosić imię Brzask - - powiedział. Z trudem oderwała wzrok od krajobrazu i spojrzała na niego.

- Brzask! - powtórzyła - Och, nie, mam na imię Mistral.

- Mistral! Cóż za dziwne imię dla dziewczyny. To nazwa bardzo nieprzyjemnego wiatru w tej części świata.

- Tak, wiem o tym - powiedziała Mistral.

Było w tonie jej głosu coś, co zakazywało mu dalej mówić o tym imieniu. Zapytał więc:

- A jak się pani nazywa?

Już mu prawie odpowiedziała, usta ułożyły się do odpowiedzi, ale niespodziewanie, jakby coś sobie nagle przypomniała, przez jej twarz przebiegł cień.

- Lepiej... lepiej panu nie powiem - odrzekła. - Pan dobrze wie, że nie powinnam być tutaj. Ciotka strasznie się na mnie

pogniewa. Źle postąpiłam, bardzo źle, wychodząc bez pozwolenia, ale przebudziłam się, a siostra Heloiza tak często mi opowiadała, jaki piękny jest świt. I miała rację, całkowitą rację.

- Myślę, że pani także miała rację, przychodząc tu, aby zobaczyć go na własne oczy - zauważył sir Robert. - W życiu często przekonywałam się, że mądrzej jest najpierw spełnić swoje pragnienie, a dopiero później prosić o pozwolenie.

Mistral uśmiechnęła się.

- Zakonnice powiedziałyby, że to krętactwo.

- A pani zawsze robi to, czego nauczyły ją zakonnice?

- - Postępowałam tak zawsze, aż do dzisiaj. Nigdy nie miałam okazji robić cokolwiek innego. Widzi pan, ja opuściłam klasztor niewiele ponad tydzień temu.

- Długo tam pani była?

- Od czasu kiedy skończyłam sześć lat.

- Sześć? - zdziwił się sir Robert. - A pani dom? Mieszka pani we Francji?

- Proszę, nie powinien pan zadawać tylu pytań - odpowiedziała Mistral.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się z powagą sir Robert.

- Musi pani uważać mnie za człowieka wyjątkowo nietaktownego i źle wychowanego, ale to wszystko dlatego, że jest pani tak inna od osób, które dotąd znałem. Wyczuwam coś niezwykle intrygującego w tym, że spotkaliśmy się o świcie, nie znając się zupełnie i nie wiedząc, kiedy możemy spotkać się znowu. Czy pozwoli pani, mademoiselle, że się przedstawię?

- Ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby pana wyręczyć, sądzę, że powinien pan zrobić to sam.

Znów się uśmiechnęła, a sir Robert pomyślał, że wygląda to tak, jakby słońce musnęło błękit morza.

- Nazywam się Stanford - powiedział - sir Robert Stanford. Mówiąc te słowa obserwował wyraz jej twarzy i zorientował się, że nigdy o nim nie słyszała. Nagle poczuł ogromne pragnienie, by dodać: Jestem bardzo bogatym, ważnym i wpływowym Anglikiem.

Oczywiście, było to śmieszne, ale chciał ujrzeć błysk w tych dziwnych, dziecinnych oczach. Dlaczego, nie potrafił tego wytłumaczyć nawet samemu sobie.

- Bardzo mi miło, sir Robercie..

Mistral dygnęła lekko i znów odwróciła głowę w kierunku morza.

- Proszę popatrzeć na tę barwę - powiedziała. - Nigdy nie wierzyłam, że morze mogłoby być aż tak błękitne. Myślałam, że to jedna z tych bajeczek, które ludzie plotą. Ale ono jest błękitne, tak błękitne jak szata Madonny w jej kaplicy.

Zapomniała o nim i sir Robert poczuł się dziwnie urażony, że Morze Śródziemne może być bardziej atrakcyjne niż on. Gdzieś w oddali zegar zaczął wybijać godzinę. Usłyszeli sześć uderzeń. Mistral liczyła je.

- Szósta! - rzekła. - Muszę wracać. Moja ciotka budzi się wcześniej, a wiem, że będzie bardzo zagniewana, jeżeli się dowie, gdzie byłam.

- A czy zakonnice pochwaliby panią za oszukiwanie ciotki? - spytał sir Robert z przekorą.

Jej drobna twarz była poważna, gdy potrząsnęła głową.

- Nie, powiedziałyby, że to bardzo źle - odrzekła. - I ja również myślę, że to źle. Powinnam wyznaczyć sobie karę. Ale ten jeden, jedyny raz chciałam zrobić coś sama. Chciałam zapomnieć o wszystkich regułach i nakazach, którym dotąd byłam posłuszna. Zawsze był ktoś, kto mi je narzucał.

Spojrzała w tę stronę, gdzie, jak wcześniej odkryła, miała znajdować się kaplica świętej Devote. Zrozumiał, że ona się

modli. Łatwo było obserwować jej twarz, teraz, gdy nie zdawała sobie z tego sprawy.

Pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak zdumiewających oczu. U nikogo z rodaków. Dziewczyna, choć mówiła po angielsku jak rodowita Angielka, z gestykulacji wyglądała na Francuzkę. To dziwne, jak bardzo niepokoiła się o zachowanie tajemnicy, przecież nie będzie trudno odkryć, kim ona jest. To prawie niemożliwe, nawet w Monte Carlo, żeby taka piękność pozostała długo w ukryciu.

- A teraz muszę iść.

Mistral odwróciła się. Wyraz jej twarzy upewnił go, że się modliła. Wyciągnęła rękę.

- Dziękuję, sir Robercie, był pan bardzo miły. Jestem ogromnie wdzięczna.

Ujął jej dłoń...

- Czy spotkamy się znów, mała Mistral? - zapytał.

- Nie sądzę - odrzekła.

- Ale dlaczego nie? Czy nie mogę złożyć wizyty ciotce pani?

- Proszę, nie. - W jej głosie zabrzmiał ton paniki. - Moja ciotka pogńiewa się bardzo, jeżeli się dowie, że rozmawiałam z kimś nieznanym. Dała mi dokładne instrukcje na temat tego, co wolno mi robić, a czego nie wolno. Byłaby oburzona i wstrząśnięta, gdyby dowiedziała się, że przyszedłam tu sama. Sir Robercie, nie chciałabym, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszej znajomości. Obiecuje mi pan?

- Obiecuję, ale pod jednym warunkiem - odparł sir Robert.

- Pod warunkiem?

Miała zakłopotany głos, próbowała oswobodzić swoją dłoń z jego uścisku, ale on na to nie pozwolił.

- Tak, pod warunkiem - powiedział poważnie - pod warunkiem, że wezwie mnie pani, jeśli znajdzie się w

jakichkolwiek kłopotach, jeżeli będzie pani zatrwożona czymkolwiek, co zdarzy się w Monte Carlo. Mieszkam w Hotel Hermitage. Wystarczy, że prześle pani wiadomość lub bilecik, a pojawię się natychmiast. Jeżeli nie będziemy się mogli spotkać tam, gdzie pani mieszka, możemy zobaczyć się tutaj. Obiecuje pani?

Niepokój zniknął z twarzy Mistral.

- Tak, obiecuję. To bardzo miłe z pana strony.

- W zamian przyrzekam, że nikomu nie powiem o tym, że się znamy, i jeżeli spotkamy się znów, wśród ludzi, będę udawał, że nigdy pani nie widziałem. Ale nie zapomnę tego poranka.

- Ja również o nim nie zapomnę - odrzekła Mistral. - Świt był właśnie taki, jak opisywała siostra Heloiza, cudowny, tak cudowny, że aż brak słów.

- Tak cudowny, że aż brak słów - powtórzył powoli sir Robert, uporczywie wpatrując się w jej twarz.

Na chwilę jego wzrok przyciągnął jej spojrzenie, ale zaraz, jakby przełęknięta, odwróciła się i zbiegła w dół ścieżką pomiędzy kwiatami, poły szarego płaszcza powiewały za nią. Poruszała się szybko i z wdziękiem, który przywodził mu na myśl leśną nimfę, aż kolejny zaułek ogrodu ukrył ją przed jego spojrzeniem.

Nie próbował iść za nią. Oparł się łokciem o balustradę i zapatrzył w morze. „Cudowny, tak cudowny, że aż brak słów” - tak opisała świat. I była to prawda. Powoli wstawało słońce i wszystko stawało się jeszcze bardziej błyszczące. Właśnie ostatnie nocne cienie zniknęły z nieba, morze było oślepiająco błękitne, a w oddali, na horyzoncie, blado majaczyła wyspa Korsyka niby jakaś nikła, liliowa chmura.

„Cudowny, aż brak słów” - powtórzył sir Robert, a potem powoli, tak powoli, że zabrało mu to mnóstwo czasu, wrócił do hotelu.

Nie musiał nawet czekać na nocnego portiera, aby go wpuścić. Pokojówki już rozpoczęły swą krzątanie, właśnie szorowano marmurowe schody.

Sir Robert wziął klucz z recepcji i poszedł na górę do apartamentu. Był pusty i tonął w ciemnościach, gdyż sir Robert polecił swemu lokajowi, aby na niego nie czekał. Powietrze w salonie było stęchłe i duszne, więc rozsunął zasłony i gwałtownym ruchem otworzył okna. Wtedy, w świetle wpadającym do pokoju, zobaczył leżący na samym środku ogromnego stołu, czekający na niego list od matki. Stał patrząc na list przez dłuższy czas i nawet nie dotykając, przeszedł w ten koniec pokoju, gdzie na kominku stała fotografia Violet.

Umieściła ją tam sama poprzedniego dnia, wręczając mu fotografię, oprawną w szeroką, srebrną ramę, jako prezent.

- Nie zniosłabym myśli, że zapomnisz o mnie wtedy, gdy nie jestem z tobą - powiedziała mu pewnego razu w przyływie czułości.

- Jakże bym mógł?! - zaprotestował sir Robert.

- Zapominanie o ludziach nie jest wcale trudne - uśmiechnęła się Violet.

Poczuł, jak ogarnia go fala zazdrości.

- Czy tak łatwo zapomnisz o mnie? - zapytał i pochwyciwszy ją w ramiona, całował z furją, aż zaczęła krzyczeć i błagać o litość.

Nie pozwolił jednak jej odejść.

- Zapomnisz o tym?... I o tym?... I o tym? - pytał całując ją raz po raz. Ale nawet w tej chwili, choć wściekły z zazdrości, która wzburzała w nim krew, zdawał sobie sprawę, że Violet celowo go prowokuje i jakaś rozsądna część jego umysłu besztła go za to, że jest głupcem, pozwalając sobie na odgrywanie roli, której od niego oczekiwano.

Sir Robert znów spojrzał na fotografię Violet. Niezaprzeczalnie była pociągającą kobietą. Ciemne, kasztanowe włosy, zaczesane do tyłu, delikatny uśmiech w oczach, powabne wygięcie ust. Nie miała klasycznej urody, ale gdy wchodziła do pokoju, nikt nie mógł zignorować jej obecności. Matka uważa, że to zła kobieta, ale czy Violet rzeczywiście jest zła?

Sir Robert zaczął się zastanawiać. Jak w ogóle takie pytanie mogło mu przyjść do głowy? Nigdy dotąd go sobie nie zadawał.

To wpływ tej zabawnej dziewczuszki, którą spotkałem w ogrodach pomyślał. Powiedziała, że zamierza sama wymierzyć sobie karę za uczynienie czegoś, co nie podobałoby się ciotce. Kara za oglądanie świtu! Zastanawiał się, jaki też rodzaj kary wyznaczyłaby sobie, gdyby uczyniła coś naprawdę złego. Może któregoś dnia zapyta ją o to; po chwili namysłu stwierdził jednak, że chyba nie potrafiłaby odpowiedzieć na takie pytanie. Jej wiedza o tym, co złe, musiała być ograniczona. Z pewnością jest załóżnie nieświadoma świata, skoro od szóstego roku życia wychowywały ją zakonnice.

Biedne maleństwo! Zastanawiał się, co w przyszłości przyniesie jej życie. Nieprawdopodobne, aby długo jeszcze pozostała tak niewinna, mając taką twarz. Cóż, jego to nie dotyczy w najmniejszym stopniu. Nie miał pojęcia, dlaczego właściwie jej powiedział, żeby zwróciła się do niego, gdy będzie miała jakieś kłopoty. Jeżeli ona skorzysta z tej propozycji, on może znaleźć się w trudnej sytuacji wobec Violet. Nawet jeżeli Violet nie ma jeszcze prawa kwestionować jego decyzji. Na razie jej nie poprosił, by została jego żoną, ale był pewien, że jeśli to uczyni - zostanie przyjęty.

List od matki wciąż czekał na niego. Cóż, nie miał zamiaru otwierać go w tej chwili. Będzie udawał sam przed sobą, że list dopiero przyjdzie

tego ranka, i przeczyta go przy śniadaniu. Wyraźnie, jak gdyby była tu, w pokoju, usłyszał cichy głos, mówiący: „Zakonnice nazwałyby to kręctwem”.

Całkiem niespodziewanie sir Robert zirytował się. Niech diabli wezmą tę dziewczynę z jej sumieniem i modlitwami, niech diabli wezmą list leżący opodal, biały i pełen oskarżeń. Dlaczego matka nie zostawi go w spokoju? Nawet gdyby chciał iść do samego piekła, ma prawo iść własną drogą, bez tego płaczu i lamentu, jaki towarzyszy mu teraz. Czuł się już zmęczony i chciał się położyć. Było zbyt późno w nocy czy też zbyt wcześnie rano - w zależności od tego, z której strony na to spojrzeć - by człowiek mógł się uporać z problemem dobra i zła, z racją i brakiem racji. Sir Robert przeszedł, przez pokój powolnym krokiem, wszedł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. Wiatr, który wpadł przez otwarte okna, rozrzucił papiery na biurku. List od lady Stanford, nie poruszony, leżał na samym środku blatu, a promienie słońca spowijały go złocistym ciepłem.

Rozdział 3

Emilia rozejrzała się po salonie z poczuciem satysfakcji. Śniadanie, ustawione tuż przy oknie na nieskazitelnie białym obrusie, było apetycznie i elegancko podane. Dotąd wszystko toczyło się dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała. Odczuwała teraz podniecenie, jak generał, którego oddziały odnoszą zwycięstwo w starannie przygotowanym manewrze.

Ona i Mistral przybyły do Hotel de Paris poprzedniego wieczora. Podróżowały koleją z Nicei do Monako w komfortowych warunkach, co dla Emilii było całkowitym zaskoczeniem. Musiała niechybnie porównywać każdy etap obecnej podróży z tamtą, którą przed dziewiętnastu laty odbywała z Alicją. Podróżowały wówczas wolniej i bardzo niewygodnie, a gdy nareszcie dotarły do Nicei, miały do wyboru albo obskurny, przedpotopowy powóz, który codziennie przewoził jedenastu pasażerów z Nicei do Monako, albo wyjątkowo niebezpiecznie wyglądający parowiec, który wypływał w morze, nie trzymając się rozkładu i słynął z tego, że pozostawał w porcie przez tydzień lub dłużej nawet bez żadnej próby wypłynięcia.

Wobec tego zdecydowały się podróżować lądem i tłukły się po wybojach nie ukończonej drogi przez cztery godziny, które dłużyły się niczym miesiące, na dodatek uraczono je opowieściami o rozbójnikach i bandytach, którzy często zatrzymywali te nieliczne powozy, jakie ośmieliły się wyruszyć w podróż.

Z okien salonu Emilia widziała ogrody kasyna, a tuż za nimi - morze. Na zachód od kasyna widoczny był port, dalej wielka skała Monako, starodawny pałac i forteca, która stała jak przed pięciuset laty, groźnie strzegąc miasta. Ale Emilię bardziej interesował ten widok, który rozciągał się za hotelem - panorama miasta, które swoim kształtem przypominało różnobarwny, jaskrawy grzyb; miasta pełnego blasku,

pulsującego życiem, wspinającego się dachami po zboczach wzgórza, białego i lśniącego, które w swej doskonałości i przepychu wydawało się tworem magicznej mocy spływającej z różdżki czarnoksiężnika.

Dla Monte Carlo takim czarnoksiężnikiem stał się Francois Blanc, który jałową, nieurodzajną skałę przemienił w istną krainę czarów, pełną bogactwa i luksusu, przepychu i rozkoszy.

Emilia nie wierzyła w to, co podawały gazety w ciągu ostatnich lat. Teraz, gdy ujrzała ten cud na własne oczy, była wstrząśnięta. Hotel również przerósł jej wszelkie oczekiwania. Kiedy z Mistral u boku i Jeanne, pokornie podążającą z tyłu, majestatycznie wkroczyła do foyer i szła przez ogromny hol, wysłany miękkim jak puch luksusowym dywanem, jednym szybkim spojrzeniem ogarnęła marmurowe kolumny, lśniące zwierciadła, obfitość palm i kwiatów. Przez chwilę poczuła się przerażona własną śmiałością, która pozwoliła jej przekroczyć próg takiego, świata.

Wtem coś silniejszego od niej samej, jakaś wewnętrzna siła pchnęła ją do przodu tak, że gdy dotarła do kontuaru recepcji, mogła już przekonująco odegrać tę krótką scenkę, którą wielokrotnie przećwiczyła w myśli.

- Zarezerwowano dla mnie apartament - oznajmiła. - Kontaktował się z wami, na moje polecenie, monsieur Anjou.

Recepcjonista skinął głową.

- Tak, oczywiście, madame, oczekiwaliśmy pani. Niech mi wolno będzie powitać panią w Hotel de Paris i w Monte Carlo.

Emilia łaskawie raczyła skinąć głową.

- Wszystko jest już przygotowane, madame - powiedział recepcjonista. - Uprzejmie proszę, aby pani zechciała się wpisać do księgi meldunkowej, a ja przywołam kogoś, kto odprowadzi panią do jej apartamentu.

Emilia ujęła ogromne pióro i podeszła bliżej do kontuaru, na którym leżała otwarta księga w skórzanej oprawie. Nagle zawahała się, upewniwszy się przedtem, że recepcjonista dostrzeże jej wahanie. Obejrzała się na Jeanne, która stała nieco dalej, trzymając w rękach skórzany kuferek na biżuterię, na którym pysznił się wytłoczony herb.

- To będzie nieco... trudne - powiedziała po chwili Emilia.
- Moja siostrzenica i ja jesteśmy tutaj na wakacjach. Chciałybyśmy spędzić je spokojnie i zachować... incognito.

- Zapewniam, że wola pani będzie uszanowana, madame - powiedział recepcjonista, ale w jego oczach pojawił się błysk zaciekawienia.

- Tak, incognito - powtórzyła Emilia. - To jest właściwe słowo. Zanurzyła pióro w atramencie i wyraźnymi, okrągłymi literami napisała : Madame... Znow się zawahała, aż ostatecznie, śmiejąc się z cicha, dopisała nazwisko.

- Jestem madame Secret - oznajmiła. - Przynajmniej na czas pobytu tutaj, w tym czarującym mieście.

- Jak pani sobie życzy, madame - rzekł recepcjonista, ale Emilia zauważyć, że jeszcze raz zerknął w stronę torby na biżuterię z wytłoczonym herbem, którą trzymała Jeanne.

Emilia jednak ciągle się wahała.

- Moja siostrzenica... - powiedziała i w końcu zapisała drugie nazwisko. Mistral zerknęła na to, co napisała ciotka. Okrągłe, duże pismo było łatwe do odczytania. Mademoiselle Fantome, oto co napisała Emilia.

Apartament, do którego je wprowadzono, był wspaniały. Składał się z dużego pokoju dla Emilii, mniejszego dla Mistral i salonu z balkonem, który łączył obydwie pokoje. W Paryżu Emilia poleciła swojemu adwokatowi, aby zamówił najlepszy apartament, jaki hotel miał do zaoferowania, nie podając nazwiska, tylko informując, że jego klient przybędzie do Monte Carlo 28 lutego. Mimo wszystko Emilia nie

spodziewała się takich luksusów w miejscu, które pamiętała jako zaniedbany, zdziczały gaj pomarańczowy.

Gdy przyjechały, był późny wieczór. Nie zważając na rozczarowanie na twarzy Mistral, Emilia nalegała, aby kolację zjadły na górze.

- Nie chcę, aby nas widziano, dopóki nie zostaną rozpakowane kufry - zdecydowała. - Kiedy się pojawimy, musimy być ubrane w najlepsze stroje, aby ludzie zauważyli nas.

- Ależ, ciociu Emilio, czy mi się wydawało, że powiedziałaś, iż chcesz zachować incognito? - spytała zaskoczona Mistral.

Emilia spojrzała na nią dziwnie i oznajmiła szorstko:

- Nie zadawaj tak wielu pytań, Mistral. Jestem zmęczona. Wszystko ci jutro wyjaśnię, przynajmniej to, o czym powinnaś wiedzieć, ale dziś wieczorem chcę wcześniej pójść spać. Chciałabym zostać sama.

- Tak, oczywiście, ciociu Emilio, rozumiem - powiedziała Mistral. - Musisz być ogromnie zmęczona po tak długiej podróży. Ja też jestem zmęczona, ale chyba bardziej emocjami niż czymkolwiek innym.

Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo pragnęłam zobaczyć Monte Carlo i Morze Śródziemne. Wolałabym, żeby nie było tak ciemno.

Wpatrzona w głęboki, fioletowy mrok, podeszła do otwartego, nie zasłoniętego okna. Emilia przywołała ją z powrotem, niemal zirytowana.

- Idź, dziecko, pomóż Jeanne przy rozpakowywaniu bagaży i nie pokazuj się w oknie.

- Dobrze, ciociu Emilio.

Gdy Emilia została sama w salonie, podeszła do okna i zrobiła dokładnie to samo, czego zabroniła Mistral. Wpatrywała się w ciemność. Usiłowała zobaczyć to, co ukryte

było w mroku. Ona także niecierpliwiła się czekając, aż minie noc, bo chciała zobaczyć coś więcej.

Po wieczornym posiłku Emilia udała się do swego pokoju. Jeanne też tam przyszła, aby pomóc jej zdjąć suknie, i zapytała troskliwie, czy nie chciałaby szklanki mleka lub gorącej cegły do ogrzania łóżka. Emilia odprawiła ją, mówiąc, że jedyne, czego pragnie, to zostać sama.

I gdy wreszcie życzenie to zostało spełnione, Emilia postawiła na krześle ciężką kasetę na dokumenty. Był to kuferek obity fioletową skórą, bez połączanego herbu, jaki zdobił jej pozostałe bagaże.

Niemniej jednak był to szacowny przedmiot i Emilia odruchowo pogłaskała skórę, zanim wyjęła z portmonetki klucz, by otworzyć kuferek. Nie był wypełniony dokumentami wagi państwowej, choć takie było jego przeznaczenie, ale - dość niezwykle - albumami do zbierania wycinków. Takie albumy, wykonane z brązowego papieru, kupują zwykle dzieci, aby przechowywać w nich różne obrazki; dziewczęta używają ich do przechowywania walentynek.

Powoli, ruchem, który wydawał się niemal pieszczotliwy, Emilia wyciągnęła albumy ze skózanego kuferka. Wybrała jeden i otworzyła go. Był wypełniony gazetowymi wycinkami. Razem było sześć ogromnych ksiąg, identycznie wypełnionych wycinkami z gazet, których daty sięgały osiemnastu lat wstecz. Wszystkie dotyczyły jednego miejsca i jednej osoby.

Władze Monte Carlo byłyby zainteresowane tym, co zawierały albumy Emilii, zawierały one bowiem jedyną w swoim rodzaju historię rozwoju miasta. Pierwsze wycinki zarejestrowały niewiele wydarzeń, oddzielonych od siebie przerwami trwającymi dwa lub trzy miesiące. Wszystkie zapiski dotyczyły tej samej osoby - Wielkiego Księcia Rosji, Iwana.

W miarę upływu lat wycinki stawały się coraz bardziej liczne.

Francois Blanc, geniusz z Homburgu, został zaproszony do Monako. Miał tu założyć kasyno. Szukano także nowej nazwy dla miejsca, w którym miało ono powstać. Miejscowi nazywali je Les Spelugues, ale ta nazwa nie była odpowiednia ze względu na jej znaczenie i ostatecznie zdecydowano, że kasyno i miasto, które dookoła niego powstaje, powinno nazywać się Monte Carlo.

Odtąd trudno było znaleźć taki dzień, w którym do albumu nie zostałby dodany nowy wycinek - czy to opis urody i znaczenia nowych budowli, czy to artykuł ekscytujący się rozrywkami, galami, fetami, koncertami albo grami: wistem, ecarte, pikietą, faraonem, bostonem, jak również ruletką i trente - et - quarante (trente - et - quarante - „30 i 40”, hazardowa gra w karty (przyp. red.)), które królowały w kasynie.

Były to kolumny druku, peany pochwalne rozentuzjzmowanych korespondentów - niemal każdy z nich wymieniał znaczniejszych gości, których można było spotkać w tym nowym, ekscytującym miejscu zabawy świata ludzi bogatych. Książęta - czarnogórcy, rosyjscy, serbscy, bułgarscy, radżowie i maharadżowie, wielcy książęta i arcyksiężęta, rój mniej znacznej arystokracji - wszyscy oni zasługiwali na wzmiankę, a istne fanfary egzaltacji wybuchły, gdy przed dwoma laty, w 1872 roku, księstwo odwiedzili Książę i Księżna Walii.

Choć w albumie Emilii znajdowała się cała lista tych nazwisk, ona szukała między nimi tylko jednego, a ilekroć zostało wymienione, podkreślała je niebieskim ołówkiem.

Dzięki wyraźnym niebieskim znakom ołówka łatwo było już na pierwszy rzut oka zobaczyć, jak często pojawia się to nazwisko pomiędzy biorącymi udział w polowaniu na gołębie.

Zawsze to samo nazwisko, zawsze podkreślone niebieskim kolorem: Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę Rosji, Iwan.

W późniejszych latach, szczególnie w ciągu dwóch czy trzech ostatnich, do pierwszego nazwiska niezmiennie dodawano drugie: Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę Rosji, Iwan i jego syn, Jaśnie Oświecony Książę Mikołaj.

Palce Emilii wolno odwracały karty albumu. Niektóre z nich, te starsze, były już bardzo zużyte i nieco postrzępione od wielokrotnego przewracania. Emilii, siedzącej samotnie w hotelowej sypialni, zdawało się, że czyta te wycinki po raz pierwszy. Przez osiemnaście lat czekała na tę chwilę.

Było już po północy, gdy podniosła głowę i odłożyła albumy do obitego skórą kuferka. Nie czuła się zmęczona jak to bywa u kobiet około sześćdziesiątki po tak długiej podróży. Przeciwnie, czuła w sobie niewyczerpaną siłę. Nikt i nic nie zdoła przeszkodzić jej teraz w wykonaniu tego, co sobie postanowiła.

Kiedy pomyślała o tym, co ją jeszcze czekało, jej oczy zwęziły się, a usta wykrzywił nieprzyjemny uśmiech. Przez chwilę wyglądała groźnie, ale gdy myślami zabłądziła znów w przeszłość, jej oczy złagodniały, jak zawsze, gdy wspominała Alicję, tę jedyną osobę, którą w życiu kochała. Jak bardzo różnić się będzie jej odpoczynek dzisiejszej nocy w ogromnym, wygodnym łóżku, od tamtego, gdy przybyła tu przed laty z Alicją! Dotarły wówczas potłuczone i zmaltretowane podróżą do Nicei, ale zostały przywitane serdecznymi okrzykami radości przez ciotkę i kuzynów, do których przyjechały. Emilia nigdy wcześniej nie знаła siostrzeńców i siostrzenic swojej matki, a więc własnych najbliższych kuzynów. Nie oczekiwała tak gorącego, szczerego przyjęcia, kiedy pytała w liście, czy ona i Alicja mogłyby pobyć u nich przez miesiąc lub trochę dłużej.

Spodziewała się nawet odmownej odpowiedzi na swój list, mimo że Maria zawsze mówiła o Luizie, jako o swojej najukochańszej siostrze.

I rzeczywiście. Ciocia Luiza przycisnęła ją do swoich obfitych piersi, a jej rodzina, złożona z sześciu chłopców i czterech dziewcząt, była równie hojna w' swoich staraniach o nie i gościnności. Emilia miała skłonności do wyniosłego i oschłego traktowania swych francuskich krewnych, ponieważ pamiętała, że jej ojciec był Anglikiem. Od wczesnej młodości, kiedy dowiedziała się o swoim nieprawym pochodzeniu, nabrała przekonania, że stanowi ono barierę pomiędzy nią a rodziną matki. Ale to, co spotkało ją tutaj, rozwiało jej obawy. Rodzina Riguad ze stoickim spokojem zaakceptowała owoc miłosnego związku Marii z młodym Anglikiem, tak jak zwykła przyjmować zły sezon na owoce czy też burzę niszczącą plony.

Szkoda, ale nic nie można było poradzić, stwierdzili wzruszając ramionami. O wiele bardziej onieśmielał ich ostry język Emilii i martwiło lekceważenie, jakie im okazywała z powodu swego angielskiego pochodzenia, niż to, że jest nieślubnym dzieckiem.

Jej dziadek, stary Louis Riguad, filozoficznie i bez wymówek przyjął niezgodną z obowiązującymi zasadami moralnymi miłość Marii i pojawienie się na farmie Emilii. Podobnie i reszta rodziny uznała to za jeden z niezbadanych wyroków opatrności.

Jeśli już - to byli nawet dumni ze związków Emilii ze znakomitą angielską rodziną, zwłaszcza po tym, jak John Wytham przywiózł Alicję do Bretanii. Alicja jest prawdziwą arystokratką, mówili między sobą członkowie rodziny. Wszyscy oni dowiedzieli się o jej przybyciu na farmę w ten nadzwyczajny sposób, w jaki wieści rozchodzą się po rodzinie

bez pomocy słowa pisanego. Wiedzieli również, że Alicja była owocem małżeństwa Johna Wythama z kobietą z jego sfery.

To, że dziecko z takiego związku zostało przywiezione do domu Marii Riguad na wychowanie, pochlebiało całej rodzinie Riguad. Jeżeli Emilia lękała się, że ona i Alicja mogłyby być niemile widziane w Monako, to jej obawy rozwiały się w kilka minut po przyjeździe.

Wykrzykując z podniecenia, gestykulując i starając się wskazać możliwie wszystkie obiekty godne zainteresowania, a równocześnie pytając o przebieg podróży, rodzina Riguad prowadziła Emilię i Alicję w dół wzgórza do swojego domu. Był to hałaśliwy i triumfalny pochód, a Alicja, z bladą twarzą i jasnymi włosami, idąca wśród ciemnowłosych i śniadych dzieci Luizy, wyglądała jak istota z innego świata.

Dom rodziny Riguad to była po prostu staroświecka chata, stojąca tuż nad samym brzegiem morza, ale ciotka i wuj byli szczęśliwi posiadając ją, choć dla chłopców oznaczało to dalekie, pieszne wędrówki do miejsc, gdzie wypasali kozy. Domy wieśniaków w Monako były w bardzo złym stanie i było ich niewiele. Czy mogło być jednak inaczej, jeżeli całe księstwo było zubożałe i wyglądało na to, że nie ma sposobu na polepszenie warunków życia jego mieszkańców?

Wprawdzie księżna Karolina, żona Florestana I, próbowała wprowadzić produkcję koronek i założyć na półwyspie fabrykę perfum, próbowano także hodowli kwiatów i destylacji alkoholu, ale żaden z tych pomysłów nie przynosił spodziewanych zysków.

Ponieważ kontakt ze światem zewnętrznym był tak trudny, większość ludzi wolała żyć biednie i głodno, ale szczęśliwie i leniwie w ciepłych promieniach słońca.

Tak, Emilia i Alicja były szczęśliwe w domku rodziny Riguad nad brzegiem morza. Kaszel Alicji, przyczyna, dla której przedsięwzięły całą wyprawę, stawał się tam mniej

dokuczliwy. Pojawiał się każdej zimy wraz z ostrymi wiatrami hulającymi nad polami Bretanii i wilgotnymi mgłami unoszącymi się tuż nad ziemią każdego ranka. Jej twarz straciła ten zabiedzony, blady wygląd, a jej śmiech rozlegał się teraz coraz częściej. W oczach Emilii, w każdym razie, Alicja tutaj zyskała na urodzie. Tak, były szczęśliwe tamtej wiosny przed dziewiętnastu laty, dopóki nie zdarzyło się coś, o czym wspomina zaciskając pięści i czując narastający powoli, tępy, bolesny i pełen złości gniew. Wszystko, co zdarzyło się wtedy, stało jej przed oczami.

Niebieskooka Alicja w błękitnej sukience, w której było jej tak do twarzy, poszła na spacer w stronę skały, skąd widać pałac, zabrawszy ze sobą najmłodsze dziecko rodziny Riguad, dwuletnie maleństwo. Niewiele wiedziała na temat książąt i królów, ponieważ w Bretanii, gdzie przebywała osiem lat, ludzie rzadko wspominali o tak ważnych osobistościach. Teraz fascynował ją pałac i okalający go mur. Tę trasę spaceru lubiła najbardziej. Znad brzegu morza wspinała się na szczyt skały, siadała tam, aby popatrzeć na pałac, obserwować przechadzających się w obie strony żołnierzy. Czasem udawało się jej zobaczyć księcia Florestana, przejeżdżającego nie opodal w powozie ciągniętym przez parę wspaniałych, białych koni.

Spoglądała także w kierunku innego wspaniałego budynku. Nazywano go Chateau, ale Alicji on również wydawał się pałacem. Zadziwiająco przypominał dom jej dziadka w Anglii. Był zbudowany z kamienia, w części centralnej wznosiła się jedyna, wielka wieża, a droga do niego prowadziła przez bramę kutą z żelaza, zwieńczoną koronami. Ogród, pełen kwiatów i fontann, był równie wspaniały i miał w sobie jakąś magię, która tak przyciągała Alicję.

To właśnie tam, mówiono jej, mieszka Wielki Książę Rosji, Iwan. Był przyjacielem panującego księcia, swoje

Chateau wybudował przed sześcioma laty. Chciał, aby służyło mu jako rezydencja wtedy, gdy odwiedzał swego przyjaciela, księcia Monako. Gdy budowa została ukończona, stwierdził, że i klimat, i dom bardzo mu odpowiadają. Przebywał tam niemal bez przerwy. Wracał do Rosji bardzo nieregularnie i każdego roku powiększał rozmiary Chateau, tak że w końcu wyglądało bardziej imponująco niż sam pałac.

- Jaki on jest, ten Wielki Książę? - spytała Alicja.

- To wysoki i niezwykle przystojny mężczyzna - odpowiedział ktoś. - Jest teraz przygnębiony, bo jego żona, piękna rosyjska dama, zmarła niedawno. Zimno w Rosji okazało się dla niej zbyt ostre. Wrócili tam, gdyż car życzył sobie, aby byli obecni na dworskim balu.

Było zimno i Wielka Księżna przeziębila się. Czuła się coraz gorzej i gorzej. Rosyjscy lekarze nie zdołali jej uratować.

- Och, biedactwo! - wykrzyknęła Alicja - A więc teraz Wielki Książę został sam?

- Niezupełnie - powiedziano jej. - Wielka Księżna zostawiła dziecko, maleńkiego księcia Mikołajka. Ma dwa lata. Ten uroczy chłopczyk mieszka tu przez cały czas, bo Wielki Książę obawia się, że jeśli pojedzie do Rosji, chłód zabije także i to biedne, osierocone maleństwo.

Emilia przypomniała sobie, jak Alicja przejęła się losem owdowiałego księcia i jego synka. Nabrała zwyczaju codziennego wspinania się na szczyt skały. Stamtąd obserwowała Chateau d' Horizon, gdzie mieszkał książę. I wtedy się to stało.

Powóz księcia Iwana pojawił się niespodziewanie na piaszczystej drodze, która służyła na półwyspie za główny dukt. Jechał bardzo szybko i o mało co byłby przejechał małą córeczkę Luizy, Teresę. W ostatniej chwili Alicji udało się wyciągnąć dziecko niemal spod końskich kopyt.

Stała pobladła i roztrzęsiona, trzymając w ramionach płaczące z przerażenia dziecko. Powóz zatrzymał się i sam Wielki Książę raczył wysiąść, aby pomówić z Alicją i uspokoić maleństwo.

Nikogo przy tym nie było i nikt dokładnie nie wie, co mówił on ani co odrzekła Alicja. Widocznie mu powiedziała o swym zainteresowaniu jego domem, a może i o tym, że przypomina on rezydencję jej dziadka w Anglii, gdyż następnego dnia pod dom rodziny Riguad zajechał książęcy powóz, aby zawieźć Alicję do Chateau. Dopiero gdy przybył powóz, Alicja zrelacjonowała wydarzenia poprzedniego dnia i zanim oniemiała i zaskoczona Emilia zdążyła zaprotestować, Alicja odjechała.

Jeżeli w tym momencie Emilia straciła mowę, to z pewnością odzyskała ją po powrocie siostry. Zabrała ją z domu na brzeg morza, ponieważ w gospodarstwie Riguad niewiele było miejsca na poufne rozmowy, i wyciągnęła z niej całą historię spotkania z Wielkim Księciem. Słowo po słowie dowiadywała się o wszystkim, co zaszło tego popołudnia w Chateau.

- On jest bardzo miły - twierdziła Alicja - a jego malutki synek jest taki słodki.

- To nie o to chodzi - upierała się Emilia. - Po co on cię zaprosił? - Chciał mi pokazać Chateau.

- Ale dlaczego on chciał tobie pokazać swój dom? Ma przecież przyjaciół z własnej sfery. Alicja spuściła wzrok.

- Myślę, że ja też mogę zaliczyć się do jego przyjaciół - powiedziała cicho.

To właśnie wtedy Emilia uniosła się gniewem, mówiąc do niej tak brutalnie, jak nigdy przedtem, przez całe osiem lat, gdy mieszkały razem. Powiedziała Alicji, o czym ona i tak już wiedziała, że jej ojciec nigdy nie poślubił Marii Riguad. Opowiedziała też o tym, jak przyjechał na farmę jej dziadek i

zabrał swego syna z powrotem do Anglii, przyrzekając, że przyśle pewną sumę pieniędzy dla nie narodzonego dziecka, którego oczekiwała Maria. Nie przysłał jednak nic, zapominając o obietnicy celowo czy z niedbalstwa.

- To miał być mój posag - powiedziała Emilia - ale czy sądzisz, że stanowiłby on jakąś pomoc dla mnie, zawieszanej pomiędzy dwoma światami, z urodzenia w połowie szlachcianki, w połowie wieśniaczki? Mężczyźni, którzy mnie chcieli, byli dla mnie niczym, a ci, których ja mogłabym poślubić, uważali, że jestem zbyt niskiego stanu.

- Biedna Emilia - szepnęła Alicja, ale Emilia wiedziała, że ona nic nie rozumiała.

Poczuła jakiś potworny lęk i dodała:

- To samo przytrafi się i tobie, i dziecku, które możesz mieć, jeżeli będziesz się upierała przy zawieraniu przyjaźni z mężczyznami takimi jak Wielki Książę. On nie jest i nigdy nie będzie dla ciebie. Wie, gdzie się zatrzymałaś, i wie też, że my, rodzina Rigwad, jesteśmy twoimi krewnymi. Czy myślisz, że ktoś taki poprosi o twoją rękę? Nie, on interesuje się tobą, bo jesteś ładna, bo jesteś taka młodziutka. Mnóstwo kobiet z jego sfery chciałoby go poślubić, one tylko czekają na jego skinienie. Taki człowiek nie zawraca sobie głowy małżeństwem. Nie wolno ci widywać się z nim więcej, słyszysz?

Emilia mówiła to pełna gniewu. Brak odpowiedzi ze strony Alicji wywołał w niej straszliwe przerażenie. Tymczasem Alicja siedziała, wpatrując się w morze, a oczy miała błękitne jak woda, na której spoczął jej wzrok.

- Czy ty mnie słyszysz? - ponownie zapytała Emilia. Wtedy Alicja odwróciła ku niej twarz.

- Tak, słyszę.

- Obiecay mi posłuszeństwo - nalegała Emilia - To oczywiste, Alicjo, że już więcej nie możesz się z nim

widywać, nie przyjmiesz już żadnego zaproszenia do Chateau d' Horizon.

Ale Alicja wciąż milczała. Mimo wszystko Emilia sądziła, że dziewczyna nie będzie krnąbrna. Nigdy nie miała żadnych problemów z Alicją, która zawsze była bardzo posłuszna.

Wtedy wtrąciło się fatum, tak przynajmniej wydawało się później Emilii. Zaraz następnego dnia nadszedł list z farmy. Maria Rigvad zachorowała. Upadła i złamała sobie nogę. Emilia musiała natychmiast wracać. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabrać ze sobą Alicji, ale pomyślała, że taka ostrożność byłaby śmieszna. Dopiero przyjechały, a zmiana klimatu i ciepła, słoneczna pogoda już zdążyły zbawiennie wpłynąć na Alicję. Byłoby okrucieństwem zabierać ją stąd, zawozić na północ, do Bretanii, narażać na ostre marcowe wiatry i burze, które niezmiennie czyniły ją słabą i apatyczną.

Emilia postanowiła pojechać sama. Przed wyjazdem raz jeszcze rozmawiała z Alicją na temat Wielkiego Księcia.

- On bez wątpienia zapomniał już o tobie - powiedziała - ale gdyby przypadkowo nadeszło jakieś zaproszenie, masz odmówić. Rozumiesz? Nie pokazuj się również w okolicach jego domu, zostań tu, na wybrzeżu. Jak tylko matce się polepszy, wrócę po ciebie.

Emilia wyjechała. Odjeżdżała wyboistą drogą, wychyliła się przez okno i machała ręką, machała, aż Alicja zniknęła jej z oczu. Był to ostatni obraz, jaki nawiedził Emilię teraz, pierwszej nocy w Hotel de Paris. Alicja, cała w słońcu, z odrzuconą do tyłu głową, jasne włosy lśnią niczym aureola wokół jej głowy, a koła powozu toczą się i oddalają Emilię coraz bardziej i bardziej.

Leżąc w dużym pokoju na ciepłym, wygodnym materacu, musiała także śnić o Alicji, zbudził ją bowiem jej własny szept: „Alicjo, Alicjo”. Zatem dzień rozpoczął się źle. Przy śniadaniu Mistral zauważyła, że ciotka jest nie w humorze.

- Och, ciociu Emilio! - wykrzyknęła. - To najcudowniejsze miejsce na całym świecie. Nie miałam pojęcia, że morze ma tak błękitny kolor.

- Przyjdź tu i zjedz śniadanie, Mistral - ostro odezwała się Emilia - i przestań biegać w kółko na balkon i z powrotem. Mówiłam ci już coś na ten temat wczoraj wieczorem.

- Ale dzisiaj na pewno nie masz nic przeciwko temu, ciociu Emilio? Przecież wychodzimy dziś, prawda?

Emilia odrzekła zdecydowanie:

- Nie, Mistral, nie wychodzimy. Zostaniesz tutaj, w tych pokojach, aż do obiadu, wtedy pokażesz się po raz pierwszy.

- Ależ, ciociu Emilio...

W młodym głosie słyhać było nawet nie wymówkę, ale czyste zdziwienie.

- Nie dyskutuj ze mną, Mistral. Powiedziałam ci już, że musisz mnie słuchać. Mam swoje powody, jeśli podejmuję taką decyzję.

- Ale żeby nie wychodzić naszego pierwszego dnia w Monte Carlo! Emilia zacisnęła usta.

- Zostaniemy tu przez jakiś czas. Jutro obejrzymy sobie to miejsce, choć nie sądzę, żeby było wiele do oglądania. A dziś nie będziemy się pokazywać aż do pory obiadu.

Mistral wiedziała, co oznacza ten ton nieugiętej determinacji w głosie Emilii. Westchnęła. Żadne prośby o zmianę decyzji nie miały sensu.

- Ciociu Emilio - odezwała się po dłuższej przerwie - jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

- Co takiego?

- Dlaczego nadano mi imię Mistral? Często zastanawiałam się nad tym i dawno już chciałam cię o to zapytać.

- Twoja matka wybrała to imię. Wybrała je, bo nienawidziła wiatru, który wieje wzdłuż wybrzeża.

- Nienawidziła go? - powtórzyła Mistral. - Więc moja matka była tutaj? Znała Monte Carlo?

- Tak, twoja matka tu przebywała - rzekła sucho Emilia - lecz Monte Carlo zostało zbudowane później, przed dziewiętnastu laty leszcze go nie było.

- Dziewiętnaście lat temu - podchwyciła Mistral. - A więc była tutaj tuż przed moim urodzeniem. Och, jakie to ciekawe, ciociu Emilio! Czy kochała to miejsce? Może dlatego wydaje mi się ono tak cudowne i piękne, że podobało się mojej matce.

- Nie mówiłam, że podobało się ono twojej matce - odparła Emilia. - Kiedy się zastanawiała, jakie ci nadać imię, powiedziała do mnie: „To będzie dziewczynka. Chcę, żeby miała na imię Mistral. Ten straszliwy wiatr, ciągle go słyszę. Tak, nazwij ją Mistral”.

- Dlaczego tak powiedziała? - zapytała Mistral. - I jeżeli powiedziała to, zanim się urodziłam, skąd miała pewność, że będę dziewczynką? Mógł urodzić się chłopiec.

- Była przekonana o tym, że będzie dziewczynka - odpowiedziała krótko Emilia.

Mówiąc to, cały czas widziała przed sobą uduchowione oczy Alicji. Miały ten sam wyraz wtedy, gdy wybierała imię dla Mistral i wtedy, gdy powiedziała do Emilii: „Nie wolno ci jemu nic mówić! Przysięgnij na Biblię, nigdy mu nie powiesz, że spodziewam się dziecka”.

Słyszała głos Alicji, niemal histeryczny z przestachu. Widziała jej twarz, białą i uduchowioną i przyrzekła, ponieważ w tamtej chwili to jedno tylko mogła zrobić, aby oddalić jej niepokój. Później, nie raz, lecz wiele razy gorzko żałowała tego, że przysięga została złożona na Biblię.

Nawet tuż przed śmiercią, gdy jej życie gasło, a lekarz bezradnie rozkładał ręce, bo nie mógł już pomóc, Alicja wyszeptała: „Obiecujesz mi, że nic nie powiesz o Mistral?”

Emilia klęczała, szlochając u boku łóżka. Obiecała, choć potem, gdy Alicja odeszła i gdy niesiono jej wiotkie, umęczone ciało na cmentarz, Emilia oddałaby wszystko, aby móc cofnąć swoje słowo.

Pragnęła natychmiast jechać do Monako, by uprzytomnić księciu jego zbrodnię, by nazwać go mordercą i pokazać osieroconą przez matkę Mistral. Dla własnej satysfakcji chciała zdemaskować go jako uwodziciela i zdrajcę. Jednak dotrzymywała obietnicy, częściowo ze względu na swoją religijność, częściowo dlatego, że od dziecka była przesadna. Emilia wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie złamać przyrzeczenia danego po trzykroć w różnych okolicznościach, ale ślubowała zemstę, ślubowała na wszystko, co budziło w niej lęk, ślubowała przez samą pamięć o Alicji. Któregoś dnia w jakiś sposób spowoduje, żeby Wielki Książę też cierpiał, tak jak cierpiała z jego powodu Alicja, a pośrednio i sama Emilia.

Podczas długich nocy, kiedy walczyła o życie Mistral, gdy spacerowała po kuchni, kołysząc w ramionach krzyczące dziecko, niemal od zmierzchu po świt, Emilia miała czas na myślenie. Stopniowo uformował się w jej głowie plan. Realizacja tego planu pochłoneła długie lata i wymagała nie kończących się intryg i knowań. Ale tak samo jak rosła nienawiść i żądza zemsty, rozwijał się i ulepszał plan - dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku - aż jego macki tak wrosły w jej wnętrze, że nie mogła od nich uciec, nie mogła bez nich żyć. Była pewna, że przyjdzie taki dzień, kiedy urzeczywistnią się jej marzenia i dopełni się jej zemsta.

I teraz, w końcu, po osiemnastu latach, kurtyna poszła w górę, rozpoczynając pierwszy akt; prolog, w trakcie którego Mistral wyrosła na kobietę, był zakończony. Patrząc na nią, Emilia czuła się usatysfakcjonowana. Mistral była śliczna - dość śliczna na rolę, jaką miała odegrać w tej sztuce.

W tym momencie oczy dziewczyny były wzniesione i wpatrzone w twarz Emilii. Przez chwilę miały taki sam wyraz jak oczy Alicji. Emilia poczuła, jak ściska ją coś w sercu. To przecież była Alicja - ta dziewczyna patrząca na nią, zasmucona Alicja, której usta drżały lekko.

- Proszę, ciociu Emilio, proszę, proszę wytłumacz mi to choć trochę. Ta tajemniczość, to wszystko jest dla mnie raczej przerażające.

Jednak nawet błagając, Mistral wyczuwała, że czyni to na próżno. Oczy ciotki zdawały się łagodnieć, ale odwróciła głowę i przeszła przez pokój w stronę kominka.

Mistral nie miała pojęcia, że to jej prostota zwycięża ciotkę. Emilia wiedziała, że nie potrafi przekazać słowami tego, co sobie zamierzyła.

- Musisz mi ufać - mówiła Emilia, a jej głos był twardy. - Poza tym nie ma tu nic do tłumaczenia. Dziś jemy obiad na dole. Włóżysz szary szyfon z plisowanymi falbankami. Dowiedziałam się od zarządzającego, że dziś zapowiada się uroczysty obiad. Całe Monte Carlo pojawi się tutaj. Zobaczysz znakomite osobistości, a potem pójdziemy do sali koncertowej w kasynie.

Mistral klasnęła w dłoń.

- Czy zobaczymy grających ludzi, ciociu?

- Będziemy obserwować stoły - powiedziała Emilia. - To interesujący widok, choćby tylko dla satysfakcji oglądania tego, jak inni ludzie robią z siebie głupców.

- Czy hazard jest grzechem? - spytała Mistral.

- Grzechem? - W głosie Emilii brzmiał ton wahania, gdy usłyszała to słowo. - Nie widzę nic złego w robieniu czegoś, co człowieka interesuje lub bawi. Ci, którzy mówią, że hazard jest grzechem, zazwyczaj nie mają mocnego charakteru, są tak słabi, że nie potrafią się powstrzymać od wyrzucania

pieniędzy na stół, choć ich na to nie stać. A dlaczego myślisz, że to grzech?

- Ja się tylko zastanawiałam - odrzekła Mistral. - Siostra w klasztorze mówiła, że chociaż hazard przyniósł Monako wielkie korzyści i biedne przedtem księstwo czerpie z niego zyski, ona czuje, że jest to grzech, ponieważ wzbudza namiętność do pieniędzy.

- Ciasne credo ograniczonej kobiety zamurowanej w odosobnieniu - z szyderstwem rzuciła Emilia. - Bądź mądra i nie czynź z systemu wartości zakonnice swojego własnego.

- Aż do teraz nie miałam sposobności, by robić cokolwiek innego - cicho odpowiedziała Mistral.

Jej odpowiedź nie była impertynencka, była po prostu zgodnym z prawdą stwierdzeniem, ale przez chwilę Emilia wyglądała na zaskoczoną.

- Masz rację - przyznała. - Zapomniałam, jak długo tam byłaś. To prawda, że nic nie wiesz o świecie, nie powinnam o tym zapominać.

- Dlaczego nie pozwoliłaś mi nigdy wrócić na farmę? - zapytała Mistral.

- Dlatego, że ja sama ją opuściłam - odparła Emilia. - Chciałam, żebyś została wychowana na damę, tak jak twoja matka. Farma była zapuszczona. Gdy zmarł mój dziadek, nie starczało pieniędzy na jej utrzymanie, chyba żebym pracowała jak niewolnica dzień w dzień, rok w rok, aż by mnie to zabiło. Chciałam opłacić twoją edukację, Mistral. Chciałam odpowiedniego życia dla siebie samej. Tak więc, gdy ty pojechałaś do klasztoru, ja udałam się do Paryża.

- Do Paryża! - wykrzyknęła Mistral. - Byłaś tam szczęśliwa, ciociu Emilio?

- Pracowałam ciężko, Mistral, i mogę powiedzieć, że na swój sposób byłam zadowolona. Miałam w perspektywie pewien cel i w końcu coraz bardziej się do niego zbliżam.

Mistral wstała od stołu i powoli podeszła do ciotki. Emilia była od niej wyższa. Podniosła swoją śliczną, owalną buzię ku twarzy starszej kobiety i zapytała zduszonym głosem:

- Ciociu Emilio, cieszysz się, że jestem tu z tobą, prawda? Brzmiało to jak prośba dziecka domagającego się pocieszenia. Tak

wyraża swą tęsknotę do miłości ktoś, kto nigdy miłości nie zaznał, ale Emilia, która pojęłaby to samo wołanie Alicji przed osiemnastu laty, teraz była głucha na prośbę Mistral.

- Naturalnie, Mistral - rzekła lodowato. - Bardzo jestem zadowolona, że tu jesteś, i przypuszczam, że razem miło spędzimy czas. A teraz zawołaj Jeanne, bo mam dla niej kilka poleceń.

Nie zauważyła rozczarowania na twarzy dziewczyny, nie spostrzegła nagłego bólu w ciemnych, fiołkowych oczach ani wyrazu smutku w jej uśmiechu. Mistral wyszła posłusznie z pokoju, aby przywołać Jeanne.

Rozdział 4

Myślę, że jest tu dziś całe Monte Carlo - stwierdziła lady Violet Featherstone, rozglądając się po olbrzymiej sali restauracyjnej Hotel de Paris, która wypełniała się tak szybko, że każde pojawienie się w drzwiach nowych gości stawało się pewnym dylematem dla szefa sali.

- Alfons mówił mi, że jak dotąd jest to najlepszy sezon, jaki kiedykolwiek mieli - zauważył lord Drayton, siedzący po przeciwnej stronie stołu. - Całkowity zysk z ostatniego roku wyniósł sześć milionów franków, to nie facon de parler. Powinniśmy kupić jakieś udziały pięć czy sześć lat temu.

Sir Robert uśmiechnął się.

- Teraz już za późno!

- Dla ciebie, Robercie, to żadna tragedia - zauważył lord Drayton. - Co ty byś zrobił z jeszcze większą ilością pieniędzy?

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - wtrąciła się lady Violet. - Oczywiście wydałby je na mnie.

- Czyż może być lepsze usprawiedliwienie dla rozrzutności? - odparł lord Drayton z nieco namiętną galanterią.

Sir Robert wziął jadłospis od ugrzecznionego kelnera.

- No, co będziemy jedli, Violet, wolisz zacząć od kawioru czy od ostryg?

- Ty zamów obiad, Robercie - odpowiedziała. - Chcę popatrzeć na ludzi, to mnie zawsze bawi.

Nie było w tym nic dziwnego. Lady Violet, przyzwyczajona do świetnego towarzystwa przebywającego w Monte Carlo, którego była ozdobą, zastanawiała się, co zobaczy wokół siebie tego wieczora.

Uroczysty obiad w Hotel de Paris wydany został na cześć włoskiej śpiewaczki operowej, która miała wystąpić po raz pierwszy w Sali koncertowej kasyna. Każdy pretekst był

przecież dobry dla zorganizowania wieczornej gali. Ponieważ był to rzeczywiście najwspanialszy, najbardziej udany sezon, jaki dotąd przeżyło księstwo, wydawało się, że na tych kilku akrach ziemi spotkało się całe bogactwo, piękno, cała arystokracja Europy. Przebywali tu niemieccy baronowie z żonami, o rodowodach sięgających starożytności. Mieli kieszenie wypchane złotem i usilnie starali się zapomnieć o ostatniej wojnie ich kraju z Francją. Byli wielcy książęta Rosji, przystojni, o arystokratycznych manierach, nieprawdopodobnie bogaci. Wydawało się, że samym swoim wyglądem przydają elegancji kawiarniom i salonom gier.

Byli tu także goście z Anglii, mężczyźni i kobiety, noszący stare, szacowne nazwiska. Ze zdziwieniem spoglądali na kosmopolityczny tłum, który kłębił się wokół nich - im udawało się w jakiś subtelny sobie właściwy sposób pozostać z rezerwą i na uboczu bez względu na to, jak wesoła i rodzinna byłaby atmosfera.

Przybyli także radzowie z Indii, tureccy sułtani, hiszpańscy szlachcice, bejowie z Algierii, najbardziej eleganccy i dystyngowani przedstawiciele francuskiego beau monde oraz całe mnóstwo Amerykanów, potężnych, źle ubranych mężczyzn ze swoimi przesadnie wystrojonymi żonami. Amerykanie wydawali się nieco skrepowani, choć dysponowali bajecznymi fortunami.

Oprócz nich byli tu artyści, zawodowi hazardziści, oszuści, pieczeniarze i pochlebcy, którzy pojawiali się wszędzie tam, gdzie światem rządził przypadek, gdzie mogli pasożytować na cudzych pieniądzach. I w końcu, choć nie najmniej ważne - kobiety, kobiety wszystkich narodowości, wyznań, klas społecznych i typów urody; każda z nich nieprzeciętna, każda z nich warta nie tylko drugiego, ale i trzeciego i czwartego spojrzenia, każda przez samą swoją obecność przydawała piękna i radości temu miejscu.

Lady Violet, rozglądając się po sali restauracyjnej, pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała wspanialszej kolekcji biżuterii. Były tu brylantowe diademy, które lśniły, mieniły się niby królewskie korony, były naszyjniki ze szmaragdów, z rubinów i szafirów, były sznury pereł, wisiory z akwamaryną i ametystami, bransolety z turkusów i opali, brosze, kolczyki, medaliony, diademy. Wszystkie razem świeciły oślepiającym blaskiem drogocennych klejnotów, każdy z osobna milcząco świadczył o urodzie swej właścicielki. Lady Violet westchnęła lekko.

- Aż do tej chwili sądziłam, że moje szmaragdy są odpowiednią ozdobą na dzisiejszy wieczór.

Lord Drayton spojrzął na naszyjnik wokół jej szyi i długie szmaragdowe kolczyki zwisające z małych uszu. - Twoje klejnoty są bardzo piękne - powiedział.

- Ale trudne do zauważenia przy tych, które ma na sobie księżna.

Spojrzął w głąb sali. Polska księżna wprost błyszczała od szmaragdów, koronowały jej głowę, lśniły na przegubach i palcach rąk i niemal pokrywały gors głęboko wyciętej sukni.

- Bez wątpienia trudno jest konkurować z kolekcją Ossinpofów - rzekł sir Robert - ale śmiem twierdzić, że Jej wysokość oddałaby ci je wszystkie, gdybyś w zamian za to zamieniła się z nią wiekiem.

Była to oczywista prawda. Księżna była już po pięćdziesiątce, a starała się ze wszystkich sił sprawiać wrażenie, że ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. Miała uróżowane policzki, farbowane włosy, a gorset ścisnął ją tak, że ledwo oddychała. Szmaragdy stanowiły niewielką pociechę w obliczu umykającej jej, rok po roku, młodości.

Lady Violet przeciwnie, w wieku lat trzydziestu sześciu była w pełnym rozkwicie urody. Nigdy nie odznaczała się klasyczną pięknnością, ale posiadała coś, cenniejszego - czar,

magiczny wdzięk, który przykuwał uwagę mężczyzn i powodował, że tracili dla niej i głowy, i serca, jeżeli tylko raczyła się do nich uśmiechnąć. Od pierwszej chwili, gdy znalazła się w towarzystwie, skupiała na sobie uwagę i nieustannie otaczał ją krąg adoratorów. Z pewnością była to wina egocentryzmu i braku zainteresowania ze strony matki, że pozwolono jej zaślubić jednego z pierwszych, który się oświadczył. Violet wyszła za mąż, ponieważ pragnęła uciec od ciasnoty i nudy życia w swoim rodzinnym domu.

Już jako dziecko Violet marzyła o ciekawym życiu. W późniejszych latach oznaczało ono dla niej nieustanny wir wrażeń, wzruszeń i sensacji. Wychowana w dzikich lasach Lincolnshire - gdyż książe i księżna uważali za stosowne trzymać rodzinę na wsi, podczas gdy oni bawili się w Londynie - Violet buntowała się przeciw nudnemu towarzystwu tepej guwernantki i monotonii jeszcze nudniejszych lekcji, buntowała się przeciw egoizmowi swoich rodziców. Według nich dzieci powinny zadowolić się tym, że jedzą trzy porządne posiłki dziennie i śpią w wygodnych łóżkach, nie mają prawa żądać niczego więcej.

Jej bunt nie wywarł żadnego skutku, aż do czasu, gdy skończyła osiemnaście lat. Została wówczas zawieziona do Londynu, na pierwszy w jej życiu sezon towarzyski, i przedstawiona na dworze. Aż do tamtej, chwili znała zaledwie kilku mężczyzn, więc prawem kontrastu - gdy porównała go do miejscowego pastora, który dobiegał osiemdziesiątki, i do lokalnego łowczego, żonatego i obciążonego szóstką dzieci - Eryk Featherstone wydawał jej się prawdziwym Don Juanem. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, że jej krótki sezon w Londynie dobiega końca, że zostanie odesłana z powrotem do Lincolnshire i zapomniana aż do przyszłego roku, Violet przyjęła oświadczenia Eryka, wierząc zupełnie szczerze, że jest w nim zakochana.

Krótko po ślubie przekonała się wprawdzie, że się myliła, ale za to - jako młoda mężatka z całkiem znaczną fortuną do własnej dyspozycji - szturmem podbiła towarzyski świat, Była tak wesoła i zajmująca, że udało się jej zyskać sympatię i aprobatę kobiet. Podobnie i mężczyzn zniewoliła swoim czarem. Po kilku latach towarzyskich triumfów Violet zaczęła jednak tęsknić do czegoś innego, zapragnęła nowych rozrywek i nowych zdobyczy.

Nie miała, niestety, dzieci, które umocniłyby więzi między nią a mężem, i szybko doszła do wniosku, że wprawdzie jest on bardzo miły i ma dobry charakter, ale jest nudny. Nie interesowało go niemal nic oprócz łowienia ryb, strzelania i polowania. Zajmował się tym rok w rok, zawsze z tymi samymi przyjaciółmi i zawsze w tych samych miejscach.

Eryk Featherstone nie znosił żadnych zmian, dla Violet były one życiodajnym oddechem. Ciągle chciała czegoś nowego, co dodawałoby jej sił i chęci, czegoś świeżego, czym mogłaby się podniecić, czego mogłaby gorąco pragnąć, o co warto byłoby się spierać i walczyć. Wszystko, co powszednie i przeciętne, szybko ją nudziło. Z czasem ta niechęć do tego, co zwyczajne, objęła i ludzi. Nie rozumiała, że jej niepokój jest częściowo spowodowany tym, że posiada żywy i pojętny umysł, który rzadko musi się wysilać wśród przyjaciół i znajomych należących do jej świata.

Od damy z towarzystwa nie wymagano lotności umysłu. Mądrość kobiet budziła nawet pewną podejrzliwość. Wprawdzie Violet udało się dzięki niezwykłej osobowości przekroczyć to prawo, nie znajdowała jednak odpowiednich dla siebie partnerek, aby rozwijać swą inteligencję. Zaczęła więc stopniowo, coraz chętniej przebywać w otoczeniu mężczyzn. W romansach odnalazła ten dreszcz, którego potrzebowała, emocję, do której tęskniła. Świadomość, że mężczyźni są oddanymi jej niewolnikami, że pójdą za nią

wszędzie tam, gdzie ich poprowadzi dawała jej poczucie siły. Bystrzy i inteligentni we wszystkich innych dziedzinach życia, przy niej czuli się skrepowani i nieśmiali niby uczniacy.

Ona stawiała się coraz bardziej perfekcyjna, coraz bardziej autokratyczna. Tym, którzy ją kochali, stawiała wymagania niemal nie do spełnienia, prawie nie raczyła spojrzeć, jeżeli nie stało się zadość jej życzeniom. Odkryła jednak, że nawet miłość może być nużąca, że nawet kochankowie mogą stać się nudni jak zwykli mężczyźni, i dlatego ciągle żadna była nowych, nie znanych ludzi, nowych, nie znanych sensacji.

Setki razy sądziła, że jest zakochana, setki razy odkrywała, że się pomyliła. Dopóki nie spotkała Roberta Stanforda. Przyciągała ich do siebie jakaś magnetyczna siła i Violet natychmiast się zorientowała, że ten wysoki, barczysty mężczyzna będzie wiele znaczył w jej życiu, a zdając sobie z tego sprawę, wiedziała też, że spotkała mistrza. To był mężczyzna, który nie zamierzał jej ulegać, nie pójdzie, gdzie ona go poprowadzi, to był mężczyzna, którego nie będzie mogła zdobyć, on sam był zdobywcą.

Po raz pierwszy Violet spotkała kogoś, kogo mogła podziwiać i szanować, i dlatego zakochała się całkowicie i bez opamiętania. Była jednak sprytna i nie pozwoliła, żeby sir Robert dowiedział się o tym. Spostrzegła, że różni się od niej pod wieloma względami. Zawsze posiadał o wiele za dużo, wszystko przychodziło mu łatwo. Jeżeli czegoś pragnął, wystarczyło, żeby wyciągnął rękę i wziął to. Postanowiła więc być nieuchwytna. Tylko ona wiedziała, jakie to trudne wtedy, gdy w grę wchodzi Robert.

On jest aż absurdalnie przystojny, pomyślała, spoglądając na niego spod rzęs. Po zamówieniu obiadu przewracał strony długiego jadłospisu, uważnie dobierając trunki. Do zupy będą pili specjalne hiszpańskie sherry, lekkie niemieckie wino do

ryby, oryginalne francuskie bordo do dziczyzny, a na zakończenie - szampana.

Piwnice Hotel de Paris były tak słynne, jak jego kuchnia. Francois Blanc nie zapomniał, że człowiek, który lubi dobrze zjeść i wypić doskonałe wino, jest lepszym graczem niż ten, kto oszczędza i w związku z tym skłonny jest do ostrożności.

- A teraz - sir Robert zwrócił się do swoich gości - przekażcie mi wszystkie lokalne plotki. Byłem dziś w Nicei i nie znam najnowszych sensacji.

- Myślę, że nic szczególnego się nie zdarzyło - odparła lady Violet. - Słyszałeś o czymś, Arturze?

Lord Drayton pokręcił głową.

- Będę jutro po południu startował w zawodach w strzelaniu do gołębi. Dziś stwierdziłem ze smutkiem, że dają 10:1 przeciwko moim szansom. To bardzo przygnębiające dla człowieka, który wierzy, że jest dobrym strzelcem. Lady Violet zaśmiała się.

- Och, biedny Artur! Ja bym raczej była wściekła, nie przygnębiona, i postanowiłabym wygrać właśnie na złość wszystkim faworytom.

- To ci austriaccy sportowcy... - mruknął lord Drayton. - Są za dobrzy dla większości z nas.

- Mam rozumieć, że nic się nie wydarzyło, kiedy mnie nie było? - dopytywał się sir Robert. - Żadnego nowego przyjazdu, który wywołałby sensację, żadnych...?

Urwał w połowie zdania. Jego oczy były zwrócone w najdalszy kąt sali. Wyraz jego twarzy sprawił, że oboje, lady Violet i lord Drayton, spojrzeli w tym samym kierunku. Inni ludzie zrobili to samo. Do sali weszły dwie kobiety. Właśnie w tej chwili Alfons prowadził je przez całą salę do oddalonego stołu w samym rogu. Sir Robert spostrzegł, że był to chyba jedyny wolny stolik w całej sali restauracyjnej. Stał przy samym oknie, nakryty na dwie osoby, skromne białe kwiaty

stanowiły całą jego dekorację, odbijały się na tle ciężkich, atlasowych zasłon. Był to stół najbardziej odległy od drzwi i aby do niego dotrzeć, kobiety musiały przemierzyć całą długość sali, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

A niemożliwe było, żeby ktoś, nawet najlepiej wychowany i najmniej zainteresowany cudzymi sprawami, nie spojrział na te kobiety. Przyciągały uwagę wszystkich. Starsza, z pewnością opiekunka tej, która szła za nią, była wysoka, o dostojnej aparycji, znakomicie ubrana. Poruszała się tak jak w swoim własnym salonie, gdzie poza nią nie było nikogo. W sukni z ciemnego, fioletowego aksamitu, z niemal królewską manierą nosiła na siwych włosach czepek z aksamitnych wstążek i prawdziwej koronki.

Nikt jednak nie tracił czasu na obserwowanie starszej kobiety, wszyscy kierowali uwagę na młodszą i obserwowali ją nieprzerwanie, dopóki nie dotarła do stolika. Była smukła, szczupła i bardzo słodziutka, a w jej ślicznej, owalnej twarzy i ogromnych, ciemnych oczach było coś nadzwyczaj pociągającego. Złote włosy zdawały się ściągać całe światło z gazowych żyrandoli. Zastygało ono jakby w miękkich falach, które spływały po obu stronach głowy, odsłaniając uszy. Włosy zaczesane były w wielki, złoty kok z tyłu głowy.

Wydawało się wręcz, że ten złoty blask jest zbyt ciężki dla pełnej gracji szyi.

Coś cudownego, młodego, nieskazitelnego promieniowało z niej, gdy szła tak przez środek sali, z twarzą pobladłą, niemal tak białą, jak alabastrowe ramiona, które wychylały się z mocno wydekoltowanej sukni. Jej suknia była także niezwykła, ponieważ była cała szara; szara gaza, falująca na szerokich halkach z plisowanego atlasu. Falbany i falbanki ściągnięte były do tyłu tak, że zgodnie z najnowszą modą tworzyły jak gdyby tiurniurę.

Spowita w szarości wydawała się unosić niby duch po sali. Kiedy znalazła się na wysokości stołu sir Roberta, zobaczył, że we włosach, gdzie kobiety zazwyczaj wplatają kwiaty, ma niezwykle delikatne, aksamitne liście, wyglądające jak cienie pośród roztańczonego złota. Nie oglądała się ani na lewo, ani na prawo, póki nie dotarła do stolika, przy którym pierwsza zasiadła starsza kobieta. Kelnerzy pospieszyli, by podsunąć krzesła.

Lady Violet westchnęła cichutko.

- Jej perły, Robercie! Czy widziałeś jej perły?

Sir Robert poczuł się tak, jakby głos lady Violet przywiódł go z powrotem z wielkiego oddalenia. Wpatrywał się w twarz Mistral, przypominając sobie, jak bardzo wczesnie tego ranka widział ten śliczny nosek, którego kontur rysował się na tle słonecznego światła. Pamiętał wyraz jej oczu, kiedy się modliła.

Znał już charakterystyczny sposób, w jaki wyginały się jej wargi, gdy się uśmiechała, znał rozkoszny wdzięk, z jakim unosiła bródkę, i wiedział, jak jej długie i ciemne rzęsy trzepoczą na tle policzków. Ale nie miał pojęcia, że ma złote włosy. Był dziwnie przekonany, że są ciemne, być może dlatego, że w cieniu szarego kaptura ukryte były przed jego wzrokiem, gdy rozmawiali ze sobą w świetle umykającej nocy.

Miała złote włosy, złote jak samo słońce, które jakby na jej zamówienie wyszło zza gór, by obudzić morze. A teraz, gdy patrzył na nią, pomyślał, że jej pojawienie się przyćmiło urodę wszystkich innych kobiet w tej sali. W jej prostocie, w posępnej barwie stroju, w doskonałości białych ramion tkwiło coś, co zgasiło nawet blask biżuterii i pozłacaną wykwinność sali.

- Widziałeś je, Robercie? - spytała ponownie lady Violet i wtedy zorientował się, że jej nie odpowiedział, a ona czeka na

jego słowa. Z trudem oderwał wzrok od Mistral, by spojrzeć na kobietę u swego boku. Pomyślał, że nigdy przedtem nie zauważył, jak staro wygląda czasami Violet. Zawsze myślał o niej jak o kimś bardzo młodym, młodszym niż on sam, w tej chwili jednak dostrzegał, że ta kobieta wkracza już w wiek dojrzały. Czekala, aż jej odpowie.

- Jej perły? - zapytał. - Nie, czy ona miała na sobie jakieś perły?

- Och, Robercie, typowo po męsku! Oczywiście, że miała na sobie perły, i to jakie perły! Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. One były szare!

- Nonsens - odpowiedział sir Robert. - To musiał być refleks z jej sukni.

Spojrzał przed siebie w tamten koniec sali, ale choć zobaczył złote włosy Mistral, było to jednak zbyt daleko, aby udało mu się dostrzec takie szczegóły jak biżuteria czy też wyraz jej twarzy.

- Ależ tak, zapewniam cię - upierała się lady Violet. - Arturze, ty je widziałeś, jestem tego pewna.

- Jeżeli istnieją piękne kobiety, to ona do nich należy - oznajmił lord Drayton. - Dowiemy się, kim jest. Kelner, tutaj - przywołał do siebie kelnera. - Powiedz Alfonsowi, że chcę zamienić z nim kilka słów.

- Oui, monsieur.

Kelner odszedł pospiesznie, by wezwać szefa sali. Okazało się, że prawdopodobnie inni goście wpadli na ten sam pomysł, gdyż Alfons, człowiek, który wiedział wszystko i wszystkich znał, podchodził do wielu stołów. Minęło trochę czasu, zanim mógł spełnić żądanie lorda Draytona.

- Życzył pan sobie mówić ze mną, milordzie? - powiedział, gdy wreszcie dotarł do stolika.

- Kim ona jest, Alfonsie?

- Ta młoda dama w szarościach? - zapytał Alfons tonem osoby, która nigdy nie myli się w swoich przypuszczeniach.

- Oczywiście. Czy jest dziś wieczorem jakaś inna kobieta w tej sali warta zainteresowania?

- Zameldowana jest jako mademoiselle Fantome, ale o ile mi wiadomo, milordzie, jej ciotka, ta dama, która jej towarzyszy, podróżuje incognito.

- Wielkie rzeczy, incognito! Więc kim ona jest? Ty znasz wszystkich, Alfonsie - powiedział lord Drayton.

- Żałuję, milordzie, ale tym razem jestem w kłopotcie. Ja również nigdy w życiu nie widziałem tej damy, jestem tego pewien.

- To znaczy, że nie mogły wiele podróżować - zauważyła lady Violet - gdyż Alfons bywał wszędzie i zna wszystkich, nieprawdaż, Alfonsie?

Alfons, zadowolony, skinął głową. Był to rodzaj pochlebstwa, który go najbardziej cieszył.

- Jest pani bardzo uprzejma, milady. Najmocniej żałuję, ale nie jestem w stanie zaspokoić państwa ciekawości i, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ciekawości znakomitej części moich stałych gości, przebywających tu dziś wieczór. Ta młoda dama wzbudziła sensację.

- Wzbudziła, rzeczywiście - przyznała lady Violet. - To było właśnie to, o co pytałeś, Robercie, prawda? Całe szczęście, że jesteś tu dzisiaj, bo gdybyśmy ci o tym opowiedzieli, nie uwierzyłybyś nam! Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś wywołał sensację w Monte Carlo, czy mam rację, Alfonsie?

- W zupełności, milady. Mamy tu, jeśli wolno mi tak powiedzieć - obfitość pięknych kobiet.

Skinął głową i już chciał odejść, gdy pojawił się następny kelner i szepnął mu coś do ucha.

- Idź i powiedz im równie mało, jak powiedziałaś nam - odezwał się lord Drayton. - Rozczarowałaś mnie, Alfonsie. Wierzyłem, że ty jesteś niezawodny.

- Jestem niepokieszony z powodu utraty mojej reputacji - powiedział Alfons i pomknął do kolejnego stołu, gdzie goście życzyli sobie jego obecności.

- Jej perły są szare, mówię wam - rzekła lady Violet, gdy odszedł. Lord Drayton podniósł do oka swój monokl, spojrzał w kierunku

Mistral i pozwolił opaść szkiełku.

- Nie wierzę, że takie rzeczy istnieją.

- Założysz się? - nalegała Violet. Pokręcił głową.

- Jeżeli chodzi o biżuterię, to ty zakładasz się bezbłędnie. Nie dam ci satysfakcji wygrania ode mnie pieniędzy. Mimo wszystko, kasyno ma w tym względzie pierwszeństwo. Nieźle mi się powiodło ostatniej nocy. Chcę być w porządku, więc dam im szansę odegrania się dzisiaj.

- Czy idziesz na koncert? Lord Drayton potrząsnął głową.

- Nienawidzę muzyki.

- My z Robertem zajrzemy na chwilę - powiedziała lady Violet - ale jeżeli okaże się nudny, dołączymy do ciebie w salonie gry. Wątpię, żebyśmy wytrzymali długo, sopran zawsze przyprawiają mnie o ból głowy.

- Tak, trente - et - quarante wydaje mi się o wiele bardziej kojące - zauważył lord Drayton.

Jeżeli oni byli zblazowani, to Mistral na koncercie przeżyła chwile ekstazy. Gdy głos włoskiej śpiewaczki wznosił się wysoko i czysto aż po sufit sali pokryty malowidłami, nawet ci bywali w świecie słuchacze wstrzymywali oddech. To tak, jakby przeniesiono mnie do innego świata, myślała Mistral. Świata kolorów i dźwięków, świata, o którego istnieniu nie wiedziałam, chociaż uwielbiałam słuchać śpiewu sióstr w klasztornej kaplicy.

Ale to jest zupełnie coś innego! Otaczało ją wykwintne towarzystwo, błyszczały lśniące klejnoty, przez nie zasłonięte otwarte okna sączyła się do wnętrza wonna ciemność; grała ogromna orkiestra, a Mistral przecież nigdy nie słyszała muzyki instrumentów. Magiczny głos to wznosił się, to opadał, swoją wspaniałością porywał wszystkich, którzy go słuchali.

Gdy koncert się skończył, Mistral przez chwilę siedziała zupełnie nieruchomo, a kiedy oklaski ucichły, odwróciła twarz, płonąca z emocji, ku Emilii.

- To było wprost cudowne, ciociu Emilio - powiedziała. - Chce mi się równocześnie śmiać i płakać. Nie wyobrażałam sobie, że muzyka może wywoływać na człowieku takie wrażenie.

Emilia spojrzała na nią przenikliwie. Nie spodziewała się, że Mistral jest tak uczuciowa. Błyszczące oczy i rozchyłone usta były niewątpliwie dowodem tego, że muzyka ją wzruszyła, Emilia była przekonana, że Mistral, po tylu latach spędzonych w klasztorze, będzie przyciszona i opanowana, tymczasem okazało się, że łatwo było obudzić jej uczucia. Tkwiło w tym pewne niebezpieczeństwo Emilia rozmyślnie stłumiła ziewnięcie.

- Koncerty są zwykle dość męczące - zauważyła. - Z biegiem czasu się o tym przekonasz. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, drogie dziecko.

Te słowa podziały na Mistral jak kubeł zimnej wody. Wyraz zachwyty zniknął z twarzy dziewczyny. Publiczność opuszczała swoje miejsca. Emilia wstała, ale celowo zwlekała z owinięciem ramion koronkowym szalem, tak że ona i Mistral były niemal ostatnimi osobami opuszczającymi salę koncertową.

- Myślę, że teraz obejrzymy sobie sale gier - powiedziała Emilia, gdy wyszły na szeroki korytarz.

- Och, ciociu Emilio. Miałam nadzieję, że to zaproponujesz. Przez chwilę okropnie się bałam, że będziemy wracały do hotelu.

- Nie zostaniemy długo - stłumiła jej entuzjazm Emilia. Skierowała się tam, gdzie portier w uniformie przepuszczał gości przez szklane drzwi. Z przejęcia Mistral szła za nią niemal na palcach. Wreszcie znalazły się w salonie gier. Jednym spojrzeniem ogarnęła setki jarzących się zyrandoli, masywne kolumny ze złotymi kapitelami malowidła na połączanym tle przedstawiające liczne grupy bogiń i amorków, mozaiki i rzeźby, posągi i palmy. To pierwsze wrażenie było tak przytłaczające, że poczuła się oszołomiona i oślepią.

W salonie panowała cisza, słychać było tylko cichy pomruk głosów, brzęk złota i srebra i klik - klak małej kulki prześlizgującej się po kole z polerowanej miedzi. Mistral zauważyła, że stało tam siedem stołów, nakrytych zielonym sukniem. Te do ruletki były zupełnie gładkie, na krańcach obite skórą. Krupierzy, wyposażeni w długie grabki, przemawiali niskimi, pozbawionymi emocji, głosami:

- Messieurs et mesdames, faites vos jeux.

- Rien ne va plus!

Przy każdym stole gromadził się niewielki tłumek. Wszyscy grający obserwowali przebieg gry z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, trudno było zorientować się, kto wygrywa, kto przegrywa. Emilia minęła kilka stołów i podeszła do jednego w samym końcu sali. Przez krótki czas obserwowła grę. Nagle jedna z grających kobiet wstała i zgarnawszy stos złotych ludwików, który wydawał się dość znaczny, odeszła od stołu. Krupier skierował spojrzenie na Emilię, która stała teraz tuż za pustym krzesłem. Zawahała się, a po chwili, jak zahipnotyzowana, nieomal wbrew własnej woli, usiadła przy stole.

Podsunięła krupierowi banknot o wartości dla Mistral ogromnej i zamieniła go na złoto.

Mistral zafascynowanym wzrokiem śledziła ruchy ciotki, która umieściła kilkanaście ludwików na impair. Emilia przegrała pierwszą i drugą stawkę, przy trzeciej wygrała. Mistral miała wielką ochotę krzyknąć z radości, ale bała się zachować niestosownie, więc stała cicho, z wielkimi, błyszczącymi z radości oczyma, za krzesłem ciotki. W pewnej chwili z krzesła tuż obok ciotki Emilii podniosła się jakaś kobieta. Była drobna, bardzo stara i jakby lekko utykająca, toteż Mistral instynktownie wyciągnęła rękę, aby jej pomóc.

- Dziękuję, kochanie, jest pani bardzo miła - powiedziała po francusku z cudzoziemskim akcentem. - Proszę pozwolić mi wesprzeć się na pani ramieniu... Byłabym wdzięczna, gdyby pomogła mi pani przejść do drzwi. Słabo widzę.

Mistral zaoferowała jej swoje ramię i wtedy spostrzegła, że staruszka jest niemal oślepią, bo ma oczy, zalane łzami.

- Och, pani jest nieszczęśliwa! - wykrzyknęła Mistral.

- Tak, jestem nieszczęśliwa - przytaknęła kobieta - bo przegrałam. Straciłam wszystkie moje pieniądze! Zawsze to samo, przegrywam, tak, przegrywam wszystko.

- Ależ to okropne - powiedziała Mistral. - Co pani teraz pocznie?

- Wrócę do domu, kochanie. Jest pani bardzo dobra, tak mi pani pomaga.

Ton głosu starej damy był żałosny i Mistral poczuła, że serce jej się ściska na widok takiego cierpienia. Powoli dama dotarła do drzwi, wspierając się zasuszoną, poznaczoną siatką żył dłonią na ramieniu Mistral. Teraz łzy płynęły ciurkiem po pomarszczonych policzkach, ale stara dama nawet nie próbowała ich ocierać.

- Nie mogę pozwolić, żeby pani wychodziła w takim stanie. To straszne, że wszystko pani straciła. Co pani teraz zrobi?

Zanim usłyszała odpowiedź, lokaj w liberii, czekający na zewnątrz przy otwartych drzwiach, podszedł do nich.

- Powóz już zajechał, madame - oznajmił.

- Więc jest ktoś, kto zawiezie panią do domu - z ulgą zauważyła Mistral.

Sądziła dotąd, że biedna stara dama, nie mając pieniędzy, będzie zmuszona samotnie iść piechotą przez puste ulice.

- Tak, jest, muszę jednak jechać do domu - rzekła stara dama. - Przegrałam wszystko! Jakże jestem nieszczęśliwa!

- Proszę, niech pani nie płacze - błagała Mistral, zastanawiając się przy tym, czy nie zetrzeć łez z twarzy staruszki.

Ale zanim się na to odważyła, na zewnątrz rozległ się stukot końskich kopyt, powóz zatrzymał się pod drzwiami, a lokaj pospieszył, by pomóc starszej damie przy wsiadaniu.

- Dziękuję pani, moja droga, bardzo dziękuję - powiedziała do Mistral, - Była pani bardzo miła.

Pozwoliła lokajowi pomóc sobie przy schodzeniu ze schodów, oczy miała ciągle pełne łez. Mistral właśnie obserwowała jej odejście, gdy ktoś odezwał się tuż za jej plecami:

- Chyba pani jeszcze nie odjeżdża?

Mistral odwróciła się szybko i zobaczyła, że u jej boku stoi Robert.

- Nie, nie odjeżdżam, ale ta kobieta, ta biedna staruszka, wszystko straciła. Co można zrobić, by jej pomóc?

Sir Robert uśmiechnął się.

- Niepotrzebnie się pani martwi. To hrabina Kisselev. Jest tu stałym gościem. Przyjeżdża regularnie w zimowych miesiącach. Jest niepoprawną hazardzistką, więc wnukowie

każdego dnia wyznaczają jej pewną sumę. Musi wracać do domu zawsze, gdy przegra.

- Ależ ona płakała - wtrąciła pełna zdumienia Mistral.

- Zawsze płacze, gdy przegrywa - powiedział sir Robert. - Zapewniam panią, że to bardzo bogata kobieta, tylko nie umie się oprzeć czarowi kasyna.

Mistral roześmiała się.

- Właściwie to mnie oszukała. Wyglądała tak żałośnie, że gdybym miała jakieś pieniądze, to bym jej dała. Co za szczęście, że jestem bez grosza.

- Przegrała pani już wszystko?

Akurat gdy to mówił, pod drzwi podjechał jakiś powóz. Sir Robert położył dłoń na ramieniu Mistral.

- Proszę iść za mną, szybko - rzucił niespodziewanie. Pozwoliła mu poprowadzić się przez krótki odcinek korytarza do małej czytelnicy, w której nie było nikogo.

- Dlaczego przyprowadził mnie pan tutaj? - zapytała.

- Obawiałem się, że ktoś może nadejść i przeszkodzić nam, a ja chciałbym porozmawiać z panią.

- Nie mogę tu zostać - szybko powiedziała Mistral. - Muszę wracać do ciotki. Gra przy jednym ze stołów.

- Wiec nie będzie jej pani brakowało przez minutę czy dwie.

- Jeżeli zobaczy, że ze sobą rozmawiamy, może zapytać, jak się poznaliśmy - zaniepokoiła się Mistral.

- Nie zobaczy nas - rzekł uspokajająco sir Robert - Nie zatrzymam pani dłużej, tylko przez chwilę. Proszę mi powiedzieć, jak się pani bawi.

- Widziałam pana podczas obiadu. Był pan z przyjaciółmi. Chyba wszyscy w restauracji byli z przyjaciółmi i dlatego poczułam się trochę samotna.

- Sądzę, że dzisiejszego wieczoru nie powinna pani nikomu zazdrościć - powiedział sir Robert. - Dzisiaj wszyscy zazdrościli pani.

- Zazdrościli mi? - zapytała zdumiona Mistral. - Ale dlaczego?

- Z powodu pani młodości i urody - odrzekł sir Robert - a wszystkie kobiety, oczywiście, zazdrościły pani naszyjnika.

Palce Mistral dotknęły pereł oplatających jej szyję. Były szare, zauważył sir Robert, dziwnie mgliście szare, jak wnętrza muszli ostrygi. Nigdy nie widział takich zadziwiających pereł.

- Należały do mojej matki - powiedziała cicho Mistral. - Ciocia Emilia dała mi je dziś wieczorem i powiedziała, że mogę je nosić. Nigdy przedtem nie miałam niczego, co należało do mojej matki, chociaż... Wolałabym, żeby nie były szare.

- Są wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju - zauważył sir Robert. - Myślę, że na całym świecie nie ma drugiego takiego naszyjnika jak ten. Pani matka musiała być niezwykle bogatą kobietą, jeśli posiadała takie cudowne klejnoty.

- Nie, ona była... - zaczęła impulsywnie Mistral, nagle urwała, tak jakby połykała z powrotem słowa, które chciała wypowiedzieć. - Nie powinien pan zadawać mi żadnych pytań. Ciocia Emilia byłaby z tego niezadowolona. A teraz... muszę iść.

- Proszę nie odchodzić. Mówiłem pani, że kobiety były zazdrosne o panią dzisiejszego wieczora, czy nie chciałyby pani wiedzieć, co myśleli mężczyźni?

- O mnie? - niewinnie zaciękała się Mistral.

- Oczywiście! Wszyscy mówili o pani, a mówili i myśleli to samo, że jest pani najpiękniejszą osobą, jaką mieli okazję kiedykolwiek widzieć.

Długie rzęsy zatrzepotały nad oczyma Mistral i rzuciły cień na jej policzki. Odwróciła się.

- Ależ chyba pani nie odchodzi? - zapytał zdesperowany sir Robert, gdy pojał, co było jej zamiarem. - Czy powiedziałem coś, co panią uraziło?

- Myślę, że stroi pan sobie ze mnie żarty - powiedziała cichuteńko Mistral.

- Nic podobnego, daję słowo. Czy nie zauważyłaś, zabawny dzieciaku, jaka jesteś cudowna?

Podniosła na niego wzrok i ujrzał, jak rumienia się jej policzki.

- Nikt nigdy mi tego nie mówił - wyznała po chwili.

- Ale przecież ktoś musiał! - zaprotestował sir Robert. - Musiałaś spotykać mężczyzn od czasu do czasu, nawet w twoim klasztorze.

Mistral uśmiechnęła się, w jej oczach dostrzegł figlarne ogniki.

- Tak, rzeczywiście, spotykałam wcześniej mężczyzn, ale byli to albo księża, którzy przychodzili odprawiać msze w klasztorze, albo ojcowie uczennic, odwiedzający nas raz w roku, w dniu rozdawania nagród.

- I nie mówili ci, że jesteś piękna? - nalegał sir Robert.

- Nie, nie mówili, i dlatego właśnie myślę, że pan musi się mylić.

- Przeciwnie, jestem po prostu w dogodniejszej sytuacji niż oni, aby to ocenić. Czy mam ci powiedzieć, jaka jesteś piękna?

Jego głos był niski i niespodziewanie głęboki. Mistral spuściła wzrok pod wpływem jego spojrzenia i znów odwróciła się w stronę drzwi.

- Muszę iść - powiedziała. - Proszę, proszę niech mnie pan nie zatrzymuje.

Tym razem dało się słyszeć w jej głosie, że stanowczo postanowiła uciec od niego, ale on wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, zatrzymał ją w pół kroku. Znieruchomiła, gdy poczuła jego dotyk na swoich palcach.

- Zanim odejdiesz, obiecaj mi jedno: że będę mógł cię jeszcze zobaczyć.

- Nic nie mogę panu obiecać - odrzekła Mistral - pan tego nie rozumie. Ciocia Emilia bardzo się pogniewa, gdy się dowie, że z kimś rozmawiałam,

- Nie pozwól tak się terroryzować - powiedział sir Robert.

- Ale ja muszę robić to, co ona chce - zaprotestowała Mistral. - Jest moją ciotką, a poza tym ja... chyba się trochę jej boję.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Sir Robert skłonił głowę i ucałował jej dłoń. Skóra była gładka i chłodna. Przez moment zdawało mu się, że dostrzegł zdumienie w oczach dziewczyny, znów zapłonęły jej policzki. Odeszła w nagłym popłochu, szeleszcząc falbanami sukni. Sir Robert nie usiłował pójść za nią. Przez kilka chwil przemierzał powolnymi krokami niewielką czytelnię. Gdy z niej wyszedł, ujrzał lorda Draytona, stojącego w drzwiach.

- Na litość boską, co ty tu robisz, Robercie? - zawołał. - Wszędzie cię szukałem. Chodź, napijemy się. Przegrałem grubą sumkę. Później znów spróbuję szczęścia.

- Drink to właśnie to, czego mi potrzeba - odparł Robert.

- Czy Violet pojechała do domu? - zapytał lord Drayton. Sir Robert przytaknął.

- Słuchała tej przeklętej śpiewaczki, a muzyka zawsze przyprawia ją o ból głowy.

- Znacznie taniej jest mieć migrenę, niż przegrać tyle, ile ja w tym czasie przegrałem - zauważył lord Drayton.

Prowadził Roberta przez sale gier do baru. Mistral, stojąca za krzesłem Emilii, widziała, jak przechodzili. Pomyślała, że

sir Robert jest bardzo wysoki, że wyróżnia się spośród innych mężczyzn w kasynie, ale zaraz, z poczuciem winy, skoncentrowała uwagę na ciągle rosnącym stosie ludwików, piętrzącym się przed Emilią.

Jakiś mężczyzna podszedł do przeciwnej strony stołu. Stał obserwując grę

Był młody, ciemnowłosy i niesłychanie przystojny. Miał w oczach radość, jakby się bezustannie cieszył tym, co widzi. Po dłuższej chwili przypatrywania się umieścił stos ludwików na numerze dwadzieścia jeden.

- Rien ne va plus - zaintonował krupier.

Kula toczyła się dookoła. Nie było słyhać żadnego innego dźwięku.

- Vingt - et - un, rouge et impair.

Młody mężczyzna wybuchnął śmiechem, gdy bardzo znaczną wygraną przesunięto w jego stronę, później rzucił krupierowi pięć ludwików.

- Merci, monsieur. Vous avez de la chance!

- J'ai toujours de la bonne fortune. Było coś zaraźliwie wesołego tak w jego zachowaniu, jak i w głosie.

Odszedł. Mistral zauważyła, że nie jest jedyną osobą, która obserwuje szczęśliwego nieznajomego. Emilia także utkwiała w nim wzrok. Gwałtownie odsunęła swoje krzesło do tyłu i przywołała portiera.

- Kim jest ten dżentelmen, który właśnie wygrał? - zapytała,

- To Jego książęca wysokość, Jaśnie oświecony książę Mikołaj, madame.

- Książę Mikołaj! - powtórzyła miękko Emilia.

- Oui, madame. Emilia zgarnęła do torebki stos wygranych ludwików i wstała.

- Chodź, Mistral! - zakomenderowała niecierpliwie. Mistral, zaskoczona niespodziewanym zdecydowaniem w postawie ciotki, podążyła za nią w pośpiechu.

Rozdział 5

Tego roku wille Shalimar i Mimoza połączono dodatkowym, zadaszonym pasażem. Willa Shalimar została wybudowana przed trzema laty i od razu, gdy zakończono budowę, kupiona przez radzę Jehangaru. Była to wielka, pretensjonalna budowla, uderzająca swoją bielą; położona wysoko na wzgórzu nad Monte Carlo dawała wspaniałe widoki na miasto i rozciągające się za nim morze.

Była wprawdzie ogromna, ale kiedy w zeszłym roku zamieszkał w niej nie tylko oficjalny dwór radży z całym tłumem adiutantów, sekretarzy, majordomusów i służby, lecz także jedna z kolejnych pań jego serca, niezmiennie towarzyszących mu podczas corocznych wizyt w Monte Carlo, radża uznał dom za zbyt zatłoczony. Z tego powodu za ogromną sumę nabył willę Mimoza i dzięki zręczności architekta przyłączył ją do willi Shalimar, mimo że obydwie znajdowały się na różnych poziomach.

Tego roku w willi Mimoza gościła panna Stella Style. Była to wysoka, nadzwyczaj atrakcyjna blondynka. Radża zauważył ją w chórze jednego z wielkich londyńskich teatrów i stracił dla niej głowę w tej samej chwili, kiedy wśliznęła się na scenę z rozpuszczonymi jasnymi włosami, spływającymi na ramiona.

Radża zastosował swoją wypróbowaną i zawsze skuteczną metodę uwodzenia. Posłał jej kosz orchidei tak wielki, że do zatłoczonej garderoby, którą dzieliła z tuzinem innych dziewcząt, musiało go wnieść dwóch portierów. Gdy ochłonęła ze zdziwienia na tyle, by dokładniej obejrzeć kosz, znalazła ukrytą w kwiatach brylantową bransoletę oraz liścik od radży z zaproszeniem na kolację.

Jak zauważyła Crissie, zaproszenie od radży nie mogło nadejść w lepszym momencie.

Oczywiście Stella zgadzała się z Crissie, bo niezmiennie przyznawała jej rację, choć uważała za przesadę przywiązywanie tak wielkiej wagi do tego, że otaczało ją coraz mniej wielbicieli i że coraz trudniej było jej podtrzymać ich zainteresowanie sobą.

Bez wątpienia było to - jak już niejedną raz dowodziła Crissie - skutkiem lenistwa Stelli. Miała teraz dwadzieścia siedem lat, lecz była równie ładna jak wtedy, gdy miała ich siedemnaście. Swoim wyglądem przypominała zawsze białoróżową lalkę z chińskiej porcelany, co w Londynie było często spotykane, ale za granicą mogło wzbudzać sensację. Miała doskonałą figurę, może trochę za bardzo zaokrągloną, ale na szczęście okrągłości właśnie wchodziły w modę. Włosy Stelli, choć pod tym względem zawdzięczała wiele fryzjerce z Wardour Street, byty dość długie i bujne, by stać się atutem, który zapewniał jej stałe miejsce na listach płac co popularniejszych teatrów West - endu.

Stella była leniwa, a Crissie nie mogła tego odżalować i opłakiwała ów fakt przynajmniej dwanaście razy na dzień. Czasami czuła, że mogłaby pobić Stellę za jej pogodną głupotę, za uśmiech, którym odpowiadała na każdą krytykę, choćby najostrzejszą, za beztroski, lekkomyślny sposób, w jaki zawsze przyjmowała wiadomość o tym, że opuścił ją kolejny adorator lub że ukradła go któraś z bardziej wytrwałych rywalek.

Rozmowa między siostrami na tydzień przedtem, nim radza pojawił się jakby zesłany przez opatrzność, była podobna do setek innych.

- Nie dostałaś żadnych kwiatów już od ponad dwóch tygodni - mówiła Crissie. - Nawet jednej przywiedłej stokrotki. Co się stało z młodym lordem Riponem? Wyjechał z miasta?

- Nie sądzę - odrzekła Stella. - Billy mówiła, że wczoraj po przedstawieniu jadła z nim kolację.

- Więc Billy go złapała, co? - powiedziała Crissie twardym, pełnym goryczy głosem. - Dlaczego pozwoliłaś go sobie sprzątnąć? Próbowала złapać go na męża od pierwszej chwili, gdy przestąpiła próg teatru.

- Może go sobie wziąć - Stella ziewnęła - i tak byt nudziarzem, zawsze mówił o wyścigach. Nigdy nie interesowały mnie konie.

- Mogłaś chociaż udawać, prawda? - wtrąciła Crissie. Stella wybuchnęła śmiechem.

- Próbowалам, ale plątałam się w ich anatomii. Bardzo śmieszne te konie. Zupełnie inaczej nazywa się pewne części ich ciała, choć wydają się podobne do naszych...

- Och, niech diabli wezmą konie! - Crissie tupnęła nogą. - Teraz myślę tylko o Jego lordowskiej mości. On jest bogaty, Stello, bogaty i hojny. Chciałabym wiedzieć, co ty z tego miałaś. Broszkę, za którą nie dostanie się więcej niż dziesięć funtów, rękawiczki, których nie potrzebowałaś i pół tuzina bombonierek z czekoladkami. Czekoladki, też coś!

- W każdym razie całkiem niezłe czekoladki - zauważyła Stella pogodnie. - Czemu się nie poczęstujesz?

Crissie znów tupnęła nogą i dalej ciągnęła swoje gderliwe wymówki, dopóki Stella, z uśmiechem na ustach, nie zasnęła. Wydawało się, że nic nie może zepsuć jej dobrego humoru. Już dawno nauczyła się nie zwracać uwagi na zdenerwowanie Crissie.

Niejeden raz po takiej scenie Crissie spoglądała w lustro i zaczynała się zastanawiać, dlaczego opatrność, tworząc ją i Stellę, okazała się tak okrutna. Okrucieństwem było bowiem obdarzenie Crissie przebiegłym, lotnym umysłem, a do tego zdeformowanym, garbatym ciałem oraz podarowanie Stelli pięknego ciała całkowicie pozbawionego rozumu.

Gdybym tylko wyglądała tak jak Stella, rozmyślała Crissie, mogłabym wtedy osiągnąć wszystko... wszystko.

Tymczasem rola, która jej przypadła, polegała na zrządzeniu, popychaniu i nakłanianiu leniwej, pozbawionej ambicji Stelli, aby czerpała korzyści ze swej niewątpliwej atrakcyjności.

Nieraz już plany Crissie spełzły na niczym z powodu wrodzonej bierności Stelli. Bowiem tak jak Crissie urodziła się zachłanna, Stella urodziła się szczęśliwa. Cokolwiek się wydarzyło, bez względu na to, w jak trudnej sytuacji się znalazły, Stella pozostawała zawsze taka sama. Po prostu nie wiedziała, co znaczy słowo zazdrość i przez całe życie nigdy o nikogo nie była zazdrosna. W ogóle nie miała żadnych ambicji. Kiedy straciła pracę, nie wiadomo, czy udałoby jej się znaleźć inne zajęcie, gdyby nie Crissie.

To tylko dzięki Crissie pracowała. To Crissie zmuszała ją, by dbała o swój wygląd, to ona przypominała Stelli, by wyrażała się dystyngowanie, ona powodowała, że tamta przyjmowała zaproszenia. To tylko dzięki jej naciskowi Stella dotrzymywała terminów umówionych spotkań z licznymi wielbicielami, którzy wypatrzywszy ją przez lornetkę z pierwszych rzędów krzeseł, pospiesznie przybiegali za kulisy, gdy przedstawienie się skończyło. To Crissie odpowiadała na ich bileciki, ona pisywała, aby podziękować za kwiaty. Kiedy wielbicieli było bardzo wielu, Crissie pamiętała, który jest który.

Działo się tak nie dlatego, że Stella nie lubiła adoratorów, owszem, lubiła. Lubiała wszystkich. Lubiała wytwornych, obytych w świecie dżentelmenów z prywatnymi dwukólkami, które czekały na nią przy tylnych drzwiach teatru, ale nie mniej lubiła ludzi, którzy ustawiali dekoracje, chłopców przynoszących bukiety kwiatów, członków orkiestry, a nawet

kłótliwego, zasuszonego staruszka - portiera, dla którego nikt oprócz niej nie miał dobrego słowa.

Nie tylko mężczyźni darzyła sympatią. Lubiała dziewczęta, z którymi występowała, panny garderobiane, krawcowe, posługaczki, które sprzątały teatr, i schludne, pulchne kobiety, które sprzedawały pro - gramy, a czasem przynosiły za kulisy bileciki. Stella lubiała wszystkich i naprawdę, jak zwykła mawiać z irytacją Crissie, polubiłaby samego diabła, gdyby pojawił się w teatrze.

Już dawno Crissie przekonała się, że napominanie Stelli mija się z celem, ale nie mogła się powstrzymać i nieustannie, bez przerwy, to robiła. Od momentu, gdy obie siostry wstawały rano, po chwilę, w której kładły się wieczorem do łóżek, wysoki, ostry, zgorzkniały głos Crissie ujadał na Stellę, przypominając jazgot miniaturowego teriera. Ale to, co mówiła, nie dawało najmniejszego nawet efektu.

Stella potrafiła wydać swoje tygodniowe zarobki, nie zastanawiając się ani sekundę nad tym, jak ona i Crissie przeżyją nadchodzący tydzień. Stella pożyczła najlepszą kreację wieczorową, pantofle, rękawiczki i płaszcz każdej dziewczynie z chóru, która opowiedziała jej historyjkę o swoim pechu - o zaproszeniu od księcia i o tym, że nie będzie miała co na siebie włożyć, jeśli je przyjmie. Stella nie umiała minąć żebraka na ulicy ani dziecka, wlepiającego oczy w słodycze na wystawie bez otworzenia portmonetki. I tak Crissie musiała bezustannie chronić nie tylko interesy Stelli, ale i swoje własne, bo wznosiły się i upadały razem.

Niewielu ludzi wierzyło, że są siostrami. Oczywiście, gdy tylko Stella miała nowego przyjaciela, mającego dzentelmena, zainteresowanego jej sprawami, Crissie była przedstawiana jako „moja krawcowa”. Tych pozorów nigdy nie udało się zachować dłużej, gdyż Stella była na to zbyt leniwa i nieuchronnie zdradzała reguły gry.

Crissie doskonale wiedziała, że pod względem powierzchowności nie może równać się ze Stellą. Mężczyźni zazwyczaj byli zdegustowani lub zmieszani, gdy dowiadywali się, że to małe, zasuszone stworzenie jest siostrą Stelli, a jeszcze bardziej zbijała ich z tropu informacja, że między siostrami jest różnica zaledwie dwóch lat.

- Nie wolno ci mówić, kim jestem - przekonywała Crissie Stellę bezustannie.

- Dlaczego nie? - oponowała Stella. - Ja się ciebie nie wstydzę, Crissie. Jesteś warta pięćdziesiąt takich jak ja.

W głębi duszy Crissie się z nią zgadzała. Mężczyzn, w każdym razie mężczyzn tego pokroju, jakich one spotykały, pociągało w kobiecie coś zupełnie innego niż rozum. Mijał tak rok za rokiem, Crissie snuła plany dla Stelli, a Stella je rujnowała, niszczyła ich skuteczność od samego początku przez swoje czyste, pogodne lenistwo.

Pojawienie się radzy Jehangaru było niezwykle darem losu. Pech prześladował Stellę od kilku miesięcy. Przedstawienie w Gaiety Theatre, w którym miała prawdziwą szansę zaprezentowania się z najlepszej strony, zeszło z afisza już po miesiącu. Minęło sporo czasu, zanim udało jej się znów uzyskać angaż w Daly's, ale zaledwie w trzy tygodnie po premierze zważyło ją z nóg okropne przeziębienie. Miała tak wysoką gorączkę, że Crissie nie pozostawało nic innego, jak tylko zatrzymać ją w domu.

Była to podwójna tragedia, gdyż tuż przed chorobą Stella ściągnęła na siebie uwagę pewnego milionera z Afryki Południowej, który właśnie odwiedził Londyn. Nie zdążył się jednak jeszcze poważnie zaangażować uczuciowo, więc gdy Stella nie pojawiła się na uroczystej kolacji, wydanej na jej cześć, przerzucił swoje zainteresowanie na dziewczynę, która ją zastępowała w przedstawieniu.

Tymczasem pozostawały do zapłacenia rachunki za lekarza i za lekarstwa, za specjalne jedzenie; z czynszem zalegały już od kilkunastu tygodni, nie opłacały go nawet po powrocie Stelli do teatru. Jedynym korzystnym rezultatem choroby było to, że Stella wydawała się jeszcze ładniejsza niż dotąd. Przedtem bywała momentami aż nadto pulchna. Crissie była bardzo zła, mówiła, że Stella wygląda i zachowuje się jak „tłusta krowa”. Z nieco szczuplejszą twarzą i talią smuklejszą o kilka cali z powodu przymusowego głodowania prezentowała się wprost olśniewająco.

W każdym razie tak myślał radża. Według Crissie zdarzył się chyba cud. Zaledwie sześć tygodni temu egzystowały w brudnym, zadymionym Londynie, bez środków do życia, tonąc w długach, a teraz znajdują się w Monte Carlo, w luksusowym otoczeniu. Nie przewidziała tego w najśmielszych marzeniach.

Wielu ludzi uważało, że willa Mimoza jest raczej ordynarna, jednak dla Crissie była ona istną krainą z bajki. Miękkie łóżka, Zasłony z atłasu i brokatu, grube, puszyste dywany, jaskrawy, pełen ozdób wystrój wewnątrz, to wszystko Crissie wydawało się nadzwyczaj luksusowe.

Stelli podobało się to również, ale Crissie wiedziała, że nie mniej podobał się jej pokój od podwórza, wynajmowany w Manchesterze czy też obskurne poddasze z widokiem na doki portowe w Liverpoolu. Już dawno temu przestała przywiązywać wagę do opinii Stelli.

- On szaleje za tobą, to nie budzi wątpliwości - mówiła teraz, stojąc w oknie salonu w willi Mimoza. Na tle błękitnego nieba ostro rysowały się jej garbate plecy.

Stella leżała na sofie z wielki pudłem czekoladek u boku i czytała Sensacyjną książkę w tanim wydaniu, nie odpowiadała. Crissie odczekała chwilę, potem zbliżyła się do niej.

- Czy słyszałaś, co mówiłam? - zapytała.

Stella niechętnie podniosła wzrok znad książki. Równocześnie wyciągnęła rękę po następną czekoladkę, dużą, ozdobioną na samym wierzchu kandyzowanym fiołkiem. Wyglądała szczególnie ładnie leżąc tak, ubrana w różową atlasową suknię, którą radża kupił dla niej w Paryżu. Atlas rzucał delikatny poblask na jej białą skórę i dodawał blasku błękitnym oczom. Krój sukni podkreślał krągłość kształtów, które, jak wydawało się Crissie, stały się znacznie pełniejsze w ciągu tych ostatnich kilku dni, które spędziły w willi.

- Przestań jeść czekoladki i posłuchaj mnie, Stello. Staniesz się tłusta jak tuczna świnia; jeżeli nadal będziesz tak jadła. Jedzenie tutaj jest zbyt obfite. - Jest cholernie dobre - odparła Stella - no i ja lubię Francoisa.

- Za dużo gada - warknęła Crissie bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania, bo podobnie jak Stella, odkryła, że Francois, który był kucharzem w willi, stanowi niewyczerpane źródło informacji na temat wszystkiego i Wszystkich w Monte Carlo.

- Przyrzekł, że kupi mi trufle, jak pójdzie dziś do miasta - rozmarzyła się Stella. - Uwielbiam trufle.

- Zamiast myśleć o jedzeniu, posłuchaj mnie - rzekła Crissie. - Radża szaleje za tobą.

- Już to mówiłaś.

- Nie odpowiedziałaś.

- Odpowiedź nie wydaje się potrzebna uśmiechnęła się Stella. - Nie byłybyśmy tutaj, gdyby mnie nie lubił.

- Wiem o tym - powiedziała Crissie. - Ludzie szaleją na twoim punkcie, Stello, ale to szaleństwo nie trwa długo. Jeżeli tym razem stracisz radzę, chyba własnoręcznie cię zamorduję.

Stella roześmiała się.

- Więc lepiej już teraz więcej jedz, żebyś nabrała sił. Czy wiesz, ile kobiet mieszkało w tej willi przed nami?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - mruknęła Crissie.

- Cóż, Francois ci powie, jak to jest - ciągnęła Stella. - Kobiety nudzą się radzy szybciej, niż komukolwiek innemu ze znanych mu ludzi, a pracował u kilkunastu radzów i maharadzów. Opowiadał mi, co oni jedli. Boże, nie uwierzyłabyś, Crissie, że ludzie mogą zjeść tak dużo i jeszcze są zdolni do chodzenia na dwóch nogach.

- Stello, czy posłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia?

- zapytała Crissie głosem cichym i niemal złowieszczym.

- No, dalej, zamieniam się w słuch - oznajmiła Stella, wybierając z uwagą następną czekoladkę, tym razem udekorowaną kandyzowanymi płatkami róży.

- To nasza jedyna szansa - rzekła Crissie - może ostatnia, kto wie?

- Szansa...? - zapytała Stellą z pełnymi ustami.

- Szansa bezpieczeństwa, przyszłości bez strachu, pewności, że cokolwiek się zdarzy, nie będziemy głodowały - powiedziała Crissie. - Radza jest hojny, Stello, nie było drugiego takiego mężczyzny, w każdym razie ty jeszcze takiego nie spotkałaś. Czy wiesz, ile wart jest ten brylantowy naszyjnik, który kupił ci w Paryżu?

- Nie mam pojęcia.

Głos Stelli był całkowicie obojętny.

- Prawie tysiąc funtów - wykrzyknęła Crissie. - Pomyśl o tym, Stello! Tysiąc funtów! A jest przecież jeszcze bransoletka, którą przysłał ci pierwszego wieczoru, i broszka, którą ci podarował w zeszłym tygodniu. Nie dałam ich jeszcze do wyceny, ale gotówkę już oszczędziłam. Zostało trochę z rachunku wystawionego przez krawca, do tego rabat, jaki zyskałam w sklepie z kapeluszami, i to, co przyniosłaś z powrotem z kasyna. Razem: cztery tysiące dwadzieścia franków.

- Dobrze, że mi przypomniałaś - zauważyła Stella. - Chcę wziąć trochę pieniędzy dziś po południu. Muszę sobie kupić perfumy.

- Kupić sobie! - prychnęła ze złością Crissie. - Oszalałaś? Poproś radzę o to, co chcesz. On ci da. Jeżeli myślałaś, że ruszysz choć jednego pensa z pieniędzy, które zaoszczędziłam, to wybij to sobie z głowy. Proś go o perfumy i jeszcze o mnóstwo innych rzeczy.

- Może mi odmówić.

- Och, Stello, bądźże choć raz rozsądna. On lubi, gdy go o coś prosisz. Zachowujesz się tak głupio, kiedy mężczyzna szaleje na twoim punkcie. Podarowałby ci gwiazdkę z nieba, gdyby było to w jego mocy. A ty co robisz? Po prostu siedzisz sobie, nie mówiąc nic, z tym głupkowatym uśmiechem na twarzy, podczas gdy po jednym twoim grymasie on mógłby przynieść ci rubiny czy szmaragdy, aby znów widzieć cię szczęśliwą.

- To okropne brać tak wiele - powiedziała pokornie Stella. Crissie ścisnęła poręcz krzesła, aż zbieleły kostki jej dłoni.

- Tak wiele! - wykrzyknęła. - Kiedy on ma miliony! Kiedy w swoim pałacu w Indiach ma piwnice pełne brylantów i pereł, złota i kości słoniowej! Jesteś głuptasem, Stello! Tak wiele od człowieka takiego jak ten! Nawet gdyby obsypał cię brylantami od stóp do głów, nie zauważy różnicy na swoim koncie w banku. Boże, pripraviasz mnie o mdłości.

- Dobrze, Crissie, zrobię, co tylko będę mogła - oświadczyła Stella pojednawczo choć bez najmniejszego przekonania.

Napięta z emocji Crissie podniosła się z krzesła i znów podeszła do okna. Nagle zawołała:

- Słuchaj, Stello. Przyszło mi coś do głowy.

Stella zdążyła już wrócić do swojej powieści, więc Crissie przemierzyła pokój i z okrzykiem złości wyrwała jej książkę z ręki.

- Powiedziałam: słuchaj!

- Och, Crissie, nie złość się tak. Obiecałam, że się postaram, prawda?

- To stanowczo za mało - gniewnie rzuciła Crissie. - Mówię, że przyszło mi coś do głowy! Czy znasz tę dziewczynę, o której wszyscy mówią, dziewczynę w szarościach z cudownymi perłami?

- Masz na myśli „Ducha”?

- Tak, właśnie ją! Wiem od Francois, że plotkuje o niej całe Monte Carlo.

- Nie dziwi mnie to - powiedziała Stella. - Jest niezwykle piękna i wygląda zupełnie inaczej niż inne kobiety. Oczywiście, te szarości ją wyróżniają, ale nie tylko o to chodzi; w jej twarzy jest coś... nie potrafię tego wyjaśnić.

- Czy jej perły są tak cudowne, jak mówi Francois?

- Nie wiem - odrzekła Stella. - Wyglądają raczej szaro i matowo w porównaniu z brylantami, ale radza mówi, że nigdy nie widział czegoś podobnego. Powiedziałam mu, że, moim zdaniem, jego są dużo piękniejsze.

- Tak mu powiedziałaś - pogardliwie powtórzyła Crissie.

- No a cóż w tym złego? - zdziwiła się Stella. - Cieszył się jak dziecko z tego, że podziwiam coś, co do niego należy.

- Te, które on nosi, to oznaka jego władzy - powiedziała Crissie. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie może ich oddać. Ale dlaczego nie miałby ci kupić tych, które należą do tej dziewczyny?

- Miałby kupić mi perły? - zapytała Stella. - Ależ ja nie lubię pereł. Poza tym, nie spodziewam się, żeby ona chciała je sprzedać.

- Stello, Stello! Czy ty chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa? - wykrzyknęła Crissie z tak dzikim wyrazem twarzy, że Stella wlepiła w nią oczy zatrwożona. - Czy nie rozumiesz? Jeżeli poprosisz radzę o coś naprawdę wartościowego i otrzymasz to w podarunku, będziemy bezpieczne. Francois twierdzi, że te perły warte są królewskiej ceny.

- Francois wie wszystko!

- Poproś radzę, aby dał ci te perły w prezencie. To nieważne, ty biedny głuptasie, czy lubisz perły, czy też ich nie lubisz. Wcale nie będziesz ich nosić, no, w każdym razie nie po naszym wyjeździe stąd, ale kiedy je sprzedamy, będziemy bogate, obydwie i na zawsze.

- A przypuścimy, że powie nie - zasugerowała Stella.

- Czy mógłby? - zapytała pogardliwie Crissie. - Jest w tobie zakochany i chce się przed tobą popisać. Zagraj na jego ambicji. Załóż się z nim, że nie będzie miał dosyć pieniędzy, aby je kupić, a jeśli nawet ma, to i tak nie uda mu się ich zdobyć. W ten sposób go zainteresujesz. Gdy już je zdobędziesz, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie to, jak szybko on znajdzie sobie kogoś innego.

Stella westchnęła cicho.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Crissie, ale to okropnie trudne... Mam na myśli prośenie o coś tak kosztownego. Czy nie mogłabyś zrobić tego za mnie, co? Powiesz mu, że to na moje urodziny lub coś w tym guście.

- Tak, przypuszczam, że spoglądając w moje. cudowne, błękitne oczy od razu mi je przyrzeknie - odrzekła sarkastycznie Crissie. - Nie bądź półgłówkiem, Stello! Sama wiesz, że na takie prośby musisz wybrać odpowiedni moment. Ten jedyny raz zrób użytek ze swojego rozumu, choć niebiosy widzą, że nie masz go za dużo, i wybierz stosowną chwilę. Od

tego zależy nasza przyszłość. Obiecuj mi, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy.

- Spróbuję, Crissie - przyrzekła potulnie. - Co jeszcze Francois mówił o tej dziewczynie?

- Podobno wszyscy o niej mówili i próbowali się dowiedzieć, kim jest. Ale ta druga kobieta, która nazywa siebie jej ciotką, jest zbyt sprytna i jak dotąd nikt nie ma pojęcia, kim są, ani skąd pochodzą. Nawet Alfons z Hotel de Paris nic nie wie, a to, jak twierdzi Francois, nigdy przedtem się nie zdarzyło.

- Wyglądała na miłą - powiedziała Stella.

Crissie spojrzała na nią przenikliwie.

- Tylko nie pomyśl sobie czasem, że jest zbyt miła na to, abyś mogła zapragnąć czegoś, co do niej należy. Dobrze wiem, jak pracuje twój mózdek. Zanim zorientujemy się w sytuacji, już będziemy jej współczuć i stwierdzimy, że ona musi zatrzymać naszyjnik, bo jest to jedyny naszyjnik, jaki posiada.

Stella roześmiała się.

- Marne masz o mnie zdanie, Crissie.

- To chyba jedyna rozsądna rzecz, jaką powiedziałaś od dłuższego czasu - mruknęła Crissie i energicznie wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Stella rozprostowała ramiona nad głową i zaczęła marzyć o tym, by Crissie przestała się aż tak przejmować sprawami materialnymi. Zawsze była taka. Może dlatego, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo. Stella pamiętała, jacy nieprzyjemni byli jej ojciec i matka dla swojej starszej córki. Oboje byli akrobatami i cieszyli się opinią dobrych w swoim zawodzie, oboje byli też fizycznie atrakcyjni, każde na swój sposób.

Crissie urodziła się za wcześnie z powodu wypadku matki. Matka twierdziła, że miała złą linię, ale ojciec zawsze mówił, że to była wina złej koordynacji ruchów, spowodowanej być

może nadwagą matki. Tak czy inaczej Crissie urodziła się o trzy miesiące wcześniej, słaba i zdeformowana. Dopiero pojawienie się Stelli w dwa lata później przywróciło ich rodzicom szacunek do samych siebie, mocno nadszarpnięty przez narodziny pierwszego, tak nieudanego dziecka.

Stella, jako dorodne niemowlę o miłym usposobieniu, dużo się uśmiechała i gaworzyła po swojemu, a od chwili, kiedy zaczęła stawiać pierwsze kroki, była przez wszystkich w teatrze rozpieszczana. Wydawało się, że Crissie będzie zazdrosna o młodszą siostrę. Tymczasem ona potraktowała Stellę jako swoją własność, terroryzowała ją i chroniła, droczyła się z nią i broniła jej. Jeśli Stella zrobiła coś złego, Crissie przyjmowała burę na siebie. Gdy Stella była besztana, Crissie broniła jej odważnie. Stella zaakceptowała przywództwo. Przyjmowała je z uśmiechem i pogodą, ze spokojem, bez żadnego narzekania.

Stella przestała się przeciągać i miała właśnie zacząć nowy rozdział powieści, gdy otworzyły się drzwi. Przekonana, że to wraca Crissie, odwróciła głowę i zobaczyła wchodzącego radzę.

- Halo!

Zarówno jej głos, jak i uśmiech był bardzo miły i zalotny. Radza szybko przeszedł pokój i zbliżywszy się do sofy, ujął jej dłoń i okrył ją pocałunkami.

- Byłem na konnej przejażdżce, ale powinienem przyjść zobaczyć cię wcześniej.

- Wygląda pan bardzo przystojnie w tym stroju - powiedziała Stella, a ciemne oczy radzy zalśniły w odpowiedzi na ten komplement.

Radza był niskim, szczupłym mężczyzną. Kiedy stali blisko siebie, jego głowa sięgała ledwie ramienia Stelli. Był ciągle jeszcze silny i sprawny, mimo że prowadził życie wystawne i hulaszce. Taki tryb życia każdemu by zaszkodził,

więc zapewne za kilka lat radza będzie zmuszony do bezustannego używania alkoholu i narkotyków, by przy ich pomocy podsycać gasnącą witalność i przekwitającą męskość.

Teraz jednak radza był wciąż dość młody na to, by zaspokajać swoje zmysły i używać życia, zapominając o przyszłości. Gdy spojrział na leżącą Stellę, w jego oczach błysnęły iskry.

- Czy chciałabyś dziś wieczorem popatrzeć, jak strzelam do gołębi? - zapytał.

- Jeśli pan tego chce - odrzekła Stella. - Chociaż nie znoszę strzelb, ich huk przyprawia mnie o ból głowy.

- Więc wybierzemy się na przejażdżkę, a może zostaniemy tutaj? Przy tej drugiej sugestii w głosie radzy zniecka pojawiły się ogniste tony.

- Wszystko mi jedno, co będziemy robić - leniwie oznajmiła Stella.

- Chciałbym, żeby nie było ci wszystko jedno - odparł szybko. - Chcę robić to, co tobie sprawia przyjemność. Bo jeżeli o mnie chodzi, to wystarcza mi, że jesteśmy razem. Bardzo pięknie dzisiaj wyglądasz.

- To dzięki tej sukni, którą mi pan podarował - powiedziała Stella. - Dziś rano przysłano ją z Paryża. Podoba się panu? Lepiej się podniosę, żeby pan mógł ją dokładnie zobaczyć.

Poruszyła się tak, jakby miała zamiar wstać, ale radza zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie, leż sobie - rzekł miękko. - Wyglądasz zachwycająco, niczym bogini wsparta na obłoku.

- Całe szczęście, że ten obłok jest z solidnego materiału - zaśmiała się Stella.

- Nie, nie śmiej się - przerwał jej radza. - Jesteś bardzo piękna. A ja jestem bardzo w tobie zakochany! Już od

dłuższego czasu nie byłem tak zakochany... może nigdy przedtem.

Stella uśmiechnęła się do niego sennie, zadowolona, że może sprawić mu tyle przyjemności. W tym samym momencie przypomniała się jej Crissie. Z trudnością odnajdywała właściwe słowa.

- Jeżeli kocha mnie pan tak bardzo - rzekła po dłuższej chwili - to czy może pan to udowodnić?

Z oczu radzy zniknął na moment ciepły wyraz, ale za chwilę, gdy spojrzał na nią, na jej pełne, czerwone usta, znowu uległ nagłemu impulsowi.

- Udowodnię moją miłość w taki sposób, w jaki sobie zażyczysz - odpowiedział.

- To będzie coś niezwykle trudnego. Nie wierzę, że uda się panu to zrobić - mówiła Stella, mając w pamięci przykazanie Crissie, żeby zagrać na jego ambicji.

- Niewiele jest takich rzeczy, których nie mógłbym zrobić - chełpliwie oznajmił radza, a Stelli wydał się w swojej próżności po prostu głupi.

- Zastanawiam się, czy mógłby mi pan kupić perły, należące do tej dziewczyny... tej, którą nazywają „Duchem”.

Wypowiadając te słowa, dziwiła się swojemu własnemu zuchwalstwu. Przyjmowanie prezentów od ludzi, którzy pragnęli je dawać, to miła rzecz, ale proszenie ó ogromnie kosztowny podarunek, to już coś zupełnie innego. Stella nigdy się nie przejmowała żadnymi normami zachowania, uznanymi przez innych za właściwe. Nikt zresztą nie mówił jej, że powinna się nimi w życiu kierować. Choć uważała, że to miłe i przyjemne, gdy mężczyźni obdarzają ją podarunkami, wyczuwała jednak intuicyjnie, że proszenie o coś, czego nikt nie zamierzał jej dawać, jest chciwością i jakąś nieprzyzwoitością. Zrobiło się jej gorąco i poczuła się nieswojo, gdy poprosiła tego miłego, małego człowieczka o

jeszcze jeden prezent, choć już podarował jej tak wiele. Przyznała szczerze przed samą sobą, że co za dużo, to niezdrowo, i aby zagłuszyć własne sumienie, stała się zniecierliwieła niesłychanie tkliwa.

Chyba po raz pierwszy, od kiedy poznała radzę, Stella spontanicznie wyciągnęła ku niemu ramiona, a gdy pochylił się nad nią, objęła go za szyję.

- Jeżeli to jest zbyt duży kłopot, proszę o tym zapomnieć - szepnęła cicho, jakby w obawie, że Crissie mogłaby ją podsłuchać.

Ramiona radży gwałtownie zacisnęły się wokół niej.

- Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz - usłyszała.
- Wszystko! Jesteś piękna, jesteś, jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem. Zdobędę dla ciebie te perły, choćby nie wiem ile kosztowały...

Radża przypomniał sobie obietnicę, daną Stelli w willi Shalimar, akurat w momencie, gdy przebierał się do obiadu tego wieczora. Posłał lokaja po swego sekretarza. Ów dżentelmen przybył na wezwanie w wielkim pośpiechu. Był w stroju wieczorowym, na ramionach miał wyjściową pelerynę podbitą jedwabiem.

- Wychodzisz? - zainteresował się radża.

- Wasza wysokość raczył mnie poinformować, że nie będzie potrzebował moich usług dzisiejszego wieczora.

- Tak, tak, oczywiście. Przypuszczam, że zobaczę cię w kasynie?

- Nie jestem tego pewien - odrzekł sekretarz. - Jem dziś kolację z pewną niezwykle czarującą damą.

Oczy obu mężczyzn spotkały się i radża roześmiał się krótko.

- Wasza wysokość jest niezwykle łaskawy.

- No tak, ale nie wezwałem cię po to, aby poznawać twoje plany na dzisiejszy wieczór. Chciałem się zapytać, co wiesz o tej dziewczynie, która wzbudza taką sensację.

- Mademoiselle Fantome? - dociekał sekretarz. - Właśnie!

- Bardzo niewiele, Wasza wysokość. Okazuje się, że właściwie nic o niej nie wiadomo.

- Wszyscy mówią to samo - zauważył radza. - Dość dziwne, ale cały czas wydaje mi się, że gdzieś widziałem już jej opiekunkę, tę, którą nazywają madame Secret. Jak wiesz, nie mam pamięci do nazwisk, ale rzadko zapominam twarze. Poznałem ją albo może widziałem gdzieś, jestem tego absolutnie pewien, choć kiedy to było, nie wiem. Moja pamięć nieczęsto szwankuje.

- Rzeczywiście! Pamięć Waszej wysokości jest zdumiewająca.

- Przypomnę to sobie bez wątpienia, tymczasem zrób dyskretnie mały wywiad i dowiedz się, czy naprawdę powodzi im się tak dobrze, jak na to wyglądają. Szef Hotel de Paris jest moim starym przyjacielem. Powiedz mu, że chcę uzyskać wszystkie informacje, jakich może mi udzielić.

- Wasza wysokość może być spokojny i pewny, że zrobię, co tylko będę mógł. Jeżeli zawiedzie szef hotelu - powiedział z zastanowieniem sekretarz - znam kogoś, kto nam pomoże. Człowieka ten nazywa się Dulton. On potrafi wyszperać prawie wszystko, za wynagrodzeniem oczywiście.

- Koszty nie grają roli.

- Rozumiem, Wasza wysokość. Sekretarz w ukłonach wycofał się z pokoju.

Radza po raz ostatni przejrzał się w lustrze. Dziś miał na przodzie turbanu olbrzymi rubin. Otaczały go diamenty. Kamienie lśniły i mieniły się, w zadziwiający sposób kontrastując z surowością wieczorowego garnituru, skrojonego przez angielskiego krawca.

Duży, skórzany kufer na biżuterię, w którym radza przechowywał wszystkie swoje klejnoty, stał otwarty na toaletce. W kącie pokoju stali dwaj strażnicy klejnotów, którzy pilnowali ich dniem i nocą, i gotowi byli umrzeć w obronie tego, czego strzegli.

Radza spojrzął w dół na wyłożone aksamitem pudełeczka. Wyjął rubinowy pierścień i wsunął go na mały palec lewej ręki. Obok leżał pierścień z niezwykle pięknym szafirem. Nie miał on wprawdzie szczególnie ciemnej barwy, ale gdy musnęło go światło świec z kandelabru przy toaletce, radza ujrzał w nim przez moment oczy Stelli. Wyjął klejnot z aksamitnej kasetki, oglądał go obracając w palcach i był już bliski włożenia go do kieszeni, gdy nagle zmienił zamiar. Umieścił pierścień z powrotem w kasetce. To muszą być perły, zdecydował. To było wyzwanie, któremu nie mógł się oprzeć.

Będę kosztowne, ale to nie obchodziło go zupełnie. W grę wchodziła jego duma, ambicja, by okazać się zdolnym do zdobycia czegoś, co wydaje się niemożliwe do zdobycia. Po kolejnym spojrzeniu w lustro, ignorując głębokie ukłony służących, wyszedł z sypialni i szerokimi schodami prowadzącymi do holu zszedł na dół.

Na zewnątrz czekał powóz. Służący w czerwonych i białych uniformach rzucili się do otwierania drzwi i pomogli radzy wsiąść do komfortowego, wyłożonego poduszkami wnętrza pojazdu. Woźnica błyskawicznie wskoczył na kozioł i powóz, z hamulcem mocno zaciśniętym na kołach, ruszył w dół stromej drogi, by po przebyciu kilkuset jardów zatrzymać się przy wejściu do willi Mimoza.

Stella czekała już na niego. Wyglądała tego wieczora wyjątkowo ' atrakcyjnie, w sukni prosto z Paryża, uszytej z zielonej krepy, ozdobionej koronką i falbankami z blad różowego atłasu. Włosy opadały z tyłu głowy długimi

lokami, przystrojone wianuszkami róż posypanych maleńkimi diamentami.

Perfumy, które radza kupił jej tego popołudnia, napełniły powóz intensywnym, upajającym zapachem. Gdy tylko wsiadła i znalazła się tuż przy radzy i gdy zamknęły się drzwi, podniósł jej dłoń do ust, jego wargi dotykały kolejno wszystkich palców.

- Dokąd jedziemy na obiad? - zapytała Stella. - Jestem strasznie głodna.

Zęby radzy zacisnęły się na chwilę u nasady jej kciuka.

- Ja też jestem głodny, mam apetyt na ciebie - odparł, a potem dodał w odpowiedzi na jej pytanie: - Zamówiłem stół w Hotel de Paris.

- Cieszę się - powiedziała Stella. - Jedliśmy tam wspaniały obiad przedwczoraj wieczorem.

- Tak, będziemy mogli dobrze zjeść. Sądzę też, że będziemy mogli równocześnie poobserwować tę damę z perłami.

- „Ducha”! - wykrzyknęła Stella. - Wszyscy mówią na nią „Duch”.

- Kto ci powiedział, że wszyscy tak o niej mówią?

- Francois - . po prostu odpowiedziała Stella.

- Francois? - pytającym tonem powtórzył radza.

- Pana kucharz!

Radza roześmiał się.

- Więc mój kucharz jest plotkarzem i to plotkuje z tobą!

- Przyszedł do mnie dziś rano - tłumaczyła Stella - aby dowiedzieć się, co będę chciała jeść w ciągu dnia. Mówił, że jest wielkim artystą, a wielcy artyści zawsze pragną zadowolić swoich państwa. A on, jeżeli nie mówi o jedzeniu, to opowiada o ludziach.

- Więc to sprawka Francoisa, że zapragnęłaś pereł, które są własnością „Ducha”?

- Nie, to była... - zaczęła Stella i urwała w pół słowa. Pomyślała nagle, że nie byłoby mądrze mówić radzy, kto wbił jej ten pomysł do głowy. On nie lubił Crissie, wiedziała o tym. Uważał, że jej kalectwo jest szkaradne i że garb sprowadzi nieszczęście na jego dom. Nie, wspomnianie Crissie nie byłoby mądre, zwłaszcza teraz, gdy radza był w tak dobrym humorze i obiecał, że kupi jej perły należące do „Ducha”.

Aby poprawić nastrój po tym, co jej się nieopatrnie wymknęło z ust, Stella położyła rękę na kolanie radzy i oparła głowę na jego ramieniu.

- Dlaczego jest pan dla mnie taki dobry? - spytała miękko.

- Naprawdę chcesz, abym odpowiedział na to pytanie? - szepnął radza i kiedy mijali uliczną latarnię, Stella zauważyła w jego oczach błysk.

Rozdział 6

Mistral klęcząca w małej kapliczce świętej Devote. Kościółek wybudowano u stóp głębokiego jaru, który rzucał cień na świątynię, dlatego niewiele światła padało przez witrażowe okna. Wnętrze, oświetlone tylko płomieniami świec migoczącymi przed obrazem patronki kaplicy i świecą przed tabernakulum na ołtarzu, było mroczne i posępne.

Mimo że tego dnia przypadało świętego Józefa, na mszy obecnych było tylko kilkoro ludzi. Mistral, odmawiając modlitwy, których nauczyły ją zakonnice, nagle przypomniała sobie słowa sir Roberta: „Niewielu jest świętych w Monte Carlo”

W uszach dźwięczał jej żartobliwy ton jego głosu, wyraźnie widziała cień uśmiechu w oczach, gdy na nią patrzył. Jakież on przystojny! To śmieszne, pomyślała Mistral, ale od tego poranka, gdy spotkali się w ogrodach, w moich myślach nierozzerwalnie połączył się z osobą świętej Devote.

Wystarczyło, że tylko pomyślała o świętej Devote, która przez morze dotarła tu z Korsyki, i natychmiast zaczynała myśleć również o sir Robercie. Wystarczyło, że zapytała ciotkę, czy będzie mogła uczestniczyć w porannej mszy, lub że schodziła schodami, które wiodły do wielkiego wąwozu, dzielącego stateczne miasto Monako od frywolnego Monte Carlo, by natychmiast zagościł w jej myślach sir Robert.

Właściwie widywała go każdego wieczora, z daleka, lecz jak ustalili przy pierwszym spotkaniu, jeżeli znaleźli się wśród ludzi, zachowywali się tak, jakby zupełnie się nie znali. On był zawsze w towarzystwie pewnej damy o przepięknych kasztanowych włosach, którą ludzie nazywali lady Violet. Mistral uważała tę kobietę za niezwykle atrakcyjną, choć nie pierwszej młodości. Co do tego Mistral nie miała pewności,

bo jako osiemnastolatka często brała ludzi za starszych, niż byli w rzeczywistości, a później łąła siebie samą za to, że dodaje im lat.

Tym razem jednak przeczuwała, że się nie myli, bo chociaż ta Angielka była wytwornie ubrana i chociaż posiadała wyjątkowy, nieodparty wdzięk, który sprawiał, że mężczyźni w jej towarzystwie zawsze z uśmiechem przyjmowali jej słowa, to jednak w sposobie poruszania się, w zarysie szyi, ostro zarysowanym podbródku, a także w zmęczeniu, które czasem pojawiała się w jej oczach, było coś, co zdradzało prawdziwy wiek.

Mistral przyłapała się na tym, że obserwuje sir Roberta i lady Violet. Kiedy przekraczała próg sali restauracyjnej Hotel de Paris, szybko spoglądała w kierunku stołu, który zazwyczaj zajmowali. Kiedy szła z ciotką do kasyna, a potem stała obserwując graczy, wiedziała, że naprawdę pragnie zobaczyć tylko jedną osobę.

Czuła, że nawet gdyby miała zawiązane oczy, wiedziałaby, kiedy do sali wszedł sir Robert. Był tak silną indywidualnością, że wyróżniał się nawet tu, wśród ogromnego, kosmopolitycznego tłumu, który kłębił się dookoła stołów.

Można było tu spotkać mężczyzn wszystkich narodowości, przystojnych, eleganckich, dystyngowanych, ale Mistral wydawało się, że ich twarze są takie puste, tak niewiele mówiące, tak pozbawione wyrazu. Sir Robert był inny. W jego twarzy było coś szlachetnego, coś stanowczego i silnego, coś, czego brakowało jej w twarzach innych mężczyzn. Kiedy się śmiał - a to zdarzało się często, gdy przebywał w towarzystwie lady Violet - wyglądał młodo, a kiedy uśmiech zniknął z jego twarzy, wyglądał poważnie i dojrzałe.

Mistral zastanawiała się na tym, czy był szczęśliwy. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś go trapi, jednak ilekroć tak pomyślała, miała pretensje do samej siebie za nadmiar wyobraźni. Poza tym ciotka Emilia gniewałaby się, gdyby wiedziała, jak ona często myśli o sir Robercie.

Skończywszy modlitwy, Mistral wstała i ruszyła główną nawą ku wyjściu. Czekająca na nią Jeanne siedziała w tylnej ławce. Nie mogła uklęknąć, bo w ostatnich dniach dokuczał jej reumatyzm, więc gdy razem szły do kaplicy, czekała na Mistral z tyłu, gdzie mogła pozostać nie zauważona.

Jeanne podniosła się, podeszła do Mistral, obydwie się przeżegnały i przez kruchtę wyszły wprost na jasne, słoneczne światło. Mistral zmrużyła oczy, oślepiąca jaskrawym blaskiem popołudniowego słońca. Po chwili spostrzegła, że ktoś zmierza po schodach w jej kierunku. Na drodze czekał odkryty powóz. Zanim się zorientowała, czyj to powóz, stanął przed nią książę Mikołaj, ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Pani ciotka mówiła, że tutaj panią znajdę, mademoiselle. Czy pozwoli pani zaprosić się na przejażdżkę przed powrotem do hotelu?

- To bardzo miłe ze strony Waszej książęcej mości - cicho powiedziała Mistral.

W jej głosie zabrzmiała nuta zakłopotania. Spojrzała na księcia. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Z wyrazem ożywienia w ciemnych oczach zdawał się badać dokładnie rysy jej twarzy. Przeniosła wzrok na drogę. Odkryty powóz zaprzężony był w dwa wspaniałe konie. Przybrane czarnymi dżetami, potrząsały długimi grzywami i niemal stawały dęba z niecierpliwości.

- Proszę ze mną, mademoiselle.

Słowa księcia były uprzejme, ale ton głosu władczy. Mistral wyczuwała instynktownie, że nawet przez chwilę nie dopuścił do siebie myśli, że mogłaby odmówić, chociaż ona

właśnie to pragnęła uczynić. Chciałaby wracać razem z Jeanne, ciesząc się blaskiem słońca oraz poczuciem dobra, zadowolenia i spokoju, jakie ogarniało ją zawsze po wyjściu z kościoła. Ale zamiast tego czekał ją inny program, którego nieco się obawiała.

Nie dlatego, że nie lubiła księcia, przeciwnie, lubiła go, choć czasami przerażała ją jego żywiołowa impulsywność. W rzeczywistości obawiała się nie księcia, ale stosunku ciotki do niego. Był częścią jakiegoś planu ciotki Emilii, tego Mistral była pewna. Równocześnie stała się podejrzliwa i zaczęła się bać planu, jakikolwiek by on był, ponieważ kazał ciotce wydawać dziwaczne polecenia, a jej samej nie pozwalał zachowywać się zwyczajnie.

Dlaczego, na przykład, ciotka Emilia powiedziała, że w Monte Carlo nie wolno jej rozmawiać z żadnym mężczyzną oprócz księcia? Dlaczego kazała jej być szczególnie miłą dla Jego książęcej wysokości? Mistral zadrzała na myśl o ukrytym znaczeniu słowa; miła. Oczywiście zapytała wtedy ciotkę.

- Co ty, ciociu Emilio, rozumiesz przez słowo: miła? - zapytała ze śmiertelną powagą.

- Rozumiem to, że masz go ośmielać! - warknęła Emilia.

- Do czego mam go ośmielać? - dopytywała się Mistral. Emilia już otwierała usta, aby odpowiedzieć, lecz spojrzała na Mistral i zobaczyła w jej oczach samą niewinność, nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

- Bądź przyjemna dla księcia - rzuciła pospiesznie. - Zachowuj się tak, by czuł, że dobrze ci w jego towarzystwie i że go lubisz.

- Lubię go - powiedziała Mistral. - Ale dlaczego nie mogę być miłą dla nikogo innego, ciociu? Przecież są inni mężczyźni, którzy może także chcieliby dotrzymać nam towarzystwa.

Mówiąc to myślała o sir Robercie. Zupełnie nie spodziewała się gniewu, jaki zadźwięczał w podniesionym głosie ciotki, której twarz nagle pociemniała.

- Nie ma takich mężczyzn, których chciałobyśmy widzieć w naszym towarzystwie - oznajmiła z wściekłością Emilia. - Czy nie powiedziałam ci o tym? Zależy nam tylko na księciu Mikołaju. Będiesz miła dla niego, poza tym dla nikogo innego. Zostaniesz ukarana, jeśli mnie nie posłuchasz! Ale sądzę, że będziesz dość mądra na to, aby nie sprzeciwiać się moim poleceniom.

W wyrazie twarzy Emilii było tyle zła, że Mistral instynktownie odsunęła się od niej.

- Zrobię, co każesz, ciociu Emilio - powiedziała i jakoś udało jej się umknąć z salonu do ustronia swojej własnej sypialni.

Co to wszystko miało znaczyć? I dlaczego ciotka Emilia tak wyraźnie faworyzuje księcia Mikołaja?

Zaczął się tego wieczora, gdy po raz pierwszy odwiedziły kasyno. Emilia wstała od ruletki tuż po tym, jak od stołu odszedł książę Mikołaj, i podążyła za nim. Teraz Mistral była tego pewna, choć wtedy myślała, że się myli i że ciotka po prostu przechadza się bez celu po salach, tak jak wielu innych gości. W pewnej chwili, gdy książę przystanął, wyraźnie zastanawiając się, do którego stołu ma podejść, ciotka Emilia upadła prosto na niego.

Powiedziała, że stopą zaczepiła o dywan, ale Mistral wcale tego nie zauważyła. Jednak ciotka Emilia potknęła się i straciwszy równowagę uchwyciła się ramienia księcia. Złote monety, które trzymał w ręku, rozsypały się po podłodze. Ludzie rzucili się ze wszystkich stron, aby je pozbierać, a ciotka Emilia przepraszała księcia.

- Proszę o wybaczenie, sir. Doprawdy nie wiem, jak mam pana przepraszać za moją niezdarność. Zaczepiłam stopą o

dywan i gdybym nie przytrzymała się pana, zapewne bym upadła. Obawiam się, że jestem już zbyt stara na to, by wyjść z upadku bez szwanku.

- Proszę już o tym nie wspominać, madame - powiedział kurtuazyjnie książę. - Cieszę się, że mogłem być pomocny.

Jeden z lokajów wyciągnął do niego całą garść ludwików.

- To wszystko, co udało mi się ocalić, Wasza książęca mość - rzekł. - Obawiam się, że wiele z nich zostało zabranych jako talizmany na szczęście.

Książę roześmiał się.

- Zatrzymaj sobie resztę, mam nadzieję, że przyniosą szczęście również tobie.

Mężczyzna był wzruszony.

- To więcej niż wspaniałomyślność ze strony Waszej książęcej mości... Stokrotne dzięki!

Brwi ciotki Emilii uniosły się.

- Waszej książęcej mości! - powtórzyła - Ależ tak, oczywiście, teraz widzę podobieństwo. Pan musi być księciem Mikołajem! Znałam przed laty pańskiego ojca. Bardzo go pan przypomina.

- Przyjmuję to za komplement - powiedział książę. - Jestem jednym z najbardziej oddanych wielbicieli mojego ojca.

Spojrzał na Mistral, która zza pleców ciotki w, milczeniu przypatrywała się całemu spektaklowi. Emilia ani się nie zawahała.

- Pan pozwoli, Wasza książęca mość, że mu przedstawię swoją siostrzenicę. - Po czym zwróciła się do Mistral: - Kochanie, oto syn Wielkiego Księcia Rosji, Iwana. Kiedy byłam tu wiele, wiele lat temu, Wielki Książę był jedyną znakomitością goszczącą w księstwie. Bardzo przystojny mężczyzna, a syn jest do niego podobny.

Mistral dygnęła. Księżę ucałował jej dłoń i, raz spojrzawszy w ciemne oczy, nie mógł oderwać od niej wzroku. Skwapliwie zwrócił się do Emilii:

- Pani pozwoli, że zaproszę ją i siostrzenicę na małą kolację. Mój ojciec życzyłby sobie, abym był uprzejmy dla jego przyjaciół z dawnych lat.

Tak właśnie zaczęło się to wszystko, pomyślała Mistral, a teraz, dzień po dniu, dziwna sieć, którą Emilia motała wokół księcia i niej samej, oplatała ją coraz ściślej i ściślej.

Nie mogła nic powiedzieć ani nic zrobić poza wykonywaniem poleceń ciotki, a teraz, stojąc u szczytu schodów kapliczki, była pewna, że to sam na sam z księciem również stanowiło część planu Emilii. Bez

- wątpienia pomysł księcia, aby zaprosić ją na przejażdżkę, był spontaniczny, czy zdawał sobie sprawę z matactw Emilii, czy też nie, ale jej samej świadomość, że wszystko jest zaplanowane i stanowi część jakiejś dziwnej łamigłówki, do której klucz dzierży tylko ciotka, odbierał całą przyjemność. Raz jeszcze zapragnęła ulec wewnętrznemu impulsowi i odrzucić zaproszenie księcia. Chciała mu powiedzieć, że woli wrócić do domu z Jeanne. Wiedziała jednak od samego początku, że nie jest to możliwe. Czowała tuż obok siebie obecność ciotki Emilii, choć jej tu wcale nie było, wyraźnie słyszała stanowcze rozkazy, choć nikt ich na głos nie wypowiadał.

- Pójdę do domu, mademoiselle - odezwała się cicho, Jeanne i Mistral była pewna, że ona także otrzymała odpowiednie polecenia.

- Dobrze, Jeanne - odrzekła i nie patrząc na księcia, zeszła po schodach kaplicy.

Lokaj we wspaniałej liberii pomógł jej wsiąść do powozu. Ma dziwną twarz, zauważyła Mistral, z oczyma w kształcie migdałów i wystającymi kośćmi policzkowymi.

Gdy zamknął drzwi za księciem i wspiął się na kozioł, Mistral spytała:

- Jakiej narodowości jest pański lokaj? Wygląda jak Chińczyk.

- Właściwie jest Rosjaninem - odpowiedział książę - ale urodził się u podnóża Tybetu. Jest moim osobistym służącym od czasu, gdy byłem niemowlęciem. Nazywam go „Strażnikiem”, bo strzeże mnie dzień i noc. W ciągu dnia zawsze mi towarzyszy, a w nocy śpi na progu mojego pokoju. Nic złego nie może mnie spotkać, gdy Potok jest blisko.

- Jak to wszystko romantycznie brzmi! - wykrzyknęła Mistral. Książę roześmiał się.

- Ale tak jak romans, bywa czasami okropnie męczące. Pani musi się ze mną zgodzić, bo przecież pani także ma swojego stróża.

- Ja?

Mistral spojrzała na niego ze zdziwieniem

- Tak, pani - powtórzył książę. - Pani ciotka jest jak smok. Okropnie się jej boję.

- Ja też się boję ciotki Emilii - wyznała Mistral. - Jednak nie rozumiem, dlaczego pan miałby się jej bać. Jest zawsze dla pana wyjątkowo miła.

- Myślę, że właśnie tego się boję - powiedział książę, ale uśmiechnął się przy tym tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że w jego wyznaniu nie ma ani krzty prawdy. - Ale opowiedz mi o sobie, mała mademoiselle; dlaczego ubiera się pani na szaro?

Przy tych słowach dotknął szarej, fularowej spódnicy, której obszerne fałdy zajmowały niemal całe siedzenie powozu, a potem spojrzał na miękką chustkę z szarego muślinu, skrzyżowaną na piersiach i niewielki czepeczek ozdobiony szarymi piórami, który nie mógł przysłonić olśniewającej piękności włosów.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - niepewnym głosem odezwała się Mistral.

- Czemu nie? Czy to też tajemnica, tak jak pani prawdziwe nazwisko i nazwisko pani ciotki?

- Tak... tak sądzę!

- Sprytne, bardzo sprytne - księżę zdawał się mówić do samego siebie. Potem dodał: - Ale czy my, pani i ja, musimy mieć przed sobą jakieś tajemnice? Jesteśmy teraz sami, to nieoczekiwana sposobność, aby pomówić o pani, zachwycający, mały, szary duszku, więc zapomnijmy o całym świecie, także o pani cioteczce.

Mistral mocno zacisnęła ręce na kolanach. W głosie księcia, w jego pieśczośliwym, niemal poufałym tonie było coś, co powodowało, że chciała uciekać. Jechali wzdłuż brzegu morza. Pragnęła popatrzeć na morze, na cytrynowe gaje po przeciwnej stronie drogi i na wzgórza za nimi, gdzie pasły się owce, lecz nie śmiała odwrócić wzroku od mężczyzny, który siedział przy niej.

Lubiła księcia, ponieważ zawsze śmiał się i żartował. Był bardzo młody i niezwykle wesoły, a poza tym, przy każdej okazji, mówił jej takie rzeczy, które przyprawiały ją o drżenie, i czuła wtedy, jak krew napływa jej do policzków. Taką reakcję wywoływało u niej nie to, co mówił, ale jak to mówił. Dochodziła do przekonania, że on cały czas bawi się z nią, że jego komplementy, aczkolwiek wytworne, nie są szczerze, lecz należą do jakiejś gry - gry, której reguł nie znała,

- Nie chcę mówić o sobie - gwałtownie odezwała się Mistral. - To nudny temat, poza tym niewiele mam do opowiadania. Zamiast tego, może pan mi opowie o ludziach, którzy mieszkają w tych cudownych willach?

- Dlaczego miałbym coś o tym wiedzieć i po co myśleć o takich nudnych, przyziemnych rzeczach, skoro wszystko, co mnie w tej chwili interesuje, jest tutaj, w tym powozie, w

zasięgu moich ramion? - powiedział książę, pochylając się ku niej, aby spojrzeć w jej twarz. Jego wzrok zatrzymywał się na jej ustach.

- Ależ musi pan wiedzieć - wtrąciła szybko Mistral, gdyż poczuła się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem i była pewna, że się rumieni pod wpływem aluzji ukrytej w jego słowach. - Na przykład, gdzie pan mieszka? Z ojcem?

To pytanie na chwilę zajęło uwagę księcia.

- Wiec jest pani troszeczkę mnie ciekawa?! - wykrzyknął.
- Nie, nie mieszkam już z ojcem. Dwa miesiące temu, gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat, podarował mi willę na własność. Mój ojciec jest staroświecki i jego Chateau stoi niedaleko pałacu, w starej i szacownej części Monako. Moja willa jest bardzo elegancka i nowoczesna. Znajduje się wysoko, ponad nowym miastem, przy drodze do Monte Angel. Tam żyję tak, jak chcę, zachowuję się tak, jak sobie tego życzę. Cudowne jest takie poczucie wolności.

- Jaki pan szczęśliwy!

Mistral wyrzekła te słowa z nagłą, z głębi serca płynącą szczerością. Poczula w tej chwili, że i ona pragnie żyć własnym życiem i robić to, co się jej podoba.

- Chciałbym pokazać pani swoją willę któregoś dnia - powiedział książę, znów wpatrując się w twarz Mistral. - Czy przyjdzie mnie pani odwiedzić? Bardzo bym tego pragnął, chociaż myślę, że będziemy musieli prosić o pozwolenie cioteczki. Jest wiele innych rzeczy, które chciałbym również pani pokazać, chociażby Drogę Kornwalijską w świetle księżycy, jeżeli zostalibyśmy sami.

- Moja ciotka nigdy na to nie pozwoli - pośpiesznie odparła Mistral.

- Zastanawiam się, w jaki sposób mógłbym ją przekonać - zamyślił się książę.

- Nie, proszę nawet nie próbować.

W głosie Mistral zabrzmiała niemal panika. W tym samym momencie książę sięgnął ręką, by zdjąć jej dłoń z kolan. Drżała pod jego palcami jak trzepoczący się w sidłach ptak.

- Widzę, że pani rzeczywiście się mnie boi. Dlaczego, mały głuptasku, przecież nie ma się pani czego obawiać. Nigdy nie skrzywdziłbym pani.

Niespodziewanie jego głos stał się miły i delikatny, a Mistral nagle poczuła, że jej oczy napełniają się łzami.

- To nie dlatego... że... jestem naprawdę przestraszona - wyjąkała. - To dlatego... że ja nie... nie rozumiem.

- Czego pani nie rozumie? - spytał książę. - I proszę nie płakać. Jest pani tak słodka, że nie zrobiłbym nic takiego, co mogłoby panią zdenerwować.

- Przepraszam, że jestem taka głupia - rzekła Mistral, uwalniając rękę, aby sięgnąć po chusteczkę. Książę podał jej swoją. Była z miękkiego płótna i miała zapach kwiatu pomarańczy. Mistral wytarła oczy i oddała mu ją.

- Wstyd... wstyd mi... za siebie - wykrztusiła. Twarz księcia nagle spowaźniała. Wziął chusteczkę i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Pomówmy teraz szczerze - powiedział zupełnie innym tonem. - Dlaczego jest pani zdenerwowana i dlaczego pani się mnie boi? Proszę powiedzieć mi prawdę, a ja spróbuję pomóc pani, jeśli tylko będę umiał.

Mistral spojrzała mu w oczy. W wyrazie jego twarzy dostrzegła coś, czego przedtem nie było, to ją uspokoiło i pozwoliło powoli odpowiedzieć.

- Tak... tak mi trudno wyrazić słowami, co czuję... ale kiedy pan do mnie mówi... w taki sposób... jak dziś, to jakby pan się śmiał ze mnie... i równocześnie... zmuszał mnie do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chcę... choć wcale nie wiem, co to jest! W tym kryje się coś... coś innego niż słowa...

och, Boże, nie potrafię wyjaśnić... ja muszę... wydawać się panu okropnie głupia... nie zrozumie pan...

- Myślę, że rozumiem - powiedział cicho ksiązę. - Jest pani bardzo młoda i dopiero co opuściła klasztor. Mówiła mi o tym pani ciotka. To prawda, czyż nie?

Mistral skinęła głową.

- Nigdy nie zalecano się do pani, a pani jest taka piękna, że teraz wszyscy mężczyźni, którzy panią widzą, próbują z panią flirtować. To, co panią niepokoi, to miłość. Czy o to pani chodzi?

- Nie, chyba nie - odpowiedziała szczerze Mistral. - Jakoś nie wierzę, żeby... żeby miłość mogła być taka. Myślałam o tym, oczywiście, i dziewczęta w klasztorze często mówiły o mężczyznach i o miłości, ale... Myślałam, że będzie ona bardziej wzniosła... że będzie święta!

Na chwilę zapadła cisza i ksiązę westchnął cicho:

- Ma pani rację. Prawdziwa miłość jest właśnie taka, ale cóż, miłość ma także inne oblicze.

- Och, rozumiem - szepnęła Mistral. - Więc to, co zwykle się spotyka, to taka... inna miłość?

- Właśnie! Spotyka się ją niemal na każdym kroku w takim miejscu jak Monte Carlo.

Mistral zmarszczyła czoło.

- Więc ta miłość... ona nie jest poważna... to po prostu coś, z czego można się śmiać?

- Tak robi większość ludzi.

- To... to jakoś nie wzbudza we mnie chęci do śmiechu, ale... ale spróbuję.

Książę poruszył się gwałtownie.

- Nie - wtrącił szybko. - Niech pani będzie sobą, niczego nie udaje, nie gra roli, która pani nie odpowiada.

Mistral podniosła na niego wielkie, zakłopotane oczy.

- Więc co ja właściwie mam robić? - spytała. Książę spojrział w dal, na morze.

- Pani jest zbyt młoda, aby być tutaj - powiedział.

- Tutaj? - zdziwiła się. - Z panem?

- Tak - odrzekł książę. - Wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz już wiem, że nie powinna pani więcej jeździć ze mną bez opieki ani włóczyć się z ciotką po Monte Carlo, ponieważ staje się pani obiektem plotek i domysłów ludzi, którzy tkwią tu po to, by mleć językiem.

- Dlaczego ludzie o mnie mówią?

Książę spojrział na nią przenikliwie, jakby nie wierzył w naiwną szczerłość jej pytania. Zrozumiał jednak, że zadała je z całą prostotą, uśmiechnął się delikatnie i ująwszy jej dłoń, wsunął ją pod swoje ramię i poklepał przyjaźnie jak brat, który uspokaja ulubioną siostrę.

- Proszę nie zawracać sobie głowy takimi sprawami - powiedział. - Niech pani spróbuje po prostu cieszyć się naszą wspólną przejażdżką. Dzień jest cudowny i żadne z nas nie ma najmniejszego powodu do niepokoju.

Zaszła w nim nadzwyczajna zmiana, którą Mistral wyczuła; ale której nie potrafiła wyjaśnić. Uśmiechnęła się do niego bez zakłopotania, a jej policzki znów nabrały kolorów.

- Teraz opowiem pani wszystko, co chce pani wiedzieć - zaczął książę i szybko wprowadził ją w zachwyt swoimi opowieściami na temat księstwa.

Wprawdzie siostra Heloiza mówiła jej w klasztorze o świętej Devote i pięknie Monako, ale była to tylko prosta kobieta, więc dopiero od księcia Mistral dowiedziała się czegoś o historii słynnej skały.

Opowiedział jej o pierwszych mieszkańcach Monako, którzy w epoce kamiennej zamieszkiwali jaskinie nad samym morzem. Mówił o tym, jak później zajęli to miejsce Fenicjanie podczas swoich wypraw odkrywczych po Morzu

Śródziemnym i jak budowali świątynię Melkarta, boga słońca i wszystkich istot żyjących.

Najbardziej spodobała się Mistral opowieść o tym, jak Grecy doszukiwali się w fenickim bogu swojego Heraklesa, który ponoć tu właśnie, w Monako, wykonał jedną z dwunastu prac, zdobywając złote jabłko ze strzeżonego przez smoka Ogrodu Hesperyd.

- Dziś oczywiście wszyscy w Monako twierdzą, że te złote jabłka to były nasze soczyste, złociste pomarańcze! - śmiał się książę.

- Proszę opowiedzieć mi coś jeszcze - nalegała Mistral. Pokazał jej miejsce, skąd Cezar rozpoczął swoją kampanię przeciw

Pompei, a także miejsce na jednym ze szczytów La Tuibie, gdzie w 7 roku przed naszą erą wzniesiono gigantyczną statwę Cezara, aby upamiętnić jego ostateczne zwycięstwo nad Gallami.

Mistral łatwo było uzmysłwić sobie wszystko, co mówił książę, gdyż wysoko nad białymi domami i rdzawoczerwonymi dachami Monte Carlo dostrzegała majaczące wśród skał wioski, zawieszane niczym ptasie gniazda na stromych, kamienistych zboczach gór. Tam, gdzie dotrzeć można tylko liczącymi wieki ścieżynkami wydeptanymi przez muły, rosły powykęcane drzewa, zasadzone jeszcze przez Liguryjczyków czy Rzymian. Tam, między pochylonymi chatami wieśniaków można było znaleźć niejedną starożytną fontannę. Tam także, jak opowiadał książę, żyli mężczyźni i kobiety o dziwnych, arabskich oczach, którzy śpiewali czasem pradawne pieśni trubadurów z Prowansji albo oryginalne, rytmiczne melodie mauretańskie.

- Bardzo bym chciała to usłyszeć! - wykrzyknęła Mistral.
- Któregoś dnia zabiorę tam panią - obiecał książę.

Ona już nie drżała na samą myśl o wyprawie z nim i dodała ufnie:

- Bardzo bym chciała. Proszę opowiadać dalej. Tyle tu ciekawych rzeczy, a ludzie nic prawie nie wiedzą o Monte Carlo, poza tym, że posiada kasyno.

- Jest takie stare przysłowie odpowiedział książę - które mówi: „Blask złota czyni mnie ślepym”.

- Więc oni są ślepi na wszystko - westchnęła Mistral, spoglądając tam, gdzie pastuszek, ubrany w płaszcz z kozłej skóry, grając na flecie tak samo, jak tysiące lat wcześniej grywali jego greccy przodkowie, prowadził stado owiec w kierunku łąki pełnej wonnej koniczyny.

W czasach nowożytnych historia Monako stała się bardziej burzliwa i mniej radosna. Książę opowiedział jej, jak wpływowe rody patrycjuszowkie, Guelfów i Ghibellinów zamieniły tę krainę w pole bitwy. Dostatek i powodzenie, zapoczątkowane za wladania Honore II, zostały zmiecione przez Wielką Rewolucję Francuską. Książę Honore był człowiekiem inteligentnym i miłośnikiem piękna. Zgromadził w pałacu wspaniałą kolekcję dzieł sztuki i założył galerię malarstwa, w której znalazły się obrazy namalowane przez największych malarzy renesansu. Rewolucjoniści odebrali tron księciu Honore - ówczesnemu władcy - skonfiskowali jego majątek i splądrowali pałac. Kolekcją dzieł sztuki została rozgrabiona lub wyprzedana na aukcji po śmiesznych cenach. W pałacu urządzono najpierw szpital, a później przytułek. Utracił swoją wspaniałość, całkowicie pogrążył się w ponurym zaniedbaniu.

- To okropne! - krzyknęła Mistral. - Co się stało potem?

- Szczęśliwym trafem - odrzekł książę - Gabriel Honore, późniejszy Honore V, 1 marca 1815 roku spotkał Napoleona, który akurat wracał z Elby. Obaj władcy zwierzyli się sobie, że myślą o powrocie do swoich państw. Nie przewidzieli

wówczas, że będzie to tak ważne spotkanie, ale w życiu przypadkowe spotkania często mają długotrwałe i zaskakujące skutki. Czasem takie przypadkowe spotkanie może zmienić całą przyszłość człowieka.

Myśli Mistral powędrowały ku sir Robertowi. Ich spotkanie w ciemnościach ogrodu tamtej nocy było właśnie spotkaniem przypadkowym. Ale czy pociągnie za sobą jakieś zaskakujące i długotrwałe skutki? Kiedy sir Robert wyjedzie z Monte Carlo, być może już go nigdy nie zobaczy. Serce się jej ścisnęło na tę myśl. Nie miała pojęcia dlaczego, ale to przypadkowe spotkanie zostawiło pewien trwały ślad i ona nigdy o nim nie zapomni.

Książę zamilkł i Mistral spostrzegła, że wpatruje się w jej twarz.

- O czym pani myślała? - zapytał.

- O przypadkowych spotkaniach - odrzekła zgodnie z prawdą.

- Nasze było jednym z nich - zauważył książę.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się Mistral ze zdumieniem, bo jeśli chodziło o działanie ciotki Emilii, to element przypadku grał w nich znikomą rolę.

- A może będzie miało długotrwałe skutki - uśmiechnął się książę. - Kto wie?

- Rzeczywiście, kto? - powtórzyła za nim Mistral, ale przez chwilę wydawało jej się, że blask słońca przygasł i że wiatr nagle stał się zimny.

Jechali coraz dalej i dalej, książę snuł swoje opowieści, a gdy po pewnym czasie konie zawróciły do domu, cienie już się wydłużyły, a niebo nad skałami zrobiło się purpurowe. Kiedy zbliżali się do hotelu, Mistral powiedziała:

- Byłam bardzo szczęśliwa tego popołudnia. Dziękuję, że był pan tak miły.

Spojrzała księciu prosto w oczy, zdawało jej się, że widzi w nich cień żalu, zaraz jednak pomyślała, że się chyba myli.

- Mnie również było bardzo przyjemnie, a jeśli kiedykolwiek mógłbym być w czymś pomocny, proszę mnie po prostu wezwać.

- Dziękuję - powiedziała z prostotą Mistral.

Jego słowa od razu przypomniały jej pierwszy poranek tutaj i sir Roberta, który prosił ją, żeby go zawiadomiła, jeśli będzie miała jakieś kłopoty. Jacy ludzie są dobrzy, pomyślała uszczęśliwiona Mistral. Powóz zatrzymał się u drzwi Hotel de Paris i ksiązę pomógł jej wysiąść. Wtedy się odezwała:

- Mam nadzieję, że niebawem znów się zobaczymy.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego to powiedziała. Nagła myśl o ciotce Emilii, czekającej na nią w hotelu, przyniosła ze sobą nieprzyjemne uczucie. Tego popołudnia, chociaż była taka szczęśliwa i zadowolona w towarzystwie księcia, zapomniała jednak o czymś, czego od niej oczekiwano. Nie umiała wytłumaczyć sobie tego uczucia, ale tkwiło w niej i uspokoiła się dopiero, gdy usłyszała od księcia:

- Obiecuję, że będzie mnie pani widywała bardzo często. Już przecież nie boi się mnie pani, prawda?

Mistral potrząsnęła głową.

- Nie, naprawdę się nie boję, ale nie powie pan ciotce Emilii, jaka byłam głupia, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Głos księcia brzmiał uspokajająco.

- Czy naprawdę pani myśli, że mógłbym na nią skarżyć cioteczce, co?

Oczy księcia uśmiechały się do niej, wyraźnie się z nią droczyły, ale teraz nie bała się już i mogła śmiać się razem z nim. Lubiła radość i śmiech, a teraz, kiedy on pozbył się tego dziwnego, władczyego nastawienia do niej, zastanawiała się, czy ten strach nie był tylko wytworem jej wyobraźni.

Idąc do apartamentu, czuła się bardzo szczęśliwa. Ku swemu zaskoczeniu nie zastała w nim Emilii. Jeanne siedziała samotnie, cerując podartą chusteczkę przy świetle sączącym się z otwartego okna.

- Gdzie jest ciocia, Emilia? - zapytała Mistral.

- Poszła do kasyna - odpowiedziała Jeanne. - Prosiła, żebym ci przekazała, że niedługo wróci. Ale ludzie, którzy zaczynają grać hazardowo, tracą poczucie czasu.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ciocia Emilia polubi hazard, wydawało mi się zawsze, że jest bardzo ostrożna w wydawaniu pieniędzy.

- I taka właśnie jest! - przytaknęła Jeanne. - Nienawidzi ich tracić, ale uwielbia je wygrywać.

- Myślę, że tacy są wszyscy - zauważyła ze śmiechem Mistral. - Nie sądzę, żebym polubiła hazard, nawet gdybym wygrywała. Obserwowałam twarze ludzi grających. Wyglądają na zdenerwowane, chciwe i złe. Rzadko można dostrzec kogoś, kto wyglądałby na zadowolonego i naprawdę bawił się grą, no, może z wyjątkiem księcia, ale on zawsze się śmieje.

- Podobała ci się przejażdżka? - zapytała Jeanne.

Mistral skinęła głową.

- Było cudownie. Książę opowiadał mi najróżniejsze legendy dotyczące Monako. Ten kraj ma cudowną historię, Jeanne.

- Co jeszcze ci mówił?

- Niewiele więcej - odpowiedziała Mistral. - A co jeszcze miał mi powiedzieć?

Stara kobieta dziwnie na nią spojrzała i natychmiast zaczęła składać swoją robótkę.

- Nic, nic nie miał mówić - rzuciła krótko.

Mistral usiadła na podnóżku u stóp Jeanne i wyjrzała przez okno.

- Jak myślisz, Jeanne, dlaczego ciocia Emilia pozwoliła mi samej pojechać z księciem? - zapytała po chwili. - Choćbym tylko pomyślała o tym, żeby się odezwać do kogoś innego, zaraz wpada we wściekłość. Wczoraj, gdy jakiś miły, starszy pan w kasynie próbował mnie zagadnąć i zaproponował mi filiżankę kawy, była taka zła, że omal go nie pobiła.

- Miły, starszy pan! - powtórzyła Jeanne. - Ładne musi być z niego ziółko. Starsi panowie powinni siedzieć w domu i opiekować się wnukami, a nie zaczepiać młode i ładne dziewczęta.

Mistral wybuchnęła śmiechem.

- Ależ, Jeanne, jesteś tak złośliwa jak ciocia Emilia! Tylko dlaczego ona się na mnie złości? Próbuję robić wszystko, czego chce.

W młodym głosie było coś wzruszającego i Jeanne instynktownie wyciągnęła rękę i położyła ją na głowie Mistral.

- Nie przejmuj się aż tak swoją ciotką. Tak czy inaczej, miała ciężkie życie, co sprawiło, że czasem bywa nieco ekscentryczna i przestaje być sobą. Monsieur Bleuet też nie był człowiekiem łatwym we współżyciu, choć kiedy mu to odpowiadało, potrafił być uosobieniem dobroci. To nie był odpowiedni mąż dla twojej ciotki, a bardzo trudno żyć kobiecie z mężczyzną, którego natura jej nie odpowiada.

- Mąż? Monsieur Bleuet? - zapytała Mistral tonem pełnym zdziwienia. - Sądziłam, że ciotka Emilia poślubiła hrabiego...

Twarz Jeanne przybrała wyraz nie skrywanej konsternacji. Jej dłonie aż podskoczyły do policzków, które z wolna zarumieniły się z przykrości.

- O Boże! Co ja też powiedziałam? - wykrzyknęła.

- To nie ma znaczenia - zapewniła ją Mistral. - Nie martw się, Jeanne. Jeżeli nie powinnam o tym wiedzieć, zapomnę wszystko, co powiedziałaś.

- Więc lepiej zapomnij - prosiła Jeanne - bo w przeciwnym razie twoja ciotka chyba mnie zamorduje. Posłuchaj, moje dziecko, ona ma jakieś swoje powody, dla których nie mówi ci o tym, a teraz ja, stara, głupia baba, wypaplałam to bezmyślnie. Proszę, zatrzymaj to dla siebie, bo inaczej wpędzisz mnie w duże kłopoty.

- Oczywiście, nie powiem ani słowa - odrzekła Mistral. - A więc to jest prawda, że mąż cioci Emilii nazywał się monsieur Bleuët, i to, że nie jest ona madame la Comtesse?

- To prawda. Boże, zmiłuj się nade mną - westchnęła Jeanne, oglądając się przez ramię, tak jakby spodziewała się zobaczyć w cieniu słuchającą Emilię.

- I on nie żyje? - badała Mistral

- Tak, nie żyje. Siedem lat minie na Boże Narodzenie i, prawdę mówiąc, tak samo jak ty nie mam pojęcia, po co twoja ciotka udaje, że jest owdowiałą hrabiną.

Mistral westchnęła.

- Nienawidzę tajemnic Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie muszą mieć sekrety. Jest w nich coś nieprzyzwoitego i złowróbnego, bo zwykle człowiek tak się w nie uwikła, że zanim dowie się, czy warto, mówi same kłamstwa.

- Kochanie, masz rację, więc strzeż się tajemnic - powiedziała z aprobatą Jeanne.

- Nie, nie będę miała żadnych tajemnic - obiecała Mistral i natychmiast przypomniała sobie o sir Robercie.

To była tajemnica, jej własna tajemnica. Więc może jednak, mimo wszystko, każdy ma jakąś tajemnicę! Kim ja jestem, że tak krytykuję ciotkę Emilię, pomyślała z pokorą, a ponieważ czuła, że Jeanne wciąż jeszcze się niepokoi tym, co mimo woli ujawniła, wstała i objęła starą kobietę.

- Proszę, nie trap się tym - rzekła. - Niech pozostanie to nasza wspólną tajemnicą, twoją i moją.

- Niech cię Pan Bóg błogosławi, ma chere - szepnęła nagle Jeanne - Bóg dopomoże ci na pewno, bez względu na to, co się czeka.

Były to słowa z głębi serca i Mistral nagle poczuła strach przed czymś nieznanym, co czeka tuż za progiem. W tym momencie usłyszały, że otwierają się drzwi do salonu, więc odruchowo zwróciły się w tym kierunku i odsunęły się od siebie.

Weszła Emilia. Była ubrana w wytworny kostium z tureckiego jedwabiu, ozdobiony szalem, jej zielony kapelusz przystrojony był piórami.

- A, tu jesteś, Mistral - powiedziała. - Przyjemna była przejażdżka?

- Tak, ciociu Emilio. Książę przyszedł do kościoła i oznajmił, że pozwoliłaś mu zabrać mnie za miasto.

- Pozwoliłam - przytaknęła Emilia. - To ujmujący chłopak. Mam nadzieję, że byłaś dla niego miła?

Mówiąc to popatrzyła badawczo na Mistral.

- Tak sędzę, ciociu Emilio - odpowiedziała Mistral.

Nie wiedziała dlaczego, ale pytanie ciotki wzbudziło w niej poczucie winy.

- Dobrze!

Emilia zwróciła się do Jeanne:

- Będziemy potrzebowały dziś wieczór naszych najlepszych toalet, Jeanne. Mademoiselle nałoży szarą suknię z szyfonu, ozdobioną koronkami. Nie pokazywała się w niej dotąd, ja włożę tę złotą z brokatu.

Teraz Emilia zwróciła się do Mistral:

- Cóż, jakie masz zaproszenie na dziś wieczór?

- Zaproszenie, ciociu? - zdziwiła się Mistral.

- No, książę prosi nas na obiad czy też na kolację?

- Ani jedno, ani drugie, ciociu Emilio. Twarz Emilii pociemniała.

- Dziwne! Sądziłam, że zaproponuje ci na odchodnym jedno albo drugie. Jesteś pewna, że byłaś dla niego miła?

- Tak... tak myślę, ciociu Emilio.

- To nie myśl! - krzyknęła Emilia. - Masz wiedzieć: tak czy nie. Powiedziałam ci, Mistral, czego od ciebie oczekuję i jeżeli celowo nie wykonujesz moich poleceń, będziesz tego gorzko żałować.

- Ale ja, ciociu Emilio, byłam miła dla księcia. Podobała mi się przejażdżka i sądzę, że jemu również, bo mówił, że niedługo zobaczymy się znowu.

Emilia wyglądała na uspokojoną.

- To już lepiej. Trzeba było mówić tak od razu, głuptasie.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym dokładnie wiedziała, czego ode mnie oczekujesz, co mam robić i mówić - tłumaczyła się nieśmiało Mistral. - Widzisz, ciociu Emilio, ja niewiele miałam dotąd do czynienia z mężczyznami, tak naprawdę to znałam ich zaledwie kilku.

- To najlepsze, co mogło cię spotkać - rzekła Emilia. - Nie chciej poznawać ich wielu, Mistral. Większość z nich to brutale. Ukrywają swoją nikczemność pod kłamliwymi, słodkimi słówkami. Kobiety są najszcześniejsze żyjąc bez mężczyzn, są jednak na tyle głupie, że przekonują się o tym wtedy, gdy jest za późno. Strzeż się mężczyzn, unikaj ich jak samego diabła, bo nie przyniosą ci nic prócz nieszczęścia, złamanego serca i nędzy.

Przemawiała gniewnie, cichym, monotonnym głosem. Brzmiało to niemal tak, jakby mówiła do samej siebie i wydawało się, że ocknęła się dopiero, kiedy odezwała się Mistral.

- Ciociu Emilio, jeżeli mężczyźni są tak źli, dlaczego każesz mi być miłą dla księcia?

- Księżę to najważniejsza osoba w twoim życiu, Mistral. Nie zapominaj o tym. Ale kiedy myślisz o mężczyznach, pamiętaj, co ci powiedziałam.

- Ja... ja spróbuję, ciociu Emilio - obiecała Mistral, ale równocześnie coś w niej krzychało, że to, co mówiła ciotka, nie jest prawdą. Była pewna, że nie wszyscy mężczyźni są brutalami i łajdakami, w każdym razie nie sir Robert. Nie mogła w żaden sposób wyobrazić sobie jego brutalności czy nikczemności. Może ciotka Emilia miała pecha do mężczyzn, których spotykała. Jeanne napomknęła, że jej życie z panem Bleuet nie było łatwe.

Nagle Mistral zrobiło się żal ciotki. Była stara i zła, a czasem jej twarz była twarda jak granit.

Nie mogła być szczęśliwa, skoro tak wygląda, pomyślała Mistral i w głębi serca poczuła jakby współczucie.

Miała ochotę powiedzieć ciotce Emilii coś czułego, zastanawiała się nawet, czy nie wsunąć swojej ręki w jej dłoń, gdy Emilia spostrzegła wizytówkę leżącą na stoliku ustawionym przy drzwiach salonu.

- Kto to zostawił? - zapytała idąc w kierunku stolika po wizytówkę.

- Nie mam pojęcia - oznajmiła Mistral. - Jeanne nie mówiła mi, że ktoś tu był.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Jeanne, ale służąca już wyszła. Wtedy właśnie z ust Emilii wyrwał się okrzyk, który według Mistral był okrzykiem przerażenia. Ciotka trzymała wizytówkę tuż przed oczyma, a jej twarz, z której odpłynęły wszystkie kolory, była dziwnie wykrzywiona.

- Henry Dulton! - powiedziała cienkim głosem, który nagle się załamał. - Henry Dulton!

Rozdział 7

Emilia siedziała sama w salonie, oczekując na Henry'ego Dultona. Na wizytówce, zapisane pajączym pismem, które tak dobrze znała, widniały słowa:

Odwiedzę panią jutro, o godzinie trzeciej po południu.

Zdanie to odczytywała wielokrotnie, usiłując odnaleźć w nim jeszcze jakieś inne znaczenie prócz tego najbardziej oczywistego, że ją poznał i przychodzi podzielić się z nią swoim odkryciem.

Przez całą noc przewracała się bezsennie, próbując wymyślić, jak mogłaby go zwieść czy okpić lub jak uzyskać jego milczenie przynajmniej na kilka nadchodzących tygodni.

Na to ostatnie pytanie znała odpowiedź. Pieniądze! Ale nazbyt dobrze pamiętała chciwość Henry'ego Dultona, gorliwość, z jaką podejmował się każdego zadania, nawet najbardziej plugawego i nieprzyjemnego, jeśli uznał je za opłacalne. Jeszcze teraz widziała go, jak wchodzi do domu przy Rue de Roi 5, by wziąć prowizję za wprowadzenie kolejnych klientów. Zawsze go nienawidziła, nienawidziła sposobu, w jaki wsuwał się - miękko i cicho - do pokoju, nienawidziła chytrych oczek z rzęsami tak samo bezbarwnymi jak włosy, co nadawało mu wygląd ulizanego szpicla.

Był jednak użyteczny. Odprawienie Dultona z czysto osobistych powodów byłoby głupotą, więc zaakceptowała go podobnie, jak zaakceptowała innych pracowników spod numeru piątego, pełna stoickiej tolerancji. Ale to, że spośród wszystkich tych ludzi pojawił się w Monte Carlo właśnie Henry Dulton i na dodatek akurat w tym momencie, było piekielnym pechem. Nie wyobrażała sobie, że mógłby pracować gdziekolwiek poza Paryżem, a przecież powinna była wiedzieć, że tu, w królestwie bogactwa i luksusu, gdzie można żerować na ludziach, którzy mają pieniądze, pojawi się i Henry Dulton.

Co może mu powiedzieć? Emilia podniosła się z nagłym jękiem i podeszła do okna sypialni. Zdawało się, że błyszczące promienie słońca, olśniewający błękit morza i łagodnie kołyszące się palmy kpią Sobie z mrocznej plątaniny jej uczuć.

- Ten nędzny szczur! - powiedziała głośno Emilia. - Zawsze go nienawidziłam.

Gdy tylko te słowa przebrzmiały w łagodnym powietrzu, od razu pomyślała, że to samo mogłaby powiedzieć o każdym, kiedykolwiek spotkanym, mężczyźnie. Tak, nienawidziła ich wszystkich. Pielęgnowała w sobie tę nienawiść od dzieciństwa, za piętno hańby, jakim czuła się naznaczona od urodzenia. To była wina jej ojca. Nienawidziła Johna Wythama, częściowo z powodu własnego losu, a częściowo dlatego, że była zazdrosna o matkę, o nie gasnącą miłość matki do niego. Następnym człowiekiem, którego nienawidziła po ojcu, tak lekceważącym więzy rodzinne, był jej mąż, Leon Bleuet.

Tylko przez krótką chwilę Leon wzbudził w niej uczucia inne niż odraza i niechęć. Pamiętała ich pierwsze spotkanie, tak jakby działo się to zaledwie wczoraj. Podróżowała z Bretanii do Paryża. Jak surowo musiała wyglądać, gdy ubrana w swą świąteczną, czarną suknię, z twarzą poważną i śmiałą, przedsięwzięła tę niemal desperacką wyprawę.

Jacques Rigaud, dziadek Emiliu, zmarł niespełna dwa miesiące po śmierci jej matki. Rodzina uważała, że młodszy syn starego Jacquesa, mimo że posiadał już własną farmę, powinien pomóc Emilii utrzymać w całości rodzinną posiadłość. Mieszkałaby w domu na farmie, ale wszystkie godziny - od świtu do zmroku - spędzałaby w polu i przy oporządzaniu zwierząt. Widziała niemal, jak zgadzali się na to kiwając głowami, ich spracowane dłonie już układały się do oklasków na cześć własnej hojności.

Emilia jednakże sama podjęła decyzję, co będzie robić dalej. Snuła wszak swoje plany od lat i chociaż dla rodziny były one zdumiewające, dla niej stały się już chlebem powszednim, obmyślała je przecież od tak dawna.

Przede wszystkim musiała więc posłać Mistral do szkoły i to nie do żadnego taniego zakładu, który leżałby w zasięgu rodziny Riguad, ale do akademii dla młodych panien lub do jednej z ekskluzywnych szkół klasztornych w Lucernie lub pod Paryżem.

Co do tego Emilia nie miała wątpliwości. Zdecydowała już dawno temu, że zapewni Mistral odpowiednie wykształcenie; zdecydowała o tym wtedy, gdy chodząc po kuchni, kołysała w ramionach pozbawione matki niemowlę. W sobie tylko znanym miejscu Emilia ukryła perły, które Alicja dała jej na przechowanie w noc przed swoją śmiercią.

- To perły dla mojego dziecka - mówiła Alicja. - Jedyna wartościowa rzecz, jaką ze sobą zabrałam. Gdy będzie to konieczne, sprzedaj je. Są bardzo dużo warte.

Gdy skończyła mówić, jej oczy zamknęły się ze zmęczenia, miała bóle głowy już od wielu godzin. Emilia wpatrywała się tępo w piękny, półprzezroczysty naszyjnik, który Alicja włożyła jej w dłonie. Nigdy przedtem nie widziała takich pereł i była pewna, że siostra miała rację twierdząc, że są wartościowe.

Jak udało się Alicji trzymać je przed nią w tajemnicy przez te wszystkie miesiące?

Znienawidziła gorzką, palącą nienawiścią mężczyznę, który zmienił tę szczęśliwą, gadatliwą dziewczynę, jaką zostawiła w Monako, w cierpiącą, pełną rezerwy kobietę. Nie mogła w żaden sposób nakłonić Alicji do zwierzeń na temat tego, co się zdarzyło. Emilia żądała, nalegała, błagała. Wszystko na próżno.

- Nie chcę o tym mówić - bez końca powtarzała Alicja.

I tylko raz, gdy doprowadzona do kresu wytrzymałości Emilia zagroziła, że napisze do Wielkiego Księcia, Alicja zmieniła to zdanie na:

- Przysięgałaś na Biblię, nie możesz złamać danego słowa! Nic nie możesz zrobić.

To prawda, Emilia nie mogła zrobić nic i tylko wodziła okiem za Alicją, zła i sfrustrowana.

Kiedy Alicja umarła, Emilia ukryła perły i nie powiedziała o nich nikomu, bo od początku postanowiła, że ich nie sprzeda. Stały się one częścią broni, którą konstruowała, broni, która ostatecznie pomści Alicję i ją samą.

Zabrała perły ze sobą do Paryża. Kiedy oznajmiła swoim krewnym z rodziny Rigwad, że wyjeżdża do stolicy, byli zaskoczeni jeszcze bardziej niż wtedy, gdy powiedziała im, że porzuca farmę.

- Do Paryża! - wykrzyknęli. - Co ty tam będziesz robić? Za co będziesz żyć? Paryż jest bardzo drogi.

- Będę pracować - oznajmiła Emilia.

- Ale jako kto? - pytali. - Dotąd pracowałaś tylko tutaj, na farmie. W Paryżu nie ma gospodarstw.

- Znajdę coś do roboty - odparła Emilia z wielką pewnością siebie.

Chociaż nie czuła się tak pewnie, kiedy wsiadała do pociągu na początku swej podróży, to jednak jej pewność siebie miała jakąś podstawę. Naszyjnik z pereł leżał na samym dnie czarnej torby.

Wiedziała, że jeżeli wszystko zawiedzie, będzie mogła go sprzedać. Nie tylko dla samej siebie, ale i na szkołę dla Mistral. Czesne za pierwszy semestr w szkole zostało już opłacone z niewielkiej sumy, którą Emilia otrzymała, sprzedając wujom swój udział w farmie.

Emilia nie traciła hardej miny wobec rodziny, ale wydatki ją zaszokowały. Było tyle dodatkowych opłat. Oprócz

czesnego trzeba było zapłacić za nowe stroje, których potrzebowała Mistral, no i podróż do Lucerny także kosztowała.

Czy była przywiązana do tego dziecka? Emilia zadała sobie to pytanie w ostatniej chwili, gdy już się rozstawały, gdy Mistral przytuliła się do i niej, przerażona tym, że opuszcza wszystko, co było jej bliskie, i niepewna tego, co ją czeka. Emilia nie umiała sobie jasno odpowiedzieć. Jej miłość do Alicji była gorącym uczuciem. Nigdy nie przyszła do siebie po zdradzie Alicji, nie mogła jej darować powściągliwości, tajemniczości, a nawet tego, że umarła. Mistral była dzieckiem Alicji, była też ciągłym przypomnieniem jej zdrady. Czasami Emilia nienawidziła Mistral, nie dlatego, że mała żyje, lecz dlatego, że Alicja odeszła.

Ale Mistral musiała być wykształcona, Mistral musiała być wychowywana kosztownie, w luksusie, ponieważ plany, jakie snuła na przyszłość Emilia, zależały od tego, czy dziewczyna będzie miała wszelkie dane do towarzyskiego sukcesu.

Wprawdzie Emilia ukoła własny strach przed niepowodzeniem myślą o naszyjniku z pereł, który stanowił gwarancję bezpieczeństwa w razie nędzy, ale równocześnie, z fantastyczną determinacją, postanowiła, że nie rozstanie się z nim, bez względu na to, jak ogromna będzie pokusa, by go sprzedać. Naszyjnik był niezbędnym elementem jej planu.

Emilia dotarła do Paryża o szóstej wieczorem. Zapadał właśnie zmierzch. Błękitny, ciemny mrok sprawił, że Paryż wyglądał na tajemnicze, ekscytujące miasto przygód i miłości, łagodnej muzyki i szczęścia. Emilia jednak tego nie widziała. Wsiadając z pociągu, czuła się zmarznięta, brudna i wystraszona. Znajdowała się co prawda w Paryżu, ale przecież była sama w obcym mieście. Nie miała tu nawet jednego

przyjaciela. Stała opuszczona na dworcu, z twarzą pobladłą, ukrytą za czarną krepą niemodnego czepka.

Właśnie wtedy odezwał się do niej Leon. Ruszyła z miejsca, rozglądając się dookoła. Zobaczyła starszego mężczyznę z niewielką, spiczastą, szpakowatą bródką i ciemnymi oczami, które wydawały się przyjazne i pełne życzliwości.

- Czy mogę być w czymś pomocny, mademoiselle!

- Nie, dziękuję, monsieur.

- Przyjaciele, którzy mieli pani oczekiwać, na pewno się spóźniają... Nikt mnie nie oczekuje.

- Nikt? A więc mademoiselle doskonale zna Paryż.

- Nie.

- Ale... ale... to niebezpieczne dla młodej kobiety przyjeżdżać tak późno. Pozwoli pani, że pokażę jej drogę do miejsca, gdzie chce się pani zatrzymać.

- Nie mam pojęcia, gdzie to może być.

Miło jej było usłyszeć pełen współczucia okrzyk Leona. Wtedy jeszcze Emilia nie wiedziała tego, o czym miała dowiedzieć się później. Zaczepianie młodych, samotnych kobiet na dworcu należało do jego wypróbowanych chwytów. W przyćmionym świetle, przez pomyłkę wziął ją za młodszą, niż była. Mimo to, raz zacząwszy rozmowę, kontynuował ją. Powiedziała mu prawdę, że przyjechała z Bretanii w poszukiwaniu pracy.

- Czy umie pani gotować? - zapytał.

- Jak na wiejskie wymagania całkiem nieźle - odparła. - Jak na Paryż z pewnością beznadziejnie. Spodobała mu się nuta ironicznego humoru w jej głosie.

- Dzięki uśmiechowi nadzwyczaj dobrego losu mogę zaproponować pani zatrudnienie, ponieważ sam poszukuję gospodyni - powiedział.

Znacznie później Emilia zrozumiała, że zawsze umiał zdobywać zaufanie swoich ofiar. Bez żadnych skrupułów i bez niepokoju opuściła z nim dworzec i pojechała do jego domu. Upłynęły dwa tygodnie i dopiero wtedy odkryła, że obowiązki gospodyni obejmują także bardziej osobiste usługi wobec pracodawcy, a było to na długo przedtem, zanim zorientowała się, że zainteresowanie Leona jej osobą jest rzeczywiście wyjątkowe.

Francuzi rzadko mieszają interesy z przyjemnościami, a ponieważ praca Leona opierała się na kobietach i ich wszelkich powabach, był on odporny na czar kobiecej urody. Ale bywa, o czym powoli i boleśnie miała się przekonać Emilia w nadchodzących latach, że fizyczny temperament mężczyzny wywołuje jakieś wyjątkowo powikłane, nieoczekiwane zwroty i komplikacje tam, gdzie najmniej można się ich spodziewać.

Leon Bleuet, którego zawodem było serwowanie rozrywek i przyjemności innym mężczyznom, sam rzadko czuł się zadowolony czy rozbawiony. Wydawał się rubasznie jowialny ze względu na swoją mocną budowę, tymczasem z charakteru nie przypominał silnego mężczyzny. Lubił być terroryzowany przez kobietę, podlegać jej rozkazom, a ostry język był dla niego bardziej ponętny niż czułe słówka. Kobieta podniecała go najbardziej wtedy, gdy jej oczy ciemniały i skrzyły się ze złości, gdy jej głos podnosił się, a całe ciało drżało aż z nienawiści.

Gdy Emilia odkryła to, nie mogła uwierzyć, że Leona pociąga jej gwałtowna szorstkość oraz pełna rezerwy pogarda, z jaką traktowała go niemal od tej samej chwili, w której podjęła swoje obowiązki.

Wdzięczność, jaką czuła do niego za dach nad głową i zatrudnienie pierwszego wieczoru po jej przybyciu do Paryża, trwała bardzo krótko, w istocie tylko do momentu, w którym

odkryła, jak nieudolnie był prowadzony jego dom i jak niewygodnym czyniły go kolejne, źle dobierane służące.

Po pierwsze było tam brudno, a jedną z umiejętności, którą wpoila Maria Riguid swojej córce niemal od momentu, kiedy ta zaczęła chodzić, było utrzymywanie domu w czystości. Emilia szorowała i polerowała, myła i zmiatała, aż mieszkanie zalśniło, a powietrze napełnił świeży zapach mydła i wosku.

Ku jej zdumieniu Leon Bleuet poprosił, żeby za niego wyszła. Była zbyt zaskoczona, aby natychmiast odburknąć swoją odmowę, a kiedy się wahała, powiedział coś, co spowodowało, że się poważnie zastanowiła, zanim udzieliła ostatecznej odpowiedzi. Powiedział jej, ile posiada.

Dotąd nie myślała o nim jako o człowieku bogatym i chociaż według pewnych kryteriów w żaden sposób nie mógł uchodzić za takiego, to wartość jego różnych zakładów i konto w banku składały się na sumę, która Emilii wydawała się astronomiczna. Jego tygodniowe dochody przekraczały tę ilość pieniędzy, za którą udawało im się przeżyć cały rok na farmie w Bretanii.

Emilia zawahała się i to ją zgubiło. Poślubiła Leona Bleuet. Poślubiła go, ponieważ mógł opłacać chesne Mistral. Małżeństwo, które zawarła, miało zapewnić jej życie w komforcie; dopóki dziewczyna nie dorośnie, równocześnie dawało możliwość oszczędzania. Leon nie był młodzieńcem. Liczyła na to, że kiedy on umrze, ona zostanie wdową ze znacznym majątkiem.

Ale tutaj ją okłamał. Pierwsza część umowy została wypełniona co do joty. Chesne za szkołę Mistral opłacił, a Emilia żyła w dostatku. Jednak kiedy Leon umarł, okazało się, że zostawił swoje ogromne pieniądze siostrzeńcowi, młodemu człowiekowi, do którego był głęboko przywiązany. Ona

odziedziczyła tylko dom w Paryżu i posiadłość przy Rue de Roi 5.

Emilii nigdy nie udało się rozstrzygnąć, czy ten drugi zapis był ze strony Leona żartem, czy też ustępstwem wobec słabości. Uważał go bowiem za najlepszy i najbardziej dochodowy dom z tych, które posiadał, i spośród wszystkich właśnie ten darzył największym sentymentem. Wiedział jednak, co ona myśli o tym miejscu, wiedział też, że nigdy nie przekroczyła jego progu ani się nim nie interesowała. Obchodził ją o tyle, o ile zasiliał ich dochody. Zapisać go jej, jako jedyne wynagrodzenie za pięć lat, było, mimo wszystko, obelgą. Początkowo Emilia nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, jak dalece śmierć Leona Bleueta zmieni jej życie. Kiedy trzy dni po pogrzebie męża udała się do jego adwokata, знаła już treść testamentu, była więc poniekąd przygotowana na pewne obniżenie życiowego komfortu. Adwokat poinformował ją o wartości domu, w którym mieszkali, podkreślił, że stoi on w niemodnej dzielnicy Paryża, zatem niełatwo będzie osiągnąć korzystną cenę. I wtedy sama podjęła temat Rue de Roi 5.

- Sprzedam to - oznajmiła. - Czy orientuje się pan, ile może mi przynieść?

Adwokat założył okulary na nos i poszperał między papierami na biurku.

- Przewidywałem, że taka będzie pani decyzja, madame, i dlatego już zasięgnąłem języka. Może uzyskać pani za tę posiadłość dziesięć tysięcy franków, oczywiście w gotówce.

- Dziesięć tysięcy franków! - Emilia podniosła głos niemal do krzyku. - Czy to wszystko?

- Tak, i jeśli wolno mi powiedzieć, madame, byłaby to bardzo korzystna cena. Ludzie, którzy znają się na przedsiębiorstwach tego rodzaju, poinformowali mnie, że w ostatnich latach interesy nie szły tak dobrze, jak poprzednio.

Ostatnio monsieur Bleuet nie poświęcał Rue de Roi tak wiele uwagi, jak w przeszłości. Klientela, która zwykle pochodziła z najwyższych sfer, pogorszyła się nieco, może zmieniła się moda. Takie miejsca miewają swoje wzloty i upadki, i nikt dokładnie nie wie, co właściwie sprawia, że domy, które były niezwykle popularne, nagle stają się niemodne.

- Dziesięć tysięcy franków - mamrotała Emilia. - Jak za to żyć? Jeżeli ma to być wszystko, co będzie w moim posiadaniu...

Mistral miała jedenaście lat. Emilia oczami wyobraźni widziała już siedem lat, które musi przeczekać, zanim będzie mogła swój plan zamienić w czyn. Myślała o tym planie w ciągu dnia i śniła o nim w nocy. Siedem lat, siedem decydujących lat. Przez ten czas musi zapewnić Mistral specjalne wykształcenie, specjalne wychowanie, aby przygotować ją do roli, którą przyjdzie dziewczynie odegrać.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze! Musi je mieć, są przecież absolutnie niezbędne, ale skąd je wziąć?

Przez chwilę Emilia bębniła palcami po biurku, po czym gwałtownie uniosła głowę i zacisnęła usta.

- Nie sprzedaję tego domu - oznajmiła szorstko.

- Madame! Co pani z nim robi? - zdziwił się adwokat.

- Sama go poprowadzę - odparła Emilia.

Nigdy nie zapomni tej chwili, w której przekroczyła próg wielkiego, kamiennego domu, stojącego przy małym uczęszczanej, bocznej uliczce, w pobliżu modnej dzielnicy Paryża. Nie spodziewała się, że wywrze na niej jakiegokolwiek wrażenie, tym bardziej więc ją zdziwił. Popielate ściany były gustownie zdobione złotem, klatka schodowa, wyłożona miękkim dywanem, z lustrami, w których wielokrotnie odbijał się elegancki salonik, była wytworna i nie pozbawiona uroku.

Sam budynek był w najlepszym porządku, tym, co mu szkodziło, był personel, Emilia wyczuła to natychmiast swoją

nieomylną intuicją. Kobieta, która pełniła tu rolę szefowej, głupia, przesadnie wystrojona osoba w średnim wieku, o kędzierzawych włosach i irytującym chichocie, dużo bardziej była skrepowana obecnością Emilii niż sama Emilia. Dziewczęta też były ubrane nie tak, jak powinny, miały niedbałe fryzury i niestaranny makijaż. Panowało tam rozprężenie, nie było żadnej dyscypliny w zachowaniu dziewcząt. Emilia wiedziała, że będzie musiała zająć się tymi słabymi punktami.

Sama wzięła się do porządkowania, czyszczenia i polerowania domu przy Rue de Roi 5, tak jak przed pięcioma laty zrobiła to w domu Leona. W ciągu miesiąca od chwili, gdy wzięła zarządzanie w swoje ręce, wpływy się podwoiły, po sześciu miesiącach potrojiły, a po roku dom był znany jako najwytworniejsze i najdroższe miejsce rozrywki w całym Paryżu.

Te rezultaty ucieszyły Emilię z dwóch przyczyn. Po pierwsze zadowolona była, że jej działanie okazało się skuteczne i doprowadziło do tego, że stała się bogatą kobietą. Po drugie jeszcze bardziej pogorszyła się jej opinia o mężczyznach. Dotąd nienawidziła tych, których znała, teraz pogardzała nimi wszystkimi. Miała ich za głupców, dających się okpić, oszukać i zauroczyć każdej sprytniej kobiecie. W ciągu następnych lat Emilia zdobyła ogromną wiedzę na temat mężczyzn, a wartość tej wiedzy została potwierdzona niezwykle okazałą sumą, którą otrzymała ze sprzedaży domu przy Rue de Roi 5.

Ledwie pomyślała o tym miejscu, zaraz stawała jej przed oczami procesja mężczyzn. Najpierw Leon Bleuet, który doznawał perwersyjnej przyjemności na samą myśl, że ona, Emilia, go nienawidzi, potem mężczyźni, przed którymi musiała udawać życzliwość, ponieważ byli jej klientami: starzy, młodzi, wysocy, niscy, tłuści, szczupli, mężczyźni

wszystkich narodowości; mężczyźni, którzy w tych chwilach, gdy spotykała ich Emilia, mieli jeden tylko cel i jedno zainteresowanie.

- Doprawdy, jest pani prawdziwym przyjacielem, madame! - zwykli mawiać Emilii, gdy oferowała im jakieś wyjątkowe, specjalne usługi.

Nie mieli pojęcia, że za uśmiechem, który stanowił odpowiedź na ich podziękowania, kryła się odraza, z jaką odnosiła się do nich Emilia, pogarda, z jaką brała od nich pieniądze. Mężczyźni, zawsze mężczyźni! Niewielka była różnica między tymi bogatymi, którzy płacili za godzinę ucieczki od trosk i kłopotów codziennego życia, a pasożytami takimi jak Henry Dulton, który był gotów wydrzeć ostatni grosz, żerując na ludzkich słabościach.

Henry Dulton! Myśli Emilii zakreśliły koło i powróciły do osoby, od której zaczęła swoje rozważania. Właśnie W tym momencie, gdy wyglądała przez okno, patrząc niewidzącymi oczyma w stronę błękitnego morza, usłyszała pukanie do drzwi. Mistral i Jeanne zostały przez nią wyprawione. Poleciała, aby nie wracały do wpół do piątej. Była sama, więc musiała podejść do drzwi i otworzyć je własnoręcznie, otworzyć je przed nieszczęściem, które czekało na nią pod drzwiami.

Do pokoju wszedł Henry Dulton. Położył kapelusz na krześle i popatrzył na Emilię swoim zwykłym, ukośnym spojrzeniem oczu na wpół zasłoniętych bezbarwnymi rzęsami.

- Życzył pan sobie widzieć się ze mną, monsieur?

Głos Emilii był chłodny i obojętny. Henry Dulton obejrzał się, by sprawdzić, czy drzwi zamknęły się za nim. Jego usta wykrzywiło coś, co było jakby karykaturą uśmiechu.

- Sługa pani, madame Bleuet.

- Sądzę, że zaszła tu jakaś pomyłka. Pomyślałam tak od razu, gdy otrzymałam pańską wizytówkę. Nie nazywam się

Bleuet i nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek zostali sobie przedstawieni.

Uśmiech Henry'ego Dultona stał się nieco wyraźniejszy. Wszedł dalej w głąb pokoju i wyjąwszy jedwabną chusteczkę z kieszeni, otarł wąsy.

- Nie urodziłem się wczoraj, madame.

- Przepraszam, nie rozumiem.

Jej głos był lodowaty. Henry Dulton odłożył chusteczkę, rozejrzał się po pokoju i usadowił się w najwygodniejszym fotelu.

- Darujmy sobie te wstępy, madame - powiedział. - Rozpoznałem panią. Nie mogło być inaczej po tylu latach znajomości. Wiem, kim pani jest, i pani doskonale wie, że ja o tym wiem, więc bądźmy ze sobą szczerzy i przejdźmy od razu do rzeczy.

Emilia wzięła głęboki oddech. Pokonała ją pewność siebie tego człowieka, ale uczyniła jeszcze jedną, ostatnią, desperacką próbę.

- Pan się myli, monsieur - oświadczyła - a ja jestem zmuszona poprosić, aby opuścił pan mój pokój. Nie jestem madame Bleuet, a skoro pan się upiera przy swoim twierdzeniu, żądam, żeby pan to udowodnił.

- To nie będzie trudne - rzekł cicho Henry Dulton, patrząc nie na Emilię, lecz na brylant w sygnecie, który miała na palcu. - Wystarczy, że powiem o tym kilku osobom, które już podjęły wiele starań, by odkryć, kim naprawdę jest madame Secret i jej piękna siostrzenica mademoiselle Fantome. Jeżeli ich ciekawość odpowiednio wzrośnie, moje twierdzenia mogą być sprawdzone przez policję.

- Przez policję! - niepewnie powtórzyła za nim Emilia.

- Dlaczego nie, jeśli nie ma pani nic do ukrycia, madame?

- zauważył Henry Dulton. - Mogę panią zapewnić, że

zainteresowanie pani osobą jest w Monte Carlo wielkie i że znajdę tu sporo osób gotowych zapłacić za taką informację.

Emilia porzuciła swoją maskę.

- Ile pan chce? - spytała zachrypniętym głosem.

Henry Dulton pogłaskał się po policzku.

- Teraz mówimy rozsądnie - rzekł. - Byłem pewien, że nie potrwa to długo i znów będziemy dla siebie życzliwi tak jak zawsze, madame. Ale czy najpierw pozwoli mi pani pogratulować sobie wspaniałego sukcesu? Zdobyła pani Monte Carlo szturmem. To dzieło mistrza, arcydzieło, z którego byłby dumny każdy artysta.

- Pytam: ile? - powtórzyła Emilia.

- I odpowiem pani - odparł Henry Dulton. - Sto tysięcy franków. - Sto tysięcy! Pan musi być niespełna rozumu. - Przeciwnie, proszę pani, jestem niezwykle przytomny, co więcej, zupełnie pewny, że otrzymam te pieniądze.

- A jak pan myśli, skąd miałabym wziąć taką sumę? - spytała Emilia.

- Wiem, skąd pani już ją wzięła - odpowiedział Henry Dulton. - Widzi pani, droga madame Bleuet, nowy właściciel Rue de Roi 5 jest moim przyjacielem.

Emilia gwałtownie siadła w fotelu naprzeciwko niego.

- Dlaczego wyobraża pan sobie, że dam panu wszystkie te pieniądze?

- Da mi je pani, żeby zamknąć mi usta. Nie mam pojęcia, na czym polega pani plan, nie odgadłem jeszcze całej tajemnicy, ale o cokolwiek tu chodzi, ma to dla pani znaczenie, wielkie znaczenie. Jeżeli plan ten, jakikolwiek by był, ma się powieść, konieczne jest, abym ja nie mówił tego, co wiem.

Emilia opadła na oparcie. Jej królewska postawa, którą podziwiała tak wiele kobiet w Monte Carlo, zniknęła.

Wyglądała teraz na starą, zmęczoną kobietę. Jej oczy pociemniały z gniewu i nienawiści.

- To za dużo - syknęła gwałtownie. - To niemożliwe. Henry Dulton wzruszył ramionami.

- A więc powiem to, co wiem. Już kilku ludzi zwracało się do mnie z prośbą, abym odkrył, kim pani jest i, oczywiście, co jeszcze bardziej ich frapuje, kim jest mademoiselle Fantome.

- Tego nie może im pan powiedzieć. Nie ma pan pojęcia, kim ona jest.

- Czy ma to jakieś znaczenie? - spytał Henry Dulton. - Każdej ładnej dziewczynie przebywającej w towarzystwie madame Bleuet wystarczy samo imię. Były u pani: Lulu, Fifi, Ninon i Desiree, także bez nazwisk. Czy to miało jakieś znaczenie? Kogo to obchodziło?

Emilia skoczyła na równe nogi.

- Jak pan śmie mówić o mojej siostrzenicy tak, jakby była jednym z tych upadłych stworzeń?

- A więc to naprawdę pani siostrzenica? Jestem zaskoczony. Nie wiedziałem, że ma pani siostrzenicę.

- Milcz, ty podły szczurze, ty pasożycie, wysysający krew z ciał innych ludzi!

Głos Emilii wibrował z emocji, a jej twarz była biała z wściekłości, Ale Henry Dulton tylko uśmiechnął się swoim krzywym uśmiechem i zauważył:

- Wyzwiska nie robią na mnie wrażenia, madame. Liczą się tylko i wyłącznie pieniądze, tylko one.

- Tak, jeśli już o to chodzi, to są to moje pieniądze, Pieniądze ciężko zapracowane, dla których stałam się niewolnicą, a teraz pan je sobie zabierze, doprowadzi mnie do ruiny w chwili mojego triumfu.

- Zostawię pani trochę - odparł łagodnie Henry Dulton.

- To ładnie z pana strony - rzuciła sarkastycznie Emilia. Gdy to mówiła, jego rzęsy zatrzepotały. Wiedziała na pewno, tak

jakby powiedział to głośno, że nawet jeżeli zapłaci mu tym razem, przyjdzie po więcej i jeszcze więcej. Obrabuje ją ze wszystkiego, co posiada, zupełnie ją zniszczy i nawet wtedy nie będzie miała pewności, czy dotrzyma słowa i nie ujawni tego, co wie. Był całkowicie niewiarygodny, zdradziecki jak lotne piaski i podstępny jak żmija.

Na chwilę podniosła dłonie do skroni, ścisnęła je mocno, próbując zmusić umysł do trzeźwego myślenia. Rozpaczliwie szukała rozwiązania tego prawie nierozwiązywalnego problemu. Głos Henry'ego Dultona przerwał jej.

- Nie chciałbym pani popędzać, madame, ale mam umówione spotkanie o wpół do czwartej. Nie dotyczy ono pani ani jej pięknej siostrzenicy, jednakże dżentelmen, który życzy sobie mnie widzieć, bez wątpienia będzie zainteresowany każdą informacją dotyczącą tożsamości dwóch kobiet, o których mówi całe Monte Carlo.

- Dam panu te pieniądze - oświadczyła Emilia zachrypniętym głosem.

- Tak też myślałem - uśmiechnął się Henry Dulton.

- Proszę tu zaczekać - powiedziała Emilia. - Trzymam je w sypialni.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi łączące oba pomieszczenia. Przez chwilę, gdy znalazła się sama, stała nieruchomo od dychając pospiesznie, serce jej biło jak oszalałe. Następnie, z jakimś podejrzanym jękiem przypominającym szloch, otworzyła szufladę swojej szafy i wyjęła z samego dna dużą kasetkę na biżuterię, której w czasie podróży tak strzegła Jeanne.

Emilia ustawiła kasetkę na łóżku, wyciągnęła klucz z za dekoltu, zdjęła przez głowę długi łańcuszek, na którym nanizany był klucz, i otworzyła kasetę.

W środku znajdowało się wszystko, co posiadała: dowód własności domu w Paryżu, zaświadczenie z banku o wycofaniu wszystkiego, co kiedyś deponowała, i wielki plik banknotów o ogromnych nominałach.

Wzięła z banku wszystko, zanim opuściła Paryż. Zdecydowała, że wszelki ślad po madame Bleuet musi zniknąć. Nowe konto w banku otworzy kiedyś pod innym nazwiskiem. Patrząc na pieniądze leżące przed nią w pudełku, pieniądze, które zarobiła z takim trudem, pracując do upadłego, czuła, jak w gardle dławi ją płacz.

Sto tysięcy franków! To ponad połowa tego, co w ogóle posiadała. Wyjmowała banknoty jeden po drugim i w trakcie tej czynności spostrzegła nagle coś, co leżało pod nimi, coś, co zabrała z biurka Leona ostatniego dnia przed opuszczeniem Paryża. Nie była nawet pewna, po co zabrała ten przedmiot. Może dlatego, że pamiętała swoją ostatnią podróż do Monako i bajki o zbójcach, które przeraziły Alicję i ją też, gdy trzęsły się na wyboistej drodze do Nicei.

Powoli, z dziwnie drżącą twarzą, ale całkiem pewnym ruchem Emilia wyjęła to, co było ukryte pod pieniędzmi. Był to pistolet. Leon, który bał się panicznie włamywaczy, nie raz i nie dwa pokazywał jej, jak go używać. W ich domu w Paryżu zawsze były pieniądze, bo odnosił je do banku najwyżej raz w tygodniu, a sejf, w którym trzymał nocne wpływy z Rue de Roi 5 i innych domów, stał za chińskim parawanem w salonie.

- Jeżeli usłyszysz coś, co cię zaniepokoi, strzelaj od razu - pouczał ją Leon. - Kule są bardziej skuteczne niż słowa.

Emilia niemal słyszała jego głos tuż przy sobie. Mechanicznie nabiła pistolet. Później spojrzała na broń. Jej

twarz wyglądała tak samo jak dwanaście lat temu, gdy samotnie wyprawiła się do Paryża.

„Kule są skuteczniejsze niż słowa”.

Wzięła garść banknotów. Nie zwracała sobie głowy liczeniem ich, bo teraz już wiedziała, co musi zrobić. Później rozejrzała się po pokoju tak, jakby czegoś szukała.

Jeanne zostawiła na krześle okrycie Emilii ozdobione dżetami. Oprócz płaszcza był tam kapelusz, rękawiczki i niewielka mufka z czarnego futra. Emilia przeszła przez pokój i podniosła mufkę. Wsunęła do niej dłoń trzymającą pistolet. To była najbardziej skuteczna kryjówka.

Następnie odłożyła mufkę i pieniądze na toaletkę. Nałożenie na głowę kapelusza, solidne przytwierdzenie go dwoma szpilkami z dżetami, narzucenie płaszcza na jedwabną suknię nie zabrało jej więcej niż minutę. Henry Dulton nie będzie zaskoczony, gdy wróci do pokoju z mufką w dłoni. Powie mu, że właśnie miała wychodzić.

Teraz była gotowa. Spojrzała w lustro. Przez chwilę zastanawiała się czy ta obca kobieta stojąca naprzeciw niej to rzeczywiście ona. Nie miała pojęcia, że jej oczy mogą lśnić tak jadowicie. „Kule są bardziej skuteczne niż słowa”. Tak, wyraźnie słyszała głos Leona. On znał wartość pieniądza.

Przeszła przez pokój. Załedwie sekundę, gdy otwierała drzwi, trzymała mufkę pod pachą, potem ponownie wsunęła do niej dłoń i wkroczyła do salonu. Henry Dulton siedział tam, gdzie go zostawiła. Nogi wyciągnął swobodnie, w ustach trzymał cygaro.

Nawet nie próbował wstać, gdy wchodziła. Poczowała się dotkliwie urażona jego ordynarną poufałością i złymi manierami.

- Są pieniądze? - zapytał. - Grzeczna dziewczynka! Powiem pani, madame, że zawsze ratowała pani dobrych ludzi.

- Owszem, dotąd zwykle próbowałam to robić - powiedziała Emilia. Głos miała cichy i bardzo opanowany. - Niech pan je przeliczy, dobrze? Nie chciałam dać panu za dużo.

- Nie ma obawy - rzekł jowialnie Henry Dulton. - O ile panią znam, to raczej będzie za mało. Proszę mi je dać.

Chciewie wyciągnął rękę po pieniądze. Wziął gruby plik franków z dłoni Emilii, położył na kolanie i śliniąc wskazujący palec prawej ręki przystąpił z kupiecką miną do liczenia banknotów.

- Tam pan jeden opuścił - zwróciła mu uwagę Emilia, podchodząc do niego tak blisko, jak tylko było możliwe.

- Zapewniam panią, że nie - odparł, ale zaczął od początku bacznie koncentrując się na liczeniu. - Pięć tysięcy... dziesięć... piętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia pięć...

W tym momencie Emilia strzeliła mu w skroń. Odgłos strzału, choć stłumiony przez mufkę zabrzmiał w jej uszach niezwykle głośno. Ciało Dultona przechyliło się do przodu, a potem powoli, z głuchym łoskotem osunęło się na podłogę. Nie spojrzała na Dultona, tylko nasłuchiwała dźwięku kroków na korytarzu, gwaru ludzkich głosów wypytyjących, co się stało.

Tymczasem z korytarza nie dochodziły żadne dźwięki. Emilia wiedziała dokładnie, co ma robić dalej. W głowie miała wszystko już ułożone, jakby planowała to od dawna. Musi pozbierać pieniądze, przeciągnąć ciało Henry'ego Dultona do swojej sypialni i ukryć je w toalecie. Później, gdy się ściemni, razem z Jeanne wywiozą ciało z hotelu.

Na każdym piętrze znajdował się fotel na kółkach, ustawiony na użytek tych, którzy przybywali do Monte Carlo nie tylko dla przyjemności odwiedzenia kasyna, ale także dla zdrowia. Tuż pod hotelem można było zażywać specjalnych kąpiel. Ci, którym dokuczał reumatyzm lub jakieś inne

dolegliwości, mogli wygodnie dostać się na dół w fotelu na kółkach, zjeżdżając windą bagażową, która znajdowała się w samym końcu korytarza.

Obsługiwał ją człowiek, który ciągnął za linę, dzięki czemu winda unosiła się lub zjeżdżała. Windziarz był stary i prawie głuchy. Nie zwróci specjalnej uwagi na kalekę, owiniętego w pledy, a może i w szal, któremu towarzyszą dwie starsze panie. Poza tym winda jest nieoświetlona i tylko kiedy mijać będą gazową lampę na każdym piętrze, osoba siedząca w fotelu będzie widoczna w świetle. Z hotelu będą mogły wysliznąć się tylnymi drzwiami. Ogrody kasyna są zaledwie o rzut kamieniem. Nikt nie zainteresuje się trojgiem starszych ludzi, zażywających wieczornego spaceru.

Położę Henry'ego Dultona pomiędzy kwitnącymi krzewami. Było bardziej niż prawdopodobne, że ciało nie zostanie znalezione aż do jutra. Zostawi pistolet przy nim. Samobójstwa w Monte Carlo były zawsze tuszowane przez policję i władze. Już zbyt wielu ludzi na świecie głosiło występność hazardu, aby zachęcać ich do dalszych komentarzy w gazetach.

Henry Dulton nie był ogólnie znaną osobistością.

Emilia odetchnęła głęboko i schyliła się, by pozbierać banknoty, rozrzucone na chodniku przed kominkiem. Okropna rana w skroni Dultona krwawiła, więc, wzdrygając się, starła krew, która wyciekała na dywan. Powoli, z kamiennym spokojem weszła do sypialni, odłożyła pieniądze do kasetki z biżuterią, zdjęła kapelusz i płaszcz. Położyła mufkę na krześle dokładnie tak samo, jak zostawiła ją Jeanne, następnie, otworzywszy drzwi toalety, wróciła do salonu. Gdy tam wchodziła, zegar wybijał piętnastą trzydzieści. Henry Dulton nie będzie mógł się stawić na umówione spotkanie.

Rozdział 8

Mistral była zmartwiona i nieszczęśliwa. Zupełnie nie wiedziała dlaczego, bo poza przenikającym ją przeczuciem, że coś było nie w porządku, nie mogła znaleźć rozsądnego uzasadnienia dla swojego nastroju. Kiedy ona i Jeanne wróciły ze spaceru tego popołudnia, ciotka Emilia przywitała ją w drzwiach salonu i powiedziała ostro.

- Ty, Mistral, pójdziesz do swojego pokoju i zostaniesz tam, dopóki któraś z nas nie przyjdzie po ciebie. Zrozumiano? Nie wolno ci wyjść, dopóki nie powiem, że masz to zrobić

- Tak, ciociu Emilio - odparła Mistral. - Ale... czy coś się stało?

- Bądź tak miła i zrób to, co ci kazano, bez kłótni czy idiotycznych pytań - odpowiedziała jej Emilia i zmieszana Mistral poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi

Przez jakiś czas zastanawiała się, czym wzbudziła gniew ciotki, rozważała każdy swój ruch od rana i nie odnalazła nic, co mogłoby ją zdenerwować czy zirytować. Po dłuższym czasie zdjęła płaszcz i czepek i, powiesiwszy je w szafie, spacerowała dookoła hotelowego pokoju, a spoglądając na firanki, misterną narzutę i francuskie meble, zastanawiała się, dlaczego, mimo że wszystko samo w sobie jest tak czarujące, w całości pokój wydaje się pusty i nieprzytulny. Przyszło jej do głowy wyjaśnienie.

To, oczywiście, dlatego że ona nie miała tutaj nic własnego, ani fotografii, ani ozdób, którymi otaczała się większość kobiet. Na toaletce leżały tylko: drewniana szczotka, której używała w klasztorze, grzebień i słoiczek maści do rąk, подарowany jej przez Jeanne. Taki krem Jeanne robiła każdej zimy, ponieważ ciotka Emilia często cierpiała z powodu popękanej skóry na dłoniach.

Pudełko balsamu do rąk trudno było uznać za ozdobę i Mistral, porównując swój pokój z pokojem Jeanne, wiedziała,

że ten drugi był o wiele bardziej przytulny. Na kominku stały fotografie siostrzeńców i siostrzenic Jeanne, w pudełku z muszelek trzymała swoje szpilki do włosów, a chińskie puzderko z wypisanym na nim mottem służyło do przechowywania grzebieni. Na stoliku przy jej łóżku, oprócz modlitewnika, stała figurka świętego Antoniego, leżał tam jej różaniec z kości słoniowej i srebrnych paciorków, którego używała tylko w święta, oraz haftowany futerał na okulary, który dostała w prezencie gwiazdkowym ponad dwadzieścia lat temu. Były tam też gliniane garnuszki z Normandii, poduszczyk do igieł wpasowany w szklany pantofelek, słoik, talizman z Indii, wyszywany obrazek ze Świętą Rodziną - przedmioty które jeździły z nią wszędzie. Bez wątpienia pokój Jeanne, gdziekolwiek by się znajdował, zawsze miał swoją indywidualność.

Mistral nie miała nic własnego, co mogłaby umieścić w swoim pokoju. Gdy o tym pomyślała, przypomniały jej się długie lata spędzone w szkole, kiedy tak często i tak gorąco tęskniła do kogoś, kto by ją kochał i troszczył się tylko o nią. Wprawdzie zakonnice były miłe i nie ukrywały swego przywiązania do uczennic, ale nie można było nie zauważyć, że swoje serca oddały przede wszystkim Bogu, że w ich uczuciach i poświęceniu, i naprawdę we wszystkim, co robiły, przejawiała się miłość do Tego, któremu ślubowały posłuszeństwo.

Mistral była głęboko religijna, ale pragnęła także ludzkiej miłości, ludzkiego zrozumienia oraz świadomości, że do kogoś należy. Dotkliwie to odczuwała zwłaszcza w czasie wakacji, gdy wszystkie inne dziewczęta, podniecone i paplające o swoich planach, wyjeżdżały do domów, a ona zostawała w klasztorze tylko z dwoma innymi dziewczynkami, które dotrzymywały jej towarzystwa.

Rodzice jednej z nich przebywali w Afryce, a druga nie miała matki, jej ojciec był gubernatorem Czarciej Wyspy i odwiedzała go tylko raz na trzy lata. Jednak chociaż te dwie dziewczynki pozbawione były, tak jak ona, wakacji w domu, przynajmniej miały krewnych, którzy do nich pisywali, rodziców, którzy przysyłali im prezenty na urodziny, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, dziadków i babcie, ciocie, wujków i kuzynów, którym mogły w długich listach zwierzać się ze swoich smutków i którzy przesyłali im w odpowiedzi słowa pełne miłości.

Mistral pilnie pisywała do ciotki Emilii każdego tygodnia, ale czasem mijały trzy lub cztery miesiące, zanim nadeszła odpowiedź. Listy zawsze były krótkie i chłodne, nie zawierały żadnych wiadomości. W gruncie rzeczy listy od ciotki były niemal identyczne, nieustannie nakazywała w nich uczyć się pilnie, przykładać do lekcji jeszcze gorliwiej i starannie wypełniać polecenia zakonnice.

Wszystko to Mistral robiła automatycznie i dlatego listy ciotki gorzko ją rozczarowywały, choć niezmiennie odczuwała nagły dreszcz kiedy zobaczyła list adresowany do siebie na stoliku, gdzie dziewczętom wykładano pocztę.

Jeżeli listy ciotki Emilii były nieliczne i nadchodziły nieczęsto, to jej odwiedziny były jeszcze rzadsze. Może raz do roku przyjeżdżała do klasztoru, rozmawiała z matką przełożoną, a później zabierała Mistral na spacer po ogrodach. Wizyty ciotki Emilii były niemal takim samym rozczarowaniem, jak listy od niej. Każde zdanie, jakie kierowała do Mistral zaczynało się od: „Wielebna Matka mówiła mi, że powinnaś bardziej się przyłożyć do...”, „Wielebna Matka sugeruje, że powinnaś uczyć się...”, „Wielebna Matka i ja sądzymy, że jesteś już dość duża, aby rozpocząć...”

To były lekcje, lekcje, lekcje przez cały czas. Mistral, która z niecierpliwością, z niemal gorącym pragnieniem czekała na wizytę ciotki, wycofywała się do swojej skorupki pełna rezerwy, tej samej rezerwy, która pozwalała jej skrywać poczucie całkowitego osamotnienia przed innymi dziewczętami.

Czasem nocą, gdy leżała w swoim wąskim, małym łóżku w sali sypialnej, lubiła sobie wyobrazać, że leży w ramionach matki, że zwierza się jej ze wszystkiego, o czym myśli i co czuje, i że matka jej słucha, rozumie ją i współczuje.

Pewnego razu, słysząc płacz dochodzący z sąsiedniego łóżka, Mistral wstała, by pocieszyć szlochającą dziewczynkę.

- Co się stało, Yvonne? - zapytała szeptem, gdyż nie wolno im było rozmawiać po zgaszeniu świateł.

- Chcę do mamy - załkała Yvonne. - Chcę do mamy! Mistral ukoła smutek koleżanki najlepiej jak umiała, otuliła ją, potem wróciła zmarznięta i drżąca do własnego łóżka. Przez resztę nocy nie spała. Ona także chciała do swojej matki! Aż nazbyt dobrze rozumiała, co czuła Yvonne, ale matka Yvonne była niedaleko stąd była rzeczywistą, realnie istniejącą osobą, mieszkającą w domu, do którego Yvonne powróci za trzy miesiące, a za kilka lat, jeśli nie zechce wyjść za mąż, nie będzie musiała go już nigdy opuszczać.

To straszna pustka, myślała Mistral w ciemności, nie mieć ani domu, ani rodziców, żadnego miejsca, które można by nazwać własnym, nikogo, kto by się zatroszczył, czy jestem chora, czy zdrowa, szczęśliwa czy nieszczęśliwa, radosna czy smutna.

Nieczęsto pozwalała sobie na rozmyślanie o własnej samotności, była na to zbyt rozsądna i miała pogodne usposobienie. Teraz jednak uświadomiła sobie, że to rzutowało na całe jej dzieciństwo. Zawsze czuła się trochę oddalona od innych dziewcząt. One miały tyle przeżyć, o

których mogły sobie nawzajem opowiadać, majówki, na które były zapraszane podczas wakacji, szaleństwa konnej jazdy, wyprawy na nartach czy podróże.

Bardziej nawet niż to łączyła je inna, wspólna cecha: przynależność do rodziny. Mogły mówić o swoich matkach i ojcach, siostrach i braciach, choćby narzekać, co zwykle robiły, na władzę rodziców:

- Moja mama nie pozwala mi chodzić na tańce, mówi, że jestem za młoda!

- Mój ojciec jest strasznie surowy...

Mogły się przechwalać rodzinnym majątkiem lub bohaterskimi czynami swych przodków, nie było końca tej rozrywce. Wielkość

rodziny domów, bogactwo ojców, piękność sióstr, powodzenie, jakie mieli u dziewcząt ich bracia, wszystko to przypisywały sobie za zasługę.

Mistral z początku się im przysłuchiwała, potem wycofywała się z ich towarzystwa. Niczego nie mogła wnieść do tych rozmów. Dla niej cały świat zamykał się w obrębie szarych murów klasztoru.

Na szczęście mogła czytać. Czasem myślała, że gdyby nie książki, które pożyczał jej ojciec Wincenty, nie zdołałaby zapanować nad swoim niepokojem. Ojciec Wincenty był mądrym człowiekiem. Jako jej spowiednik zauważył wrzący nurt, który czasem przebijał spoza przejrzystej szczerości oczu Mistral. Być może także docenił to, że miała wyjątkowo jasny i aktywny umysł. Spostrzegł, że z łatwością dystansuje dziewczęta w nauce, że coraz trudniej było znaleźć dla niej nauczycieli o odpowiednich kwalifikacjach.

Ojciec Wincenty był człowiekiem wyjątkowo wykształconym. Z pochodzenia arystokrata, wybrał służbę Kościołowi, nie chcąc śladem rodzinnej tradycji angażować się w politykę. Zgromadził ogromną bibliotekę i rok po roku

dodawał do niej nowe książki. Nie były to wprawdzie lektury, jakie matka przełożona wybrałaby dla młodej dziewczyny, lecz ojciec Wincenty zapewnił ją, że dla rozwoju Mistral i jej dobrego samopoczucia konieczna jest swoboda chociaż w wyborze książek, skoro nie ma jej w niczym innym.

- Młodego źrebięcia nie można zbyt długo trzymać za uzdę - powiedział, a matka przełożona zrozumiała jego słowa.

- Mistral to słodkie dziecko - rzekła. - Miałam cichą nadzieję, że odnajdzie w sobie powołanie, bo o ile wiem, nie ma domu, martwię się tym, co się z nią stanie, gdy opuści klasztor.

- Niech siostra nie próbuje namawiać jej, aby nałożyła habit - dodał ojciec Wincenty autorytatywnie. - Ona jest jedną z tych dziewcząt, które potrzebują takich lekcji, jakie dać może tylko życie wśród ludzi. My nie możemy dać jej niczego oprócz reguł postępowania i ideałów, dzięki którym później będzie umiała odróżnić ziarno od plew.

W taki oto sposób Mistral uzyskała swobodny dostęp do biblioteki ojca Wincentego. Czytała najdziwniejsze i najróżniejsze książki. Były wśród nich dzieła na temat religii, podróży, filozofii oraz romanse, które zostały uznane za jedne z największych osiągnięć literatury francuskiej. Gdy tylko stała się bardziej biegła w językach, ojciec Wincenty dał jej do czytania książki niemieckie, a później włoskie.

Ale spośród wszystkich tomów zalegających bibliotekę ojca Wincentego od podłogi do sufitu, chyba najbardziej polubiła książki angielskie. Zachwycił ją Samuel Johnson i Thackeray, Szekspira lubiła coraz bardziej, w miarę jak wczytywała się w „Sen nocy letniej”. Bardziej współczesnych autorów, jak sir Waltera Scotta, Jane Austen i Dickensa, także czytała bez końca, ale niezmiennie fascynowała ją i zachwycała poezja. Matka przełożona zemdlałaby, gdyby wiedziała, że Mistral czyta książki lorda Byrona i uważa je za

czarujące. I jeszcze tuziny innych utworów polubiła najpierw dlatego, że były angielskie, a później dlatego że stały się, jak to zwykle bywa z książkami, prawdziwymi przyjaciółmi, często bliższymi niż realni ludzie w jej życiu.

Jednak książki nie mogły zrekompensować Mistral braku rodziców i domowego życia, toteż kiedy się dowiedziała, że ma opuścić klasztor i jechać do ciotki Emilii, przeżyła moment prawdziwego upojenia. W końcu będzie podobna do innych dziewcząt, wreszcie będzie mogła kogoś kochać i doznać czyjejs miłości.

Teraz już wiedziała, że wszystko toczyło się inaczej, niż przewidywała. Pierwszego wieczora, w Paryżu, gdy nie zapowiedziana przyjechała do domu ciotki, poszła spać z ufnyim przekonaniem, że będzie to jej przyszły dom. Rankiem dowiedziała się czegoś innego i teraz wyglądało to tak, jakby po prostu zamieniła mufy klasztoru i delikatne uczucia zakonnice na bezosobowość hotelowego pokoju i kapryśne nastroje ciotki Emilii.

Ciotka Emilia jej nie kochała, tego Mistral była pewna. Nie była nawet przekonana, czy ciotka ją lubi. Czasami wydawało się jej, że widzi w oczach Emilii ponurą wrogość. Ciotka jakby znajdowała przyjemność w wynajdywaniu błędów, w odkrywaniu jakichś banalnych wykroczeń, byle tylko udzielić jej najsurowszej nagany.

Mistral przeszła przez pokój i otworzyła szufladę toaletki. W niebieskim, skórzanym pudełku wyłożonym aksamitem leżały perły, które należały do jej matki. Wyjęła je i trzymała w dłoniach. Poglaskała lekko kamienie i poczuła, że stają się ciepłe pod jej dotykiem.

Należały do jej matki! Mistral przycisnęła perły do policzka. Gdyby tylko mogły mówić, gdyby mogły jej powiedzieć, jaka była jej matka i czy kochałaby ją, gdyby żyła. Ciotka Emilia mówiła tak niewiele, a to, co opowiadała,

było zawsze ogromnie niepokojące. Dlaczego, na przykład, matka ochrzciła ją imieniem Mistral i dlaczego była tu, w Monte Carlo, krótko przed jej narodzeniem?

Były to pytania, które nieustannie do niej powracały, ale sama nie potrafiła na nie odpowiedzieć, a ciotka Emilia nie chciała jej w tym pomóc. Zawsze okazywało się, że kolejnym w tym ciągu było pytanie: kto jest jej ojcem? Bardzo, bardzo dawno temu, krótko po przybyciu do klasztoru, Mistral zorientowała się, że nosi nazwisko matki, podczas gdy inne dziewczynki noszą nazwiska swych ojców. Nic nie powiedziała, ale przy następnej wizycie Emilii zapytała ją o to.

- Czy mój tato umarł? - spytała.
- Nie! Głos Emilii był oschły i chrapliwy.
- Czy on w ogóle nie chce mnie widzieć? - dociekała.
- Nie!
- Więc mnie nie lubi?
- Takie pytanie w ogóle nie istnieje - oświadczyła Emilia.
- W twoim życiu nie ma miejsca dla ojca. Zapomnij o nim! Jesteś dzieckiem swojej matki. To jej nazwisko nosisz.
- Ale dlaczego tak jest? - nalegała Mistral. - Inne dziewczynki noszą nazwiska ojców.
- Twoja matka życzyła sobie, żebyś używała jej nazwiska - powiedziała Emilia. - To dobre nazwisko, nazwisko znakomitej rodziny. Nie wystarczy ci to?

Było coś bardzo nieprzyjemnego w tym pytaniu. Przestraszona i onieśmielona Mistral zgodziła się, że to wystarczy, i nie próbowała więcej pytać. Miała wielką ochotę dowiedzieć się, jak bardzo ciotka Emilia życzy sobie, żeby nie próbowała myśleć o ojcu. Pytanie to jednak nurtowała ją często, dlatego powróciło i teraz. On istniał, a ona była jego częścią, bez względu na to, co mówiła ciotka Emilia, i mimo to, że tak starannie pragnęła powstrzymać każdą o nim

wzmiankę. Był gdzieś na świecie, ale czy wiedział, że jest już dorosła i czasem tęskni do niego niepohamowaną tęsknotą?

Dom! To słowo nigdy nie miało dla Mistral konkretnego znaczenia. Długie godziny, które spędziła siedząc sama w hotelowym pokoju i myśląc o rzeczach, o których zakazała sobie myśleć w klasztorze, nagle ją przygnębiły i wywołały smutek. Nie poprawiło jej nastroju pojawienie się Jeanne, gdy ta wreszcie weszła do pokoju.

- Przyszłam, żeby wyjąć panience strój na dzisiejszy wieczór - oznajmiła. - Ciotka życzy sobie, żebyś włożyła tę suknię z szarego atłasu.

Na dźwięk głosu Jeanne Mistral pospiesznie odwróciła się od okna. Stała tam przyglądając się gwiazdom, które wschodziły jedna po drugiej na niebie ogarniętym ciemnością. Z trudem powstrzymała okrzyk cisnący się jej na usta. Jeanne wyglądała upiornie. Twarz miała bladą jak u trupa, z ust odpłynęła cała krew. Trzęsły się jej ręce, gdy podkręcała nieco lampę gazową i otwierała drzwi szafy.

- Jeanne, co się stało? - zapytała Mistral. - Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Usiądź i odpocznij. Sama wyjmę tę suknię.

- Nie, ja to zrobię - mruknęła Jeanne, ale zaraz potem niemal niedosłyszalnym szeptem dodała: - „Z sideł szatana, wybaw nas, Jezu.”

O co tu chodzi? Co się stało? Dlaczego Jeanne odmawia litanię pokutną? Co ją zdenerwowało? Co sprawiło, że od chwili powrotu ze spaceru w ogrodach jakby postarzała się o dwadzieścia lat?

Gwałtownie przebiegła przez pokój i objęła starą służącą.

- Jeanne, jesteś zmęczona albo chora. Idź i połóż się do łóżka. Ubiorę się sama, pomogę też przy ubieraniu cioci Emilii.

- Nie, mademoiselle. - głos Jeanne był szorstki. - Madame nie życzy sobie, żeby jej przeszkadzano aż do obiadu. Lepiej się do niej nie zbliżać.

- Bardzo dobrze - powiedziała Mistral. - Ale ty usiądź, Jeanne, proszę cię, usiądź.

Ku jej zdumieniu służąca jednym ruchem uwolniła się od obejmującego ją ramienia.

- Nie dotykaj mnie! Pozwól mi zająć się swoimi obowiązkami, mademoiselle. Mam robotę... „O, Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wybaw nas...”

Wyłożyła suknię, w którą Mistral miała ubrać się tego wieczora, i wyszła z pokoju wciąż się modląc, z wyrazem przerażenia w oczach.

Mistral nie wiedziała, o co chodzi. Z ulgą zauważyła, że ciotka Emilia wydawała się spokojna, kiedy spotkały się w salonie przed obiadem. Jakby na przekór jej obawom Emilia wyglądała bardziej władczo i po królewsku niż zwykle w brokatowej sukni o barwie szafiru i wierzchniej spódnicy z drapowanej siatki. Jeżeli Mistral myślała, że jej ciotka będzie zdenerwowana w ten sam dziwny sposób co Jeanne, myliła się. Głowa Emilii wzniesiona była wysoko, a na ustach błąkał się nikły uśmiezek. Mistral wydawało się nawet, że jej oczy niezwykle błyszcząły, a w głosie dźwięczał ton triumfu. To, co wstrząsnęło Jeanne, musiało mieć odwrotny wpływ na ciotkę.

- Uprzątnij salon, Jeanne - powiedziała Emilia - i zostaw mi trochę wina do wypicia, gdy wrócę. Pamiętaj, żebyś zacerowała dziurę w sukni, którą miałam na sobie dzisiejszego popołudnia. Musiałam zaczepić się o jeżynę czy inny ciernisty krzak. To tylko mały znak tuż przy obrąbku, ale powinien być naprawiony natychmiast.

Mistral wydawało się, że Jeanne skurczyła się i wstrząsnął nią dreszcz. Wymamrotała tylko;

- Tak jest, madame... Zrobię to natychmiast, madame.

Nawet kiedy milczała, usta poruszały się nadal i Mistral wiedziała, że Jeanne ciągle, się modli.

Ciotka Emilia sprowadziła ją na dół na obiad. Jak zwykle swoim spóźnionym wejściem wywołały pewne poruszenie na sali. Ludzie przestawali jeść i rozmawiać, aby na nie popatrzeć. Tak jak każdego wieczora, Mistral pragnęła raczej zapaść się pod ziemię, niż znowu znosić badawcze spojrzenia setek oczu. Odczuwała poniżenie, wiedząc, że każdy jej ruch jest komentowany i krytykowany.

Nauczycielką, która uczyła w szkole dobrych manier, zawsze wbijała do głowy swym uczennicom, że takie zażenowanie jest próżnością. Nie myślcie o sobie w takich okolicznościach - nakazywała.

Każdego wieczora, w porze kolacji, Mistral próbowała być jej posłuszna. Zmuszała się do myślenia o innych rzeczach, powtarzała sobie w myśli jakieś wiersze, gdy w ślad za ciotką Emilią podążała swoją drogą między stolikami zatłoczonej restauracji.

Dziś wieczorem przyszło jej do głowy kilka wersów z lorda Byrona: Przepiękna stąpa niczym noc Bezchmurna i w potędze gwiazd; Z mroku i światła czerpie moc Czar jej postaci, oczu blask.

Jak cudownie być kimś takim, pomyślała Mistral, nieświadoma tego, że te wersy mogłyby być napisane o niej.

Dotarły do azylu swojego stolika. Mistral, zadowolona, że codzienna wieczorna próba, przed którą drżała, była już zakończona, stwierdziła, że jest bardzo głodna i skwapliwie zgadzała się na potrawy, które kelner przynosił im do degustacji. Niestety, wyglądało na to, że Emilia niewiele będzie jadła. Spróbowała tylko łyżkę zupy, ledwo skrobnęła rybę, a pozostałe potrawy odesłała nietknięte. Rozmawiała z ożywieniem. Komentowała wszystko tak nieżyczliwie i tak

głośno, że Mistral bała się, że zjadliwe uwagi ciotki zostaną podsłuchane.

Ucieszyła się więc, kiedy zakończyły posiłek i mogły pójść do kasyna. Ciotka Emilia tego dnia zachowywała się ekstrawagancko. Zmieniła cztery banknoty o wysokich nominałach na złote monety, a później miała trudności z doniesieniem tak dużej ich ilości do stołu. Pomagała jej Mistral.

- Masz zamiar grać wyżej niż zwykle, ciociu Emilio? - zapytała. Mówiąc to była prawie przekonana, że ciotka poczuje się urażona jej uwagą, ale Emilia uśmiechnęła się tylko i odparła:

- Stać mnie na to! Tak, dziś mogę sobie na to pozwolić. Tak jak wczoraj Mistral stanęła za krzesłem ciotki i śledziła grę

Początkowo przebieg gry interesował ją i trochę bawił, ale w końcu poczuła się znudzona rolą widza. Stosy pieniędzy umieszczonych na różnych numerach, beznamietne głosy krupierów i dłonie tych, którzy wygrali, wyciągające się po pieniądze na podobieństwo chciwych szponów, to było zbyt monotonne i zbyt dobrze znane, aby przykuć uwagę Mistral na dłużej. Dziś jej wzrok wędrował po sali nie raz, ale nieustannie. Obserwowała nowych gości, gdy wchodzili, oraz tłum przemieszczający się od stołu do stołu.

Udawała sama przed sobą, że nie wypatruje nikogo szczególnego, ale w głębi serca wiedziała, że czeka na moment, w którym znów zobaczy sir Roberta, Dziś wieczorem nie jadł obiadu w Hotel de Paris i zniecka poczuła okropny strach, że mógł już wyjechać, że jego wakacje dobiegły końca.

A gdyby to była prawda? Gdyby już nigdy więcej nie miała go zobaczyć? Zadając sobie to pytanie, Mistral czuła się osamotniona i opuszczona jak nigdy przedtem. Błyszczące

otoczenie znikło sprzed oczu. Wydawało się jej, że znalazła się sama w ogromnej, przerażającej ciemności, bez przyjaciela, bez towarzysza. Nie pojmowała własnego strachu, wiedziała tylko, że się boi.

I nagle poczuła ulgę, gwałtowną, niewysłowioną, aż kolana się pod nią ugięły, zobaczyła sir Roberta wchodzącego do sali. Był z lady Violet. Mistral wydawało się, że oboje są rozdrażnieni, jakby się posprzecjali.

Sir Robert od razu podszedł do najbliższego stołu i zaczął grać, Mistral obserwowała go. Miała nadzieję, że podniesie wzrok w jej kierunku, zobaczy ją i wtedy, jak to się często zdarza, dostrzeże w jego oczach porozumiewawczy błysk i cień uśmiechu na ustach. Dziś wieczorem jednak zbyt intensywnie koncentrował się na grze, żeby myśleć o czymś innym. Teraz, kiedy był tutaj, nie przeszkadzało jej to, wystarczyło, że mogła obserwować go spod rzęs,

- Mistral, o czym ty myślisz? - głos Emilii wyrwał ją z zamyślenia. - Mówiłam już do ciebie dwa razy, a ty nie odpowiadasz.

- Przepraszam, ciociu Emilio.

- Zabierz moje okrycie i zanieś je do szatni. Tu jest zbyt gorąco.

- Dobrze, ciociu.

- Numero quinze. Rouge et impair - ogłosił krupier.

- No, znowu wygrałam - oznajmiła z satysfakcją Emilia. - Zawsze w końcu wygrywam. Zauważyłaś to, Mistral? Ja zawsze w końcu wygrywam.

Zachichotała. Zabrzmiało to dziwnie, a ponieważ Emilia śmiała się rzadko, Mistral pomyślała, że dźwięk, który wydobywał się z ust ciotki, brzmi niemal złowieszczo.

Pospiesznie zabrała okrycie ciotki. Szatnia dla dam znajdowała się w końcu korytarza, znacznie oddalonym od głównego wejścia i aby się tam dostać, musiała minąć wiele

innych sal. Kiedy mijala salę do gry w karty, akurat wychodził z niej jakiś mężczyzna.

- Mademoiselle Fantome! - wykrzyknął. - Cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności, właśnie pragnąłem mówić z panią.

Mistral rozpoznała radzę Jehangaru. Znała go z widzenia i podczas obiadu zauważyła, że on nieustannie spogląda w ich kierunku. Ciotka Emilia zauważyła to także.

- Radza Jehangaru obserwuje nas w impertynencki sposób - sapnęła. - Jadowity, mały człowieczek, ale fantastycznie bogaty. Spędza w Europie siedem miesięcy, potem wraca do Indii. Zbiera pieniądze aby je znów roztrwonić.

- Uważam, że ta pani, która mu towarzyszy, jest bardzo piękna - powiedziała Mistral.

- Pani! - wykrzyknęła z pogardą ciotka Emilia.

Mistral nie zrozumiała uwagi ani sarkazmu w jej głosie, ale nie miała ochoty prosić ciotki Emilii o wyjaśnienie.

Teraz, patrząc na ciemną, tajemniczą twarz radży, w której białe zęby lśniły zadziwiająco, pomyślała, że sposób, w jaki opisała go ciotka Emilia, jest w pełni uzasadniony.

- Pan wybaczy, Wasza wysokość, ale zostałam wysłana przez swoją ciotkę w pewnej drobnej sprawie.

- To może poczekać kilka minut - odparł radza. - Mam pani do powiedzenia coś, co ma ogromne znaczenie dla pani samej. .

- Dla mnie? - spytała Mistral ze zdumieniem. - Co to takiego?

- Proszę pójść za mną - zarządził władczo radza. - Nie możemy tutaj rozmawiać.

Poprowadził ją do opustoszałej sali koncertowej. Oszklone drzwi na taras były otwarte i radza, za którym podążała Mistral, przeszedł przez jedno z nich, stanęli więc na zewnątrz. Światło księżyca oświetlało kamienną balustradę i

ogrodzone, kamienne donice z zasadzonym tam opadającym kaskadami geranium i niebieskim heliotropem.

- Ciocia będzie czekała na mój powrót - odezwała się nerwowa Mistral, trzymając aksamitne, wykończone futrem okrycie ciotki Emilii przed sobą, jakby to była tarcza. Coś ją niepokoiło w radży. Często zastanawiała się, dlaczego ta ładna, jasnowłosa kobieta, która niezmiennie towarzyszyła mu w kasynie, nie może sobie znaleźć bardziej atrakcyjnego towarzysza.

- Nie będę pani długo zatrzymywał - powiedział radża.

- O czym chciałby pan ze mną mówić? - spytała Mistral.

- Jest pani bardzo konkretna, od razu przechodzi pani do rzeczy - rzekł radża, a Mistral pomyślała, że jego uśmiechnięta twarz bardziej jej się nie podoba niż poważna.

- Nie mogę zostać tu dłużej, Wasza wysokość, gdyż ciocia będzie ze mnie niezadowolona.

- Nikt nigdy nie mógłby być niezadowolony z kogoś tak cudownego jak pani, mademoiselle - zauważył radża.

Mistral zadarła bródkę tak, jakby jego komplement uraził ją, a on dodał szybko:

- Ale mam mówić bez ogródek, jak jest przyjęte w Europie. W moim kraju nie jesteśmy tak obcesowi. Więc doskonale, chciałem z panią pomówić o jej perłach.

- O moich perłach!

- Tak. Widzę, że dziś znów ma je pani na sobie. Są bardzo piękne, ale zbyt surowe, nieco za posępne dla kogoś tak młodego i pełnego życia jak pani. Jeśli mi pani pozwoli, zamienię je na brylanty albo na jakieś inne szlachetne kamienie, które się pani podobają.

- Zamienić je? Przez chwilę Mistral była tak kompletnie zaskoczona, że tylko powtórzyła jego słowa, ale po chwili zaczęła pojmować, co powiedział.

- To ma oznaczać, że pan chce mieć moje perły, chce je kupić ode mnie?

- Właśnie! Jak to dobrze, że możemy sobie wyjaśnić, o co nam chodzi, w tak przyjemny sposób! Tak, mademoiselle, kupiłbym od pani perły za cenę, jaką by pani raczyła wyznaczyć, oczywiście za rozsądną cenę, lub jeśli pani woli, zastąpię je naszyjnikiem z brylantów, szafirów albo rubinów. Większość kobiet woli chyba brylanty. Mistral wyprostowała się dumnie.

- Obawiam się, że Wasza wysokość został źle poinformowany. Perły, które noszę, nie są na sprzedaż ani na wymianę.

- Ależ, mademoiselle, niech pani nie podejmuje decyzji tak pochopnie.

Radza przysunął się o krok.

- Pani perły, jak już mówiłem, choć piękne, są zupełnie nieodpowiednią ozdobą dla kobiety takiej jak pani. A pieniądze zawsze się przydają, nawet bogatym. Takiej oferty jak ta może pani nie mieć już do końca swego życia. Uparłem się, że zdobędę te perły, dlatego może pani poszantażować mnie odrobinę. Czy ten pomysł nie bawi pani?

- Przykro mi, Wasza wysokość, ale ja nigdy się nie rozstanę z moimi perłami. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Mistral odwróciła się w kierunku drzwi, ale radza zagroził jej drogę. Stał teraz na stopniu tarasu tak, że patrząc na niego, musiała spoglądać w górę.

- Jak mam panią przekonać, że zawsze dostaję to, czego chcę? - zapytał. - Byłoby dużo rozsądniej z pani strony, mademoiselle, zgodzić się na sprzedaż tych pereł teraz i za cenę, jaką pani wyznaczy.

Bez wątpienia w tonie jego głosu zabrzmiała groźba. Rozzłościł Mistral swoją impertynencją.

- Niech pan będzie tak uprzejmy i odsunie się - rzekła lodowato. - Wasza wysokość nie ma prawa zatrzymywać mnie tutaj. Odpowiedziałam na wszystkie pytania i odrzuciłam pańską ofertę. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- - A ja, wręcz przeciwnie, mam bardzo wiele do powiedzenia - odparł radża. - Jest pani bardzo młoda, mademoiselle, a młodzi są zazwyczaj i impulsywni, i nietolerancyjni. Zdobędę te perły, ale byłoby o wiele przyjemniej, gdybyśmy mogli, pani i ja, załatwić to jak przyjaciele.

Mistral nagle uświadomiła sobie, że jego głos zyskał niemal hipnotyczną siłę. Wpatrywał się głęboko, głęboko w jej oczy. Poczula się tak, jakby jakaś ciemna mgła zaczęła podnosić się wewnątrz niej. Ledwo to odczuła, zobaczyła, że ręka radży wyciąga się ku jej szyi i zrozumiała, że zamierza dotknąć pereł. Z okrzykiem, który był prawie wrzaskiem, zmusiła się, by odwrócić wzrok od jego oczu i nagłym, nieoczekiwanym ruchem rzuciła się do przodu, minęła go i wpadła do oświetlonej sali koncertowej. Była tak szybka, że chociaż radża wyciągnął ku niej rękę, nie udało mu się jej zatrzymać. Uwolniła się i zanim zdążył cokolwiek zrobić, pobiegła korytarzem tak prędko, jak umiała, i wpadła w drzwi, które prowadziły do szatni dla dam.

Między zewnętrznymi i wewnętrznymi drzwiami szatni był drugi korytarz. Gdy Mistral dotarła do wewnętrznych drzwi, wciąż biegnąc na oślep, z przerażenia jakby uskrzydłona, zderzyła się z kobietą, która akurat wychodziła.

- Boże... Przepraszam! - krzyknęła kobieta po angielsku. Mistral podniosła wzrok i zobaczyła, że była to ta ładna, jasnowłosa

kobieta, którą tak często widywała w towarzystwie radży. Przez chwilę nie mogła się nawet poruszyć, tylko patrzyła na Stellę. Później spostrzegła, że na skutek zderzenia tiul

zdobiący gors jej szarej sukni z atlasu splątał się z jednym z ozdobionych klejnotami motyli, które były wyhaftowane na sukni Stelli. Stały tak obie, połączone ze sobą, i dopiero kiedy minęło pierwsze oszołomienie, Mistral wyciągnęła rękę, aby wypłatać motyla.

- Przepraszam - powiedziała. - To moja wina, biegłam tak szybko.

- Nic się nie stało - odparła Stella. - Wygląda na to, że panience gdzieś bardzo pilno. Myślałam, że panienka spieszy się na pociąg, czy coś takiego.

Mistral próbowała się uśmiechnąć.

- Nie, to nie z powodu pociągu biegłam. Stella spojrzała na nią.

- Panienka jest strasznie blada - zauważyła ze współczuciem. - Coś musiało panienkę wyprowadzić z równowagi. Niech się panienka nie przejmuje tym głupim motylem i dobrze go szarpnie. Może ja spróbuję.

- Nie, nie, proszę nie ruszać.

Mistral zrećźnie wypłatała tiul z cieniutkich, metalowych pazurków, którymi był obramowany każdy z barwnych kawałków szkła, składających się na motyla.

- Dziękuję - powiedziała Stella, gdy została uwolniona.

- Niestety, motyl wisi tylko na jednej nitce - rzekła Mistral.

- Spodziewam się, że szatniarka będzie umiała to naprawić - odparła Stella, ale nie ruszyła się z miejsca.

Mistral domyśliła się, że czeka, aż ona pójdzie pierwsza. Z nieśmiałym uśmiechem weszła do szatni i podała szatniarce okrycie Emilii. Potem odwróciła się i zobaczyła, że Stella idzie za nią i właśnie ogląda swój rękaw. Teraz, gdy znalazły się w świetle gazowej lampy, Mistral mogła przyjrzeć się jej sukni. Była zadziwiająca. Uszyta z jasnozielonego atlasu, cała pokryta motylami wyszywanymi maleńkimi klejnocikami.

Gdy Stella szła, kamyczki mieniły się i lśniły. Na swój sposób suknia była ładna i atrakcyjna, jednakże sprawiała wrażenie nieprawdopodobnie pstrokatej.

Włosy Stelli, ułożone w mnóstwo loczków, także były ozdobione wiankiem z motyli. Policzki miała ożywione różem, wargi zaś tak purpurowe, jak bukiet miniaturowych róż w jej ręku. Ale Mistral dostrzegła również życzliwość szerokiego uśmiechu oraz miłą delikatność spojrzenia błękitnych oczu.

Stella popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, potem podniosła rękę i lekko pociągnęła motyla. Ostatnia nitka pękła i motyl został jej w dłoniach.

- O, udało mi się! - zawołała.

- Trzeba to z powrotem naszyć - powiedziała Mistral. - Obawiam się, że atłas pod spodem jest trochę naderwany. Najmocniej przepraszam na swoją niezręczność.

- Nie musi panienka - uśmiechnęła się Stella. - Zapewniam, że nic się nie stało. Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się ta suknia podoba była jednak tak droga, że Crissie... to znaczy moja siostra... Pomyślałam, że lepiej ją wezmę.

Taki powód zakupu sukni wydał się Mistral niezwykły. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Po chwili Stella zauważyła cicho:

- Nie powinna panienka tu zostawać i rozmawiać ze mną. Lepiej żeby panienka już sobie poszła.

Przez chwilę Mistral nic nie rozumiała. Potem zmieszała się okropnie i powoli krew napłynęła do jej policzków. Nie uważała tej pięknej kobiety, która zawsze towarzyszyła radzy, za niemoralną, ale teraz zrozumiała, co Stella próbowała jej wytłumaczyć. Zrozumiała zresztą nie tylko to. Pojęła także, że ta Angielka nie mówi po francusku. Nie poprosiła szatniarki o przyszywanie motyla, ponieważ nie umiała sformułować swojej prośby.

Uśmiech Mistral był bardzo słodki.

- Dziękuję, ale przede wszystkim muszę naprawić szkodę, jaką pani wyrządziłam. Pozwoli pani, że poproszę szatniarkę, aby ta przyszyła?

Stella spojrzała z ulgą.

- Byłabym uszczęśliwiona. Nie umiem mówić tym żargonem. Mam dosyć kłopotów, żeby dostać swój płaszcz każdego wieczora.

Mistral zwróciła się do szatniarki.

- Proszę przynieść igłę i nitkę - odezwała się po francusku. Mademoiselle zniszczyła suknię i musi ją naprawić.

- Certainement, mademoiselle, je viens tout de suite - odparła kobieta.

- To bardzo miło ze strony panienki.

- Naprawdę, to nic wielkiego, zważywszy, że prawie zniszczyłam pani toaletę - odpowiedziała Mistral.

Szatniarka podeszła z nitką i igłą. Stella nie zwracała na nią uwagi. Patrzyła na Mistral. Z wyrazu twarzy Stelli można było wyczytać, że zмага się ze sobą, czy powiedzieć coś, czy nie. W końcu wykrztusiła z siebie te słowa:

- Niech panienka posłucha, dam dobrą radę. Jeśli ktoś będzie chciał kupić od panienki te perły, proszę powiedzieć: nie.

Mistral spojrzała na Stellę ze zdziwieniem, potem przyszło jej do głowy, że to z pewnością dla niej radza pragnie kupić perły.

- One nie są na sprzedaż - rzekła cicho. - Należały do mojej matki.

- Myślałam, że to będzie coś w tym rodzaju, kiedy patrzyłam przed chwilą na panienkę - powiedziała Stella, - Mimo wszystko proszę zapamiętać moją radę. Jeśli ktoś poprosi, żeby panienka się z nimi rozstała, proszę odmówić.

- Dziękuję za radę - szepnęła Mistral. - To bardzo miłe z pani strony, że mi jej pani udziela.

- Miłe? - Stella powtórzyła ze zdumieniem, a potem wybuchnęła śmiechem. - To panienka jest miła, stojąc tu i rozmawiając z kimś takim jak ja. Jeśli ktoś nas zobaczy, będzie panienka miała nieprzyjemności, przecież panienka o tym wie.

- Ludzie często miewają głupie pomysły - zauważyła Mistral. - Nie widzę niczego złego w rozmowie z panią.

Sposób, w jaki mówiła, był delikatny i przyjazny, i taki sam był uśmiech na jej ustach. Stella westchnęła lekko.

- Większość ludzi byłaby gotowa powiedzieć tylko, jak bardzo jest to niewłaściwe. Na tym świecie nigdy nie jest się pewnym, czy człowiek postępuje dobrze, czy źle, przynajmniej ja nie jestem tego pewna. Ot i kłopot.

- Mówi pani tak, jakby się pani czymś bardzo trapiła - rzekła Mistral z instynktownym współczuciem.

- To zabawne, że panienka tak uważa! - wykrzyknęła Stella. - Ale bliskie prawdy, bo istotnie mam zmartwienie. Trochę to śmieszne, ale martwi mnie prawdziwe pomieszanie dobra i zła.

- Może ktoś mógłby pani pomóc - radziła Mistral. - Kiedy ja miałam wątpliwości w jakichś ważnych sprawach, zawsze wydawało mi się to pocieszające, że można pójść do kogoś, kto zna odpowiedź. - Nie chciała otwarcie sugerować, że mógłby rozwikłać ten problem ksiądz. Przypomniała sobie, że większość ludzi w Anglii to niekatolicy. Wydawało się, że Stella rozważa jej słowa. Szatniarka skończyła przyszywanie połyskliwego motyla i Stella mrucząc słowa podziękowania, wręczyła jej franka.

- Merci, mademoiselle, merci - powiedziała kobieta, wracając na swoje krzeselko przy płaszcach.

Mistral wiedziała, że powinna wrócić już do ciotki Emilii. Trudno będzie wytłumaczyć, dlaczego tyle czasu zabrała jej czynność tak prosta, ale coś kazało jej zostać. Instynktownie czuła, że Stella chce jej się zwierzyć. Miała zmartwiony wyraz twarzy. Oczy, z ciężkimi od tuszu rzęsami, były niemal żalotne w swym wołaniu o pomoc. Mistral pomyślała, że musi zostać troszkę dłużej bez względu na konsekwencje, jakie poniesie. W końcu Stella zdecydowała się jej to powiedzieć.

- Niech panienka posłucha - odezwała się. - Coś mi podpowiada, że panienka może rozwiązać za mnie mój problem. To jest tak. Przypuśćmy, że ma panienka szansę porzucenia czegoś, co jest złe, i zrobienia czegoś, co jest dobre, ale w ten sposób zraniłaby panienka jakąś osobę. Naprawdę by kogoś zraniła, to znaczy kogoś, kogo panienka bardzo lubi i kto bardzo lubi panienkę. Czy to byłoby słuszne, czy niesłuszne?

Mistral wzięła głęboki oddech. Przeczynała, że od jej odpowiedzi zależą wydarzenia wielkiej wagi.

- To naprawdę nie jest trudne pytanie - zapewniła swoim czystym, słodkim głosem. - Porzucenie czegoś, co jest złe, jest zawsze rzeczą właściwą, chociaż może się okazać bardzo trudne i może wymagać pokonania wielu przeszkód. Człowiek zawsze musi się starać, by nie ranić innych ludzi, trzeba zawsze być dla nich dobrym i tak uprzejmym, jak to tylko możliwe. Jest jednak coś ważniejszego niż uczucia tych ludzi, bez względu na to, jak są nam drodzy. Czyniąc to, co jest dobre, wypełniamy wolę Boga, a to jest najważniejsze. Musimy zrobić to, co jest właściwe, bez względu na to, jak wiele kosztuje to nas samych czy innych ludzi.

Stella wyprostowała się nagle i wydało się Mistral, jakby zrzuciła z ramion ogromny ciężar, a potem powiedziała cichutko:

- Dziękuję! Wiedziałam, że panienka może mi pomóc,
panienka jest dobra.

Rozdział 9

Violet Featherstone spacerowała bezszelestnie po swoim salonie. Był to niezwykle piękny pokój z balkonem, z którego rozciągał się wspaniały widok na morze. Z balustrady zwieszała się wistaria o długich, fioletowych pędach, a z dwóch zabytkowych, kamiennych donic, które Violet odkryła potłuczone i zapomniane w jakimś ogrodzie, kaskadami spływało różowe geranium w pysznej obfitości.

Wnętrze willi z nowoczesnymi meblami przywiezionymi z Anglii nie miało nic z jaskrawej pompatyczności, która była tak mile widziana w wielu rezydencjach na południu Francji. Violet zawsze kochała piękne rzeczy, miała wrodzone poczucie estetyki, a znaczna fortuna Eryka umożliwiła jej folgowanie własnym upodobaniom.

Dziś Violet nie miała ochoty na oglądanie tego, co posiadała. Krążyła między stylowymi meblami, od biurka do sofy, od konsoli do okna i z powrotem, nie widząc żadnego z tych sprzętów. Myślała tylko o jednej osobie, o Robercie Stanfordzie! Był środek popołudnia, a on jeszcze się u niej nie pojawił. Domyślała się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa udał się samotnie na kośną przejażdżkę, co było odejściem od codziennych zwyczajów. Ze strachem nagle uświadomiła sobie, że ostatnimi dniami Robert wydawał się mniej zainteresowany jej towarzystwem. Przebiegła w myśli wydarzenia z ostatnich dni.

Początkowo, gdy przybył do Monte Carlo, zaledwie kilka dni po jej przyjeździe, wydawało się, że nigdy nie miał dosyć przebywania z nią i że dni były dla nich za krótkie, tyle mieli sobie do powiedzenia. Ale powoli, tak że nie zauważyła nic aż do tej chwili, zmieniał się. Nie potrafiła wyjaśnić nawet samej sobie, jak się to stało. Następowало to stopniowo, a ona, zajęta ukrywaniem głębi własnego prawdziwego uczucia wobec niego, nie zauważyła tej zmiany. Teraz, splatając i zaciskając

dłonie, przemierzała wzdłuż i wszerz salon wyściełony wspaniałymi perskimi dywanami. Violet wiedziała, że istnieje między nimi bariera rezerwy i jakichś skrytych tajemnic.

Co się stało i jak doszło do powstania tej bariery? Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiedziała tylko, że Robert był inny. Robert, którego burzliwe, ekscytujące starania o nią niegdyś wprost ją oszołamiały, był teraz cichszy, jego gwałtowność zniknęła. Dlaczego była tak ślepa? Powinna była być czujna, na tyle przewidująca, aby dostrzec pierwszą wyrwę w łańcuchu, który wiązał ich ze sobą. Powinna była czuwać, ponieważ władza, jaką nad nim miała, nigdy nie była tak silna, jak sobie wymarzyła.

Przelotnie spojrzała na swoją twarz, odbijającą się w lustrze, które w zabytkowych, złotych ramach wisiało na ścianie. Wyglądała staro, miała bruzdę między oczami i opadające kąciki ust. Odrzuciła dumnie głowę, przecież w ten sposób nie oczaruje mężczyzny ani go nie utrzyma przy sobie. Ale jej oczy były ciągle przestraszone i niespokojne. Zawsze, przez całe swoje dorosłe życie, od kiedy odkryła, że posiada w sobie siłę zniewalania mężczyzn, Violet była tą, która nużyła się pierwsza. Mężczyźni uważali ją za kobietę, której nie można się oprzeć. To ona korzystała z ich talentów i czasu, dopóki jej się nie znudzili, nie opatrzyli, Nigdy dotąd nie musiała walczyć ani wysilać się, aby utrzymać miłość mężczyzny, jeśli już raz jego serce znalazło się u jej stóp. Wszystko było takie łatwe Wystarczyło, że się uśmiechnęła, a on był zachwycony, wystarczyło, że skinęła, a podążał za nią skwapliwie, czasem zbyt skwapliwie, nie warto było podejmować jakiegokolwiek wysiłku dla takiego mężczyzny.

Robert Stanford był inny. Wiedziała to od pierwszej chwili, gdy zostali sobie przedstawieni na balu. Poprosił ją do tańca, potem rzekł cicho;

- Dlaczego nie spotkaliśmy się wcześniej?

Zatrzymała wzrok na jego twarzy i w lot zrozumiała, co on czuje, pokrywając burzliwe emocje cichym, konwencjonalnym pytaniem. Ona również zastanawiała się nad tym, jak mogła tak długo bez niego żyć, jak mogło ją coś zachwycać lub bawić, jeżeli jego przy niej nie było. Już wtedy, ledwie muzyka zaczęła grać, ledwie wyciągnął po nią ramiona wiedziała, że zgadza się na wiele, wiele więcej niż na to jedno zaproszenie do walca. I tamtej nocy, gdy tańczyli niezmordowanie aż do świtu, postanowiła, że go poślubi.

Myślała tylko o tym, jak bardzo pragnie Roberta i jak bardzo on pragnie jej. Na początku nie wiedziała, że jest tak bogaty i ważny. Nie wiedziała nic o jego rodzinie, o jego słynnym domu ani o szerokim kręgu przyjaciół. Oczywiście słyszała o Cheveron, bo to było miejsce tak samo ważne w Anglii jak zamek Windsor, ale nie spostrzegła, czy raczej zapomniała, do kogo należy, i nawet przez moment nie przypuszczała, jak ważną rolę odegra w jej życiu.

Często, gdy ona i Robert byli razem i gdy starała się oczarować go i uczynić całkowicie, bez reszty sobie poddanym, myślała, że jedynie Cheveron dzieli ją od triumfu. Robert bardzo często mówił o swoim domu i wnet zrozumiała, że jest to nie tylko miejsce, gdzie wzrastał, lecz także bardzo ważna część jego życia. Cheveron rywalizowało z nią, Cheveron, które oznaczało wszystkie te rzeczy, których ona nigdy dać mu nie mogła - szacunek, prestiż, uznanie wśród własnej klasy, podziw ludzi, którzy dla niego pracowali, a przede wszystkim - i to było najważniejsze - potomstwo.

Wiedziała niemal od samego początku, że zadanie, jakie przed sobą postawiła, nie będzie łatwe, Violet zawsze miała odwagę, te cywilną odwagę, dzięki której mogła śmiać się z gadających języków i ciasnych, ograniczonych reguł towarzyskiego konwenansu. Ale gdy bliżej poznała Roberta, pojęła, jak głęboko wrósł on w swoje tradycyjne otoczenie.

Sama buntowała się przeciwko prowincjonalnej pompatyczności, charakterystycznej dla atmosfery książęcego domu jej ojca w Lancashire. Robert jednakże nie miał ochoty buntować się czy uciekać od niczego, co wiązało się z Cheveron.

Wszystko wróciło do niej jak żywe, bo przecież urodziła się i wychowała w takiej atmosferze, jaka panowała w Cheveron. Byli tam dzierżawcy, którzy służyli Wielkiemu Domowi z pokolenia na pokolenie, ludzie zatrudnieni w majątku, których życie od wieków zależało od jednej rodziny, ich zajęcia przechodziły z ojca na syna jako część naturalnego dziedzictwa. Był tam kościół wybudowany w parku, dzięki hojności pana majątku, z wielką, wyściełaną ławką, ustawioną dla niego z dala od innych.

Było tam gospodarstwo dworskie, z którego ludzie zatrudnieni w majątku otrzymywali bezpłatnie mleko, z tamtejszych ogrodów dostawali warzywa, w pralni wiele dziewcząt rozpoczynało swoją służbę. Do tego jeszcze: stajnie, warsztaty stolarskie, biuro zarządcy majątku - wszystko to tworzyło osobny świat w świecie, państwo W państwie, z jednym tylko celem, jedną ambicją - służby Wielkiemu Domowi.

To były niewielkie rzeczy, rzeczy przyziemne, ale wszystko razem znaczyło bardzo wiele. Wielki Dom był instytucją także dla wielu innych ludzi. Dla sąsiadów, którzy przybywali na wieczorne przyjęcia, wpadali na podwieczorek w niedzielę i pojawiali się na wielkim, corocznym balu w ogrodzie, na który zaproszone było całe hrabstwo. Posługiwali się niemal własnym językiem, dzięki znajomości lokalnych plotek i lokalnych zwyczajów. Violet zawsze uważała, że ich rozmowy były ciągle takie same. Omawiali konflikt między łowczym a gospodarzem, który złościł się, gdyż lisy zjadły kilka jego kur, spierali się o wyniki strzelania i o sposób

hodowania bażantów, wymieniali ponure przewidywania na temat zbiorów i optymistyczne uwagi co do nowego konia, do polowań lub spodziewanego miotu szceniąt i zgadzali się wszyscy, że państwo jako całość „schodzi na psy”.

Jak dobrze znała to Violet! Jak serdecznie nienawidziła tego życia i jakże była szczęśliwa, uciekając od niego! Ale Robert je kochał. Poznawała to po ciepłym tonie jego głosu, gdy opowiadał o swoim domu. Słyszała serdeczność w jego głosie, widziała uczucie w oczach. Tak, Cheveron było jej rywalem chyba bardziej niebezpiecznym niż jakakolwiek kobieta. Cheveron żądało od Roberta całej jego przyszłości. Czy będzie na tyle silna, by go zatrzymać? Aż do tej chwili Violet nigdy nie zwątpiła w swoją siłę ani w końcowy triumf. Teraz nie była tego pewna.

Już trzecia, a Robert jeszcze nie przyszedł! Co mogło go zatrzymać? Myślała o tych rankach, kiedy wołał ją z ogrodu, jeszcze zanim się zdążyła obudzić. Trudno jej było wcześniej wstawać. Zwykle była zmęczona po nie przespanych nocach, lubiła sypiać prawie do obiadu. Robert wymyślał jej od leniuchów, a ona, w niezachwianej pewności siebie, nie obawiała się wcale tego, że mógł dopatrzeć się przyczyny lenistwa w wieku.

Ale, oczywiście, taka była prawda, gdyż w miarę jak stawała się starsza, coraz łatwiej się męczyła. Gdy była w wieku Roberta, potrafiła przetańczyć całą noc i o dziesiątej pogalopować wężem, a teraz z trudnością znosiła blask słońca na twarzy przed upływem południa. Dlaczego on miałby o tym wiedzieć? Nie szczędziła starań i robiła dokładnie to, czego chciał, ale pamiętała o tym, żeby podręczyć go swoją zmiennością, płochliwością, obiecywała w jednej chwili coś czego odmawiała w następnej.

Niezmiennie jadali razem lunch, choć nigdy tego nie ustalali, gdyż Violet była bystra i nie pozwoliła, żeby

cokolwiek między nimi przemieniło się w monotony zwyczaj. Kiedy zbliżał się czas lunchu, Robert mawiał:

- Jeżeli nie masz lepszego zaproszenia, mam nadzieję, że mnie zaszczybisz.

Uśmiechała się do niego i mówiła:

- Wyjątkowo tym razem odłożę inne moje spotkania.

Te obiady były tak zabawne. Posiłki jedzone wspólnie w małych kafeteriach z widokiem na dok portowy, posiłki w wielkich, gwarnych hotelach Nicei, pikniki, kiedy chodzili gdzieś w góry i jedli oglądając stamtąd panoramę Lazurowego Wybrzeża.

Śmiali się i byli szczęśliwi, szczęśliwi, pomyślała Violet, aż do czasu, kiedy na horyzoncie pojawiła się mała chmurka, cień między nimi a słońcem ich szczęścia. Robert spoważniał, beztroski śmiech rzadziej wydobywał się z jego ust. Violet brała tę powagę za dobry znak. Wyobrażała sobie, że zastanawia się nad pewnym pytaniem, które miał jej zadać, a którego ona nie mogła się już doczekać. Byłoby to do niego niepodobne, jeśliby oświadczył się jej bez namysłu, więc rozmyślając nad tym, musiał stać się bardziej poważny, nie tak beztroski jak zwykle.

Teraz widzi, że myliła się w swojej ocenie. Lecz wydawał się tak oddany, tak szaleńczo zakochany, że wierzyła nie tylko w to, co jej mówił, ale i w to, w co całym sercem wierzyć chciała.

Nagle Violet usłyszała brzęk dzwonka. Robert, nareszcie! Rzuciła okiem w stronę lustra i zobaczyła, że przestach zniknął już z jej twarzy. Jaka była głupia, wyobrażając sobie to wszystko! Z pewnością istnieje jakieś rozsądne wytłumaczenie na to, czemu nie mógł przyjść wcześniej, ale teraz jest już tutaj i wszystko będzie dobrze. Musi być wesoła, błyskotliwa i zabawna. Mężczyźni nie przywiązują się do kobiet smutnych, ciągle narzekających.

Poprawiła włosy i ostatni raz spojrzała w swoją twarz w lustrze, potem wysliznęła się z pokoju, aby stanąć w otwartym oknie tarasu spoglądając w dal. Nie może dopuścić, by pomyślał, że wyczekiwała niespokojnie jego przybycia. Musi wydawać się spokojna i obojętna, jakby wcale się nie denerwowała tym, że pojawił się tak późno.

Słyszała, jak otwierają się drzwi do pokoju, ale nie odwróciła głowy. Słyszała doskonale, lecz uparcie wpatrywała się w morze. Wiedziała, że wygląda zachwycająco w tej sukni o barwie zielonych liści, oświetlona słońcem, które dodawało kasztanowego blasku jej starannie ułożonym włosom. Rozległo się ciche chrząknięcie.

- Witaj, Violet! - odezwał się jakiś głos.

Odwróciła się gwałtownie, na jej twarzy malowało się nieopisane zdziwienie.

- Eryk! Skąd u licha ty się tu wziąłeś?

Była tak zaskoczona, że niemal wyrzucała z siebie słowa. Jej mąż uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem, staruszek. Wpadłem tu z Nicei.

- Z Nicei! Doprawdy, Eryku, gdyby balon wpadł tu przez komin, nie mogłabym być bardziej zdziwiona.

- Na to wygląda - uśmiechnął się Eryk Featherstone - ale chciałem z tobą porozmawiać.

Violet spostrzegła, że oboje stoją oddzieleni od siebie połową szerokości pokoju.

- Chodź tu i usiądź - powiedziała podchodząc do sofy.

Kiedy usiadł, popatrzyła na niego i pomyślała, że dobrze wygląda, zawsze jednak można było rozpoznać w nim angielskiego dżentelmena, którym był w rzeczywistości. Wysoki na sześć stóp i dwa cale, nieco sztywny w barkach, z jego władczej postawy emanował spokój, w całej postaci było coś, co dawało pewność, że można na nim polegać, cieszył się

instynktownym zaufaniem ludzi i zwierząt. Miał zdrową, ogorzałą twarz człowieka, który większość życia spędza na świeżym powietrzu.

- Co robiłeś w Nicei? - zapytała Violet, kiedy w końcu oboje usadowili się na sofie. - Myślałam, że nienawidzisz południa Francji.

- Zupełnie mnie ono nie interesuje, jak wiesz - odparł Eryk - ale wujek Harold nie żyje. Zmarł jakieś trzy tygodnie temu.

- Naprawdę? Musiałam opuścić to w „Timesie”. Nigdy nie pamiętam o czytaniu nekrologów. Nie do wiary, że on w końcu umarł. Zawsze myśleliśmy, że dożyje stu lat.

- Umarł w dwa dni po swoich dziewięćdziesiątych pierwszych urodzinach - powiedział Eryk. - Nie było mi nawet tak bardzo przykro, bo staruszek swoje przeżył.

- Przykro! - powtórzyła ostrym tonem Violet. - Był tak kłótniwy, tak skąpy! Myślę, że nikt nie byłby na tyle hipokrytą, by udawać, że jest mu przykro. Ale co to ma wspólnego z twoim przyjazdem na południe Francji?

- Cóż, prawdę mówiąc, zrobił mnie swoim spadkobiercą - powiedział Eryk z zażenowaniem.

- Swoim spadkobiercą! - wykrzyknęła Violet - Och, Eryku, bardzo się cieszę.

- Musiałem tu przyjechać, aby dopatrzeć sprzedaży kilku drobiazgów, które posiadał w Nicei - wyjaśnił Eryk. - Nie mam ochoty ich zatrzymywać. Nie chcę użerać się z chytrymi zagranicznymi prawnikami i z tym wszystkim.

- Eryku, to oznacza, że wejdiesz w posiadanie Medway Park!

- To prawda! Zawsze lubiłem to miejsce, ale nigdy nie myślałem, że kiedyś będzie należało do mnie.

- Och, jestem wprost uszczęśliwiona - mówiła Violet. - Zawsze tak lubiłeś tam jeździć, mimo że wujek Harold był

najbardziej kłótlwym gospodarzem, jakiego można sobie wyobrazić. A było tam zimno jak w lodowni, nawet latem. Na miłość boską, Eryku, załóż tam centralne ogrzewanie i jakieś łazienki.

- Myślę o tym wszystkim - powiedział Eryk. - Powinien być też dobry sezon w przyszłym roku.

- Sezon? - Violet przez moment szperała w pamięci, potem sobie przypomniała. - Ach, na kuropatwy! Tak, oczywiście. Będzie się tam również wspaniale strzelało do kawek, prawda? Jaki będziesz zadowolony, będąc panem takiej posiadłości! Na pewno zrobisz się gruby i nadęty.

- Gruby nie - odparł Eryk. - Zbyt dużo mam do zrobienia w majątku. Staruszek strasznie wszystko zaniedbał, żal mu było pieniędzy na ogrodzenie i na dozorców. Trzeba tam wiele zrobić.

- A ty zakochasz się w tej robocie - zaśmiała się Violet.

Pomyślała o wielkim, zbudowanym jakby bez planu domu w Norfolk i otaczających go pięciu tysiącach akrów terenów łowieckich. Jeśli komukolwiek spełniły się marzenia o rajach na ziemi, to właśnie Erykowi. On nienawidził Londynu i ich pięciokondygnacyjnego domu na Park Lane, który Ona uwielbiała. Nienawidził balów, koncertów i teatrów, które dla niej były niezbędną częścią ich egzystencji. Naprawdę żył tylko wtedy, gdy mógł wyjechać za miasto na polowanie, łowienie ryb czy strzelanie do kaczek.

Poza tymi trzema tematami nie było dla niego rozmowy i wszelkie usiłowania, aby mówić o czymś innym, były z góry skazane na porażkę. Tak, Eryk będzie szczęśliwy. Dom jest przyjemny, pomyślała Violet, choć trzeba liczyć się z wydatkami na jego urządzenie. Salon trzeba będzie umeblować na nowo. Nowe zasłony, nowe dywany już powinny zmienić wnętrze, a wśród rupieci z pewnością

znajdzie się kilka wartościowych obrazów. Oczywiście będzie musiała...

Violet gwałtownie otrząsnęła się ze swoich myśli. Jakże była śmieszna z tymi planami, skoro w żaden sposób nie mogła tam pojechać! Opuściła Eryka na dobre, co mu oznajmiła, wyprowadzając się z ich domu w Londynie. Jednakowoż, która kobieta potrafiłaby się oprzeć pokusie planowania renowacji i urządzenia od nowa takiego domu jak Medway Park.

- Tak się tym cieszę ze względu na ciebie - powiedziała z powagą Violet, dobitnie akcentując ostatnie słowo.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałem ci powiedzieć - odezwał się Eryk, szurając nogami i sprawiając wrażenie zakłopotanego.

Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Violet wstrzymała oddech. Chce się ponownie ożenić, pomyślała i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że ta myśl była dla niej niezwykle przykra. Nie ma jednak żadnego powodu, który by przeszkadzał Erykowi ożenić się po raz drugi, powiedziała sobie. Przecież oświadczyła całkowicie zobowiązująco, że jeśli kiedykolwiek zechce znów być wolny, nie będzie robiła mu żadnych przeszkód. Jemu powierzyła przygotowanie wszystkich formalności, niezbędnych do tego, aby stali się znów wolni w obliczu prawa.

- Lepiej nie wywoływać skandalu, jeśli nie jest to konieczne - powiedziała, zanim opuściła Park Lane. - Nie mam nikogo, kogo chciałabym poślubić, przynajmniej na razie, więc dopóki nie zechcę wyjść za mąż, proponuję, żeby zostało tak, jak jest. Ludzie będą gadali, ale czy musimy martwić się tym, co powiedzą?

Eryk zgodził się z nią jak zwykle i kiedy zaczynała myśleć nad rozwodem, to zawsze dlatego, że chciała tego ona, nie on. Teraz wyglądało na to, że role się odwróciły

- Co to takiego? - zapytała Violet, sama zaskoczona twardością swego głosu.

- Chodzi o Alwina - powiedział Eryk.

- O Alwina, twojego brata? - upewniła się Violet.

- Tak, o Alwina - powtórzył Eryk. - Wyjechał na wielkie safari do Afryki i oznajmił, że już nigdy nie wróci. To wina tej jego nieudanej żony, Pamiętasz Verę? Nigdy nie była odpowiednią dla niego partnerką.

- Tak, oczywiście, pamiętam Verę - odrzekła Violet. - Zawsze uważałam, że jest głupia i raczej banalna. Co takiego zrobiła, że Alwin się zdenerwował?

- Uciekła z aktorem - wyjaśnił Eryk - ohydny, długowłosym typem, który recytował Szekspira, a był, oczywiście, kompletnym zerem. Vera była głucha na wszelkie argumenty, więc Alwin rozwiódł się z nią.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to sądzę, że nic lepszego nie mógł zrobić - zauważyła Violet.

- Przypuszczałem, że tak powiesz - odparł Eryk - ale trzeba jeszcze pomyśleć o dzieciach.

- Zapomniałam o nich - przyznała Violet. - Jest ich troje, prawda?

- Dwoje - poprawił ją Eryk. - Siedmioletni chłopiec i pięcioletnia dziewczynka. Zabiorę je.

- Co zrobisz? - wykrzyknęła Violet, niepewna, czy dobrze usłyszała.

- Zabiorę je - raz jeszcze powiedział Eryk. - Zamieszkają ze mną. Alwin uczynił mnie ich prawnym opiekunem i pozałatwiał wszystko.

- Eryku, na miłość boską, co ty będziesz robił z dwójką dzieci?

- Prawdę mówiąc, cieszę się, że będą ze mną - zapewnił ją Eryk natychmiast, jakby w ten sposób chciał ukryć swoje zmieszanie. - Zamierzam uczyć chłopca jazdy konnej, ten

mały to kawał zucha. Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że będzie jak stary jeździł na prawdziwym siodle. Później nauczę go strzelać. Dziewczynka jest bardzo ładna, jeśli wierzyć portretom, podobna do mojej matki. Może wyrosnąć na piękność.

W jego głosie zabrzmiała duma. Violet patrzyła na niego w osłupieniu.

Nieoczekiwanie podniosła się z sofy i podeszła do otwartego okna, stojąc do męża plecami. To było to właśnie, czego Eryk zawsze pragnął i czego brakowało mu przez te wszystkie lata, kiedy byli ze sobą, domu z dziećmi. Nigdy nie robił jej wymówek, ani razu nie wyraził głośno swego rozczarowania z tego powodu, że nie dała i że nie mogła mu dać dziecka, co ostatecznie stwierdzili lekarze.

Violet przyjęła ich werdykt lekko. Nie była wtedy szczególnie zainteresowana posiadaniem dzieci, ale teraz rozumiała, ile musiało to znaczyć dla Eryka i jak gorzko go zawiodła.

- Pomyślałem, że powinienem sam ci to powiedzieć - zauważył Eryk. - Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym z plotek. Dlatego przyjechałem do Nicei. Może już lepiej sobie pójdę.

Wstał. Violet odwróciła się, spojrzała na mego i pomyślała, że przy jego postaci pokój jakby się skurczył, wszystko wydawało się mniejsze i tandetniejsze.

- Cieszę się, że zabierasz te dzieci - szepnęła Violet. Eryk odetchnął z ulgą.

- Miło mi to słyszeć. Myślałem, że może będziesz się gniewać.

- Gniewać się! Ależ skąd! Gdyby nawet tak było, nie miałyby to specjalnego znaczenia, prawda?

Eryk odwrócił od niej wzrok.

- Nie chciałbym zrobić niczego takiego, co naprawdę by ci się nie spodobało - powiedział. - Wiem, że nie lubisz wsi, ale gdybyś chciała przyjechać do Medway... cóż, wiesz, gdzie się ono znajduje. - Eryku, co ty próbujesz powiedzieć? - zapytała Violet wyciągając rękę i dotykając jego ramienia. - Dlaczego ty, śmieszny człowieku, sugerujesz, że przyjmiesz mnie z powrotem po tym wszystkim?

Eryk rozprostował ramiona. - Nie ma kwestii przyjmowania ciebie z powrotem - oznajmił. - Jesteś moją żoną, czyż nie?

- Eryku! - Violet była niebezpiecznie bliska tez. - Nie powinieneś być taki. Ktoś mógłby to wykorzystać.

Eryk zawahał się chwilę i nagle ujął ją za rękę.

- Nigdy nie potrafiłem jasno wyrazić tego, co czuję, Violet, jak sama dobrze wiesz - powiedział - ale lubię cię tak, jak zawsze lubiłem. Byłaś o wiele za młoda na małżeństwo, teraz to rozumiem. Powinienem dać ci trochę czasu do namysłu, ale ty byłaś taka ładna i wydawało mi się, że lubisz mnie troszkę.

- Lubiłam... tak, lubiłam - odparła Violet lekko wytrącona z równowagi.

- No cóż, musisz wyszumieć się teraz, skoro nie mogłaś zrobić tego, gdy miałaś osiemnaście lat - rzekł poważnie Eryk. - Tak właśnie na to patrzę. Jeżeli kiedyś zmęczysz się tym albo cię to znudzi, cóż, twój pokój będzie czekał w Medway Park. Ja nie będę się za bardzo narzucał, mam tam zbyt wiele rzeczy do zrobienia.

Teraz prawdziwy strumień łez spłynął po policzkach Violet. Jej palce zacisnęły się na jego dłoni.

- Eryku, ty stary głupcze! Jesteś tak absurdalnie dobry, że przez ciebie płaczę.

- No tak, wiesz, ja tego nie chciałem. - Eryk był zmieszany.

- Zapamiętam to, co powiedziałeś - mówiła dalej Violet. - Pomyślę nad tym, Eryku, i jeśli któregoś dnia zechcę, żebyś dotrzymał słowa, nie bądź zaskoczony. Mam przeczucie, że jesteś kimś bardzo miłym, dobrze byłoby się z tobą starzeć.

Gdy dostrzegła nagły błysk w oczach Eryka, najchętniej cofnęłaby to, co przed chwilą powiedziała.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytał, a w jego głosie zabrzmiała nie ukrywana tęsknota.

W odpowiedzi Violet potrząsnęła głową, zabrała swoją dłoń z jego ramienia i otarła łzy.

- Proszę, nie myśl o tym, Eryku. Po prostu wzruszyła mnie twoja wspaniałomyślność i wyrozumiałość. Muszę być z tobą szczerą. Jestem zakochana.

Światło zniknęło z oczu Eryka. Teraz wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat, a może nawet na więcej.

- Robert Stanford? - zapytał. Violet przytaknęła.

- Ludzie gadają, oczywiście - powiedział. - Przyzwoity chłopak ten Robert, mimo wszystko. Jego ojciec był moim przyjacielem.

Tą swoją uwagą wyraźniej podkreślił różnicę wieku między nią a Robertem, niż gdyby porównywał lata ich życia.

- Ja go kocham! - oświadczyła Violet nieco wyzywająco.

- Czy poprosił cię o rękę?

Violet była zaskoczona tym pytaniem.

- Niezupełnie - powiedziała - ale poprosi.

- Tam do licha, mam nadzieję, że to zrobi - rzekł gniewnie Eryk. - Och, Eryku - słabo uśmiechnęła się Violet, choć wcale nie było jej do śmiechu. - Nie możesz złościć się na Roberta dlatego, że nie oświadczył się twojej żonie.

- Dlaczego nie mogę? - rzucił Eryk; - To przez niego gadają o tobie, prawda? Przyjeżdżając tu za tobą, zostawił we łzach matkę, flagę Chevron właściwie opuszczoną do połowy masztu.

Violet znów się roześmiała.

- Stop, Eryku, stop! Jesteś słodki i okropnie zabawny zarazem, ale nie wolno ci się wtrącać w moje romanse... to... to wprost nieprzyzwoite.

- Kto to powiedział? - burknął Eryk. - Ktoś musi się o ciebie troszczyć, mimo wszystko jesteś ciągle moją żoną.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć - powiedziała Violet. - To wszystko jest zbyt trudne. Idź już, bo za chwilę przyjdzie tu Robert, a nie chcę, żebyście się spotkali, gdy jesteś w takim nastroju.

- Mam mu wiele do powiedzenia - wtrącił Eryk.

- Ale nie możesz tego zrobić, nie wolno ci! Nie można zmuszać Roberta, aby mi się oświadczył. Poza tym, nawet gdyby do tego doszło, to ja bym go nie chciała.

- A to co znowu? - zdziwił się Eryk. - Słuchaj, Violet, przecież powiedziałaś, że kochasz tego chłopaka. Więc jeśli tak jest, musi cię poślubić albo dowiem się, dlaczego nie chce tego zrobić. Jeżeli go nie kochasz, no, to już zupełnie inna historia.

- Nie jestem pewna! Nie podjęłam jeszcze decyzji - Violet mówiła szybko, zaalarmowana wyrazem gniewu na twarzy Eryka i widokiem jego zaciśniętych dłoni. - Wracaj do Nicei, Eryku, proszę, jedź już. Napiszę do ciebie do Medway Park, a później może cię odwiedzę.

- Czy to obietnica? - zapytał Eryk, tylko częściowo uspokojony.

- Tak, obietnica - odrzekła Violet. - Do zobaczenia, Eryku. Podniosła ku niemu twarz, a on pocałował ją w policzek. Zeszła z nim do frontowych drzwi willi i patrzyła, jak schodzi po schodach prowadzących na drogę. Powóz już czekał, Eryk podniósł kapelusz i pomachał nim na pożegnanie. Odpowiedziała mu gestem ręki.

Kiedy odjechał, weszła na górę do sypialni, żeby poprawić makijaż, ale gdy usiadła przy toalecie, zastygła w bezruchu przed lustrem i przez długi czas tylko wpatrywała się we własne oblicze, jakby nigdy przedtem siebie nie widziała.

Przesiedziała tak około dwudziestu minut, zanim usłyszała za oknem kroki. Wyglądnęła i spostrzegła Roberta nadchodzącego od strony ogrodu. Serce natychmiast załomotało jej z radości. Zapomniała o tym, co ją trapi, o sprzecznych uczuciach, jakie wzbudziło w niej przybycie Eryka, o przygnębieniu, które dręczyło ją od chwili, gdy się obudziła dzisiejszego ranka.

Był tutaj Robert, nic innego się nie liczyło. Wybiegła z pokoju, potem szybko schodami w dół i do drzwi wejściowych. Otworzyła mu.

- Robercie, co się stało? - spytała zdyszana, zapominając o udawaniu obojętności.

- Przepraszam za spóźnienie, Violet - rzucił niedbale. - Przejechałem się do Roquebrune, zjadłem tam lunch i wróciłem dopiero o drugiej.

- Już zaczęłam obawiać się, że miałeś jakiś wypadek - powiedziała Violet.

- Mówiłem ci, żebyś się nigdy nie denerwowała o mnie - odparł Robert.

Wszedł do małego, kwadratowego holu, zamykając za sobą drzwi. Violet zaprowadziła go do salonu. Udał się za nią, lecz ku jej zdziwieniu, nie wziął jej w ramiona, co zwykle robił, gdy tylko znaleźli się sami. Tym razem stanął w drzwiach tarasu i spojrzał w dal, na morze.

Popatrzyła na niego z uwagą, bo gdy się uśmiechnął na powitanie, wyraz jego oczu pozostał poważny.

- Czy coś się stało? - zapytała po dłuższej chwili. Odwrócił się, wykonując nieznaczny gest, który przypominał wzruszenie ramion.

- Nic takiego.

- Więc jednak coś się zdarzyło - rzekła Violet.

- Nic takiego, co warte byłoby zamieszania - oznajmił Robert odrobinę rozdrażniony. - Dostałem list od matki. Píše, że umarł stary Hathaway, dozorca. Znałem go od małego. Był w Cheveron od pięćdziesięciu lat i z pewnością będzie go nam brakowało.

- Naturalnie - odezwała się Violet nieśmiało.

- Zawsze brał mnie na polowania - mówił dalej Robert. - Pamiętam, że początkowo uważałem go za strasznego zrzędę, bo ciągle pouczał mnie, w jaki sposób nosić strzelbę, zawsze musiałem się dokładnie upewnić, czy nie jest naładowana, zanim przeszedłem przez płot lub przeskoczyłem rów. Dopiero kiedy dorosłem, zrozumiałem, jaki to mądry i rozsądny człowiek.

Robert zamilkł i dalej wpatrywał się w morze.

- Przykro mi, Robercie - powiedziała Violet.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał, a potem odwrócił głowę.

- Co mówiłaś?

- Mówiłam, że jest mi przykro,

- Tak, oczywiście. Cheveron będzie inne bez Hathawaya. Chciałbym być na jego pogrzebie, ale to niemożliwe. Został pochowany wczoraj.

- Rozumiem - powiedziała Violet.

Cheveron, Cheveron! Zawsze czuła, że ono jest tutaj. Wyciągało ręce w kierunku Roberta, trzymało go mocno i trwale, odciągało od niej, oplatając więzami, których nigdy nie będzie mogła zerwać.

Chyba aż jęknęła, bo Robert nagle odwrócił się i wszedł z tarasu do pokoju.

- Przepraszam - rzekł. - Nie powinienem ciebie zanudzać swoimi smutkami. Chciałabyś jechać na przejażdżkę czy wolisz iść do kasyna?

Chłodna uprzejmość jego głosu i kurtuazyjny wyraz twarzy były dla niej trudniejsze do zniesienia niż jakieś wymówki. Doprawdy, wolałaby, żeby raczej oskarżył ją o zwabienie do Monte Carlo wtedy, gdy powinien być w Cheveron, niż żeby odzywał się do niej w ten sposób.

Ale wiedziała, że teraz nie czas na urządzenie scen, nie czas na jakiegokolwiek wymówki.

- Chodźmy do kasyna - zdecydowała. - Mam przecucie, że dziś wygram. Ostatniej nocy śniło mi się, że widzę siedem ptaków. Miały długie ogony, chyba były to bażanty.

Ledwo skończyła, pożałowała tych słów, ponieważ owe bażanty zapewne znów przypomniały Robertowi Hathawaya. Szybko więc ciągnęła dalej:

- Siódemka była zawsze moją szczęśliwą cyfrą i będę ją obstawiała bez końca. Czy czujesz się dość bogaty?

- Dość bogaty jak na to - odpowiedział swoim wyważonym, grzecznym tonem, którego nienawidziła.

- Pójdę się ubrać. Nie potrwa to długo. Może spotkamy kogoś interesującego w kasynie i zaprosimy go, by zjadł z nami wieczorem obiad. Czy widziałeś dziś Artura?

Robert pokręcił głową.

- Nie, nie widziałem nikogo - rzekł - poza małą mademoiselle Fantome. Widziałem ją spacerującą wzdłuż brzegu ze służącą. Biegł za nią pies przybłąda, a ona rzucała mu patyki.

Violet pomyślała, że tak samo jak ona, Robert dokłada starań, by mówić o czymś innym niż Cheveron.

- Ona jest śliczna, taki mały duszek - powiedziała Violet.
- Była ubrana na szaro?

- Oczywiście! Czy kiedykolwiek nosi się inaczej?

- Zastanawiam się, czy chodzi w żałobie, czy też jest to po prostu sprytna sztuczka, aby przyciągnąć uwagę.

- Gdyby była w żałobie, to chyba ciotka musiałaby być w czerni - zauważył szybko sir Robert, tak jakby myślał nad tą zagadką wcześniej i znał już odpowiedź.

- Tak, tak przypuszczam - powiedziała Violet.

- Nie ufam tej kobiecie.

- Której? Tej ciotce?

- Tak, jest w niej coś ponurego i nieprzyjemnego. Poza tym, ona terroryzuje swoją siostrzenicę.

- Skąd wiesz? - spytała zaskoczona Violet.

- Ja... no, domyślam się - odparł sir Robert, ale mało przekonująco i Violet spojrzała na niego z ciekawością.

- Rozmawiałeś kiedyś z tą dziewczyną? - zapytała.

Nie wiedziała, czemu zadała to pytanie. Było po prostu coś dziwnego w tym, jak o niej mówił Robert. Dopiero po krótkiej przerwie odpowiedział cicho:

- Nie, nie rozmawiałem z nią.

Niespodziewanie Violet odczuła ulgę. Było to tak śmieszne, że przez chwilę nawet sama sobie tego nie uświadomiła.

- Jeśli mamy iść do kasyna, to lepiej chodźmy. Nie zabawię dłużej niż pięć minut, przyrzekam ci.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Kiedy odeszła, sir Robert znów podszedł do okna i stanął zapatrzony w dal. Zastanawiał się, dlaczego skłamał na temat Mistral? Może to była instynktowna próba ochrony ich znajomości przed paplającymi językami, nawet przed Violet. Wystarczyło tylko napomknąć, że się spotkali, a zaraz zadałaby tuzin pytań, gdyż każdy w Monte Carlo był chciwy wiadomości na temat Mistral i jej ciotki.

Co to za tajemnica, zastanawiał się. Wynajdywał najprzeróżniejsze rodzaje wyjaśnień, ale żadne nie było

wiarygodne. Jedna rzecz była oczywista. Jeśli madame Secret, kimkolwiek ona była, pragnęła przyciągnąć uwagę i wzbudzić powszechną ciekawość, to odniosła więcej niż sukces. Uroda Mistral, jej stroje, perły, a także to, że nie wolno jej było rozmawiać z nikim poza księciem, wszystko było przedmiotem ciągłych komentarzy.

Księżę mówił otwarcie, że chociaż zaszczyciły go swymi względami, wie tyle co inni na temat tego, kim są te dwie kobiety i skąd pochodzą. Tylko jednego był sir Robert całkowicie pewny. Mistral nie knuła żadnych intryg i nie wiedziała, co znaczy przebiegłość. Czasem, w kasynie, napotykał jej wzrok, czytał w jej oczach prośbę o pomoc. W takich chwilach pragnął ją pocieszyć, zabrać ją z tych gwarnych sal w ciszę ogrodu, gdzie mogliby porozmawiać. Był w niej jakiś smutek. Bezradna jak dziecko, chociaż nic nie mówiła, zdawała mu się nieszczęśliwa i jeszcze częściej przerażona.

Ale co mógł zrobić? Był, jak wszyscy inni, bezsilny wobec postanowienia madame Secret, że będą rozmawiać tylko z księciem. Wielu ludzi usiłowało zawrzeć z nimi znajomość przy stole gry, lecz każda próba nawiązania rozmowy spotykała się z kamienną ciszą ze strony madame Secret, u każdego, kto odezwał się do Mistral, spotykała szybka i zdecydowana odprawa.

On był chyba jedyną osobą, której udało się pomówić z Mistral i nikomu się nie chwalił tym, że odniósł sukces tam, gdzie wszyscy inni przegrali. Ona go lubiła i miała do niego zaufanie. Wiedział o tym. Zarówno w jej uśmiechu, jak i w powitaniu, gdy tego ranka zatrzymał konia obok niej, spacerującej brzegiem morza, zauważył wyraźną sympatię.

- Gdzie znalazła pani swego nowego znajomego? - zapytał, patrząc na psa, który okręzał ją i popiskiwał ze szczęścia. - To on mnie znalazł - odparła - i teraz nie

opuszcza. - Wcale mnie to nie dziwi - powiedział sir Robert. - Mimo wszystko, trudno będzie go przekonać, że nie może wejść ze mną do Hotel de Paris. Czy widzi pan te pełne oburzenia twarze, gdyby przeszedł się po pięknych, czystych dywanach swoimi brudnymi łapkami? - Mistral westchnęła lekko - Zawsze chciałam mieć własnego psa.

- Chciałbym zrobić pani taki podarunek. Czy mogę? Mistral spojrzała na niego ze zdziwionym wyrazem twarzy

- Oczywiście, że nie. Ciotka Emilia nigdy nie pozwoliłaby mi go zatrzymać.

Sir Robert zeskoczył z konia i stanął tuż przy niej. Spostrzegł, że służąca wycofała się na dyskretną odległość i przyglądała się morzu.

- Dlaczego pani tak boi się ciotki? - zapytał. - Nie wierzę, że jest taka sroga, jak pani opisuje. Proszę pozwolić mi przyjść z wizytą, to sam jej powiem, że w Cheveron mam szczenięta spanieli znakomitej rasy. Są czarno - białe i bardzo milutkie. Wybierze sobie pani jednego z nich.

- Jakże byłoby to wspaniale! - wykrzyknęła Mistral. - Bardzo bym chciała mieć spaniela, ale to jest absolutnie, absolutnie niemożliwe. Skoro mówimy już o cioci Emilii, błagam pana, żeby pan tego nie robił. Gniewałaby się na mnie, gdyby wiedziała, że z panem teraz rozmawiam, naprawdę mocno by się gniewała. W dodatku wczoraj zrobiła na mnie dziwne wrażenie, dziś też zachowywała się podobnie. Myślę, że ona nie czuje się zbyt dobrze. Wszystko, co robię, według niej robię źle, więc proszę: niech pan nie pogarsza jeszcze mojej sytuacji.

W dziewczęcym głosie zabrzmiała nuta prawdziwej paniki, co spowodowało, że sir Robert zapewnił szybko:

- Nigdy nie zrobiłbym nic wbrew pani woli, ale chciałbym zrozumieć coś więcej.

- Ja też - powiedziała żałośnie Mistral. - Gdyby pan wiedział, jak bardzo pragnę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale... nikt mi niczego nie mówi.

- Ma pani z pewnością jakichś innych krewnych oprócz ciotki? Twarz Mistral przybrała niemal tajemniczy wyraz.

- Nie, nie mam nikogo - odrzekła - ale nie wolno mi o tym rozmawiać. Proszę, sir Robercie, niech pan już jedzie.

Rozejrzała się wokół, jakby chciała przywołać Jeanne. Sir Robert instynktownie wyciągnął rękę, aby ją powstrzymać. Jego palce zacisnęły się na jej nadgarstku, dotyk jego dłoni powstrzymał jej ruch. Odwróciła się, aby spojrzeć mu w oczy. Coś magnetycznego przeniknęło między nimi, coś, co wstrzymało im oddech i niemal ich zahipnotyzowało. Na kilka sekund świat zniknął i zapomnieli o wszystkim prócz siebie.

Wtem rozległo się szczeknięcie psa, zamruczały fale pod ich stopami, krzyknęła mewa, która krążyła nad głowami. Mistral oderwała wzrok od oczu sir Roberta, a on zabrał swoją dłoń z jej ręki.

- Czy kiedykolwiek przychodzi pani do ogrodów wczesnym rankiem? - zapytał bardziej dlatego, żeby przerwać tę dziwną, wzruszającą i dotkliwą ciszę, aniżeli dlatego, że oczekiwał odpowiedzi.

Mistral potrząsnęła głową.

- Nie, chodzę do kaplicy - odpowiedziała cichym głosem.

Sir Robert wskoczył na siodło, ściągnął wodze i spojrział w dół, na Mistral. Słońce igrało wśród jej złotych włosów. Podniosła nagle głowę i ich oczy znów się spotkały. Oboje pamiętali jeszcze tamten czarowny moment. Potem, bez słowa, sir Robert uniósł kapelusz i odjechał.

Co się stało? Dlaczego czuł się tak dziwnie? Akurat, gdy sir Robert zadawał sobie to pytanie, usłyszał wołającą go Violet. Była gotowa. Mieli iść do kasyna. Czuł, jak od wewnątrz wypełnia go nużące uczucie zmęczenia i nudy.

Świeciło słońce. W kasynie będzie duszno i gorąco. Ogarnęła go nagła tęsknota do bryzy wiejącej wzdłuż brzegu morza lub, jeszcze bardziej, do wiatru wiejącego przez park w Cheveron.

- Robercie! Robercie! Jestem gotowa!

Violet czekała. Odwrócił się od okna i minął pokój. Idąc pomyślał, że szarość sukni Mistral to dokładnie ten kolor, jaki miała mgła, rozpościerająca się nad jeziorem w Cheveron wczesnym rankiem.

Rozdział 10

Crissie otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Później miękkość łóżka, jedwabna narzuta, jaką była okryta, i światło słoneczne, które wpadając przez żaluzje tworzyło różnobarwne wzory na ścianach, wyraźnie jej uprzytomniły, że ciągle jest w Monte Carlo.

Przyśniło się Crissie, że wróciła do Londynu. Przez chwilę po obudzeniu zdawało jej się, że słyszy piskliwe głosy dzieci bawiących się na ulicy i czuje zapach stęchłej kapusty i odór z powodu złej kanalizacji, jaki niezmiennie przenikał powietrze każdego pensjonatu. Nie, ciągle jest w Monte Carlo. Leżała cicho, rozkoszując się luksusem i wygodą otoczenia, do jakich nie przywykła. Później poczucie satysfakcji zastąpiła nagła nieznośna irytacja. Przypomniła sobie, jak doszło do tego, że położyła się do łóżka w samym środku dnia. Była to wina Stelli, Stelli, której głupota i brak rozumu tak ją rozzłościły, że miała atak potwornego bólu głowy. Pojawiał się od czasu do czasu, zwłaszcza wtedy gdy porywała ją taka złość, że traciła panowanie nad sobą.

Tak, to Stella ponosiła winę za ten ból głowy. Był wyjątkowo dokuczliwy. Dopiero gdy już niemal oślepla i praktycznie straciła mowę, Crissie poddała się i poszła do łóżka w czasie, który nazywała „porą wysoce niewłaściwą”. Przespała się i ból głowy minął, ale ciągle nie minęła przyczyna irytacji. Crissie mawiała od czasu do czasu, i świecie w to wierzyła, że głupota Stelli doprowadzi ją do szaleństwa, jeżeli przedtem nie pęknie jej jakieś naczynie krwionośne w trakcie napadu nieokiełznanej wściekłości. Na to Stella tylko się uśmiechała i mówiła, że jest jej przykro, więc oburzona tym Crissie zastanawiała się, co można zrobić z kimś takim, jak jej siostra.

Kłótnia wybuchła w czasie lunchu, gdy Stelli wymknęła się informacja, że poprzedniego wieczora radza dał jej

pieniądze, aby zagrała w kasynie, a ona przegrawszy część z nich, oddała mu to, co zostało.

- Ile? - wysapała Crissie ponad stołem. Stella spojrzała nieswojo.

- Niewiele - odrzekła.

- Ile? - nalegała Crissie.

- Nie pamiętam - odpowiedziała Stella.

- Kłamiesz! - zaatakowała ją Crissie. - Pamiętasz doskonale. To było pięćdziesiąt franków, sto czy więcej?

Stella potrząsnęła głową i dalej jadła lody podane w trzech smakach i barwach, ze świeżymi fraises des bois i bitą śmietaną.

- Odpowiadaj! - rozkazała Crissie.

- Naprawdę nie wiem, ile tego było - kręciła Stella. - Przegrałam większość z tego, co mi dał.

- A ile to było?

- Tysiąc franków.

Crissie wydała z siebie okrzyk, dusząc się ze złości i uderzyła zaciśniętą pięścią w stół, aż zadźwięczały szklanki.

- Ty, głupia, pozbawiona rozumu idiotko! - wrzasnęła. - Cały tysiąc franków! I ty grałeś takimi pieniędzmi? Dlaczego nie schowałeś ich do kieszeni i nie powiedziałaś radzy, że je przegrałeś?

- Ponieważ byłaby to nieprawda - łagodnie odpowiedziała Stella. - Poza tym on by zauważył, że nie gram.

- Mogłaś postawić kilka franków - ustąpiła Crissie. - Krew zalewa mnie ze złości, kiedy pomyślę, że nie tylko byłaś tak głupia, żeby grać i przegrać, ale w dodatku oddałaś mu to, co zostało. Czy nie możesz sobie wbić do tej pustej głowy, że musimy oszczędzać, bo każdy odłożony przez nas frank będzie na wagę złota, gdy wrócimy do Londynu?

- Przepraszam, Crissie - wyszeptała Stella.

- Przepraszam! To jedyne, co potrafisz! - krzyczała Crissie. - Twoje przeproszenie nie ma sensu, jeżeli nie próbujesz poprawić się następnym razem. Lepiej wyciągnij z radzy dwa razy tyle dziś wieczorem, żeby to naprawić. Stella odłożyła łyżeczkę i odsunęła od siebie talerzyk.

- Nie mogę poprosić go o nic więcej. Był taki miły, kiedy powiedziałam mu o perłach.

- A kiedy je dostaniesz? - dociekała Crissie.

- Cóż, skoro już o tym mówimy, to ja ich wcale nie chcę - oświadczyła Stella, - Rozmawiałam wczoraj wieczorem z dziewczyną, do której należą, tą, którą nazywają „Duchem”. Była przemiła. Rozmawiała ze mną, Crissie, jak z przyjaciółką z tej samej sfery, co ona. Nie chcę brać od niej pereł. Należały do jej matki.

Wtedy znów Crissie krzyknęła. Krzycząc wstała od stołu i krzycząc krążyła po pokoju. Złościła się i przeklinała, aż hinduski służący, który czekał pod drzwiami, podglądając przez dziurkę, wpadł do pokoju, zaniepokojony tym, co się może jeszcze zdarzyć.

Chwilę później Stella odzyskała mowę. Wymamrotała tylko, że jest jej przykro i że nie miała zamiaru tak mocno zdenerwować Crissie. Ale Crissie nie dała się ułagodzić i wściekała się nadal, aż w końcu fizyczny ból zamknął jej usta i się uciszyła.

Stella rozplakała się wcześniej. Niełatwo było sprowokować ją do płaczu, ale Crissie zarzuciła jej, że jest niewdzięczna i okrutna, że oszukuje i kłamie, a nawet okrada ją przez swoją głupotę z pieniędzy, które mogłyby zapewnić im byt na przyszłość.

- Och, proszę, przestań już, Crissie, kochana - zaczęła błagać po chwili Stella. - Przykro mi, już ci mówiłam, że mi przykro. Gdybym nie była tak głupia, nie powiedziałabym ci,

że rozmawiałam z mademoiselle Fantome, ani bym nie wspomniała o tym, że oddałam radzy pieniądze.

- Na pewno byś powiedziała! Na pewno byś się wydała! - zaprzeczyła ze złością Crissie. - Tego dnia, gdy nauczysz się trzymać język za zębami, padnę na ziemię martwa ze zdziwienia. Gdybym się tobą nie opiekowała, umarłabyś z głodu w ciągu tygodnia, jeśli ktoś wcześniej nie zamknąłby cię w domu wariatów. Wszystko, co osiągnęłaś, zawdzięczasz mnie i tylko mnie, nie zapominaj o tym.

- Nigdy nie zapomnę, Crissie - odezwała się żałośnie Stella. - Proszę cię, nie bądź dla mnie taka zła.

Crissie jednak nie dała się udobruchać i kiedy w końcu nieznośny ból odesłał ją do sypialni, jej ochryply głos ganił Stellę, jeszcze kiedy wchodziła po schodach na górę.

Teraz westchnęła i wtuliła policzek w miękką poduszkę. Dzięki Bogu ból głowy już minął. Wcześniej myślała, że jej głowa pęknie. Jak długo spała? Spróbowała, nie ruszając się z miejsca, odczytać godzinę na zegarze, który stał na kominku.

Była już prawie piąta. Spała więc ponad dwie i pół godziny. Cóż, czuła się dzięki temu lepiej i była na tyle silna, by wpoić Stelli trochę zdrowego rozsądku przed wieczornym spotkaniem z radzą. Głupota tej dziewczyny była niewiarygodna. Wszystkie te pieniądze mogły być jej, wystarczyło tylko poprosić, ale ona nie wybąkała nawet jednego słowa. Zawsze taka sama, pomyślała gniewnie Crissie. Nigdy nie potrafiła wykorzystać swojej urody i możliwości, jakie ona dawała.

Pamiętała awanturę o pierwszego wielbiciela Stelli, pierwszego mężczyznę, który w ogóle zaproponował jej protekcję. Stella, śmieszna, mała głuptaska, urządziła straszną awanturę. Na pewno ten dżentelmen nie był młodzieńcem i miał inklinacje do picia ponad miarę, ale czy miało to znaczenie, jeśli był tak bogaty? Przypomniała sobie sceny,

jakie urzędowała Stella, zanim Crissie skłoniła ją do zrobienia tego, czego od niej oczekiwała.

Stella miała wtedy zaledwie siedemnaście lat. Była niezwykle piękna, świeża jak poranna rosa, co straciła bardzo prędko. Jednakowoż jej głowę wypełniały fantastyczne wyobrażenia o prawdziwej miłości i tym podobne bzdury. Crissie uczyła ją patrzeć na wszystko rozsądnie, próbowała wbić jej to w głowę. Cóż to była za praca! Jeszcze teraz słyszała krzyk Stelli:

- Nie mogę! Ja nie mogę! On jest taki stary i wstrętny!

- Co to ma do rzeczy? - ostro pytała Crissie.

Ostatecznie wygrała ona, a Stella się poddała. Przez blisko rok mieszkały wygodnie w eleganckim domku przy Regent's Park. Miały wynajęty powóz, który zabierał Stellę do teatru, służącą, która na nie czekała. Później, tak jak mężczyźni, którzy zjawili się po nim, wielbiciel Stelli znudził się nią.

- Dlaczego nie próbujesz go zabawić? - zachęcała ją Crissie. - Spowoduj, żeby się śmiał! Rozmawiaj z nim.

- Nie mam o czym z nim rozmawiać - skarżyła się Stella.

- Nie mamy wspólnych upodobań i jego opowieści zawsze prowokują mnie do ziewania.

Crissie pamiętała policzek, jaki wymierzyła Stelli po tych słowach, me pierwszy zresztą i nie ostatni. Niewielką miała z tego satysfakcję, gdyż Stella tylko rozplakała się i powiedziała, że jej przykro. We łzach wyglądała tak nieatrakcyjnie, że Crissie bała się doprowadzać ją do płaczu, aby nie straciła pracy w teatrze.

Cała ta sprawa rozdzierała serce Crissie. Gdyby tylko ona miała możliwości Stelli, gdyby mogła mieć jej twarz i figurę. Myśląc o tym, na moment mocniej przycisnęła twarz do poduszki, jej palce chwyciły kurczowo i gniotły jedwabną narzutę.

To niesprawiedliwe, że niektóre kobiety mają tak wiele, a inne nie. Pamiętała, jak pewnego razu podsłuchiwała dwie dziewczyny z chóru, które rozmawiały o Stelli i o niej samej. Stały w ciemnym kącie za kulisami, czekając na wezwanie na próbę i nie zauważyły jej, kryjącej się w cieniu tuż obok nich.

- Musisz przyznać, że Stella jest niezła, to świetna dziewczyna - powiedziała jedna z nich.

- Tak, gdy coś jej się trafi, ale za to jej siostra jest zwariowana jak wszyscy diabli - powiedziała druga.

- Och, ta! Nic już nie mów, półtora nieszczęścia z obliczem małpy! Przyprawia mnie o dreszcze!

Crissie przygryzła wargi do krwi, aby powstrzymać się od powiedzenia, co o nich myśli. Równocześnie, jak zawsze, gdy słyszała jakieś obraźliwe uwagi na temat swojego wyglądu, czuła się chora od trawiącego jej duszę oburzenia. Potem dręczyło ją przez kilka dni. Przecież nic nie mogła poradzić na to, że tak wygląda, prawda? Przecież nie stworzyła siebie sama! Nienawidziła każdego, kto zrobił jej afront, z dziką pasją, dlatego zachowywała się bardziej wrogo niż zazwyczaj wobec tych ładnych, bezmyślnych stworzeń, z którymi Stella dzieliła garderobę.

One nie chciały dokuczać Crissie i gdyby ona była pogodna i przyjazna, szybko by ją zaakceptowały. Lecz ona zawsze przyjmowała postawę obronną, gotowa obrazić się na długo przedtem, zanim ktoś ją zlekceważył czy sprowokował.

Zwykli, niefrasobliwi ludzie teatru wyczuwali tę wrogość i instynktownie jej nie lubili. Była jak źle traktowany pies, który nauczył się, warczeć na każdego, i na przyjaciela, i na wroga.

Czasami, gdy były same, Stella sprzeczała się z nią.

- Dlaczego jesteś dla wszystkich taka wstrętna, Crissie?

- A dlaczego nie miałabym być? Oni zachowują się wstrętnie wobec mnie, gdy tylko nadarza się okazja.

- Skąd wiesz? - spytała Stella. - Przerażasz ludzi, kiedy nieustannie na nich warczysz, i dlatego oni warczą na ciebie. Byliby mili, gdybyś im na to pozwoliła.

- Nie chcę ich uprzejmości! - dziko wrzasnęła Crissie. - Chcę, żeby zostawili mnie w spokoju.

Ale to nie była prawda! Tak jak każdy człowiek, ona też pragnęła mieć przyjaciół. Chciała być lubiana i kochana. Tak, kochana, uwielbiana i otaczana przez mężczyzn, podobnie jak Stella!

Chwilami nienawidziła Stelli prymitywnym, palącym uczuciem nienawiści za to, że pożąдали jej mężczyźni. Crissie obserwowała ich oczy, kiedy zatrzymywali wzrok na ciepłej, promiennej urodzie Stelli. Widziała tłącą się namiętność, rosnący płomień pożądania i sama czuła w sobie dziki, niepokojący odzew.

Czasem zauważali nieprzytomne spojrzenie, a może przyciągały ich uwagę wzburzone uczucia Crissie, czekała wtedy na zmianę wyrazu ich twarzy. Pożądanie zastępowała odraza, byli równocześnie wzburzeni i zdegowani. Niekiedy w ich stosunku do niej można było odnaleźć litość, i to dla Crissie było trudniejsze do zniesienia niż cokolwiek innego.

Nic dziwnego, że potem Stella musiała znosić irytację i opryskliwość Crissie. Nic dziwnego, że nocami Crissie często pragnęła swojej śmierci, aby jej ciało przepadło w ciemnościach ziemi.

Odczuwała jednak gorzką, przewrotną satysfakcję, wiedząc, że uroda nie przyniosłaby Stelli żadnych korzyści, gdyby nie jej, Crissie, rozum. Znajdowała satysfakcję, cóż, że tylko zastępczą, w zmuszaniu Stelli do robienia tego, co ona chciała, w sterowaniu nią, jakby była kukielką, w bezlitosnym używaniu jej dla zdobycia pieniędzy.

Pieniądze! Już dawno Crissie stwierdziła, że to jedyna rzecz, jaką warto w życiu mieć. Za pieniądze można kupić wygodę, luksus, bezpieczeństwo oraz zazdrość tych, którym powiodło się gorzej. Pieniądze, mówiła sobie, są zdecydowanie bardziej pożądane niż przyjaźń czy miłość. Pieniądze to kojący balsam, lek na wszystko, nawet na cierpienia sfrustrowanej, skarłałej kobiecości.

Każdy pens przyniesiony przez Stellę był dla Crissie eliksirem życia. Był także pewną formą zemsty na Stelli za to, że tamta była ładna i godna pożądania. Jeżeli cierpiała, aby go zdobyć, tym lepiej. Czy ma być jej łatwo tylko dlatego, że ma ładną buzię i kształtne ciało? Przed oczami Crissie pojawiła się prawie zapomniana już twarz o pożądliwym spojrzeniu. Pamiętała lorda Wrothama, którego Stella nienawidziła. Był znanym łajdakiem, a równocześnie bogatym i wpływowym człowiekiem. Stellą starała się go unikać, bo w świecie teatralnym stał się pośmiewiskiem. Któregoś wieczora przesłał jej bukiet orchidei i zaproszenie na kolację po przedstawieniu. Stella wzdrygnęła się i odepchnęła od siebie kwiaty.

- Nie upadłam jeszcze tak nisko, żeby przyjmować od niego posiłek - oznajmiła z powagą. - Zawiadom go, Crissie, że jestem już zajęta.

Crissie nic nie odpowiedziała, ale gdy zaczął się następny akt, napisała do lorda Wrothama bilecik przyjmujący zaproszenie i podpisała go imieniem Stelli.

Stella jest, niestety, niepoprawna, westchnęła Crissie. Nigdy nie nabierze rozumu. Musi być pouczana na każdym kroku, jak dziecko lub imbecyl. Jej zachowanie wobec radży jest najlepszym tego przykładem. Crissie poczuła, jak znów rośnie w niej gorycz. Przypomniała sobie o tym tysiącu franków, straconym przez Stellę ostatniego wieczora. Tysiąc franków! W Anglii przeżyłyby za to miesiąc lub dwa.

Usłyszała, że klamka u drzwi poruszyła się cicho, i uniosła głowę.

- Kto tam? - spytała.

Drzwi otworzyły się szerzej i Stella weszła do pokoju.

- Obudziłaś się, Crissie? - Jak widzisz - ponuro mruknęła Crissie.

- Chciałabym z tobą chwileczkę porozmawiać.

- Więc podciągnij żaluzje! - rozkazała Crissie. - Już czas, żebym wstała, tak czy inaczej.

Stella posłusznie podeszła do okna i po kilku niezdarnych próbach podniosła żaluzje. Okna sypialni Crissie wychodziły na ogród z boku willi. Z łóżka Crissie mogła dostrzec miękkie, zielone gałęzie oliwek i dorodne palmy, a za nimi strome zbocza gór pnących się ku niebu.

Stella stała przez chwilę, wyglądając przez okno, potem odwróciła się w kierunku siostry. Miała na sobie suknię z zielonego, cienkiego muślinu w zielono - czerwoną kratę o żywych barwach i dopasowany do sukni kapelusz z piórami. Crissie pomyślała, że nigdy nie wyglądała bardziej elegancko, a tym samym ładniej. Nie było już śladów łez na jej twarzy, oczy lśniły, a usta uśmiechały się. Ale gdy obie kobiety spotkały się wzrokiem, promienny wyraz zniknął z twarzy Stelli i jej oblicze spoważniało.

- Wychodzisz? - zapytała Crissie.

- Tak - odrzekła Stella. - To właśnie przyszedłam ci powiedzieć.

- Cóż, postaraj się być trochę bardziej rozsądna niż ostatniego wieczora - zauważyła Crissie. - Pozwól, aby radza zabrał cię do sklepów.

- Nie wychodzę z radzą - powiedziała Stella bardzo cichym głosem.

- Jeśli spodziewasz się, że pójde z tobą, to jesteś w błędzie - oświadczyła Crissie. - Jak na dziś dość mnie

zdenerwowałaś. Mam zamiar wypić filiżankę herbaty, jeśli nie będę musiała iść do kuchni, by sama ją sobie przygotować.

- Nie zamierzałam prosić cię, żebyś poszła ze mną - wyjaśniła Stella. - Ja... wychodzę z kimś innym.

Coś dziwnego w jej głosie i zachowaniu uderzyło Crissie. Siadła na łóżku.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała podejrzliwie. - Co ty próbujesz mi powiedzieć? Stella wzięła głęboki oddech.

- Opuszczam ten dom, Crissie! Wyjeżdżam stąd.

- Wyjeżdżasz? - wycedziła przez zęby Crissie, a potem szybko, jak strzał z pistoletu, posypały się następne pytania, jedno po drugim: - Dokąd? Z kim? Co to ma znaczyć? Twarz Stelli była bardzo blada, ale głos opanowany.

- Wychodzę za mąż, Crissie. Natychmiast, tak prędko, jak tylko się da to załatwić. Przykro mi, lecz on się nie zgadza, abyś jechała ze mną.

- Za mąż? Za kogo? O czym ty mówisz?

- To... to Francois.

- Francois! Crissie z trudem wyszeptała jego imię. Przez moment niemal odebrało jej mowę,

- Tak, Francois - powtórzyła Stella i nagle jej głos stał się łagodniejszy. - On mnie kocha, a ja jego. To najcudowniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Powiedział mi o tym przed dwoma dniami. Poprosił, abym za niego wyszła, ale nie dałam mu odpowiedzi. A dziś, po lunchu, zastał mnie płaczącą i wymógł obietnicę, że poślubię go od razu. Och, Crissie, jestem taka szczęśliwa, ogromnie szczęśliwa.

- Jak śmiesz mi o tym mówić! Twarz Crissie byk szara jak popiół.

- Obawiałam się, że będziesz się na mnie gniewać, Crissie, ale musisz spróbować mi wybaczyć. To trudne, wiem, zwłaszcza że nie mogę zaprosić cię na mój ślub ani do mojego nowego domu. Francois nie życzy sobie tego. Oszczędzał

przez długi czas, tak że teraz będzie mógł kupić restaurację. Jakaś już ma na oku i przypuszcza, że w ciągu kilku miesięcy tam się urządzimy. Crissie, on chce mnie taką, jaka jestem. Ciężko mi o tym mówić, muszę jednak powiedzieć prawdę, on nie uważa, abyś miała na mnie dobry wpływ. To, oczywiście, absurd i powiedziałam mu to, ale on nie chce słuchać. Mówi, że muszę wybrać między nim a tobą. I, Crissie, chociaż to wstrętne z mojej strony, kocham go tak bardzo, że nie umiem z niego zrezygnować.

- Oszalałaś! - wykrzyknęła w końcu Crissie zduszonym głosem.

- Mówiłaś mi to tak często, że sama zaczęłam w to wierzyć. Francois jednak uważa, że nie jestem szalona. Mówi, że ja po prostu nie nadaję się do takiego życia, jakie prowadzę. On ma rację, Crissie, bo zawsze nienawidziłam tego... Wiesz, że tak było. Chcę mieć własny dom. Nie będę leniwa, gdy w nim już zamieszkać. Będę pracować dla Francois, pracować, żeby utrzymać nasz dom w porządku, i pomagać mu w restauracji. Nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie zrobiłabym dla niego... na całym świecie.

- No pewnie, skoro zgłupiałaś aż do tego stopnia, że chcesz porzucić radzę i jego pieniądze dla jednego ze służących, zwykłego kucharza, o którym nic nie wiesz.

- Wiem, że Francois chce mnie poślubić - oświadczyła Stella z godnością. - Nie powinnaś o nim mówić nic nieprzyjemnego, Crissie, bo on robi dla ciebie wszystko, co będzie mógł. Wiem, złościsz się, bo cię opuszczam, ale Francois przyrzekł, że będzie przysyłał ci trochę pieniędzy każdego miesiąca. Mówił ile, lecz zapomniałam, chyba około dwóch funtów w angielskich pieniądzech. Będiesz mogła za to przeżyć, Crissie, nawet jeśli nie dostaniesz żadnej pracy. Często miałyśmy mniej na nas dwie. Poza tym chcę, żebyś wzięła wszystkie klejnoty, które podarował mi radza, oraz

wszystkie pieniądze, które zaoszczędziłaś. On pomyśli, że mam je przy sobie, więc na pewno nie będzie żądał ich zwrotu. Weź je, Crissie, umożliwią ci powrót do Londynu, a jeśli podasz nam swój adres, Francois prześle ci pieniądze każdego miesiąca. Przyrzekł mi to.

- Już wszystko przygotowałaś, co? - burknęła Crissie. - No, ale nic z tego! Nawet nie próbuj o tym myśleć, moja panno, nie pojedziesz.

- Tak, Crissie, pojedę - powiedziała cicho Stella. Położyła na toalecie kartkę papieru.

- Tu jest adres domu Francoisa. Znajduje się on w starej dzielnicy miasta Monako i tam teraz jadę. Weźmiemy ślub jutro rano. Potem on zabiera mnie gdzieś, gdzie będziemy mogli być sami. Pojedziemy w podróż poślubną, Crissie. Później Francois poszuka sobie innej pracy.

Jej oczy znów rozbłysły, przeszła przez pokój i zbliżyła się do łóżka.

- Proszę cię, Crissie, życz mi szczęścia, nie pozwól, żebyśmy rozstawały się w gniewie. Wiem, jak wiele ci zawdzięczam... i dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, ale muszę teraz żyć własnym życiem. Zawsze marzyłam o tym, że spotkam gdzieś, któregoś dnia, kogoś, kogo będę mogła pokochać i kto pokocha mnie. I znalazłam go, więc nie żałuj mi szczęścia.

- Nie pojedziesz, ja ci to mówię! - Crissie była nieustępliwa.

- Muszę jechać! Francois czeka na mnie. Spakowałam swoje rzeczy, pudła są już na dole. Bizuteria jest w szufladzie mojej toaletki. Żegnaj, Crissie!

Słowa pożegnania pobudziły Crissie do działania. Nie czuła już odrętwienia ani strachu, który ją chwycił na wieść o tym, że Stella ją opuszcza. Wyskoczyła z łóżka, aby stanąć przed drzwiami. Proste włosy opadały z obu stron

pomarszczonej twarzy. Z wykrzywionymi ustami, odsłaniającymi żółte zęby, wściekła stanęła naprzeciw Stelli. Przez moment dwie kobiety stały twarzą w twarz, potem Stella powiedziała cicho:

- Jeżeli nie pozwolisz mi przejść, Crissie, poślę po radzę i powiem mu, że opuszczam ten dom. Zostawiłam list, jednak jeśli powiem mu o tym sama, będę musiała zwrócić wszystkie prezenty, jakie mi podarował, łącznie z biżuterią, którą w tej chwili zostawiam tobie.

Głos Stelli był poważny, spojrzenie spokojne. Crissie nigdy wcześniej siostry takiej nie widziała. W jej zachowaniu było jakieś zdecydowanie, jakaś siła. Po raz pierwszy w życiu walczyła o coś, co naprawdę miało dla niej znaczenie.

Crissie wzięła głęboki oddech. Została pokonana i wiedziała o tym. Odstąpiła od drzwi i rzuciła się na łóżko, twarzą w dół, zacisnęła pięści, paznokcie wbiły się w ciało. Gdy tak leżała, garb na jej plecach wydawał się jeszcze większy i brzydszy.

Przez chwilę Stella zawahała się. Posmutniały jej oczy. Przeniosła wzrok od Crissie w stronę drzwi. Była wolna, mogła wyjść, aby połączyć się z mężczyzną, którego kochała; po raz pierwszy w życiu miała okazję, by żyć uczciwie. Niestety, musi budować swoje szczęście na cudzej krzywdzie, musi zostawić Crissie nieszczęśliwą i zawiedzioną.

Było coś straszliwego w tym, że udało jej się uciszyć głos, który łącał ją od wielu lat. Uzbrojona miłością, w przeciągu kilku sekund zniszczyła władzę, jaką miała nad nią starsza siostra. Ale przecież nie chciała zranić Crissie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podejść do niej i nie powiedzieć, żeby o wszystkim zapomniała. Jakoś będą dalej żyły razem i ona będzie robiła to, co Crissie chce, tak jak dotąd. Mimo wszystko są przecież rodziną. Czy to nie liczy się bardziej niż wszystko inne?

Potem pomyślała o Francoisie. Jest taki miły, taki wyrozumiały. Nie istniało nic, o czym nie mogłaby mu powiedzieć, czego by nie zrozumiał. Kochał ją prawdziwie i szczerze. Widziała już dosyć w życiu, aby rozpoznać prawdę. Francois ją kocha, a ona kocha jego. Poczowała, że jej serce zabiło mocniej na tę myśl, i znów spojrzała na Crissie, na żałośnie zdeformowane plecy, na przedwcześnie postarzałą pełną zmarszczek szyję, na nogi, które były za krótkie, i ręce, które były zbyt długie. Biedna, biedna Crissie, jakże by mogła ją opuścić? Jak mogła uwierzyć Francoisowi, gdy mówił, że Crissie ma na nią zły wpływ? Mylił się, on nie wie, jak zawsze była głupia i męcząca, jak leniwa i niezręczna. Nie może jechać! Nie wolno jej!

I wtedy, kiedy nie mogła się zdecydować, Stella zobaczyła Mistral, zobaczyła ogromne oczy, uczciwe i ufne, patrzące prosto w jej oczy i usłyszała głos, jasny i słodki, który mówił: „Czyniąc to, co jest dobre, wypełniamy wolę Boga, która jest najważniejsza. Musimy robić to, co jest właściwe, bez względu na to, ile kosztuje to nas samych czy innych ludzi”.

Poślubienie Francoisa było rzeczą właściwą, Stella była tego pewna, tak jak niczego innego w życiu. Skierowała się powoli w stronę drzwi. Crissie nie poruszyła się ani nie wydała żadnego dźwięku, ale Stella wiedziała, że czeka, czeka, aż ona się podda, aż się załamie jej siła woli i jej świeżo zdobyta wolność.

- Przykro mi, Crissie - powiedziała łagodnie. - Żegnaj!

Crissie nie poruszyła się, nie krzyknęła. Przegrała decydującą bitwę i wiedziała o tym. Stella odeszła i nigdy nie wróci. Nie wiedziała, jak długo leżała w łóżku. Po pewnym czasie podniosła głowę, by spojrzeć na zegar. Radza może zdążył już przeczytać liścik Stelli. Jeżeli tak, to prawdopodobnie przyjdzie do willi Mimoza, ale zanim przyjdzie, Crissie musi coś zrobić.

Szybko, jakby gnana strachem, pobiegła do pokoju Stelli. Wszystkie rzeczy zniknęły, toaletka była ogołocoana, drzwi szafy stały otworem, ukazując puste wnętrze. Pokój był bezosobowy i pozbawiony indywidualnego piętna, tak jak w dniu ich przybycia tutaj, wolny pokój, pomyślała Crissie, czekający na następną lokatorkę.

Jednym szarpnięciem otworzyła szufladę toaletki. Znajdowała się w niej biżuteria, tak jak powiedziała Stella. Był tam brylantowy naszyjnik w kasetce wyłożonej aksamitem, były i inne klejnoty, każdy lśnił i błyszczał, gdy Crissie otwierała puzderka, żeby na nie popatrzeć. Przez chwilę tylko przyglądała się klejnotom, potem nagle przytuliła je do swego wątego biustu. Należały do niej, zamieni je na pieniądze, z którymi będzie mogła zrobić, co tylko zechce. Zachichotała na głos, dźwięk ten zabrzmiał niesamowicie w ciszy pustego pokoju.

Tak jak Crissie przewidywała, w willi Shalimar radża czytał właśnie list od Stelli. Wrócił późno, zatrzymał go człowiek, który chciał sprzedać mu kilka kucyków do gry w polo. Targował się zawzięcie i udało mu się uzyskać znaczną obniżkę, był więc nadzwyczaj zadowolony z siebie.

Zbliżał się do willi i widział już siebie opowiadającego Stelli, jaki okazał się sprytny. Radża lubił puszyć się jak paw, a nieczęsto mógł pochwalić się transakcją tak udaną i godną pochwały. Pomyślał, że Stella z pewnością doceni jego inteligencję, i natychmiast postanowił dać jej prezent, aby mogła docenić jeszcze jego hojność. Podaruje jej pierścień z szafirem. Sądząc z tego, jak zachowywała się wobec niego mademoiselle Fantome poprzedniego wieczora, będzie miał sporo trudności ze zdobyciem pereł, a przecież zapewnił Stellę, że spełni jej życzenie. Pierścionek pomoże mu utrzymać między nimi słodką atmosferę, da chwilę oddechu i czas na zaplanowanie wszystkiego.

Być może rozsądniej byłoby przystąpić do starszej damy. Ona może się okazać bardziej uległa. Ale dziewczyna jest ładna, bardzo ładna. Zawsze podziwiał jasnowłose kobiety. W przeciwieństwie do barwy włosów Stelli, jej włosy miały kolor naturalny, był tego pewny. Uroda dziewczyny była delikatna, subtelna, a Stelli - wyzywająca. Takie właśnie kobiety mi się podobają, sam siebie przekonywał gwałtownie radza. Jemu nie byłoby przyjemnie w towarzystwie osoby, która patrzy na niego z chłodnym dystansem. Tak właśnie patrzyła na niego dziewczyna z perłami ostatniego wieczora, a było w niej coś, co sprawiło, że poczuł się mały i nieważny.

To było trochę śmieszne, lecz jakże obraźliwe. Czy nie był dość bogaty i nie posiadał władzy? Czyż nie był jedynym władcą państwa większego pięćdziesiąt tysięcy razy niż maleńkie księstwo? I on, radza Jehangaru, został odprawiony przez dziewczynę, która patrzyła na niego w taki sposób, że poczuł się poniżony, która swą jakby magiczną siłą, o co by jej nigdy nie podejrzewał, zdołała zwyciężyć jego własne tajemne moce.

Dlaczego ciągle myślę o niej, zapytał gniewnie samego siebie, i po co porównuję ją ze Stellą? Stella jest dość piękna pod każdym względem i powinna mieć ten pierścień. Da jej go dziś wieczorem, kiedy pójdą na obiad. Ona podziękuje mu z cichym okrzykiem zadowolenia, a on wsunie jej klejnot na palec. Prawdę mówiąc, nawet w przybliżeniu nie podarował jej tyle, ile niektórym innym faworytom. Nie była chciwa i nie prosiła go ciągle o różne rzeczy jak inne kobiety, które znał.

Na przykład Lola, hiszpańska tancerka. Kosztowała go pół miliona franków, tyle samo futra i stroje. Jeszcze teraz irytował się na myśl o brylantach, które jej podarował. Był wówczas młody. Stał się znacznie bardziej ostrożny, gdy dojrzał. Tak, Stella zasługiwała na pierścień z szafirem i

powinna go dostać. Jeśli już o to chodzi, zyskał niemal jego równowartość na transakcji z konikami do gry w polo.

Radża uśmiechał się, wchodząc do willi Shalimar. Służący w holu skłonili się nisko, jak zwykle w jego obecności, ale w wyrazie ich twarzy, w płaszczących się ukłonach kryło się coś, co wzbudziło jego podejrzenie. Stało się coś złego. Azjatycki instynkt zawsze pozwalał wyczuć kłopoty. Surowo spojrzął na jednego ze swoich sekretarzy, który pospiesznie przybiegł z salonu na odgłos otwieranych drzwi.

- Coś się stało? - zapytał.

Sekretarz spojrzął ze zdziwieniem. Był nowym służącym i nie wiedział jeszcze tak wiele, jak służący radży, którzy byli z nim od wielu lat

- Nie, Wasza wysokość, nic. Dlaczego pan pyta?

Radża nie odpowiedział. Właśnie wtedy pojawił się inny służący z listem na srebrnej tacy. Radża spojrzął na bilecik, ale nie rozpoznał pisma.

- Od panny Style, Wasza wysokość.

Radża wziął Ust do ręki. Niecierpliwie przedarł papier i otworzył kopertę. Duże, niedbałe, niemal nieczytelne pismo Stelli zajmowało prawie dwie kartki papieru. Radża czytał z pewną trudnością. Ust roił się od błędów. Później bez słowa udał się do salonu, za nim wszedł sekretarz.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, służący spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Doskonale wiedzieli, że postępek Stelli i Francois, którzy razem opuścili willę, oznacza dla nich kłopoty. Kiedy radża był zły, odnosił się do służby bardzo nieprzyjemnie.

Radża podszedł do biurka i położył na nim list Stelli. Odwrócił się do sekretarza.

- Kiedy wyjechała? - zapytał.

- Kto, Wasza wysokość?

- Panna Style!

- Wyjechała? Ależ ja nie wiedziałem, że ona wyjechała - odpowiedział niepewnie sekretarz.

- Jesteś idiotą - grubiańsko oznajmił radża. - Jeżeli Wasza wysokość tak twierdzi.

- Tak właśnie twierdzą, a ty jesteś zwolniony. Należało do twoich obowiązków wiedzieć, co się dzieje w moim domu, i zapobiegać temu, czego bym nie aprobował.

- Jednakże, Waszą wysokość... - zaczął młody człowiek.

- Odejdź, mówię, i to natychmiast.

Poniżony i zgnębiony, ze łzami w oczach, sekretarz podszedł do drzwi. Gdy już miał wyjść, radża powiedział:

- Przyślij do mnie Khusru!

Khusru przewidział to wezwanie i czekał w holu. Był to potężny, brodaty Sikh, od urodzenia radży jego wierny sługa. W ciągu kilku minut radża został o wszystkim poinformowany. Khusru wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, co się działo w, umyśle radży, wiedział też, że trzeba znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego. Despota, jakim był radża, pomiatający własnymi ludźmi, nie mógł znieść poniżenia i utraty twarzy.

Khusru odczekał, aż radża wyładuje swoją furie rozpieszczonego dziecka, i dopiero gdy falę gwałtownego gniewu zastąpiło okropnie żalodne uzalanie się nad sobą, odezwał się cicho:

- Jeżeli mogę się ośmielić i wyrazić swą opinię, Wasza wysokość, myślę, że to nie była wyłącznie wina lady. Francois miał dar perswadowania. Francuzi tacy są, elokwentni, skorzy do czułych słówek i słodkich zaklęć. Nigdy jednak by mu się nie udało uwiedzenie, gdyby lady była szczęśliwa...

- Co masz na myśli? - ostro spytał radża.

- Wasza wysokość wie doskonale, nie mówię, że ona była nieszczęśliwa, gdy przebywała z Waszą wysokością. Wtedy była w rajach rozkoszy, tak jak wszyscy, dla których Wasza

wysokość jest na tyle łaskawy, by obdarować ich uśmiechem, Ale kiedy nie przebywała w słonecznym świetle towarzystwa Waszej wysokości, było już zupełnie co innego.

- Mów jaśniej - zażądał radża.

- To siostra lady, ta obrzydliwa kaleka, sprawiła, że pani była nieszczęśliwa. Często słyszałem jej gniewny, podniesiony głos, często słyszałem, jak mówiła okrutne, raniące rzeczy swojej siostrze, którą Wasza wysokość zaszczycił swoim wyborem. Myślałem, że to nie w porządku, ale kim ja, nędzny sługa, jestem, żeby roznosić plotki?

- Powinieneś był mi powiedzieć - rzekł radża.

- Tak, tak, Wasza wysokość, jestem winny wielkiego głupstwa. Twój nieszczęsny sługa teraz to widzi, ale przedtem myślałem, że to nie ma znaczenia. Teraz jest oczywiste, że lady została zmuszona do ucieczki przez tę garbuskę. Od jej okrucieństwa nawet uprzejmość Waszej wysokości i jego hojność nie mogły ustrzec lady.

Ta sugestia była balsamem dla duszy radży, jego oczy stały się mniej posępne.

- Rozumiem, o co ci chodzi, Khusru. Ta garbuska nie odjechała z nią?

- Nie, nie, Wasza wysokość. Została sama w willi Mimoza.

- Wyrzuć ją natychmiast! - rozkazał radża. - Nie chcę jej tam widzieć.

- Dziś wieczorem, Wasza wysokość?

- Słyszałeś, co mówiłem. Powiedziałem: natychmiast! Nigdy jej nie lubiłem! Sprowadziła nieszczęście na ten dom.

- Wasza wysokość posiada wielką mądrość! Intuicja Waszej wysokości jest nieomylna.

- Więc wyrzuć ją.

- A jeżeli nie będzie miała pieniędzy na powrót do Anglii?

- Czy to moja sprawa? - zapytał radża. - Niech padnie z głodu! Nic mnie to nie obchodzi!

- Będzie, jak Wasza wysokość sobie życzy.

Khusru skłaniając głowę wycofał się do drzwi. Gdy do nich dotarł, do pokoju wszedł inny służący. Przyniósł na srebrnej tacy bilecik wizytowy i wręczył radży. Radża spojrział na wizytówkę.

- Monsieur Gutier, chef de la Surete. Czego on chce?

- Chce widzieć się z Waszą wysokością. Ten pan przeprasza, jeżeli przyszedł w nieodpowiedniej chwili, ale nie zabierze Waszej wysokości więcej niż kilka minut.

- Bardzo dobrze, wprowadź go - powiedział radża. Czekać zmarszczył brwi. Czego chce od niego policja? Nie przychodziło mu do głowy nic, w czym mógłby przekroczyć prawa księstwa.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł monsieur Gutier, elegancki, niewysoki mężczyzna, prezentujący się najlepiej w wyjściowym, błękitno - białym mundurze policji Monte Carlo.

- Pan chciał się ze mną widzieć? - zapytał radża.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale mam tu pewien drobiazg i byłbym wdzięczny Waszej wysokości za pomoc.

Wyciągnął z kieszeni na piersi skórzany portfel.

- Mam tutaj - powiedział głosem poważnym i nieco napuszonym - osobiste rzeczy człowieka, który, ku naszemu ubolewaniu, został znaleziony martwy w ogrodach kasyna przedwczoraj w nocy.

- Morderstwo czy samobójstwo - zapytał radża z nieznaczną ironią.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że władze bardzo nie lubią ani jednego, ani drugiego na terenie Monte Carlo.

- Sądzymy, że było to samobójstwo - odrzekł monsieur Gutier.

- Przypuszczam, że, jak to zwykle bywa, przegrał wszystkie swoje pieniądze w kasynie - zauważył radża.

- Trudno mi wyobrazić sobie, żeby człowiek, o którym mówimy, miał do stracenia większą sumę. - W głosie detektywa brzmiała wymówka, jakby odpierał zarzut radży, że winę ponosi kasyno. - A jednak może Wasza wysokość będzie mógł powiedzieć nam coś więcej na temat nieboszczyka.

- Ja?! - wykrzyknął radża. - A kto to był?

- Człowiek nazwiskiem Henry Dulton.

- Nigdy o nim nie słyszałem!

- Rzeczywiście!

Ton głosu Gutiera był nieco sceptyczny.

- Dlaczego myśli pan, że go znałem? - zdziwił się radża.

- W jego portfelu znajdował się list adresowany do Waszej wysokości. Może zechciałby pan go przeczytać.

Wyciągnął w kierunku radży kartkę papieru i radża wziął ją. Pajęcze, drobne pismo było łatwiejsze do odczytania niż pismo Stelli, przeczytał więc szybko:

Do Jego wysokości Radży Jehangaru

Wasza wysokość,

Rozumiem, że interesuje Pana tożsamość damy, która zamieszkuje w Hotel de Paris i jest zameldowana jako mademoiselle Fantome. Mogę podać Panu interesujące go informacje. Jeżeli Pan zechce skorzystać z mojej propozycji, stawię się w dogodnym terminie.

Polecam się łaskawej pamięci Najniższy sługa Waszej wysokości

Henry Dulton

Radża oddał list inspektorowi.

- Nie znałem tego człowieka - powiedział - ale myślę, że jeden z moich sekretarzy mógł być z nim w kontakcie. Mówił mi o kimś, kto posiada informacje dotyczące tej damy. Czy życzy pan sobie go widzieć?

- Byłbym wdzięczny, gdyby Wasza wysokość mi to umożliwił.

- Każę zaprowadzić pana do jego pokoju - rzekł radza i pociągnął za dzwonek dodając: - Szkoda, że ten człowiek umarł, zanim zdążył podać mi pożądaną informację.

- Wielka szkoda, Wasza wysokość. Żałuję, ale my również nic nie możemy pomóc w tej sprawie. Mademoiselle Fantome i ta dama, która jest z nią, madame Secret, nie są nam znane. Kilkunastu ludzi próbowało już dyskretnie się czegoś o tych paniach dowiedzieć, ponieważ wzbudziły wielkie zainteresowanie w Monte Carlo.

- Szkoda, że ten pan Dulton, kimkolwiek był, umarł tak szybko - zauważył radza. - Jesteście pewni, że to samobójstwo?

- Najzupełniej pewni, Wasza wysokość. Pistolet, z którego się zabił, leżał tuż przy jego boku, a kula w jego głowie była bez wątplenia wystrzelona z tej właśnie broni.

- Przekonujący dowód, oczywiście. Nie miał przy sobie nic godnego zainteresowania?

Komisarz wzruszył ramionami.

- Bardzo niewiele, Wasza wysokość. Tylko ten portfel. Obawiam się, że nie ma w nim nic takiego, co mogłoby nam pomóc. Zaledwie parę jego wizytówek i kilka biletów reklamujących miejsca rozrywki w Paryżu.

Mówiąc to monsieur Gutier otworzył portfel, wyciągnął część jego zawartości i położył na biurku.

- Sądzymy, że pan Dulton był kimś w rodzaju naganiacza - oznajmił z pewnym skrepowaniem. - Na przykład jest tu wiele kart z Rue de Roi 5. Wasza wysokość bez wątplenia słyszał o tym domu, jego reputacja jest dobrze znana. Henry Dulton otrzymywał prowizję za wprowadzanie klientów. Przeprowadzamy śledztwo w Paryżu, ale wątpię, żeby wyjaśniło ono cokolwiek w sprawie jego śmierci.

Radza podniósł jedną z kart, o których mówił komisarz. Był to zwykły kawałek kartonika, na którym wydrukowano adres Rue de Roi 5, w górnym lewym rogu zdanie La Maison plus chic de tout Paris i w dolnym prawym rogu małym drukiem nazwisko: Madame Bleuet.

Radza aż krzyknął, tak był poruszony:

- Madame Bleuet! Madame Bleuet! Nigdy nie zapomnę twarzą, nigdy!

Rozdział 11

W Restaurant des Fleurs odbywała się uroczysta wieczorna gala. Co znaczniejsi goście Monte Carlo siedzieli w wielkiej sali restauracyjnej, której okna wychodziły na morze. Wszędzie widać było kwiaty. Misternie ułożone zdobiły każdy stół, dekorowały ściany, splecione w girlandy, zwieszały się z sufitu.

Każda kobieta otrzymywała bukiet przy wejściu, małą, piękną wiązaną pachnących kwiatów w kołnierzyku z białej, karbowanej bibułki, a każdy mężczyzna - kwiatek do butonierki.

Bukiety w połączeniu z przeróżnymi barwami damskich sukien i klejnotów, wachlarze obsypane cekinami, lśniąca ozdoba fryzury pań, wszystko tworzyło obraz efektowny i radosny.

Z jednej strony restauracji znajdował się ogród, po którym goście mogli się przechadzać, by ochłonić po tańcach. On również został przemieniony w baśniową krainę czarów.

Kolorowe chińskie latarenki zwieszały się z każdego drzewa, migoczące kandelabry dekorowały skraje ścieżek. Wszystko to było zachwycające i gdy skończył się melodyjny walc, wiele par wyszło z zatłoczonej restauracji na zewnątrz, w łagodny cień ogrodu.

Mistral, siedząca sama z ciotką Emilią, marzyła, żeby był tu ktoś, z kim mogłaby zatańczyć, ktoś, kto mógłby zabrać ją do ogrodu, aby z bliska zobaczyła tę cudowną krainę bajecznych światełek, a nie tylko domyślała się jej piękności od stolika we wnętrzu restauracji.

Wszyscy, których znała w Monte Carlo z widzenia, byli tu dzisiaj wieczora - tak bywalcy kasyna, jak i ci, którzy przebywali w hotelu, pojawili się tu co do jednego. Nawet stara hrabina Kiselev, którą Mistral odprowadziła do powozu pierwszego wieczora w kasynie i która tak niepotrzebnie

zaniepokoiła ją swoimi Izami, była w towarzystwie młodych ludzi.

Sir Robert był w restauracji, ale jego stół znajdował się bardzo daleko od stołu Mistral i tylko czasami udawało jej się złapać zarys jego profilu. Był oczywiście z lady Violet, która miała na sobie zachwycającą suknię z fiołkoworóżowej krepy, ozdobioną gałązkami bluszczu. Książę Mikołaj zabawiał tuzin przyjaciół przy najważniejszym stole w sali, a niedaleko od niego siedział radża Jehangaru. Radża był z dwoma swoimi rodakami. Mistral zastanawiała się, dlaczego nie towarzyszy mu ta ładna kobieta, z którą rozmawiała w szatni kasyna poprzedniej nocy.

Bardzo chciała znów zobaczyć Stellę, a równocześnie ogromnie obawiała się tego, co powie ciotka Emilia, gdy ona skinie Stelli głową i uśmiechnie się do niej, tak jak miała szczyry zamiar to zrobić. Gotowa była bronić swoich racji do zawierania znajomości w sposób niekonwencjonalny i czuła się bardzo zawiedziona, kiedy nie pojawiła się taka konieczność.

Dzisiejszego wieczora wszyscy wyglądali na wesołych i szczęśliwych. Mistral pomyślała ze smutkiem, że byłoby dużo przyjemniej, gdyby była tu z kimś w jej wieku. Ale gdy tylko to pomyślała, natychmiast sama siebie skarciła za niewdzięczność. Spotkało mnie wyjątkowe szczęście, że w ogóle znalazłam się w Monte Carlo, powiedziała sobie, i było to bardzo miłe ze strony ciotki Emilii - choć często wpadała w złość - że wzięła mnie tutaj, że podarowała mi tak wiele drogich strojów i że pozwala mi obserwować wielu z najbardziej znaczących ludzi Europy.

Impulsywnie zwróciła się do ciotki:

- Czuję, że jeszcze nie podziękowałam ci wystarczająco, ciociu Emilio, za wszystko, co dla mnie zrobiłaś - powiedziała słodko. -

Przecież w tej chwili mogłabym być jeszcze w klasztorze. Leżałabym już w łóżku, w ciemności, gdyż nie wolno było nam czytać po dziewiątej. A tymczasem jestem tutaj, słucham tej cudownej muzyki, patrzę na tych wszystkich interesujących ludzi! Jestem ci wdzięczna, naprawdę wdzięczna. Dziękuję ci bardzo, bardzo, bardzo.

Emilia spojrzała na nią w sposób, który wydawał się Mistral zaskakująco przenikliwy, i powiedziała kwaśno:

- Niestety, twoja wdzięczność nie wyraża się w gorliwym wypełnianiu moich poleceń.

Oczy Mistral rozszerzyły się.

- Jakich poleceń, ciociu Emilio? Zawsze próbuję robić to, co mi karzesz. Czy zapomniałam o czymś?

- Nie, nie zapomniałaś, co ci mówiłam - rzekła Emilia. - Jesteś jednak bardzo nieporadna, może: głupia to właściwsze określenie, w wypełnianiu moich poleceń.

Ciotka powiedziała to tonem pogardliwym i Mistral czuła, że się rumieni.

- Przepraszam, ciociu Emilio, jeżeli zaniedbałam czegoś, czego ode mnie żądałaś. Czy możesz wytłumaczyć mi, o co chodzi?

- Ty doskonale wiesz - mruknęła Emilia. - Masz dwoje oczu i nie jesteś ślepa. Widzisz tam księcia? Przyjmuje grupę przyjaciół. Są wśród nich kobiety, czy jesteś między nimi? Nie! Dlaczego cię nie zaprosił?

Nastąpiła długa przerwa, podczas której Emilia czekała na odpowiedź z pociemniałymi oczami i zaciśniętymi ustami.

- Myślę, że... Dlatego, że on... nie chciał mnie... tam - wyjąkała w końcu Mistral.

- A dlaczego nie? - nalegała Emilia. - Zostawiłam was samych dzisiaj popołudnia, gdy obserwowałyśmy wyścigi łodzi żaglowych. Sądziłam, że nie omieszkasz skłonić

go do zaproszenia nas na dzisiejszy wieczór lub na jutro. O czym wy rozmawialiście?

Mistral spuściła oczy i utoczyła kulkę z chleba między palcami, Pamiętała swoje zmieszanie wywołane zbyt oczywistymi manewrami ciotki wobec księcia.

Mnóstwo ludzi oglądało wyścigi jachtów. Księżę, którego jacht uczestniczył w zawodach, był nazbyt zainteresowany wyścigiem, aby zwracać uwagę na pięknie ubrane kobiety tłoczące się na tarasie. Pozostali mężczyźni zachowywali się inaczej. Odwracali się plecami do morza, a nawet ośmielali się obserwować przez lornetki co ładniejszą kobiecą twarz albo zgrabną nóżkę.

Księżę koncentrował się na wyścigu i Mistral pomyślała, że tylko ciotka Emilia mogła być na tyle odważna - czy może raczej należałoby powiedzieć bezczelna - by zmusić go do dostrzeżenia ich obecności. Zeszła w dół tarasu przepychając się przez tłum, dopóki w końcu nie stanęła u boku księcia. Kiedy patrzył przez lornetkę, zajęty jedynie białymi żaglami mknącymi po błękitnym morzu, odezwała się swoim przymilnym tonem:

- Dzień dobry, Wasza księżęca mość. Czy byłby pan tak uprzejmy, aby wyjaśnić nam zawłości tego wyścigu? Moja siostrzenica jest niezwykle zainteresowana jachtami.

Księżciu nie pozostało nic innego jak tylko opuścić lornetkę, ucałować dłoń Emilii i uśmiechnąć się do Mistral.

- Naprawdę jest pani taka ciekawa? - zapytał, a ona dostrzegła w jego oczach rozbawienie.

Czuła, jak się rumieni, i kiedy kłamała, nie odważywszy się powiedzieć prawdy w obecności ciotki Emilii, wyrzucała sobie własne tchórzostwo.

- Tak... mnie... mnie bardzo to interesuje - wyjąkała.

Wiedziała, że jej nie uwierzył, a jednak z jakąś dziwną delikatnością, która zupełnie nie przypominała jego

początkowego stosunku do niej, usunął się, aby mogła stanąć u jego boku i powiedział cicho:

- Pani pozwoli, że wyjaśnię, co się dzieje.

Emilia natychmiast odsunęła się, zostawiając ich samych, i chociaż Mistral wiedziała, że takie zachowanie spowoduje bardzo wiele plotek i komentarzy wśród tłumu, który śledził każdy ruch, cieszyła się, że ciotka nie słyszy ich rozmowy. Pospiesznie, cichym głosem powiedziała:

- Proszę się mną nie przejmować, Wasza książęca mość. Wiem, że chce pan obserwować wyścig przez lornetkę.

Książę uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Nie sądzę, żeby smok znał różnicę między jachtem a łodzią wiosłową, więc nie będzie w stanie pani później przeegzaminować.

Mistral roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Może to nielojalnie wobec ciotki Emilii, ale książę w tak zabawny sposób przedstawiał wszystko, a poza tym ma zapewne rację, jeśli' chodzi o ciotkę Emilię. Poczula się trochę pewniej i zaczęła nawet, dzięki wyjaśnieniom księcia, pojmować co nieco z tego, co się działo na morzu.

Książęcy jacht wygrał i książę wiwatował z radością, po chłopięcemu wymachując kapeluszem nad głową. Wielu innych ludzi wiwatowało także, gdyż był on młody, lubiany i wszystkim podobał się jego niewymuszony entuzjizm. Gdy tylko wiwaty ucichły, powiedział do Mistral:

- Muszę iść na dół do portu i nagrodzić załogę. Do widzenia na razie! Proszę nie pozwolić, aby smok panią pożarł, zanim znowu się zobaczymy.

Mistral uśmiechnęła się, w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Tak się cieszę, że pana jacht wygrał.

- Ja też się cieszę! - wykrzyknął książę. - To wspaniałe osiągnięcie, zwłaszcza że jego załogę stanowiły same zuchy,

tutejsi rybacy, Odszedł zwawym krokiem. Mistral zorientowała się, że księżę myśli już o czymś zupełnie innym, niż o niej. Nieco niepewnie dołączyła do ciotki Emilii, która wtedy nie powiedziała, czego od niej oczekuje, ale która teraz, obserwując towarzystwo księcia, nawet nie próbowała ukryć swego rozczarowania. Mistral westchnęła. Jakże trudno było sprostać wymaganiom ciotki!

- Księżę nie wspominał o tym, że przyjdzie tu dziś wieczorem - wyjąkała po dłuższej chwili.

- A ty nie miałaś na tyle oleju w głowie, żeby go o to zapytać, prawda? - parsknęła Emilia. - Cóż, będę musiała naprawić twoją niezręczność. Przywołasz go tutaj, a kiedy przyjdzie, masz spowodować, żeby poprosił cię do tańca.

- Ależ, ciociu Emilio, ja nigdy tego nie zrobię - powiedziała Mistral przerażonym głosem.

- Zrobisz to, co ci każę - rzuciła Emilia. - Miałam nadzieję, że przyciągniesz jego uwagę swoją niewinnością, ale może sam jest jeszcze zbyt młody, aby docenić te twoje miny szkolnego dziewczątka. Musisz, moja kochana, spróbować innych metod i to im prędzej, tym lepiej.

- Ale, ciociu Emilio, dlaczego muszę to zrobić? Dlaczego tobie tak zależy na tym, żeby ściągnąć uwagę księcia? - pytała Mistral.

- Już wcześniej mówiłam ci, Mistral, abyś nie zadawała pytań, tylko robiła to, co ci każę - odparła Emilia. - Po prostu musisz oczarować księcia i już, choć wcale nie musisz wiedzieć dlaczego. Jedyne co ci pozostaje, to wypełnić moje polecenie.

Emilia umilkła nagle, a jej oczy zwęziły się.

- On był tobą zainteresowany na samym początku. Nie oszukasz mnie. Poznałam to po wyrazie jego oczu i sposobie, w jaki się do ciebie zwracał. Ale na tym się skończyło. Co ty zrobiłaś, co mu powiedziałaś?

- Nic... zupełnie nic - zapewniła z pośpiechem Mistral. - Książę test zawsze bardzo miły, zawsze czarujący... ale ja nie wiem, jaki jeszcze... jaki jeszcze ma dla mnie być.

- Chcę, żeby zakochał się w tobie - odpowiedziała Emilia.
- Czy teraz jest to jasne?

- Ja... jestem pewna... że on nie myśli o mnie... w ten sposób - wydukała Mistral.

- To spowoduj, żeby myślał - krótko odparła Emilia. Skinęła na kelnera i zażądała kartki papieru i ołówka. Podał jej mały

bloczek, na którym zapisywał zamówienia. Emilia wręczyła go Mistral, potem podała jej ołówek.

- Napisz do niego! - rozkazała.

- Ależ jak bym mogła?! - wykrzyknęła Mistral. - Proszę, bardzo proszę, oszczędź mi tego, ciociu Emilio, to zbyt poniżające.

- Bzdura i nonsens - odpowiedziała Emilia. - Mężczyźni zawsze są zadowoleni, gdy sądzą, że ładna kobieta ugania się za nimi.

- Ależ ja nie chcę uganiać się za księciem. - Mistral bohatercko opierała się ciotce. - To mnie krępuje, ciociu Emilio, kiedy popychasz nas do siebie tak otwarcie. Ludzie muszą o tym mówić, bo widzą, że jest jedynym mężczyzną, z którym wolno mi rozmawiać. Z pewnością wyśmiewają się ze mnie.

- Chcę, żeby ludzie gadali - oznajmiła Emilia. - - Jeżeli nawet się śmieją, nie ma to żadnego znaczenia. Przestań wymyślać bzdurne usprawiedliwienia, Mistral, i rób, co ci każe. Napisz do niego.

Mistral wiedziała, jeszcze zanim zaczęła się buntować, że żadna prośba skierowana do ciotki, nie odniosłaby skutku. Gdy brała ołówek, jej twarz zrobiła się bardzo blada.

- Co mam napisać? - zapytała.

- Nawet to muszę ci mówić? - syknęła ciotka Emilia. - Wygląda na to, że nie masz żadnych własnych pomysłów. No cóż, bardzo dobrze, powiem ci, co pisać. Pisz tak:

Mam coś ważnego do powiedzenia Waszej Książęcej Mości. Byłabym wdzięczna, gdyby Pan w wolnej chwili mógł podejść do naszego stołu

Mistral

Mistral napisała dokładnie tak, jak jej podyktowano, a potem podniosła oczy ku twarzy ciotki.

- Ale ja nie mam mu nic do powiedzenia.

- Więc najlepiej coś wymyśl - rzekła surowo Emilia.

- O czym mogłabym mu powiedzieć? - pytała z lękiem, wpatrzona w Emilię, składając liścik i wręczając go kelnerowi z poleceniem zanieśienia do stolika księcia,

- Najlepiej zrobisz, jeśli zdecydujesz się na coś, i to szybko - rzuciła Emilia głosem twardym jak stal.

Znalazłam się w pułapce, z której nie ma ucieczki, pomyślała Mistral i poczuła w sobie wstyd za to, że uległa słabości i nie sprzeciwiła się ciotce Emilii. Bała się, to prawda, ale sto razy gorsza była świadomość, że pisząc do księcia, wymuszając na nim przyjście i apelując do jego rycerskości, zdradziła własne poczucie przyzwoitości.

Chociaż zupełnie nie miała obycia w świecie, była pewna, że damy nie robią takich rzeczy. Nie podążają krok w krok za mężczyzną i nie narzucają mu swojego towarzystwa, zwłaszcza gdy tym mężczyzną jest książę Mikołaj.

Jak w złym śnie Mistral widziała kelnera, który niósł jej liścik do stołu na drugim końcu sali. Widziała go, jak zatrzymuje się obok księcia Mikołaja, widziała rękę księcia, która wyciągnęła się i zabrała papier z tacy. Nie mogła już patrzeć dłużej. Spuściła głowę i zaciskając na kolanach drżące palce, zastanawiała się w popłochu, co mogłaby powiedzieć. Na pewno podejdzie do ich stołu, dlatego że tak nakazuje

dobre wychowanie, a także dlatego, że powiedział jej, iż kiedykolwiek będzie potrzebowała jego pomocy, ma po prostu zwrócić się do niego. Kiedy jednak się dowie, że jej prośba była tylko pretekstem i podstępem, będzie nią gardził. Z rosnącym poczuciem lęku Mistral usłyszała pełen satysfakcji głos Emilii: Idzie!

Pragnąc, żeby rozstała się ziemia i pochłonęła ją, Mistral czekała z mękach, aż nadejdzie książę. Szedł przez salę, przystając co chwila, aby zamienić kilka słów z ludźmi, którzy pozdrawiali go od sąsiednich stolików albo z tymi, którzy tańczyli i chwyтали go za ramię, gdy ich mijał.

Mistral nie odważyła się podnieść wzroku nawet wtedy, gdy usłyszała słowa ciotki:

- Dobry wieczór, Wasza książęca mość. Jak miło pana widzieć i jak zachwycający jest ten wieczór tutaj, taki radosny i zajmujący.

- Gala nie byłaby tym, czym jest, bez obecności pań - powiedział z nieco przesadną kurtuazją. - Dobry wieczór, mademoiselle.

Skinął głową i Mistral w końcu została zmuszona, aby podnieść na niego wzrok. Zobaczył w nim błaganie i uśmiechnął się do niej uspokajająco. Potem skłonił się znów ciotce Emilii.

- Czy pozwoli pani, madame, że zaproszę mademoiselle do walca?

- Oczywiście, Wasza książęca mość.

Pozwolenie Emilii zostało wydane tonem wyważonym, pełnym gracji i pobłażliwości, lecz Mistral, podnosząc się od stołu, czuła się nieszczęśliwa i zawstydzona. Ruszyli w kierunku parkietu, książę puścił ją przodem. Spostrzegła kątem oka ciemną twarz zwróconą w jej kierunku i ciemne oczy śledzące każdy jej ruch. W tym momencie wiedziała już, w jaki sposób uratować własny honor.

Miała coś do powiedzenia księciu! Opowie mu o incydencie, który by z pewnością bardziej wyprowadził ją z równowagi, gdyby nie to, że prawie o nim zapomniała z powodu dziwnych i zmiennych nastrojów ciotki Emilii. Powie księciu o radży. Opowie nie tylko o tym, jak usiłował kupić od niej perły, lecz także o tym, jak przez chwilę próbował ją zahipnotyzować. Nie potrzebuje ubarwiać tej historii, sama w sobie jest dość przerażająca.

Odetchnęła z ulgą. Nie będzie się ponizła i tłumaczyć, dlaczego naprawdę wysłała do niego bilecik. Kolory wróciły na policzki Mistral, oczy odzyskały blask. Wyglądała zachwycająco. Stała przez chwilę nieruchomo na parkiecie, czekając, aż książę weźmie ją w ramiona. Szeroka spódnica ze zmarszczonej siateczki falowała wokół niej, szyja i ramiona o barwie kości słoniowej wyłaniały się z ciasno opinającego ją gorsu sukni. Światło ze wszystkich lamp gazowych w sali zdawało się igrać w jej włosach, które okalały cudny zarys twarzy bladozłotą ramą żywo kontrastującą z tajemniczymi, ciemno oprawionymi oczyma.

Książę spojrzał na nią i roześmiał się cicho, kiedy wykonywali pierwszy obrót. Poruszali się płynnie w takt melodii „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

- Ona jest prześliczna - powiedziała lady Violet i sir Robert nie musiał pytać, kogo ma na myśli.

. Obserwował Mistral od chwili, gdy podniosła się od stołu. Teraz tańczyła wzdłuż sali, z głową odchylną lekko do tyłu, mówiła coś do księcia. Jej wdzięk, pomyślał sir Robert, porównać można do wdzięku jaskółek przelatujących nad srebrzystą wodą jeziora w Cheveron.

- Tak, ona jest prześliczna - usłyszał własny głos i sam był zaskoczony jego głębokim brzmieniem.

- Nie tylko my tak myślimy - dodała Violet. - Spójrz na radzę. Sir Robert odwrócił głowę w kierunku, w którym patrzyła Violet.

Radza aż wychylił się do przodu, łokcie trzymał na stole, głowę oparł na dłoniach. On również obserwował Mistral, a wyraz jego twarzy, wzbudził nagle gniew w sir Robercie. Opanowała go wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

Jak ten człowiek śmie patrzeć na Mistral w ten sposób! Poczł gwałtowne pragnienie, aby wstać od stołu, przerwać taniec Mistral

z księciem i zabrać ją z restauracji, z Monte Carlo, gdzieś daleko, gdzie by nie była narażona na kontakt z mężczyznami takimi, jak radza. Jest na to zbyt słodka, zbyt dobra. Sir Robert zastanawiał się, co by się stało gdyby podszedł do stołu radzy i uderzył go w twarz.

Nagle spostrzegł, że lady Violet wpatruje się w niego ze zdziwieniem.

- Co się z tobą dzieje, Robercie? - zapytała. Powoli rozluźniły się jego zaciśnięte pięści.

- Dlaczego pytasz? Wszystko w porządku. Na powrót stał się dżentelmenem. Było mu trochę głupio, że pozwolił sobie na coś w rodzaju publicznej sceny.

- Wyglądałeś na zagniewanego - powiedziała lady Violet.
- Jak gdyby coś cię rozzłościło. A może tylko mi się tak wydawało?

- Jestem zmęczony - powiedział oschle Robert. - Kiedy będziemy mogli stąd pójść?

- Och, jeszcze nie - zaprotestowała lady Violet. - Jest bardzo wcześnie. Poza tym dobrze się bawię.

Mistral i księżę przestali tańczyć, ale nie wrócili do stołu, przy którym samotnie siedziała Emilia. Przeszli przez otwarte drzwi do ogrodu. Sir Robert obserwował ich wyjście.

To dziecko samo się naraża na plotki, rozmawiając z księciem, pomyślał, jakby nie mówiono o niej dość i bez tego. Książę Mikołaj był wprawdzie całkiem sympatycznym młodym człowiekiem, jednakże lubił używać życia. Bez wątpienia będzie flirtował z Mistral i zalecał się do niej. Ona nic z tego nie zrozumie, jest na to za młoda.

Sir Robert znów poczuł, jak rośnie w nim gniew. Aż do tej chwili nie zauważył, że nie lubi księcia, podobnie jak większości cudzoziemców, których spotykał w Monte Carlo. Pomyślał o Mistral spacerującej po ogrodzie u boku księcia. Tam, na zewnątrz, z pewnością jest ciemno i chłodno. Ale będzie akurat tyle światła, ile potrzeba, by książę dostrzegł urok jej drobnej twarzy, aksamitną gładkość białej skóry, słodycz ładnie wykrojonych ust.

Może będzie usiłował dotknąć Mistral, wziąć ją w ramiona, wymusić na niej pocałunek. Będzie zaszokowana i przerażona. Nie znajdzie nikogo, kto chciałby jej pomóc i do kogo mogłaby się o pomoc zwrócić.

Sir Robert niemal nadludzkim wysiłkiem zmusił się do pozostania na swoim miejscu.

- Radza wychodzi - zauważyła od niechcienia lady Violet.

Sir Robert zobaczył, że radza podnosi się od swego stolika. Szeptał coś do jednego z mężczyzn, którzy z nim byli, i nieprzyjemnie się uśmiechał, wyszczerzając białe zęby.

- Ciekawe, dlaczego jest taki zadowolony z siebie - przemknęło przez głowę sir Robertowi, po chwili znów myślą powrócił do księcia. Zastanawiał się nad tym, czy wszystkie kobiety uważają, że jest niezwykle przystojny.

Na zewnątrz, w ogrodzie, Mistral opowiadała księciu o radzy.

- Powiedział, że musi mieć te perły i że byłoby mądrzej z mojej strony, gdybym oddała mu je dobrowolnie. Nie jestem

bardzo przestraszona, lecz on ma w sobie coś groźnego, coś tajemniczego.

- Mówiła pani o tym ciotce? - zapytał książę. Mistral zaprzeczyła ruchem głowy.

- Przede wszystkim byłaby na mnie zła za to, że w ogóle z nim rozmawiałam - odparła - a przecież nie mogłam nie wysłuchać rady, nie chciałam być nieuprzejma.

- Niech się pani tym nie martwi - uspokajał ją książę. - Pomówię z monsieur Gutierem, to chef de la Surete i mój stary przyjaciel. Jeżeli rada ośmieli się być wobec pani czy kogokolwiek nachalny, nakaże się mu opuścić Księstwo i nie wracać. Monsieur Gutier napomknie mu o tym przy okazji. Oni mają tutaj bardzo sprytne sposoby na takich ludzi jak rada. Dlatego zdarza się tu naprawdę niewiele skandali.

- Dziękuję - szepnęła Mistral, - Bardzo uprzejmie ze strony Waszej książęcej mości, że się pan o mnie tak kłopotuje.

- To niewielki kłopot dla mnie i jestem rad, że powiedziała mi pani o tym - odparł książę. - Proszę już więcej się tym nie martwić. Obiecuje pani?

- Obiecuje.

Uśmiechnęli się do siebie i książę zapytał:

- Kiedy pani stąd wyjeżdża i dokąd się uda, gdy opuści Monte Carlo?

Mistral zawahała się.

- Nie mogę odpowiedzieć na żadne z tych pytań, nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że nie znam odpowiedzi.

Twarz księcia nagle spoważniała.

- Pragnąłbym pani pomóc. Chciałbym, ale nie rozumiem... - Przerwał nagle. - W każdym razie nie będziemy rozmawiali o tym teraz. Nie ma na to czasu. Muszę wracać do swojego towarzystwa, ale spotkamy się jutro. Pojedziemy na

przejażdżkę, jeżeli smok pani pozwoli. Wtedy będziemy mogli to omówić.

- Bardzo bym chciała - odpowiedziała szczerze Mistral. -
Więc przyjadę po panią o trzeciej - oświadczył książę. -
Chodźmy. Elegancki świat trzęsie się od plotek, ci ludzie nie mają nic innego do roboty.

Ujął Mistral pod ramię i poprowadził ją z powrotem w dół po wąskich, krętych ścieżkach wiodących do restauracji. Mistral szła u milczeniu. Pragnęła pozostać tu, w czarującym, oświetlonym latarniami ogrodzie, pod niebem obsypanym gwiazdami. Nie chciała wracać do zatłoczonej restauracji, gdzie śledziły ją setki ciekawskich oczu, co czuła wyraźnie, i gdzie ciotka Emilia czekała przy stoliku niby żarłoczny pająk snujący pajęczynę, w którą oboje, Mistral i książę, zostali zaplątani. Ale nic nie mogła zrobić. Przyjęła uścisk dłoni księcia, on skinął głową i powrócił do swoich gości.

- I cóż?

Bez wątpienia w głosie Emilii zabrzmiało pytanie.

- Jego książęca mość poprosił mnie, bym pojechała z nim jutro po południu na przejażdżkę.

- Dobrze!

Emilia powiedziała to z gorącą aprobatą. Potem wzięła bukiet, który podarowano jej przy wejściu.

- A teraz wracamy do hotelu.

Mistral ucieszyła się z decyzji ciotki. Ona także chciała stąd odejść, gdyż doświadczyła tego wieczora wielu sprzecznych uczuć i nie było to wcale przyjemne. Emilia już zapłaciła rachunek i teraz prowadziła ją przez salę. Wybrała na to moment, kiedy orkiestra przestała grać i na parkiecie nie było tancerzy.

Ich teatralne wyjście spowodowało, że oczy wszystkich skierowały się na nie. Mistral starała się iść przez salę wolno i z godnością, myśleć o czymś innym, zapomnieć i o sobie, i o

ludziach, którzy ją obserwowali. Mimo wszystko nie mogła się powstrzymać i rzuciła jedno spojrzenie w stronę stołu sir Roberta. Nie patrzył na nią. Właśnie w tej chwili regulował rachunek u kelnera. Lady Violet wyglądała na zirytowaną, bębniła palcami po stole, kąci jej ust opadły posepnie. Mistral, w pośpiechu odwracając wzrok, zastanawiała się, czy to możliwe, by lady Violet nie była szczęśliwa, przebywając w towarzystwie sir Roberta.

Emilia i Mistral dotarły do wejściowego holu restauracji, gdzie portierzy zaczęli krzątać się w poszukiwaniu ich okryć. Człowiek, który stał na zewnątrz i oświetlał drogę, otrzymał polecenie sprowadzenia powozu.

Czekały zaledwie kilka chwil. Poinformowano, że powóz podjechał. Emilia ruszyła do wyjścia. Powóz zatrzymał się, lokaj wyskoczył i rzucił się do otwierania drzwi. Nadeszli jacyś ludzie. Mistral rozpoznała wśród nich ciemnoskórego mężczyznę, który jadł obiad z radzą. Napotkała jego spojrzenie i szybko odwróciła wzrok. W wyrazie jego twarzy było coś, co sprawiło, że poczuła się nieswojo.

Emilia podeszła, aby wsiąść do powozu. Gdy była już blisko, mężczyzna, który towarzyszył radzy, odsunął Mistral i położył rękę na ramieniu Emilii. Wszeptał jej do ucha coś, czego Mistral nie dosłyszała. Widziała tylko, że ciotka drgnęła gwałtownie. Dobiegły ją ostatnie, jakby złowieszcze słowa mężczyzny:

- Musi mnie pani wysłuchać, madame.

Emilia odwróciła głowę i zobaczyła słuchającą Mistral.

- Wsiądź do powozu - rozkazała.

Mistral spełniła polecenie, chociaż była nim zaskoczona. Zastanawiała się, co przyjaciel radzy może mieć do powiedzenia ciotce.

W powozie było ciemno. Usiadła w głębi, pozostawiając miejsce bliżej otwartych drzwi ciotce Emilii. Nagle drzwi

zatrzasnęły się i niemal natychmiast konie ruszyły, najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej. Mistral krzyknęła:

- Stój! Tu ma ktoś wsiąść! Została jeszcze jedna dama! Ale gdy tylko krzyknęła, zorientowała się, że nikt nie słyszy jej głosu

Powóz był grubo wyściełany, obydwie okna zamknięte. Poruszona skoczyła na równe nogi. Próbowwała otworzyć okno, które było bliżej niej. Nie udało się. Spróbowała otworzyć drugie, z tym samym skutkiem.

Znów usiadła, zdyszana, i pomyślała, że może to błahostka. Do Hotel de Paris jest bardzo blisko, ciotka Emilia z łatwością dostanie inny powóz. Cała sprawa była denerwująca i narażała na dodatkowe koszty, ale nic poza tym.

Mistral uspokoiła się i znów zaczęła się zastanawiać, co takiego powiedział ciotce Emilii przyjaciel radży. Ciotka wyglądała na zaskoczoną tym, co wyszeptał jej do ucha. Jak wiele jest tajemnic we wszystkim! Mistral westchnęła. Zapragnęła, żeby każdy był uczciwy i szczery, szczególnie ciotka Emilia. To było bardzo irytujące, znaleźć się w centrum intryg i nie mieć pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Wyjrzała przez okno. Powinni być już przy hotelu. Wtedy właśnie zauważyła, że konie wspinają się ostro pod górę po szerokiej drodze, która prowadziła z kasyna przez nową część miasta w stronę Monte Angel. Oczywiście, musiała zająć jakąś omyłką, pomyślała Mistral.

Jeszcze raz próbowała otworzyć któreś z okien, sądząc, że łatwiej jej będzie teraz, kiedy powóz posuwał się wolniej, ale mimo wysiłku okna nawet nie drgnęły. Pomyślała, że jedyne, co może zrobić, to otworzyć drzwi, ale ku swemu zdumieniu odkryła, że we wnętrzu powozu nie ma klamek.

Początkowo, nie dowierzając sobie, badała po omacku jedną i drugą stronę, przekonana, że się pomyliła. Po dłuższej chwili upewniła się, że tak drzwi jak i okna były mocno

zamknięte. Poczwała, że zaczyna się trochę bać. Znowu krzyknęła:

- Stój! Proszę otworzyć drzwi!

Ale odpowiedzi nie było. Konie wspinały się dalej na wzgórze i nie było słycać niczego oprócz brzęku upręży i turkotu kół na twardej ziemi.

Co się stało? Czyżby przez pomyłkę wsiadła do czyjegoś prywatnego powozu i teraz jedzie do jednej z tych wielkich, wysoko położonych willi? To, pomyślała, chyba jedyne rozsądne wytłumaczenie.

Ciotka Emilia będzie się gniewać, gdy odkryje, że nie ma jej w Hotel de Paris. Ale nie można winić jej za coś, co w najmniejszym stopniu nie było jej winą.

Konie jechały coraz dalej i dalej, w końcu Mistral, spoglądając przez okno, zobaczyła, że zatrzymują się przed jakąś willą. Była bardzo duża i biała, przed nią rozpościerał się ogród. Szerokie marmurowe schody prowadziły w dół ku kutej żelaznej bramie. Muszą tu mieszkać jacyś ważni ludzie, pomyślała Mistral, i oni także będą się gniewać, że zostali w restauracji, podczas gdy ja odjechałam ich powozem. Nerwowo powtarzała wyjaśnienie tego, co się wydarzyło.

Powóz stanął. Drzwi zostały otworzone energicznym ruchem przez hinduskiego służącego w czerwonym płaszczu narzuconym na obszerne szarawary z białego batystu, z którego wykonany był także turban. Kilku innych służących, ubranych podobnie, zbiegało pospiesznie ze schodów. Mistral wysiadła z powozu.

- Zaszła jakaś pomyłka - powiedziała zdecydowanie. - Przywieziono mnie tutaj z Restaurant des Fleurs, ale chciałabym wrócić do Hotel de Paris. Byłabym wdzięczna, gdyby powóz mógł zabrać mnie z powrotem.

Inny służący, brodaty, wyglądający na ważniejszego i starszego od pozostałych, wystąpił naprzód. Skłonił się bardzo

nisko i powiedział coś w języku, którego Mistral nie rozumiała, a następnie pokazał otwarte drzwi willi oddalonej o kilka jardów.

- Czy jest tu ktoś, kto mówi po francusku albo po angielsku? - zapytała.

Służący potrząsnął głową i znowu, mówiąc dziwnym językiem, wskazał na drzwi.

- Może ktoś w środku będzie mnie rozumiał - powiedziała Mistral.

Nie pozostało jej nic innego, jak wejść do willi. Wspięła się na schody i przez duże, podwójne drzwi weszła do środka. Znalazła się w wielkim holu z kolumnami z białego i czarnego marmuru. Służący podążyli za nią. Ten z brodą prowadził ją po stopniach wyłożonych grubym, puszystym dywanem. Nie było słychać odgłosu niczyich kroków i cały dom wydawał się pogrążony w ciszy.

Mistral nagle poczuła okropny strach. Dokąd idzie? Co to ma znaczyć? Musi jakoś wrócić do Hotel de Paris, choćby miała iść pieszo. Dotarli do obszernego podestu, gdzie Mistral podjęła jeszcze jedną desperacką próbę porozumienia się.

- Chcę mówić z panią tego domu - powiedziała. - Och, czy nie ma tu nikogo, kto rozumiałby po francusku, po angielsku albo po niemiecku?

Mężczyzna mruknął coś i otworzył drzwi. Mistral ujrzała ogromny pokój słabo oświetlony przyćmionym światłem połyskujących złotem lamp. Poczowała zapach egzotycznych kadzideł z drzewa sandałowego i zobaczyła, że wszystko aż kapie od złota. Złotem ozdobione byty zasłony i meble, niskie ławy z mosiądzu też miały złote ornamenty. Mistral, zaskoczona, rozglądała się wokół siebie. Wtem ktoś wynurzył się z cienia dalekiego końca pokoju i wolno podszedł do niej. Mistral spostrzegła błysk białych zębów na tle ciemnej skóry,

blask klejnotów połyskujących na jasnym turbanie i rozpoznała radzę.

Wydała cichy okrzyk przerażenia. W tej samej chwili usłyszała, jak za jej plecami zamykają się drzwi.

- Mademoiselle Fantome! Wielka to dla mnie przyjemność powitać panią w moim domu - zaczął łagodnie radza.

- Przywieziono mnie tutaj przez pomyłkę - szybko wtrąciła Mistral. - Moja ciotka zamówiła powóz, który miał zabrać nas do Hotel de Paris. Wsiadłam pierwsza, a woźnica ruszył, nie czekając na ciocię ani na właściwe dyspozycje. Byłabym wdzięczna, gdyby Wasza wysokość polecił natychmiast odwieźć mnie do Hotel de Paris. - Naprawdę wyobraża sobie pani, że przywieziono tu panią przypadkowo? - spytał radza.

- Więc to nie była pomyłka? - zdziwiła się Mistral.

- Rzadko popełniam pomyłki - odparł radza.

- Ależ to niedopuszczalne! Wasza wysokość będzie tak uprzejmy i zamówi dla mnie powóz, a jeśli nie, pójdę pieszo.

Mistral gwałtownie odwróciła się w stronę drzwi. Ponieważ radza nie ruszył się, sama nacisnęła kłamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Wiedziała już: zostały zamknięte na klucz. Radza wybuchnął śmiechem. Był to przerażający, szyderyczy dźwięk, jakiego Mistral nigdy w życiu nie słyszała.

Pobladła, lecz głowę podniosła wysoko i odwróciła się, aby spojrzeć mu prosto w twarz.

- Co to ma znaczyć? - spytała. - Jak pan śmie trzymać mnie tutaj?

- Czemu nie, skoro tak bardzo pragnę pani obecności?

- Myśli pan, że moja nieobecność nie zostanie zauważona? - rzuciła pogardliwie Mistral. - Myśli pan sobie, że moja ciocia nie będzie się martwić? Na pewno posłała już po policję.

- Pani jest w błędzie! Cioteczka pani nie pośle po policję, moja droga.

- Oczywiście, że pośle, jestem tego pewna - odparła Mistral. - Stanowczo proszę Waszą wysokość, aby pozwolił mi pan odejść, i to natychmiast. Ta nieostrożność nie wyjdzie panu na dobre i niczego pan w ten sposób nie osiągnie.

Radza zaśmiał się znowu.

- Jesteś taka śliczna, kiedy się złościś - powiedział. - Zawsze lubiłem, kiedy ładne kobiety się buntowały. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy. Twoje słowa mnie nie zwiódą, bo gra jest skończona. Była bardzo sprytna, ale też twoja ciotka jest bardzo sprytną kobietą. Tak, gra jest skończona i to ja jestem zwycięzcą.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odpowiedziała Mistral. - Wiem tylko tyle, że przywiózł mnie pan tutaj wbrew mojej woli, i rozkazuję panu otworzyć te drzwi.

- Bardzo ładnie powiedziane - zauważył radza, - Jesteś znakomitą aktorką. Cioteczka, jak ją nazywasz, musiała poświęcić sporo czasu, aby doprowadzić cię do takiej doskonałości, ale darujmy sobie te nonsensy i poznamy się nawzajem, ty i ja.

Mówiąc to zbliżył się do Mistral i wyciągnął rękę, jakby chciał ją dotknąć. Mistral krzyknęła i odskoczyła.

- Jak pan śmie mnie dotykać!

- Ach, jak ty lubisz to słówko: śmie! - uśmiechnął się radza. - Ośmielę się zrobić wiele innych rzeczy, mm nadejdzie ranek, moja droga, malutka mademoiselle Fantome. Ale przede wszystkim musisz podać mi swoje prawdziwe imię. Nie obowiązuje nas już przestrzeganie etykiety. Jesteśmy sami. Czy mogę zaproponować ci odrobinę Szampana?

Podszedł do stolika ustawionego przy oknie. Stało na nim wiele butelek i kilka kieliszków. W jego spokoju i pewności siebie, w uśmiechu na twarzy było coś, co przeraziło Mistral

bardziej niż to, co powiedział czy zrobił do tej pory. Podniosła ręce do szyi i dotknęła pereł. Palce były bardzo zimne, czuła, jak drżą...

- Jeżeli chodzi o moje perły - powiedziała i zabrakło jej tchu - dam je panu... jeżeli teraz, od razu pozwoli mi pan... odejść.

Radza odwrócił się z kieliszkiem szampana w dłoni, w jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia.

- Nie interesują mnie już twoje perły. Zatrzymasz je sobie wraz z innymi prezentami, które ci dam. Teraz interesujesz mnie tylko ty.

Mistral poczuła, że uginają się pod nią kolana. W panice podbiegła do drzwi i jeszcze raz szarpnęła klamkę. Radza ją obserwował.

- Są zamknięte na klucz - mówił miękkiem tonem - a jedyna droga wyjścia z tego pokoju prowadzi do moich prywatnych apartamentów. Możesz tam pójść, jeśli chcesz, ale sama się przekonasz, że wygodniej będzie ci tutaj.

Mówiąc to, zamaszystym gestem wskazał koniec pokoju i wzrok Mistral powędrował za jego dłonią. Nieco poza kręgiem złotego światła rzucanego przez lampy dostrzegła kontury wielkiej, owalnej otomany, pokrytej jedwabnymi poduszkami i przysłoniętej przezroczystym baldachimem.

Przez chwilę stała w milczeniu. Potem poczuła, że paraliżuje ją taki strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Chciała krzyknąć, ale wiedziała, że nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Służba w domu trzymała się instrukcji.

Desperacko uczepiła się jednej myśli: tylko zachowując panowanie nad sobą będzie mogła utrzymać w ryzach dzikie żądze radzy. Obserwował jej twarz, jak gdyby umiał czytać w myślach. Zauważył, z jakim wysiłkiem powstrzymywała się od krzyku.

- Wiedziałem, że będziesz rozsądna, gdy wreszcie zrozumiesz, że zostałaś pokonana - powiedział po dłuższej chwili. - Wiem też, że ta twoja, niezwykle sprytna i doświadczona cioteczka odpowiednio cię wykształciła, skoro chciałyście upolować księcia Mikołaja. Podziwiam was obie za niezwykle chytry pomysł, ale ja jestem radzą Jehangaru i jestem dużo bogatszy niż książę. Straciłaś jedną rybkę, lecz złapałaś drugą.

Mówiąc to, zbliżał się do Mistral. Kiedy skończył mówić, spostrzegła, że stoi tuż przy niej. Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi z przerażenia.

- Niech mnie pan nie dotyka, bo zabiję, przysięgam! Radza odrzucił głowę i roześmiał się.

- Jesteś niesłychanie zabawna.. Widzę, że będę się przy tobie doskonale bawił. A teraz daję ci dziesięć minut, abyś przygotowała się na mój powrót. Na otomanie znajdziesz kilka przezroczyстых szatek, takich, jakie noszą nasze tancerki. Uwielbiam oglądać białe kobiety w strojach mojego narodu. Nie przejmuj się, jeżeli będą mniej dyskretne niż te twoje, niewygodne, które ukrywają naturalne wdzięki. - Przerwał i zmierzył ją wzrokiem, a Mistral rozpoznała w jego oczach żądzę. - Przebierz się szybko i, jak mówimy w moim kraju, czekaj na swego pana i władcę.

Cicho podszedł do rozsuwanych drzwi ukrytych w ścianie wyłożonej ozdobną boazerią. Prowadziły do jego apartamentów. Dotknął ich, odwrócił się i spojrzał na Mistral.

- Masz dziesięć minut, aby się przygotować, najpiękniejsza mademoiselle Fantome - powiedział dobitnie. - Jeżeli do tego czasu nie będziesz gotowa, przekonasz się, że mogę pełnić rolę najwprawniejszej damskiej pokojówki.

Rozdział 12

Mistral ukryła twarz w dłoniach. Przez chwilę wydawało jej się, że musi się poddać. Zrozpaczona pomyślała, że jeśli to zrobi, będzie zgubiona na zawsze. Dziesięć minut, powiedział radza. Straciła już minutę.

Poczuła, jak znów rośnie w niej paniczny strach, chciała krzyczeć, bić pięściami w drzwi, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie przyniesie to niczego dobrego. Usłyszała dziwny, dudniący łomot i uświadomiła sobie, że były to uderzenia jej własnego serca, które biło tak, jakby miało wyskoczyć ze szczupłego ciała.

Musiała coś zrobić i to szybko Pomyślała o oknach i podbiegła do najbliższego z nich, odsuwając ciężkie, haftowane zasłony. Otworzyła okno, wyjrzała i już wiedziała, dlaczego radza nie obawiał się, że mogłaby uciec tą drogą.

Większość okien na południu Francji otwiera się na balkon, ale tutaj było inaczej. Na zewnątrz był wąski występ, a dalej po prostu uskok do ogrodu poniżej. Mistral widziała stąd drogę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie krzyknąć na wypadek, gdyby ktoś przechodził. Ledwie otworzyła usta, zrozumiała, jak byłoby to beznadziejne.

Dookoła było spokojnie i cicho, i wyglądało na to, że w pobliżu nie ma nikogo. Nawet gdyby ktoś był i gdyby ona krzyknęła, to dużo wcześniej, nim ten ktoś przyszedłby jej na pomoc, radza wciągnąłby ją z powrotem do pokoju. Z pewnością wymyśliłby jakąś odpowiedź na pytanie, jakie by mu zadano.

Była bezradna, uwięziona przez złośliwe, wszechmocne zło. Poczuła, że jej serce bije coraz mocniej, jednak ogromnym wysiłkiem zmusiła się, aby nie myśleć o tym, co ją czeka, ale o sposobach ucieczki, Czy ma wyskoczyć przez okno? Zaryzykowałaby złamanie nogi, jeśli nie gorzej. Po pewnym namyśle przyjrzała się zewnętrznej ścianie willi.

Znajdowały się na niej trzy okna pokoju, w którym stała, a ostatnie z nich było niemal na rogu budynku. .

Za tym ostatnim oknem dojrzała coś, co wzbudziło w niej nagłą nadzieję. Biegiem, gdyż czas był niezwykle cenny, rzuciła się od pierwszego okna do tego, które znajdowało się na dalekim końcu pokoju w pobliżu wielkiej, owalnej otomany. Otwierając je pospiesznie, wyjrzała na zewnątrz. Tak jak myślała, to okno było może cztery stopy oddalone od narożnika domu, a wąski występ z białego kamienia, który biegł pod oknami, sięgał do narożnika. Sąsiednią ścianę, północna, która znajdowała się od strony gór, pokrywała krata z zielonego drewna, zbudowana dla podtrzymania róż i pnączy rosnących po tej stronie willi.

Trudno w ciemności dostrzec każdy szczegół, ale można było odróżnić drewniane listwy, wyraźnie zarysowane na tle białych ścian. Miały około cala grubości.

To nie była potężna konstrukcja, ale Mistral pomyślała, że może ją utrzymać, gdyż waży niewiele. Jeżeli się nie uda, to po prostu spadnie, ryzykując pokaleczenie. Trudno będzie dotrzeć do rogu budynku, może się ześliznąć z wąskiego występu. Spojrzała w górę i odczuła ulgę. Wyraźne zagłębienie wyrzeźbione w kamieniach, z których willa była zbudowana, mogło stanowić oparcie dla rąk.

Willi była ogromna. Za ścianą pokrytą różami znajdowało się jeszcze jedno skrzydło z dwoma załamaniem, zgodnie z pretensjonalnym planem architekta, który chciał stworzyć wrażenie bogactwa i luksusu.

W tamtym skrzydle znajdowało się wiele okien, dających temu, kto by przypadkowo wyjrzał przez nie, doskonały widok na Mistral, jeśli próbowałaby ucieczki tą drogą. Musi jednak zaryzykować. Albo to, albo czekanie w złotym pokoju na powrót radzy, a powiedziała sobie, że śmierć byłaby lepsza od tej możliwości.

Przez jedną chwilę stała spokojnie, w otwartym oknie, czując na twarzy chłód nocy i szepcząc modlitwę. Później wspięła się na parapet okienny i wyszła na zewnątrz, na kamienny występ za oknem. Przesuwała się powoli twarzą do ściany, a plecami do przepaści.

Teraz nadeszła chwila, kiedy musiała puścić futrynę, by znaleźć oparcie tylko w robocie kamieniarza. Jakoś się udało. Przyciśnięta tak mocno do ściany, że dotykała jej całym ciałem, przesuwając się wolniutko, cal za cal, dopóki jej wyciągnięta lewa ręka nie uchwyciła się kraty.

Poczuła ulgę, gdy przekonała się, że była ona mocno i bezpiecznie przymocowana do ściany. Przewidywała, że tak będzie. Ta willa, jak wszystkie inne w Monte Carlo, była nowa i drewno nie zdążyło zbutwieć, a gwoździe nie zdążyły zardzewieć ani obłuzować się. Bardzo, bardzo ostrożnie zdjęła stopę z kamiennej krawędzi i przełożyła na szczebel kratki. Szerokie, sute spódnice przeszkadzały jej, ale jakoś sobie radziła.

Trudność polegała na tym, że tylko same czubki palców stóp i dłoni mogły znaleźć miejsce oparcia. Całe ciało musiało zachowywać niemal idealną równowagę przy każdym stawianym przez nią kroku, bo inaczej spadłaby plecami w ciemność.

Pierwszy odcinek drogi w dół nie był taki trudny, jak przewidywała. Później dotarła do róż i pnączy i wszystko stało się dużo trudniejsze. Nie mogła znaleźć pomiędzy nimi oparcia dla stóp. Czepiały się sukni, prując i rozdzierając delikatną gazę, gdy próbowała się ruszyć, drapały nagą szyję i nagie ramiona. Co chwila jej stopy ślizgały się na liściach i pędach. Myślała, że spadnie

Niemal sięgała ziemi, kiedy usłyszała na sobą jakiś krzyk. Był to krzyk człowieka zaskoczonego i okropnie rozgniewanego. Stawał się coraz głośniejszy i przypominał

ryk dzikiego zwierzęcia, pozbawionego swego łupu. Wiedziała, że to głos radży, i domyśliła się, że wzywa służących, aby ruszyli na poszukiwanie. Desperacko, widząc, że może stracić szansę odzyskania wolności, Mistral nie szukała dalej oparcia, lecz skoczyła.

Mimo że nie spadła z dużej wysokości, uderzyła o ziemię z łoskotem który ją przeraził, słyszała, jak rozdziera się zaczepiona o kolce róż falbana sukni, i dźwięk ten wydawał się tak donośny jak krzyk. Uwolniła się gwałtownym szarpnięciem.

Później, nie zastanawiając się ani chwili nad tym, czy się skaleczyła, zerwała się na równe nogi i zaczęła biec. Uciekała w stronę muru, który otaczał willę, czując przez cienkie podeszwy wieczorowych pantofelków najpierw miękką ziemię grządek kwiatowych, później twarda, wybrukowaną ścieżkę.

Biegając, słyszała za sobą gwar przekrzykujących się głosów i radzę wydającego rozkazy. W tym samym momencie, kiedy dotarła do muru, drogą prowadzącą na wierzchołek wzgórza nadjechał jakiś powóz.

Konie ciągnęły ostro, choć było mocno pod górę. Powóz zatrzymał się przy bramie willi, a zanim konie stanęły, jakiś mężczyzna gwałtownie otworzył drzwi i wyskoczył z powozu. Mistral, gramoląc się przez mur, widziała go bardzo wyraźnie. Był to książę. Resztką tchu udało się jej krzyknąć, aby przyciągnąć jego uwagę.

- Ratunku, Wasza książęca mość! Ratunku!

Usłyszał ją właśnie w chwili, gdy otwierał żelazną bramę. Odwrócił się. - Mistral!

Wykrzyknął jej imię ze zdumieniem i natychmiast ruszył w jej kierunku. Ona biegła także i gdy się spotkali, rzuciła się ku niemu, kurczowo chwytając poły jego okrycia. Podniosła białą, przerażoną twarz.

- Proszę mnie stąd zabrać! Szybciej, szybciej! Proszę mnie stąd zabrać!

Książę spojrział na nią szybko i wziął ją na ręce. Zaniósł do powozu, wniósł do środka i wydał polecenie woźnicy. Potem sam wskoczył do powozu i zatrzasnął drzwiczki. Gdy odjeżdżali, Mistral zobaczyła, że drzwi willi były otwarte, a wewnątrz mocno oświetlone. Służący biegali po ogrodzie labiryntem ścieżek, zaglądali w zarośla i kwitnące krzewy. Ale było już za późno! Uciekła!

Westchnęła z ogromną ulgą i zakryła twarz dłońmi, a gdy nimi poruszyła, zauważyła, że kciuk u lewej ręki krwawi. Widocznie zraniła się o gwóźdź.

Wnętrze powozu oświetlała świeca i przy tym świetle książę zobaczył czerwień krwi spływającej w dół dłoni i na przód jej podartej, szarej sukni.

- Skaleczyła się pani! - wykrzyknął i wyjął z kieszeni chusteczkę. - To... nie ma... znaczenia - odparła Mistral, z trudem łapiąc

oddech z powodu dziwnego skurczu w gardle. - Uratował mnie pan... zabrał mnie pan... stamtąd. Inaczej... oni by... mnie złapali.

- Powinna była pani pozwolić mi rozprawić się z tym bydlakiem - powiedział gniewnie książę.

- Nie! Nie! - szepnęła Mistral, przerażona tym, że książę chce pojechać tam z powrotem. - Tylko proszę mnie zabrać... daleko. Nic się teraz nie liczy... Gdyby pan nie nadjechał...

Nawet nie mogła dokończyć tego zdania. Zbyt wyraźnie uświadamiała sobie, co by się stało, gdyby książę nie przybył akurat w tym momencie.

Książę owinął jej palec chusteczką, ale krew przeciekała przez biały batyst.

- Obawiam się, że zraniła się pani mocno. Nie może pani jechać dalej tak krwawiąc. Do mojej willi jest około stu

jardów. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy zatrzymali się tam i zabandażowali pani dłoń jak należy?

Mówił to wyraźnie zaniepokojony, gdyż twarz Mistral była biała jak papier. Wydawało mu się, że po ciężkich przejściach utrata dużej ilości krwi może być dla niej niebezpieczna.

- Może to byłoby najlepsze... jeżeli nie sprawię kłopotu - odezwała się Mistral, sama trochę zdenerwowana tym, że purpurowy znak na chusteczce staje się z każdą chwilą większy.

Księżę wstał, otworzył małe okienko tuż przy dachu powozu i wydał jakieś polecenie. Mówił po rosyjsku i woźnica odpowiedział mu w tym samym języku. Potem znowu usiadł

- Nie zabierze nam to więcej niż kilka minut - zapewnił. - Później zawiozę panią do hotelu. Co się właściwie stało?

- To był... radza - półgłosem wymamrotała Mistral.

- Wiem - wtrącił księżę. - Akurat schodziłem po schodach Restaurant des Fleurs z pewną damą, która była wśród moich gości. Postanowiła wyjść wcześniej, więc przywołałem dla niej powóz. Kiedy mijaliśmy drzwi, usłyszałem pani ciotkę mówiącą gniewnie: „Myśli pan, że pozwolę mu uprowadzić moją siostrzenicę?” Zobaczyłem odjeżdżający powóz i zobaczyłem także, kto stał koło pani ciotki. Był to jeden z sekretarzy radzy. Ten człowiek powiedział coś, nie wiem co bo nie czekałem dłużej. Zbiegłem ze schodów i wskoczyłem do powozu który właśnie nadszedł, aby zabrać moją towarzyszkę. Nie próbowałem nawet nic wyjaśniać ani nie przeprosiłem jej, lecz po prostu odjechałem na poszukiwanie pani. Byłbym wcześniej na miejscu, ale ten głupiec, mój woźnica, nie wiedział, gdzie mieszka radza. Musieliśmy zatrzymać się, aby kogoś zapytać. Dzięki Bogu, przybyłem na czas.

- Tak, dzięki Bogu - żarliwie odpowiedziała Mistral. W tym momencie konie stanęły

- To jest moja willa - oznajmił książę. - Proszę uważać na rękę gdy będzie się pani poruszała.

- Dość dziwne, wcale mnie nie boli - zauważyła Mistral.

- Mimo wszystko trzeba ją obejrzyć - odparł książę. Troskliwie pomógł jej wysiąść z powozu i poprowadził przez niewielki, dobrze utrzymany ogród. Weszli do wnętrza przez drzwi o żywym czerwonym kolorze. Taką samą barwę miały okiennice.

Willa księcia wyglądała zupełnie inaczej niż ta, która należała do radzy. Nie było nic napuszonego ani strojnego w niewielkim holu, który minęli, idąc do salonu. Tu znajdowały się wygodne fotele i sofy pokryte brązowym aksamitem. Meble, piękne i kosztowne, wskazywały wyraźnie, że właścicielem domu jest mężczyzna o wyrafinowanym smaku.

Ściany i stoły ozdobiły ryciny o tematyce sportowej, kominek udekorowany był srebrnymi trofeami, które książę wygrał lub które zostały zdobyte przez jego jachty i konie wyścigowe.

Mistral nie miała wiele czasu na przyglądanie się szczegółom otoczenia. Panowała tu spokojna atmosfera, nie budząca lęku. Mistral odprężyła się psychicznie. Siedziała w fotelu, do którego doprowadził ją książę. Na jego polecenie służący uklęknął, aby zapalić ogień w przygotowanym już kominku.

- Będzie pani zimno - powiedział książę. - Zawsze tak jest, kiedy traci się krew. Zanim jednak zrobimy cokolwiek innego, musimy umyć tę rękę. Jeżeli jest choć trochę brudna, może dojść do zakażenia.

Mistral uśmiechnęła się, słysząc powagę w jego głosie.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Głównie stąd, że sam bywałem często zraniony - odparł książę. - Miałem co najmniej tuzin wypadków na nartach i wolałbym nie liczyć, ale razy źle się kończyły moje polowania. Ale nim zaczniemy rozmowę, chciałbym, żeby wypić pani kieliszek wina.

Mistral potrząsnęła głową.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Zupełnie nie mam w tej chwili ochoty, czuję, że gdybym coś zjadła lub wypić, stanęłoby mi to w gardle.

- Oczywiście, będzie, jak pani sobie życzy, myślę jednak, że dobrze by to pani zrobiło.

- Nie, nie chcę wina. Chcę tylko mieć pewność, że już nigdy więcej nie będę musiała spotykać się z radzą.

- Nie musi się pani tego obawiać. Jutro opowiem mojemu ojcu wszystko, co się zdarzyło, a on da znać policji. Ma wielkie wpływy w księstwie, gdyż zawsze tutaj mieszkał. Zapewniam panią, że władze nie będą tolerowały zachowania tego rodzaju.

- Radza był taki zmieniony - mówiła cicho Mistral. - On chyba sądzi, że ja... usiłuję go oszukać... albo że robi to moja ciotka. Myślę, że musi być szalony. Wczoraj wieczorem, kiedy rozmawiał ze mną w kasynie, był nieuprzejmy... dziś było gorzej... dużo gorzej. Zachowywał się bardzo dziwnie, ja tego nie potrafię wytłumaczyć...

- Niech pani o nim nie myśli - z powagą odezwał się książę. - O, mamy już Potoka z wodą, watą i bandażami.

Służący, Rosjanin o obcych rysach, którego książę nazywał swoim stróżem, wszedł do pokoju, niosąc srebrną miednicę z ciepłą wodą o świeżym, cytrynowym zapachu. Potok trzymał miednicę, a książę bardzo delikatnie odwiązał przesiąkniętą krwią chusteczkę z dłoni Mistral. Po raz pierwszy i on, i Mistral mogli zobaczyć ranę przy dobrym świetle i teraz oboje odetchnęli z ulgą.

Było to długie, poszarpane skaleczenie, zabrudzone ziemią z rabaty kwiatowej, na którą Mistral upadła. Na szczęście zranienie było tylko powierzchowne, mogło więc wygoić się bez szwów. Dziewczyna drgnęła, kiedy książę wkładał jej dłoń do miednicy z wodą, ale już po chwili woda zadziałała kojąco i Mistral była zadowolona, widząc, że brud schodzi. Trochę czasu zabrało księciu obmycie rany do czysta, ale krwawienie ustało i kiedy na koniec wprawnie bandażował palec, Mistral powiedziała:

- Zrobił to pan tak dobrze, Wasza książęca mość, że nie będę musiała iść do lekarza.

- Może niekoniecznie dziś - odpowiedział książę - ale powinna pani zrobić to jutro. Nie ma sensu ryzykować. Lekarz musi panią dokładnie przebadać. Mogła pani zranić się gdzieś indziej, chociaż w tej chwili nic pani o tym nie wie

Gdy to mówił, spojrzał na zadrapania na jej ramionach. Mistral dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wygląda. Aż do tej chwili tak była przejęta tym, co się jej przydarzyło, że nie miała czasu myśleć o niczym innym. Teraz, spoglądając na podartą sukienkę, roześmiała się ponuro.

- Bardziej niż lekarz potrzebna mi jest krawcowa. Mimo wszystko jestem pewna, że nic mi się nie stało.

Światło, padające od okna igrało w jej włosach. Onieśmielona dziewczyna nie miała najmniejszego pojęcia, jak uroczo wygląda. Włosy, zwichrzone od biegu, opadały w złotych puklach na białe ramiona. Twarz, cała w lokach, wydawała się mała, delikatna, niemal dziecinna. Rzeczywiście, ze smutnymi, spuszczone w dół oczyma i lekko drżącymi ustami przypominała dziecko, które wpadło w tarapaty nie z własnej winy. Każdy mężczyzna jednak wiedziałby, że ma do czynienia z kobietą. Kolory wróciły na policzki i wyglądała niezwykle pociągająco, gdy tak siedziała na tle ciemnego, aksamitnego obicia fotela.

Potok wycofał się i zostali sami Książę nagle wstał i pospiesznie odszedł w kąt pokoju i znów powrócił.

- Chciałbym, żeby pani mi powiedziała... - zaczął mówić, jakby nagle podjął decyzję, aby ją o coś zapytać.

Ale zanim zdołał powiedzieć cokolwiek więcej, drzwi salonu otworzyły się z wielkim rozmachem. Oboje, Mistral i książę, odwrócili głowy, Mistral krzyknęła ze zdziwienia.

W drzwiach stał sir Robert. Wyglądał na strasznie zagniewanego, wzrok jego miotał błyskawice.

- A więc to tutaj panią przywieziono! - rzucił ze złością. Zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do pokoju. Mistral wstała. Jednym

spojrzeniem sir Robert ogarnął jej podartą suknię i rozpuszczone włosy. Jego usta zacisnęły się gniewnie. Szybko i zdecydowanie podszedł do księcia. Gdy znalazł się naprzeciw niego, podniósł rękę i uderzył go w twarz parą własnych rękawiczek.

- Jest pan podłym człowiekiem! - krzyknął ochryple. Mistral wydała cichy okrzyk.

- Ależ, sir Robercie - zaczęła. - Proszę...

- Chwileczkę - wtrącił sir Robert. - Nie zdążyłem jeszcze powiedzieć temu niby dżentelmenowi wszystkiego, co o nim myślę.

- Spodziewa się pan, że zechcę tego słuchać? - spytał z furią książę. - Żądam satysfakcji, sir, i to natychmiast. Nikomu nie pozwolę obrażać się bezkarnie.

- Ani ja nie pozwolę obrażać angielskiej damy i mojej rodaczki - odrzekł sir Robert. - Wybór broni należy do pana.

Sir Robert był bardzo rozgniewany, ale wściekłość księcia była jeszcze większa. Z trudem trzymał temperament na wodzy. Błądą twarz przecinał płonący ślad od uderzenia. Rozejrzał się szybko dookoła. Nad kominkiem wisiały dwie szpady epees de combat, tak ulubione przez Francuzów.

Książę ściągnął je w ułamku sekundy i jedną podał sir Robertowi.

- Zabiję pana równie dobrze tym, jak czymkolwiek innym - wycodził przez zęby.

- Przeciwnie - odparł sir Robert - pan otrzyma lekcję ode mnie, młody człowieku, i to lekcję, na którą w pełni pan sobie zasłużył.

Mistral spoglądała to na jednego, to na drugiego wielce oszołomiona. Nie była pewna, o co w tym wszystkim chodzi. Ze wzmianki sir Roberta o rodaczce wynikało, że dotyczy to właśnie jej, ale dlaczego i z jakiego powodu, tego nie wiedziała.

- Wasza książęca mość! Sir Robercie! - zawołała. - Błagam...

Jednakże oni nie zwrócili najmniejszej uwagi na jej słowa. Książę odsunął na bok fotel, kopnął stojący mu na drodze podnózek. Środek pokoju był pusty i dwaj mężczyźni ustawili się do walki. Zanim Mistral spostrzegła, co się dzieje, dwa ostrza zetknęły się, rozległ się dźwięk uderzenia stali o stal. Walczyli z ponurymi twarzami w złowieszczej ciszy. Zrobiło się jeszcze straszniej niż wtedy, gdy obrzucali się nawzajem obelgami.

Mistral, całkowicie bezsilna, mogła tylko stać i patrzeć na nich, patrzeć na pchnięcia, sztychy i riposty.

Wydawało się przez chwilę, że książę zdany jest na łaskę sir Roberta, zaraz potem udało mu się wyplątać z tego przy pomocy błyskotliwej szermierczej sztuczki. Teraz sir Robert był w defensywie. Chociaż Mistral bardzo pragnęła powstrzymać ich od walki, to było już za późno, nie mogła nic zrobić. Zdziwiona i całkowicie bezradna patrzyła tylko przerażonymi, zafascynowanymi oczyma.

Znawca powiedziałby, że szermierze dorównują sobie. Z nich dwóch sir Robert był nieco bardziej doświadczony, ale

także cięższy i powolniejszy, księżę zaś dysponował zwinnością i szybkością, które nie tylko ratowały go z opresji, ale także stanowiły znaczne niebezpieczeństwo dla przeciwnika.

Po kilku minutach zawzięta walka jeszcze się zaostrzyła. Choć żaden z mężczyzn nie wyglądał na zmęczonego, oddechy stały się szybsze. Twarze o zaciśniętych ustach i skupionych oczach wyrażały napięcie. Walczyli dalej. W pewnej chwili wydawało się, że księżę zostanie zwycięzcą. Przyparł sir Roberta do biblioteczki. Połyskujące ostrze, podobne do języka jadowitego węża, znalazło się o cal od gardła.

W tej chwili Mistral wiedziała już, komu życzy zwycięstwa. Pomyślała z przerażeniem, że sir Robert może zginąć. Ta myśl i związany z nią strach wywołały ból niemal fizyczny. Chciała podbiec i stanąć u boku sir Roberta, była gotowa przyjąć cios na własną pierś, byleby tylko go uratować. Ale nie mogła się ruszyć, stopy jakby wrosły w ziemię. Nie mogła wydobyć z siebie dźwięku, choć usta się poruszały.

Sir Robert wygiął się do tyłu, twarz mu zsiniała. Nie ma żadnej nadziei, pomyślała Mistral. Już widziała, jak ginie na jej oczach. Zrozumiała jedno - jeśli on umrze, ona chce umrzeć wraz z nim.

Kochała go! Kochała od pierwszej chwili, od tamtego spotkania tuż przed świtem. Kochała go głęboko skrywanym uczuciem, które tak wrosło w nią, że nie rozpoznała go aż do tej pory. Nie wyobrażała sobie życia bez niego, nie wyobrażała sobie bez niego szczęścia. Kochała go, a przecież nie mogła zrobić nic, żeby go uratować. Mogła tylko stać osłupiała i przerażona, całe ciało, każdy nerw drżał od szalonego napięcia.

Wtedy, gdy już wydawało się, że to napięcie doprowadzi ją do utraty zmysłów, sir Robert wywinął się z pułapki i zadał nagły cios, korzystając z nieostrożności księcia. Szpada przeszła przez bark Mikołaja. Książę wydał okrzyk, nie głośniejszy od jęku, jego szpada upadła z brzękiem na podłogę. Szybko przycisnął lewą rękę do rany. W tej samej chwili Mistral zasłabła. Poczula się tak, jakby podłoga uniosła się do góry, aby ją uderzyć. Ogarnięta ciemnością, zaczęła spadać w dół, w dół, w miłosierne zapomnienie, z którego nigdy już nie miała się obudzić...

Kiedy otworzyła oczy, wydawało się jej, że minęły już chyba wieki. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, co się stało, czuła tylko, że była gdzieś bardzo daleko i że wciąż jeszcze podróżuje. Później uświadomiła sobie, że obracają się pod nią jakieś koła. Coś dziwnego znajdowało się pod jej policzkiem. Poruszyła się i nagle pojęła, że jest to ramię, które obejmuje ją ciasno. W momencie przebudzenia nie wiedziała, czyje ono było. Poczula, że radość wybucha w jej głowie jak płomień, gdy zdała sobie sprawę, kto ją obejmuje.

- Czy już dobrze się pani czuje?

Głos sir Roberta był cichy i czuły, a jego twarz znajdowała się tuż przy jej twarzy. Widziała go wyraźnie w świetle latarni. Byli razem w powozie. Przejęta bliskością jego ramienia przez chwilę nie mogła myśleć o niczym innym. Wtedy coś się poruszyło, była to jej własna dłoń. Ujrzała bandaż i nagle wszystko stanęło jej w pamięci.

- Książę?! - zapytała gwałtownie. - Książę?

- Nie, nie zabiłem go - powiedział ponuro sir Robert. - A wielka szkoda, bo na to zasłużył.

- Ale co, pan... zrobił? On mnie uwolnił od... radży. To radza... mnie... uprowadził.

- Radza!?

W głosie sir Roberta zabrzmiało szczere zdziwienie.

- Tak, książę... uratował mnie - powtórzyła Mistral. - Próbowałam to panu powiedzieć... próbowałam... ale pan mi... nie pozwolił.

Sir Robert wpatrywał się w nią, jakby chciał znaleźć prawdę w oczach wzniesionych ku jego twarzy i ustach oddalonych zaledwie o kilka cali.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało - powiedział po chwili.

- Wychodziłam z Restaurant des Fleurs razem z ciotką - zaczęła Mistral, najpierw bardzo cicho, potem głośniejsze, nabierając siły w miarę, jak rozwijała się opowieść. - Akurat wsiadałyśmy do powozu, gdy jeden z mężczyzn, którzy jedli obiad z radzą, podszedł do nas i odezwał się do ciotki. Kazała mi wsiąść do powozu. Gdy tylko to zrobiłam, drzwi zostały zatrzaśnięte i powóz ruszył, zanim woźnica otrzymał jakiegokolwiek polecenie. Początkowo myślałam, że to jakieś nieporozumienie, że wsiadłam do złego powozu i że woźnica wziął mnie za kogoś innego. Spróbowałam otworzyć okno albo drzwi. Kiedy stwierdziłam, że są

mocno zamknięte, poczułam pewien niepokój. Powóz zatrzymał się przy jakiejś willi. Wsiadłam, próbując wyjaśnić niefortunna pomyłkę, , prosiłam, żeby odwieziono mnie z powrotem do Hotel de Paris.

Służący posługiwał się jakimś obcym językiem, więc weszłam do willi, w nadziei, że znajdę tam kogoś, kto mnie zrozumie. Teraz wiem, że powinnam była od razu coś podejrzewać. Służący byli Hindusami, lecz to mnie nie dziwiło, ponieważ wielu ludzi przyjmuje ciemnoskórych na służbę. Dopiero wtedy, gdy pojawił się radza, zorientowałam się, że jestem w pułapce.

Powiedział, że porwał mnie umyślnie. Mówił różne rzeczy, bardzo dziwne rzeczy i zachowywał się dziwnie. Nie mogę panu powiedzieć, co mówił... Nigdy, nikomu nie

mogłabym tego powiedzieć. Zostawił mnie samą na dziesięć minut...

Mistral wzięła głęboki oddech, jakby samo wspomnienie tej właśnie chwili było nie do zniesienia. Potem odważnie mówiła dalej:

- Udało mi się uciec przez okno i zejść po kracie, która była przybita do jednej ze ścian domu.

Zanim dotarłam na dół, radza odkrył ucieczkę i kazał złapać mnie znowu. Słyszałam, jak wzywa służących i wysyła ich na poszukiwanie.

I właśnie wtedy, gdy zaczęli przeszukiwać ogród, nadszedł książę. Usłyszał, jak ciotka mówiła, że zostałam uprowadzona. Opuścił restaurację, ruszył w pościg, odnalazł mnie i zabrał do swojego powozu. Palec krwawił mi tak mocno, że zatrzymaliśmy się w willi księcia, aby opatrzyć skaleczenie. Kończył bandażowanie, kiedy... pan się pojawił... Mistral umilkła i pełna wahania zamarła w bezruchu. Sir Robert objął ją mocniej ramieniem, po czym wolną ręką ujął jej zabandażowaną dłoń i uniósł do ust.

- Później policzę się z radzą - rzekł groźnie. - A księciu jestem winien przeprosiny.

- Myślał pan, że to on mnie porwał? - zapytała Mistral. Sir Robert skinął głową.

- Moja pomyłka jest chyba zrozumiała - rzekł. - Właśnie opuszczaliśmy z lady Violet restaurację tuż po tym, jak zauważyłem pani odejście. Wyszedłem na schody. Zobaczyłem pani ciotkę zemdloną i jednego z sekretarzy radzy, próbującego ją ocucić. Podtrzymał ją jedną ręką i przywoływał kelnera, który miał przynieść kieliszek wina. Na schodach stała też inna kobieta. Wydawało mi się, że widziałem ją w towarzystwie księcia. Zwróciłem się ku niej i zapytałem, co się stało. „Ta starsza dama przypuszcza, że jej siostrzenica została uprowadzona - powiedziała. - Mój

towarzysz także podążył gdzieś w wielkim pośpiechu. To wszystko wydaje mi się dosyć dziwne".

Z jej głosu wyczułem, że bagatelizuje sprawę. Jednak spojrzawszy w górę drogi, zobaczyłem, że powóz księcia rzeczywiście znika w oddali. Rozpoznałem połyskliwy uniform jego służącego i natychmiast doszedłem do wniosku, a nie był to wniosek nieuzasadniony, że to on panią wywiózł. Nie zatrzymując się dłużej, nie dochodząc prawdy, bez zastanowienia wskoczyłem do najbliższego powozu i kazałem jechać za księciem. Spóźniłem się, oczywiście, zwłaszcza że konie księcia były znacznie szybsze niż te wynajęte bestie, które potrzebowały całego życia, by wspiąć się na wzgórze.

- A... a lady Violet? Sir Robert wydał okrzyk.

- To okropne, ale muszę wyznać - odezwał się po chwili przerwy - że zupełnie o niej zapomniałem. Musiałem zostawić ją na schodach.

- Pomyśli, że jest pan niegrzeczny - powiedziała Mistral.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - odparł sir Robert. - Czy cokolwiek liczy się oprócz tego, że ty jesteś bezpieczna?

Mówił głosem cichym i głębokim. Spojrzał jej w oczy i Mistral poczuła, że zaczyna drżeć. Nie wiedziała dlaczego, przecież już się nie bała. Zaczęło ją ogarniać najcudowniejsze uczucie, jakie kiedykolwiek poznała, rozpałało się w niej jak płomień, oddech wydobywał się szybciej spomiędzy rozchylnych ust. Nie mogła dłużej znieść spojrzenia sir Roberta, rzęsy zatrzepotały cieniem na powiekach, gdy usłyszała jego głos:

- Jesteś tak cudowna, tak doskonała!

Z ledwie słyszalnym westchnieniem odwróciła twarz i oparła na jego ramieniu. Przyciągnął ją bliżej i poczuła jego serce bijące mocno i równo tuż przy jej policzku. Wiedziała już, pełna szczęścia, że on kocha ją tak samo, jak ona jego. Zamilkli oboje, gdyż słowa nie były potrzebne. Byli tak blisko

siebie, połączeni radością, która krążyła w ich żyłach jak muzyka.

Konie zatrzymały się i powóz stanął. Mistral podniosła głowę. Wiedziała bez wyglądania przez okno, że znajdują się pod Hotel de Paris. Chciała krzyknąć, że ta chwila nie może się skończyć, że muszą jechać dalej, że ona nie może opuścić sir Roberta, ale właśnie nocny portier nadszedł w pośpiechu z hotelu. Sir Robert szepnął gorączkowo:

- Zobaczymy się jutro. Tak wiele rzeczy mam ci do powiedzenia, kochanie, ale me wolno mi jeszcze tego powiedzieć. Musisz mi zaufać jeszcze przez kilka godzin.

Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Nie znajdowała słów. Tylko spojrzała mu w oczy i trwało to długą, zapierającą dech w piersiach chwilę. Wiedziała, że należą do siebie na zawsze. Tajemniczy magnetyzm, którego doświadczyła po raz pierwszy, gdy spotkali się na brzegu morza, połączył ich na zawsze. Czowała się tak, jakby on brał ją nieodwołalnie i władczo w swoje posiadanie. Poddała się jego woli, pojmana, zdobyta, dumna i pełna radości.

Drzwi powozu zostały otwarte. Mistral czuła się brutalnie ściągnięta na ziemię z promieniejącego słonecznym światłem raj. Powróciła dawna nieśmiałość. Sir Robert wyciągnął rękę i pomógł jej wysiąść z powozu. Oczy miała spuszczone i nie patrzyła na niego, gdy wchodzili po schodach do hotelu. Dotknął ustami, gorącymi i natarczywymi, jej dłoni.

- Do jutra, ukochana - powiedział czule i odszedł.

Rozdział 13

Sir Robert obserwował pierwsze nieśmiałe, różowe światło porannego brzasku oświetlające niebo. Z każdą chwilą rozprzestrzeniało się i przemieniało, najpierw w bladoczerwone, a później w intensywnie żółte, aż do momentu, w którym cała panorama morza, lądu i nieba zapłonęła ogniem cudownych kolorów. Pomyślał, że jest to w jakimś sensie nierealne, piękne i ulotne jak sen.

Właśnie tak, pomyślał sobie, należało patrzeć na całe Monte Carlo. Był to świat z marzeń sennych, do którego można wstąpić na chwilę i zaakceptować go tak lekko i tak bez zastrzeżeń, jak przyjmuje się sny, które mijają wraz z nocą. Było to miejsce ustanowione dla zabawy, dla uciechy, a często i dla szczęścia, ale na tym miejscu człowiek nie mógłby budować prawdziwego życia i własnej przyszłości.

Jest tak cudowne, że brak słów, pomyślał, gdy patrzył na morze przybierające barwę intensywnego błękitu ze smugami szmaragdu i blednące w oddali, tam, gdzie stykało się z horyzontem. Dla Roberta, mimo że potrafił docenić urodę Monte Carlo, bliższy sercu był jednak nie krajobraz Lazurowego Wybrzeża, lecz pejzaż Cheveron.

Gołębie, które trzepocząc skrzydłami, przelatywały w tym momencie nad dachami białych domów rozrzuconych w dolinie, przywiodły mu przed oczy obraz gołębi powracających na noc do domu, w zacisze lasów otaczających Cheveron. Drzewa tam są już całe w pąkach, śnieżyczki i krokusy kwitną na trawnikach, a w powietrzu ta świeżość, co dech zapiera, poczucie cudu, które każdego roku zwiastuje wiosnę. Wkrótce krzewy bzu staną się ciężkie od białego i fioletowego kwiecia, jabłonie przeistoczą się w różowo - białe chmury roniące płatki, a wodne lilie zazłocą się na tle połyskliwej wody jeziora.

Cheveron wzywało go i Robert podświadomie wykonał ruch taki, jakby nie mógł już czekać ani jednej chwili, jakby natychmiast musiał wracać do domu, swojego ukochanego domu. Tymczasem musiał powstrzymać swoją niecierpliwość, wiedział bowiem, że kiedy pojedzie, nie pojedzie sam.

Ostatniej nocy nie spał, lecz bardzo długo spacerował brzegiem morza i gdy w końcu wrócił do swojego pokoju, siadł na balkonie, by wpatrując się w ciemność, doczekać świtu. Myślał o Mistral, o tym, jak głowę oparła mu na ramieniu i o jej twarzy wzniesionej ku jego twarzy. Jaka była piękna nawet w migoczącym, niepewnym świetle powozowej latarni! Jak trudno było mu powstrzymać się od pocałunku! Jej usta były tuż przy jego ustach i poznał po lekkim drzeniu ciała, po wyrazie oczu, że pozwoliłaby na to.

Powstrzymało go jednak głęboko zakorzenione poczucie honoru. Musi zamknąć drzwi przeszłości, zanim otworzy te, prowadzące w przyszłość. Zrobił to, co zrobić należało, był tego pewny, ale każdy nerw jego ciała sprawiał mu ból, gdy pomyślał o tym, jak piękna jest Mistral i jak była blisko, z czego nie skorzystał.

Kiedy pozostawił ją w Hotel de Paris, polecił woźnicy natychmiast jechać do Willi Róż. Niewinne pytanie Mistral przypomniało mu o Violet. Teraz uświadomił sobie, jak nieznośnie grubiańsko się zachował, zostawiając ją, bez słowa wyjaśnienia, na schodach Restaurant des Fleurs. Wszystkie myśli o Violet uleciały mu z pamięci, gdy doszedł do wniosku, że Mistral została porwana przez księcia. Jedyne jego pragnieniem było uratować Mistral. Ślepa, szaleńcza wściekłość spowodowała, że zapomniał o wszystkim i o wszystkich.

Teraz musi prosić Violet o wybaczenie, ale - co dużo gorsze - musi też wyznać jej prawdę. Musi wyjaśnić jej nie tylko to, że zakochał się w innej, ale również to, że zamierzał

następnego ranka poprosić Mistral, żeby została jego żoną. Zrozumiał teraz, że nigdy przedtem nie był zakochany. Nawet nie przypuszczał, ile to może znaczyć w jego życiu - ani do jak głębokich uczuć jest zdolny.

To prawda, Violet pociągała go. Pragnął jej niemal od pierwszej chwili ich spotkania, ale to ona sprawiła, że ich znajomość przekształciła się w głębszą i bardziej intymną. To właśnie ona prowadziła go wciąż dalej i dalej, w wir uczuć i namiętności, aż zapragnął poszukać wyjścia z labiryntu.

Wcale nie chciał, aby do tego doszło. Nie chciał wplątać się w nic poważnego owego pierwszego wieczora podczas balu na dworze Devonshire, kiedy kierowany nagłym impulsem, wpisał do karneciku Violet swoje nazwisko przy każdym tańcu i flirtował z nią z wyrafinowaniem światowca. Dopiero później, znacznie później zaczął się domyślać, że Violet zakochała się w nim, i wtedy, na przekór matce, zirytowany jej wymówkami i wyrzutami, postanowił poprosić Violet, by została jego żoną.

Do tego czasu ona zaraziła go trochę swoim lekceważeniem i obojętnością wobec konwencjonalnych norm. Dopóki nie poznał Violet, zawsze robił dokładnie to, czego od niego oczekiwano, zachowywał się poprawnie, trochę sztywno, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego. Po kilku tygodniach przebywania w towarzystwie Violet poczuł w sobie nastroje buntownicze i sprzeciw wobec ostrych języków przyjaciół, którzy przepowiadali złe konsekwencje tego romansu, przewidując, że inaczej być nie może. Jeżeli tego właśnie chcieli, to on dostarczy im tematów do gadania, zdecydował.

W głębi duszy sir Robert wiedział, że Violet daleka jest od ideału kobiety, którą chciałby uczynić swą żoną, ideału, który posiadał od dawna nie przyznając się do tego. Ta wymarzona musiałaby pokochać Cheveron i czuć się tam szczęśliwa,

musiałaby być kimś, kogo Cheveron pokochałoby i zaakceptowało. Wiedział, nawet w tym momentach, gdy buntował się przeciwko matce i tym, którzy szeptali na temat Violet, że to oni mieli rację. Nie mógł przywieźć do Cheveron kobiety, która rozwiodła się z mężem, nie mógł osadzić jej tam jako wzorca dla ludzi, którzy mu ufali i szanowali go.

A zatem igrał z ogniem. Chciał, jak wielu mężczyzn, mieć zarówno Cheveron, jak i Violet. Uspokajał swoje sumienie, zapewniał nieustannie samego siebie, że romans z Violet to nic poważnego i że jej miłość do niego to też' uczucie przelotne. W miarę jak powóz zbliżał się do Willi Róż, Roberta zaczął ogarniać strach.

Sam siebie złapał w potrzask. Poczuł ulgę, kiedy zobaczył w salonie zapalone światła, co oznaczało, że Violet nie poszła jeszcze do sypialni. Gdy wszedł do pokoju, siedziała przy sekretarzyku, pisząc coś. Zobaczył, że zmieniła wyjściową suknię, którą miała na sobie wcześniej, na negliz z jakiegoś miękkiego, lejącego się materiału. Jediną ozdobą jej stroju był bukietek ze sztucznych róż, przypięty do dekoltu. Twarz miała bladą, kiedy się odezwała:

- Wiedziałam, że przyjedziesz.
- Naturalnie! Jestem ci winien przeprosiny.

Jego głos był poważny i stanowczy, i gdy spojrzał na nią, zobaczyła, że jego oczy mają taki wyraz, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Przez chwilę Violet nie mogła złapać tchu. Strach i niepokój, narastające w niej od jakiegoś czasu, sięgnęły szczytu. Były jak straszliwe ostrze, które teraz godziło prosto w jej serce.

Znała prawdę, znała ją bez słów, bez wyjaśnień. I jedyną rzeczą, której pragnęła, było umrzeć, zanim usłyszy ją z ust Roberta.

Violet miała jednak w żyłach błękitną krew od pokoleń, więc lekko i bez drżenia głosu powiedziała:

- Napijesz się czegoś, Robercie? Musiałeś przeżyć męczące chwile od Czasu, gdy cię ostatni raz widziałam.

- Chętnie, dziękuję.

W jego głosie zabrzmiała niemal nuta wdzięczności. Podszedł do barku i nalał sobie whisky z wodą sodową. Był wdzięczny za tę chwilę zwłoki i za to, że Violet wydawała się tak spokojna.

Nie miał pojęcia, że Violet, kiedy patrzy na niego, próbując zapamiętać jego sylwetkę, dumne uniesienie głowy i regularne rysy twarzy, niczego tak nie pragnęła, jak móc wykrzyzczyć swą miłość. Chciała biec do niego z otwartymi ramionami, objąć go, zmusić, aby uświadomił sobie, jak bardzo go kocha. Chciała wzniecić w nim namiętność. Już raz spowodowała, że jej zapragnął, dlaczego by nie mogła zrobić tego ponownie?

Ledwie ten pomysł przyszedł jej do głowy, odrzuciła go z niesmakiem. Później, tak jakby kusił ją diabeł, Violet pomyślała, że jest jeszcze sposób na zatrzymanie Roberta musiałaby tylko zaapelować do jego honoru, jego rycerskości. Wystarczyłoby wyraźnie powiedzieć, że ją skompromitował i że jedynym sposobem, w jaki może przywrócić jej dobre imię w oczach świata, jest małżeństwo. Na pewno poślubiłby ją, gdyby powiedziała mu to wszystko. Robert był dżentelmenem i nie mógłby jej zawieść.

A ona jest damą. Jeżeli Robert nigdy nie zachowałby się jak łajdak, ona również nie może zachować się w ten sposób. Jeżeli Robert był honorowy, to ona także miała poczucie honoru.

Odwrócił się od barku ze szklanką w dłoni i podszedł do kominka, gdzie stała Violet. Był zdenerwowany. I niezwykle ją wzruszyło to, że sir Robert Stanford z Cheveron był zdenerwowany z jej powodu. Widziała go już w wielu różnych nastrojach, ale nigdy przedtem nie znała go

przestraszonego, zdenerwowanego ani zmieszanego, a teraz spostrzegła, że ogarniają go wszystkie te uczucia.

Po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali Violet poczuła, ile ma lat. Robert był niezwykle męski. Zawsze w sprawach, które miały jakieś znaczenie, uważała go za starszego od siebie. On wtedy decydował. Z nich dwojga zawsze był tym silniejszym, tak fizycznie, jak i psychicznie. Tym razem Violet uświadomiła sobie, że gdy w grę wchodziły kobiety, to pod wieloma względami był jeszcze niedojrzały. Ciągłe obracał się w sferze ideałów. Dla niego kobieta była cudownym i tajemniczym stworzeniem.

W tej chwili Violet poczuła zazdrość gwałtowną, intensywną, rozdzierającą, zazdrość o kobietę, którą Robert kochał i która będzie jego żoną. Złoży u jej stóp wszystko, czym obdarzyła go natura, a co więcej, ofiaruję jej to, co ma wartość najwyższą - czyste serce. Jest wrażliwy, ma wyobraźnię, będzie mógł dać kobiecie, którą kocha, więcej niż ktokolwiek.

Zazdrość Violet zapłonęła potężnym ogniem. I tak, jak gwałtownie wybuchła, nagle zgasła. Violet czuła się dziwnie wyczerpana, a nawet, przez chwilę, obojętna. Robert odstawił prawie nietkniętą szklanekę whisky na stół. Nie mógł pić, choć wargi miał suche. Odetchnął głęboko.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczął.

W tym momencie Violet już wiedziała, że aby uchronić go od poniżenia i od wyrzutów sumienia, musi poświęcić siebie i resztki swojej dumy. Straciła go, straciła na zawsze, była tego pewna. Nie udało jej się zrobić tego, co zamierzała, a wysiłek, jaki podjęła, zniszczył ją. Kochała Roberta, kochała go tak, jak nigdy nie kochała mężczyzny przedtem ani nie będzie kochać później, ale ponieważ jej miłość była szczerą i pozbawioną egoizmu, pozostało jej do zrobienia tylko jedno.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała położyć ją na jego ramieniu, ale po chwili opanowała się. Nie wolno jej go dotknąć... nie wolno.

- Chwileczkę, Robercie - powiedziała chłodno. - Zanim mi opowiesz, co się zdarzyło dzisiejszego wieczora, chciałabym najpierw sama ci coś powiedzieć! Był tu dzisiaj Eryk.

- Eryk?

- Tak, Eryk - powtórzyła Violet. - Przebywa chwilowo w Nicei. Przywiózł mi wieści z Anglii. Jego wuj, sir Harold Featherstone, zmarł i uczynił Eryka swoim spadkobiercą.

- Ach tak! To, jak sądzę, wspaniała wiadomość dla Eryka - zauważył Robert.

Dla niego historia ta nie miała wielkiego znaczenia, ale uprzejmie pozwolił jej kontynuować i nie przerywał.

- Eryk powiedział mi także - szybko podjęła Violet - że jego brat, Alwin, rozwiódł się z żoną. Ona uciekła z innym mężczyzną porzuciwszy dzieci. Eryk właśnie przeprowadza adopcję. Zabiera je do Medway Park, domu w Norfolk, odziedziczonego po wuju.

Przerwała na chwilę, potem ciągnęła dalej:

- Eryk oświadczył, że mój pokój w Medway Park czeka, jeżeli będę chciała go zająć. Jest gotów przyjąć mnie z powrotem, Robercie, bo tak naprawdę czuje, że nigdy od niego nie odeszłam, ciągle uważa mnie za swoją żonę, przynajmniej z nazwy, jeśli nie w rzeczywistości.

Nie mogła spojrzeć teraz na Roberta. Nie zniosłaby wyrazu ulgi, który na pewno pojawił się na jego twarzy. Uchroniła go od poniżenia, a on nigdy się o tym nie dowie.

- Nie chcę, Robercie, żebyś myślał o mnie źle. Nie chcę cię dotknąć w żaden sposób, ale przecież nie mogę zostawić Eryka samego z dwójką dzieci na wychowaniu. Musi prowadzić wielki dom, zarządzać majątkiem, a wszystko bez

żony, która by mu w tym pomogła. Gdy wszedłeś, właśnie pisałam, że zamierzam dołączyć do niego w Anglii.

- Kiedy?

To jedno słowo mimo woli wyrwało się Robertowi.

- Jutro lub pojutrze - odparła Violet. - Jak tylko uda mi się zamknąć willę i opłacić służbę.

W swoim głosie usłyszała nutę niemal histeryczną, ale wyglądało na to, że Robert nic nie zauważył. Szedł w kierunku okna, odwrócony do niej plecami.

- Powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne - rzekł po dłuższej chwili. - Jeżeli Erykowi naprawdę zależy...

- Tak, zależy - przerwała Violet. - On mnie kocha, zawsze mnie kochał po swojemu.

- Więc...

Robert odwrócił się. Uważnie śledziła jego twarz. Chciała zapamiętać każdy szczegół, nawet wygięcie ust.

- Więc domyślałam się, że my... - zaczął i urwał. Violet wykonała gwałtowny gest ręką.

- Nie mówmy o tym! Nienawidzę pożegnań! Nie ma nic gorszego niż roztkliwianie się nad romanssem, który jest zakończony, lub lament po namiętności, która zgasła.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? - zapytał Robert. - Oczywiście, jestem absolutnie pewna.

Violet odwróciła się do kominka. Zaczęła przesuwać figurki z porcelany z jednego miejsca na drugie.

- Drogi Robercie, wszystko się kiedyś kończy, nawet szczęście. Pożegnajmy się bez banałów, fochów i zdawkowych wyrazów wdzięczności. Pozostawmy wszystko tak, jak jest, i zapomnijmy, że nie ma przed nami jutra. Tak będzie o wiele lepiej.

- Będzie oczywiście tak, jak sobie życzysz - zapewnił ją Robert i tym razem usłyszała w jego głosie ulgę.

Pomyślała sobie, że dłużej już tego nie wytrzyma, że musi powiedzieć mu prawdę. Miłość jednak jeszcze raz zatriumfowała nad słabością. Westchnęła lekko.

- Mój drogi! Jak wspaniale było nam razem! Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek będę się tak dobrze bawić na południu Francji, jak tego roku. Będzie mi brakowało w Norfolk blasku tego słońca. Zawsze uważałam, że jest to wyjątkowo szara hrabstwo...

Gdy kończyła, ostry ból przeszył ją na wskroś. Kolor szary był nieodłącznie związany z tą jedną osobą! To ponad jej siły! Przedstawienie skończone. Czas spuścić kurtynę, zanim publiczność odkryje, jak marną jest aktorką.

Położyła dłoń na czole.

- Powinieneś już iść, Robercie - powiedziała. - Jestem zmęczona i boli mnie głowa. Gdybym jutro potrzebowała twojej pomocy, przyślę ci bilecik do hotelu, prosząc cię, abyś przyszedł. Jeżeli nie otrzymasz ode mnie żadnej wiadomości, to dlatego, że mogę być zbyt zajęta. Muszę skończyć, ten list do Eryka, a później dosłownie rzucę się do łóżka. Jestem wykończona! Tak wiele decyzji podjęłam w ciągu jednego dnia.

Mówiąc to, podeszła do biurka, usiadła i wzięła pióro do ręki.

- Dobranoc, Robercie - rzuciła przez ramię.

Był zakłopotany i zaskoczony jej zachowaniem, ale nie przyszło mu do głowy, o czym z góry wiedziała, że ona tak wobec niego gra. Odchodził powoli w kierunku drzwi. Gdy znalazł się tuż przy nich, obejrzał się za siebie. Nie mogła się powstrzymać, musiała na niego spojrzeć. Na twarzy Roberta malowała się zaduma i jakaś dziwna szlachetność.

- Czy jesteś całkowicie... pewna, Violet? - zapytał.

- Pewna? Tego, że wracam do Eryką? Ależ oczywiście, jestem pewna. Czy wyobrażasz sobie Eryka, który wychowuje

dwójkę dzieci beze mnie i bez mojej pomocy dogłąda wszystkiego?

Wróciła do listu. Słyszała, jak zamknęły się drzwi salonu. Słyszała odgłos kroków Roberta przechodzącego przez hol, słyszała, jak zamyka drzwi wejściowe i schodzi do ogrodu. Siedziała nieruchomo, nasłuchując jeszcze długo, aż ucichło wszystko prócz wolnego, monotonnego tykania zegara na kominku. Wtedy wolno, bardzo wolno skłoniła głowę na ramię. Łzy nie przychodziły przez dłuższy czas, a kiedy się pojawiły, wstrząsnęły jej ciałem, targał nią żal, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. I dobrze wiedziała, że oplakuje nie tylko Roberta, ale również utraconą młodość.

Robert, z sercem przepełnionym wdzięcznością wyszedł w ciepłą noc. Dopiero teraz, odczuwając ogromną ulgę, którą przyniosła mu decyzja Violet, uświadomił sobie, jak okropnie bał się zakończenia ich romansu. Wiedział, choć nawet sam, przed sobą bał się do tego przyznać, że gdyby zwróciła się do niego z prośbą o ratowanie jej dobrego imienia i honorowe załatwienie sprawy, musiałby to zrobić, bez względu na to, ile by go to kosztowało.

Ale teraz był bezpieczny! Bezpieczny i wolny. Mógł wrócić do Cheveron. Czuł się tak, jakby cudem udało mu się wygrać jakąś rozpaczliwą bitwę. Nawet jeszcze teraz nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, jak bliski był klęski, całkowitego zniszczenia. Był wolny, tylko to miało dla niego znaczenie. Patrząc na kwiaty zwrócone główkami do słońca, postanowił poprosić Mistral, żeby za niego wyszła.

Stał w oknie i rozmyślał, gdy zerknął na zegarek. Skoczył na równe nogi, musiał wziąć kąpiel i jak najszybciej zmienić ubranie. Mimo że zrobił to w rekordowym tempie, gdy przybył do kaplicy świętej Devote, insza już się kończyła. Miał zamiar znaleźć się tam wcześniej, ale zbyt długo siedział, obserwując świt. Domyślał się, że dziś, nawet jeżeli czuła się

źle po przeżyciach wczorajszej nocy, Mistral z pewnością przyjdzie na poranną mszę.

Pchnął drzwi kaplicy. W środku było chłodno i ciemno, paliły się jedynie świece. Na mszy było niewielu ludzi, a większość z nich stanowiły starsze kobiety w czerni. Zobaczył Mistral kłęczącą z przodu. Nie miała na sobie kapelusza, głowę okryła miękkim szalem z szarej koronki, który pasował do sukni.

Robert zawahał się, był nieco zażenowany tą mszą w obcym kościele. Wtem zadzwonił dzwonek i ksiądz przy ołtarzu wznosił ręce. Robert nie bardzo wiedział, co się dzieje. Wiedział tylko, że musi uklęknąć z pokorą. Niespodziewanie dla samego siebie znalazł się na kolanach w tylnej ławce, z pochyloną głową, z rękami złożonymi. Nie rozumiał łaciny, języka, w którym odprawiana była msza, ale to mu nie przeszkadzało. Wiedział jedynie, że tu, w tej małej, słabo oświetlonej kaplicy objawił mu, się Ktoś, czyjego istnienia dotąd sobie nie uświadamiał.

Zrozumiał teraz, jak gorzko zawiódł swoją matkę i jak daleko odszedł od ideałów, które wpajała mu od dzieciństwa. Czuł, że zawiódł Cheveron, szargając jego dobre imię, a przecież Cheveron było także jego dumą i był za nie odpowiedzialny. Pomyślał o ludziach, którzy tam pracują, o ich lojalności wobec niego, o tym, że ich uznanie i szacunek znaczy dla niego więcej niż cokolwiek na świecie. I nagle przestał być ważnym, bogatym sir Robertem, a stał się pokornym i skruszonym chłopcem, który zrobił wiele złych rzeczy.

Dzwonek przy ołtarzu znowu zadźwięczał i Robert zaczął powtarzać modlitwę, którą, siedząc na kolanach matki, odmawiał każdego wieczora, zanim nie wyjechał do szkoły z internatem.

„Proszę cię, Boże, błogosław tatusia i mamusię, moje psy i mojego kucyka, i wszystkich w Cheveron, niech będę dobrym chłopcem. Amen.”

Potem zaczął modlić się zupełnie inaczej. Nie wiedział, że można się tak modlić. Bez słów. Jego modlitwa wypływała z samego dna duszy. I kiedy skończył, czuł się tak, jakby w dziwnej, przeraźliwej ciszy czekał na werdykt. Wtem jakby jakaś ręka spoczęła na jego głowie i zrozumiał, że uzyskał przebaczenie. Jeszcze raz był wolny po to, aby w przyszłości czynić lepiej.

Z poczuciem nagłej lekkości otworzył oczy. Nabożeństwo skończyło się, a on o tym nie wiedział. Kaplica już prawie opustoszała, a w prezbiterium gaszono światła. Ksiądz odszedł. Widział, że Mistral podnosi się i idzie główną nawą w jego kierunku. Jej twarz jaśniała szczęściem, oczy miały wyraz tak uduchowiony, jakby przebywała z aniołami i jeszcze niezupełnie wróciła na ziemię.

Dostrzegła go dopiero, kiedy była na wysokości jego ławki. Ciągle klęczał, wpatrując się w nią. Zatrzymała się, rękę złożyła na piersi w zachwycającym, pełnym wdzięku geście. Wtedy wstał, ujął jej drugą dłoń i podniósł ją do ust. Nie mógł wydobyć głosu.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała z prostotą, a jego palce zacisnęły się na jej paluszkach.

Stali patrząc na siebie przez chwilę, wstrzymując oddech. Aż do tego momentu nie wiedział, ii istnieje kobieta o tak anielskiej urodzie.

- Chcę z tobą pomówić - odezwał się z trudem i nieco niepewnie, po dłuższej chwili.

- Jestem sama - odparła Mistral. - Jeanne nie czuła się dobrze dziś rano, więc przyszłam tu sama.

- Wobec tego od razu powiem to, co mam do powiedzenia - rzekł Robert i przyciągnął ją bliżej do siebie.

Jakby w odpowiedzi na jakiś rozkaz, Mistral usiadła w ławce, a po chwili siadł przy niej Robert. Promienie słońca padały przez wielobarwny witraż prosto na złocistą głowę Mistral.

- Może nie wypada, abym powiedział ci to tutaj - szepnął Robert.

- Ależ dlaczego? - uśmiechnęła się Mistral. - Przynosimy Bogu nasze troski, dlaczego nie mielibyśmy przynosić Mu również naszego szczęścia?

- Więc jesteś szczęśliwa?

Mistral skinęła głową. Ze wzruszenia nie mogła mówić. Czuł, że drżała.

- Chcę ci coś wyznać - powiedział. - Chcę prosić cię, abys mnie poślubiła, abys uczyniła mi ten zaszczyt i została moją żoną. Kocham cię, najdroższa, bardzo cię kocham, chyba nikt nikogo tak nie kochał. Będę cię chronił i troszczył się o ciebie przez całe życie, jeżeli zechcesz powierzyć mi siebie.

Znał odpowiedź, jeszcze zanim usłyszał wypowiedziane przez Mistral słowa. Wyczytał ją z błyszczących oczu i z twarzy promieniejącej szczęściem. Czekał jednak, czekał, aż usłyszy odpowiedź z jej ust.

- Ja także cię kocham!

Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. Poczuł, jak drży, i wtedy odnalazł jej usta. Dwa serca przepełniła nieziemska rozkosz. Biły przez długą, bardzo długą chwilę jednym wspólnym rytmem, dopóki ludzka natura nie złamała tej jedności. Mistral ukryła twarz na jego ramieniu.

- Kocham cię - rzekł Robert. - Och, moje słodkie, moje maleńkie kochanie, tak bardzo cię kocham.

Podniosła twarz, ale spojrzała nie na niego, lecz w kierunku ołtarza.

- Zawsze wiedziałam - mówiła powoli, z namysłem - że miłość powinna być właśnie taka.

- Jaka?

- Święta - odpowiedziała. - Święta, bo jest częścią naszej miłości do Boga.

Czystość i wzniosłość w jej głosie sprawiły, że Robert poczuł się bliski łez. Skłonił głowę i ucałował jej palce, solennie przyrzekając w głębi serca, że nigdy jej nie zawiedzie.

Mistral westchnęła głęboko.

- Musimy wracać - rzekła.

Wyszli z kościoła razem, trzymając się za ręce. Słońce oślepiło ich i stali przez chwilę na szczycie schodów.

- Przyjechałeś powozem? - zapytała Mistral po dłuższej chwili. - Czy przejdziemy się piechotą?

- Było tak późno, że wzięłem powóz - odparł Robert. - Powiedziałem woźnicy, że będę go jeszcze potrzebował. Myślę, że stoi tuż za rogiem. Pójdę go sprowadzić, jeśli tu zaczekasz.

- Nie ucieknę - powiedziała Mistral i zaśmiała się ze szczęścia. Robert zszedł ze schodów. Tak jak przypuszczał, woźnica drzemał

w cieniu oliwek nieco dalej przy drodze. Gdy Robert krzyknął na niego, ocknął się wzdrygając. Zebrał cugle i sięgnął po bat.

Robert odwrócił się, aby podejść z powrotem do Mistral, i wtedy spostrzegł, że zbliża się jeździec na koniu. Rozpoznał go natychmiast. Szybko wspiał się po stopniach, by znaleźć się u boku Mistral. Wziął ją za rękę.

- Widziałem radzę, właśnie przejechał. Uprzedzam cię o tym, bo nie chcę, byś się przestraszyła, kiedy go zobaczysz. Jestem z tobą i nic ci się nie stanie. Przyrzekam ci, że rozprawię się z nim jeszcze dzisiaj.

Twarz Mistral zbieleła z przerażenia, lecz nie było już czasu na rozmowę. Radza poznał ich na pierwszy rzut oka.

Stali trzymając się za ręce. Robert sądził, że minie ich bez powitania lub że nie zauważy ich obecności, tymczasem, o dziwo, radza ściągnął lejce i zatrzymał się u stóp schodów.

- Sir Robercie! - zawołał.

Robert spojrział na niego z wyrazem pogardy i nie odpowiedział.

- Chcę panu przekazać ważną informację - wołał dalej radza. - Zejdzie pan do mnie czy ja mam przyjść do pana?

Robert czuł, jak jego ciałem wstrząsnął nagły dreszcz. Przez wzgląd na Mistral ruszył do przodu i zszedł ku radzy.

- O co chodzi? - zapytał, gdy znalazł się tuż przy nim. - Zamierzałem zobaczyć się z panem dzisiaj nieco później. To, co mam panu do powiedzenia, nie może być powiedziane w obecności damy.

Radza zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Ta informacja, sir Robercie, dotyczy właśnie owej damy i, proszę mi wierzyć, jest wyrazem mojej życzliwości wobec pana.

- Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić - gwałtownie odezwał się Robert - a potem niech pan jedzie, zanim go do tego zmuszę.

Radza wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

- Święty Jerzy we własnej osobie, dzielny obrońca niewinnej dziewicy. Mój drogi sir Robercie, niech pan nie da się oszukać, tak jak ja prawie zostałem oszukany. Młode kobiety nie pozostają długo niewinne, jeśli przebywają w towarzystwie znanej madame Bleuet.

- O czym pan mówi? - gniewnie spytał Robert.

- Mówię o madame Bleuet albo jeśli pan woli: o madame Secret - odparł radza. - Z pewnością słyszał pan o niej. Jej interesik na Rue de Roi jest chyba najbardziej eleganckim i najslawniejszym maison de passe w całej Francji. Myślę, że pan tam kiedyś był, mój drogi sir Robercie, lecz jeśli zawodzi

pana pamięć lub jeśli nie jest pan co do tego przekonany, mogę to udowodnić w każdej chwili, kiedy pan sobie tego zażyczy. Proszę się nie wahać i śmiało zwrócić się do mnie, jestem zawsze do pana usług.

Radzą skłonił się i pocwałował dalej. Robert skamieniał ze zgrozy. Jednakowoż powoli, zdradziecko jawiła mu się w pamięci twarz, twarz kobiety o jasno ufarbowanych włosach i umalowanych ustach. Uśmiechała się przymilnie. Ledwo ją zauważył, a przecież była to twarz niezwykła, jakiej się łatwo nie zapomina. Madame Secret jest starsza, ma włosy siwe, naturalne, a jednak... jednak...

To niemożliwe! Albo mu się tak tylko wydaje, albo traci zmysły. Był pod Rue de Roi 5 tylko raz, po przyjęciu dla panów, wydanym w Travellers Club. Zrobili rundę po całym Paryżu w poszukiwaniu rozrywek i zakończyli na Rue de Roi. Został tam tylko przez kilka chwil. Był zbyt wybredny, aby szukać przyjemności w lokalach tego rodzaju. Mimo to zapamiętał twarz tej kobiety.

Sir Robert szedł powoli w górę schodów na miejsce, gdzie czekała Mistral. Koronka zsunęła się z jej głowy, promienie słońca lśniły we włosach. Wyglądała jak w aureoli.

Oczywiście, to wszystko było nieprawdopodobne! Radza nikczemnie skłamał, szukając odwetu.

- Czego on chciał? - zapytała Mistral. - Proszę, nie zadawaj się z nim, ten człowiek to wcielone zło, wiem o tym.

- Próbuje stwarzać jakieś kłopoty - odparł Robert. - Mówił same nonsensy. Wspomniał o madame Bleuet i...

Zamilkł gwałtownie. Spostrzegł, że w oczach Mistral na dźwięk tego nazwiska błysnął niepokój.

- Słyszałaś o niej? - spytał z niedowierzaniem.

- Ja... słyszałam... - zaczęła Mistral, ale zaraz przerwała, gdyż dłoń Roberta zacisnęła się na jej przegubie w żelaznym uścisku.

- Posłuchaj mnie - powiedział. - Klęknij tutaj natychmiast i przysięgnij na wszystko, co dla ciebie święte, że kobieta, którą nazywasz ciotką, to nie jest madame Bleuet. Przysięgnij!

- Ale... Ja myślę, że ona... - wyjąkała Mistral.

- Więc jednak!

Okrzyk wyrwał się z gardła Roberta, a wyraz jego twarzy sprawił, że niepewny głos Mistral ucichł i zamarł.

- Więc jednak ona! - powtórzył. - Zatem radza miał rację i ja także niemal zostałem przez panią oszukany! Wierzyłem w panią. Myślałem, że jest pani naprawdę tą, za którą się podaje. Poprosiłem nawet, aby pani mnie poślubiła. Boże, miej litość nade mną. Ale nie oszuka pani samej siebie, jeszcze ciągle nie zostałem złapany. To było oszustwo, bardzo sprytne, ale nie udało się. Zostałem uratowany w samą porę i to przez człowieka, którego uważałem za wroga. Niech pani wraca do tej swojej ciotki i powie jej, że zrobiła błąd. Niech pani powie, że odkryłem, kim pani jest naprawdę - podłą, marną oszustką. Gardzę panią i osobami takimi jak pani. Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Odwrócił się, nawet nie patrząc na Mistral.

Stała bez ruchu, jakby zamieniła się w kamień, Krew powoli odpływała z jej twarzy, dopóki nie stała się bledsza niż śmierć, ciemne oczy przepelniał ból.

Powóz zatrzymał się u stóp schodów. Robert wskoczył do niego. Wydał polecenie woźnicy głośnym, ostrym tonem i konie ruszyły. Nie obejrzał się za siebie, nie widział, jak Mistral wyciąga drżącą dłoń w jego kierunku, jakby błagała, żeby się zatrzymał.

Nie mogła wydobyć z siebie słowa, głos zamarł jej w gardle. Spoglądała żałośnie na powóz, który stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu rozpląnął się w dali.

Rozdział 14

Mistral stała nieruchomo na schodach kaplicy przez dłuższy czas, aż w końcu powoli, jakby ktoś uderzył ją w twarz, podniosła dłoń do policzka. Umysł nie funkcjonował jej prawidłowo, nie mogła ani uporządkować, ani powstrzymać potoku chaotycznych pytań, które zaroily się w jej głowie.

W oczach Mistral nie było łez, stała bez czucia, oszołomiona jakby spotkał ją jakiś straszliwy wypadek, jakby otrzymała potężny cios. Wciąż i wciąż rozważała jeden problem: co się stało, że Robert zmienił się całkowicie i nieoczekiwanie? Co radza mógł mu powiedzieć? Jakimi wiadomościami z nim się podzielił, że jego miłość przemieniła się w nienawiść? Aż trudno uwierzyć w to, co się stało! Mężczyzna, który spoglądał na nią z szacunkiem i uwielbieniem, w ciągu kilku sekund zmienił się i zaczął traktować ją z niechęcią i odrazą.

Po dłuższej chwili poczuła, że nogi się pod nią uginają. Powoli odwróciła wzrok od miejsca, w którym dawno już zniknął powóz Roberta.

Odwróciła się i ponownie weszła do kościoła. Instynktownie skierowała się w stronę ostatniej ławki. Usiadła dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Robert wziął ją w ramiona i gdzie połączył ich pierwszy pocałunek. Ten pocałunek dla niej oznaczał tyle co solenne przyrzeczenie. Właśnie tu doznała prawdziwego szczęścia. Nie trwało dłużej niż kilka minut i zaledwie je zyskała, już utraciła.

Co się stało? Dlaczego ją znienawidził? Co powiedział radza? Pytania wbijały się w jej mózg, ale nie umiała znaleźć na nie odpowiedzi.

W końcu uczucie odrętwienia minęło i ogarnął ją przejmujący ból. Straciła go, straciła mężczyznę, którego kochała, straciła to, co wydawało się wzniosłe i jedynie wartościowe w jej życiu. Teraz aż nazbyt wyraźnie zobaczyła,

co kryło się pod fałszywym blaskiem Monte Carlo i czemu ma służyć jego pozorna świetność.

To wszystko, co wydawało się jej fascynujące, a nawet piękne w ciągu minionych kilku tygodni, okazało się nieprzyzwoite i okropne w bezlitosnym, jasnym świetle prawdy. Znowu zobaczyła zęby radży lśniącej bielą na tle ciemnej twarzy, widziała wielką, owalną otomanę w wonnym pokoju i wstrząsnął ją dreszcz. Zobaczyła spłoszone oczy' Stelli, dziwnie nie pasujące do jaskrawego makijażu i przepychu toalety. Zobaczyła chciwość i miłość do pieniędzy na twarzach mężczyzn i kobiet grających przy zielonych stolikach, widziała ich palce, zakrzywione niczym szpony drapieżnika chwytającego swój łup, wyciągające się po wygraną, widziała Jeanne, drżącymi ustami odmawiającą litanię pokutną, a w końcu zobaczyła triumfalną i wyzywającą minę ciotki Emilii. Ta mina wydawała się teraz, z oddalenia, złowróżbna.

To oczywiście było rozwiązanie wszystkiego - ciotka Emilia! Ona znała odpowiedzi na wszystkie pytania. Mogłaby, gdyby chciała, wytłumaczyć, co się stało przez kilka ubiegłych godzin, od wprowadzenia Mistral przez radzę z Restaurant des Fleurs do pozostawienia jej na stopniach kościoła przez Roberta. Tak, ciotka Emilia znała odpowiedź, ale jak ubłagać ją, by zaczęła mówić?

Wczorajszej nocy, gdy powróciła do hotelu, w podartej sukni, z podrapanymi ramionami, z włosami w nieładzie i z oczyma rozświetlonymi szczęściem, które zdawało się z niej promieniować, ciotka Emilia siedziała w salonie. Mistral była zbyt wzruszona, aby zastanawiać się, dlaczego ciotka nie wysłała policji na poszukiwania i dlaczego wcale nie Wyglądała na zdenerwowaną czy zaniepokojoną jej nieobecnością.

Tymczasem Emilia siedziała bezwładnie w fotelu, całkowicie zobojętniała. Podniosła wzrok, gdy Mistral weszła do pokoju, i przez moment jakby nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Potem powoli wyprostowała się w swym fotelu. Jej twarz była blada i ściągnięta, dookoła oczu miała cienie. Po chwili odezwała się dziwnie cienkim głosem, w którym brzmiała nuta klęski:

- Więc wróciłaś!

- Tak, wróciłam, ciociu Emilio - odparła Mistral.

- A radza? - zapytała Emilia znów tym dziwnym, apatycznym głosem.

- To właśnie radza mnie porwał - odpowiedziała Mistral. - Powóz zebrał mnie do jego willi. Tam on... Och, nie potrafię nawet powtórzyć, co się stało ani co on mówił, ale udało mi się uciec. Wyszłam przez okno i spuściłam się po ścianie willi, a w ostatniej chwili gdy radza wysłał już swoich ludzi, aby sprowadzili mnie z powrotem, uratował mnie książę.

- Książę!

Emilia wyprężyła się jak struna, jej głos odzyskał swoją moc.

- Tak, książę! - powtórzyła Mistral. - Domyślił się, że powóz, którym odjechałam spod restauracji, należał do radzy. Przybył pod bramę willi akurat w najważniejszym momencie. Gdyby nie nadjechał... Sama nie wiem, co mogłoby się... stać.

Zadrzała. Wydarzenia tej nocy były tak dziwne i zawikłane, i następowały tak błyskawicznie jedno po drugim, że dopiero w tym momencie zaczęła wyraźnie zdawać sobie sprawę z tego, jaki los by ją czekał, gdyby książę nie przybył na czas.

Emilia skoczyła na równe nogi.

- Książę! - wykrzyknęła. - Książę! To cudownie, nie mogłoby być lepiej.

Mistral już otworzyła usta, aby kontynuować opowieść. Chciała zrelacjonować ciotce, jak księżę zabrał ją do swojej willi, by opatrzyć jej dłoń, jak znalazł się tam sir Robert i wysnuł z tego zupełnie fałszywe wnioski, jak pojedynkował się z księciem i jak wywiózł ją stamtąd nieprzytomną.

Chociaż gotowa była do rozpoczęcia opowieści, uświadomiła sobie, jak wiele nowych trudności przyniosłaby ta relacja. Musiałaby wytłumaczyć się ze swej przyjaźni z sir Robertem, musiałaby przyznać, że oszukała ciotkę nie raz, lecz wiele razy, gdy się spotykali i rozmawiali ze sobą. Musiałaby opowiedzieć również, że sir Robert, pokonawszy księcia, zostawił go zranionego, i musiałaby także wyznać, że sir Robert jest nie tylko przyjacielem, lecz kimś dużo, dużo droższym.

Mistral błyskawicznie podjęła decyzję. Opowieść o tym, co się zdarzyło, odłoży do jutra. Poczekaj, aż zjawi się sir Robert, by się z nią zobaczyć, a na pewno przyjdzie, i wtedy on pomoże jej uświadomić prawdę ciotce Emilii. Już nie będzie niczego się bała, gdy on będzie przy niej, teraz jednak, po szaleńczych wydarzeniach tej nocy wołała nie narażać się na gniew ciotki. Mogła odłożyć do jutra swą opowieść, gdyż ciotka Emilia nie wiedziała, że to, co usłyszała przed chwilą, miało jeszcze ciąg dalszy.

- Więc księżę cię uratował! - powiedziała znów tonem szczerzej satysfakcji. - Nie mogłabym wymyślić nic lepszego. Czy mówił ci coś szczególnego?

- Był bardzo miły - odparła Mistral - i opatrzył mi palec.

- Zraniłaś się? - zapytała Emilia bez większego zainteresowania.

- Myślę, że zaczepiłam o gwóźdź w ścianie, ale krwawił dosyć mocno.

- Jeżeli nie polepszy się do jutra, będzie musiał zobaczyć to lekarz. A teraz najlepiej idź do łóżka, bo wyglądasz wyjątkowo marnie.

- Obawiam się, że zniszczyłam suknię - powiedziała przepraszająco Mistral - a wiem, że była to jedna z najdroższych, jakie mam.

- To drobiazg! - rzekła ku jej zaskoczeniu Emilia. - Masz mnóstwo innych. Włóż jutro swoją najładniejszą suknię przedpołudniową, bo przyjdzie tu księżę, możesz być tego pewna.

Mistral była bliska powiedzenia, że to mało prawdopodobne, ponieważ księżę został ranny, ale zmilczała o tym. Poczekaj do jutra, kiedy wszystko wyjaśni sir Robert.

- Dobranoc, ciociu Emilio - szepnęła.

Emilia jej nie usłyszała. Spacerowała tam i z powrotem po pokoju, z rozświetlonymi oczyma, z lekkim uśmiechem na zaciętych wargach. Mistral doskonale знаła ten wyraz twarzy. Oznaczał, że Emilia coś knuje, że ozywają w niej jakieś tajemne myśli, z których czerpie siłę i energię zadziwiającą u kobiet w jej wieku.

Mistral pospiesznie odeszła do pokoju, zadowolona, że o nic jej już nie pytano. Lecz upłynęło trochę czasu, zanim zdjęła suknię. Przedtem zapatrzyła się w ciemność i bez przerwy szeptała imię sir Roberta. Kochała go; kochała każdym uderzeniem serca, każdym nerwem swego ciała.

Wiedziała teraz, czego pragnęła przez całe życie, za czym tęskniła samotna w klasztorze. Pragnęła miłości! Pragnęła znaleźć kogoś, kto kochałby ją i kogo ona by kochała, kogoś, kto chroniłby ją i opiekował się nią, kto dawałby jej poczucie bezpieczeństwa, dzięki temu, że należałaby do niego i że on by tego pragnął.

Złożyła ręce i wyszeptała modlitwę pełną wdzięczności i podziękowań. Jak mogła kiedykolwiek wątpić w to, że

wszystko ma swoją boską przyczynę? Przez minione tygodnie, gdy niepokoiła się dziwnym zachowaniem ciotki Emilii, czuła jakoś, że Bóg ją opuścił. Zastanawiała się, czy nie zrobiła źle, porzucając klasztor dla świata. Dopiero teraz wie, że wszystko zmierzało ku tej chwili, w której się dowiedziała o miłości sir Roberta.

Bezwiednie pracowała na to, kształciła się, by rozwinąć własne zdolności i zgłębiać książki z biblioteki ojca Wincentego, ponieważ wiedza w nich zawarta będzie jej pomocna w przyszłości. A jednak, mimo że już tak wiele się nauczyła, ile jeszcze będzie musiała się nauczyć! Czuła rosnące podniecenie na myśl o wyjeździe do Anglii, kraju, który był ojczyzną jej matki i który w przyszłości, gdy wyjdzie za mąż, stanie się jej domem.

Na samą myśl o tym krew uderzyła jej do głowy, poczuła, że się rumieni. Nie powinna się o to martwić. Wiedziała tak dobrze, jakby już się jej oświadczył, że sir Robert ma zamiar uczynić ją swoją żoną. Przyjdzie do niej jutro, tak jak obiecał, a później, po wizycie, ona już nigdy niczego nie będzie musiała się bać.

Mistral nie mogła zasnąć. Rozebrała się i weszła do łóżka. Szczęście zdawało się przepęłniać pokój ciepłym blaskiem na długo przedtem, zanim nadszedł świt. Potem, w końcu, złote promienie zaczęły przesączać się przez zasłony i podniosła się, żeby wyjść na balkon. Wspominała swój pierwszy ranek w Monte Carlo, ten pamiętny ranek, gdy po raz pierwszy spotkała sir Roberta.

Na długo przed godziną, o której powinny wychodzić do kościoła, była już ubrana i gotowa. Zajrzała do pokoju Jeanne. Zastała ją w łóżku. Jeanne ze zmarszczoną twarzą, odmawiała różaniec.

- Czy idziesz na mszę dzisiejszego ranka? - zapytała Mistral.

- Zaraz wstanę - odpowiedziała Jeanne, ale Mistral zauważyła, że ból wykrzywił jej twarz, gdy próbowała się podnieść, więc powiedziała szybko;

- Nie idź, jeżeli źle się czujesz! Wyglądasz na zmęczoną.

- Miałam bóleści przez całą noc - szepnęła Jeanne. - Ale cierpienia ciała są niczym wobec cierpienia duszy.

Jej głos zadrżał przy ostatnim słowie. Mistral dostrzegła, że miała w oczach łzy. Zaniepokojona spytała:

- O co chodzi, Jeanne? Cóż cię trapi? Czy zwierzysz się i zaufasz mi? Może mogłabym ci pomóc.

Jeanne gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, nie, mademoiselle, to nie dotyczy panienki. O nic mnie, proszę, nie pytaj. Poza tym... wszystko jest w porządku.

Było to tak oczywiste kłamstwo, że Mistral spojrzała z żalem.

- Chciałabym, żebyś mi ufała - powiedziała.

Jeanne spojrzała jej prosto w oczy i wyciągnęła rękę, aby uścisnąć dłoń Mistral.

- Jesteś młoda i piękna, mademoiselle. Jesteś też dobra, wiem o tym. Obserwowałam cię, gdy chodziłyśmy razem do kościoła. Jesteś dzieckiem Boga. Błagam cię, trzymaj się z daleka od zła. Są na świecie źli, niegodziwi ludzie i tylko unikając ich, nie wchodząc z nimi w żadne kontakty, możemy pozostać czysti i świeci, tak jak le bon Dieu pragnie.

Jeanne była bardzo przejęta. Mistral wyczuła, że to, co powiedziała, w jakiś sposób dotyczy jej samej, ale nie miała pojęcia dlaczego. Mogła tylko uśmiechnąć się do Jeanne. Tak serdecznie pragnęła uśmierzyć jej ból i zmartwienie, wypisane na jej starej, pomarszczonej twarzy.

- Błagam, nie martw się o mnie, Jeanne - odezwała się po chwili. - Niebawem zdarzy się coś cudownego, właściwie to już się zdarzyło, ale jeszcze nie mogę o tym mówić. Dowiesz się o tym pierwsza, przyrzekam ci.

Nagrodził ją widok rozjaśniającej się twarzy Jeanne. Jej szczęście odbijało się w oczach starej kobiety, ale uśmiech Jeanne zaraz zamarł i jej głos zadrżał, gdy pytała:

- Czy to księżę, ma chere?

- Nie, nie - odpowiedziała Mistral. - To nie księżę, ale błagam, nie mów ciotce Emilii.

Twarz Jeanne rozjaśniła się znowu.

- Dzięki Bogu Najwyższemu, jeśli to prawda.

- To jest prawda - powtórzyła Mistral. - Ale... czy ty nie lubisz księcia, Jeanne?

Zaskoczyła ją trochę reakcja starej służącej.

- O ile wiem, to nie można mieć żadnych zastrzeżeń do Jego księżęcej wysokości - odparła Jeanne - ale on nie jest dla ciebie, mademoiselle.

- Rzeczywiście, on nie jest dla mnie - odparła Mistral. - Dlatego był zmieszany, gdy ciotka Emilia tak nachalnie chciała nas oboje do siebie zbliżyć.

Roześmiała się cicho, przypominając sobie, jak była zakłopotana i upokorzona wczorajszego wieczora, gdy ciotka Emilia zmusiła ją, aby napisała do księcia liścik z prośbą o podejście do ich stolika w restauracji. A teraz, okazało się jak szczęśliwe było to działanie! Gdyby nie opowiedziała księciu o radzy, on by się nie domyślił dokąd została zawieziona, kiedy usłyszał o porwaniu. Nie przyjechałby na ratunek a ona w tej chwili nie mogłaby być razem z Jeanne w jej pokoiku. Jakże dopisało jej szczęście, jak wdzięczna powinna być swemu aniołowi stróżowi za to, że uchronił ją od takiej krzywdy!

Pozostawiwszy Joannę w łóżku, zeszła na drogę, która wiodła z hotelu w dół, ku kaplicy świętej Devote. Czuła, że promienie słońca współgrają z jej nastrojem. Chciało jej się śpiewać i tańczyć z radości. Niedługo, już wkrótce, znów zobaczy sir Roberta. Często, idąc tą drogą do kościoła,

myślała o nim. Ale nigdy przedtem nie czuła uścisku jego ramion, nie słyszała, jak szepcze: „Moja najdroższa”.

Teraz Mistral przyklękała nisko w ławce i zaczęła rozmyślać o swoim nieszczęściu. Wszystko wydało jej się ciemniejsze niż w rzeczywistości. Nie wiedziała, jak długo klęczała, po jakimś czasie nie mogła już się modlić, tylko zatopiła się w swoim cierpieniu. Dziwiła się, że człowiek może znieść takie męczarnie. I było jakieś wyrefinowane okrucieństwo w tym, że nie rozumiała gdzie popełniła błąd, czuła się przez to jeszcze gorzej.

Domyślała się, że wszystkiemu była winna ciotka Emilia. Nie wiedziała jednak, co takiego ciotka uczyniła i jak zły musiał być ten uczynek, który sprawił, że sir Robert zachował się tak, jak się zachował.

W końcu, zdrewniała i zmarznięta, Mistral wstała z klęczek. Musiała wracać, bo ciotka Emilia może być zła nie tylko na nią, ale i na Jeanne za to, że pozwoliła jej iść samej do kościoła. Zmęczona i przygnębiona, po raz pierwszy odczuwając ból całego ciała po wczorajszym upadku, Mistral opuściła kaplicę i zaczęła swój długi spacer do hotelu.

Dzień był wspaniały, słońce tak złote jak mimozy, które kwitły w każdym ogrodzie. Morze było lazururowe, fale rozpryskiwały się, uderzając o żółty piasek, ale Mistral miała przed oczami tylko obraz twarzy Roberta, gdy odwracał się od niej z odrazą, słyszała tylko gorzką pogardę w jego głosie, gdy mówił, że nie chce jej już nigdy widzieć. Nie płakała, oczy miała suche i wydawało się, że zabrakło już dla niej łez. Została jej jedynie rozpacz czarna jak piekło.

Gdy dotarła do hotelu i słyszała uderzenia zegara, stwierdziła ze zdumieniem, że minęły już trzy godziny od jej wejścia do kaplicy.

W tych trzech godzinach przeżyła jakby całe życie, w tych trzech godzinach wzniosła się do nieba, by potem opaść na samo dno piekła.

Trzy godziny! Ciotka Emilia będzie się bardzo gniewać. Mistral pospiesznie minęła hol i pobiegła na górę szerokimi schodami. Kiedy dotarła do piętra, na którym znajdowały się ich pokoje, przystanęła na moment, by złapać oddech, potem zebrała całą odwagę i otworzyła drzwi do salonu. Ujrzała w nim mężczyznę, który wyglądał przez otwarte okno. Gdy odwrócił się, zobaczyła, że jest to książę. Rękę miał na temblaku. Zaskoczona spostrzegła, że był bardzo blady.

- Wasza książęca mość! - wykrzyknęła Mistral i dodała: - Lepiej się pan czuje? Tak bardzo się o pana martwiłam! Czy nie jest pan zbyt chory, aby tu przychodzić?

Jej głos brzmiał nienaturalnie nawet dla niej samej, ale książę zdawał się tego nie zauważać. Z uśmiechem, choć w jego oczach malowała się powaga, przemierzył pokój, by znaleźć się u boku Mistral.

- Nie, czuję się wystarczająco dobrze, by być tutaj, chociaż lekarz próbował mnie od tego powstrzymać. Musiałem przyjść, bo mam sprawę najwyższej wagi, sama pani rozumie.

- Sprawę najwyższej wagi? To znaczy... Ja nie rozumiem - odrzekła Mistral, a jej oczy rozszerzyły się. - Proszę mi to wytłumaczyć. Lecz zanim pan to zrobi, proszę usiąść. Nie miałam jeszcze okazji, aby panu podziękować za to, że pan przyjechał... za uratowanie mnie wczorajszego wieczora.

- Nie musi mi pani, dziękować - cicho powiedział książę.

- Ależ oczywiście, muszę - zaprotestowała Mistral. - Nie chcę, aby pan myślał, że odjechałabym zostawiając pana... gdybym nie była... nieprzytomna.

- Rozumiem - wtrącił książę. - Widziałem, co się stało, a przypuszczenia sir Roberta były, w tych warunkach, całkiem

uzasadnione. Dlatego właśnie przyszedłem do pani dzisiejszego ranka.

Mistral nie mogła powiedzieć nic więcej. Jedna drobna wzmianka o sir Robercie i całe cierpienie znów powróciło.

- Myślałem nad tym ubiegłej nocy i doszedłem do wniosku, że zachowałem się zarówno niestosownie, jak i niedyskretnie, zabierając panią do swojej willi. Tak się przejałem pani palcem, że zapomniałem o innym niebezpieczeństwie. Naraziłem panią na obmowę.

- Przecież nikt nas nie widział - powiedziała prędko Mistral.

- Widział nas choćby sir Robert - odparł książę.

- Ale sir Robert nigdy... - zaczęła Mistral i jej głos zamarł w ciszy. Chciała powiedzieć, że sir Robert nigdy i nikomu nie wspomniałby o tym, ale czy to nie było zbyt ryzykowne zapewnienie? Skąd niby miała wiedzieć, co zrobiłby sir Robert? Myślała, że zna go dobrze, a tak całkowicie i gorzko się rozczarowała. Był jedyną osobą na całym świecie, której działań ani reakcji nie mogła w tej chwili przewidzieć.

- Sir Robert jest dżentelmenem - rzekł książę, nie czekając już na dalsze słowa Mistral. - Była jednak i służba, a na niej nie można polegać. W Monte Carlo nawet powietrze przenosi tajemnice, a ściany mają uszy. Tak więc, mademoiselle, popełniliśmy wczorajszego wieczora wielkie głupstwo i nie mogę pozwolić na to, aby pani ponosiła konsekwencje czegoś, co od początku do końca było spowodowane moją głupotą. I dlatego mimo wszystko, przyszedłem dziś rano, by prosić, żeby uczyniła mi pani zaszczyt i została moją żoną.

Nawet przez chwilę Mistral nie podejrzewała, że sprawy przybiorą taki obrót. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, zbyt zdziwiona, by odpowiedzieć. Gdy on czekał ze wzrokiem utkwionym w jej twarz, drzwi, które prowadziły do sypialni

ciotki Emilii, otworzyły się i ciotka stanęła w drzwiach salonu. Sposób, w jaki to zrobiła, i jej mina powiedziały Mistral, że podsłuchiwała. Drzwi były uchylone i pewnie stała w nich już od jakiegoś czasu.

Uroczyście wkroczyła na sam środek salonu. Księżę i Mistral wstali.

- Wasza wysokość - rzekła Emilia, kłaniając się lekko - proszę mi darować, że nie powitałam pana osobiście, gdy pan przybył. Myślę jednak, że nie zmartwiła pana zbytmo moja nieobecność. Wybacz mi pan, jeśli powiem, że słyszałam pana ostatnie słowa, gdy wchodziłam do pokoju.

Ze sposobu, w jaki księżę spojrział na Emilię, Mistral domyśliła się, że gdy z nią rozmawiał, wiedział już, że ciotka podsłuchuje. Ale odparł uprzejmie: - W takim razie nie ma potrzeby, żebym się powtarzał, madame.

- Rzeczywiście nie ma - przytaknęła - a teraz, natychmiast, wszyscy razem pojedziemy do Chateau d' Horizon.

- Do mojego ojca? - zapytał zdziwiony księżę.

- Do Wielkiego Księcia - powiedziała poważnie Emilia i Mistral zauważyła podniecenie w jej głosie.

Mistral resztką sił opanowała swoje rozedrgane nerwy i podeszła o krok do przodu.

- Chwileczkę, ciociu Emilio. Ja jeszcze nie odpowiedziałam księciu. Ciotka obróciła się do niej z wyrazem takiej wrogości na twarzy, że

Mistral się cofnęła.

- I nie odpowiesz, Mistral. Nie ma takiej potrzeby. Pojedziemy, tak jak mówiłam, natychmiast i postaramy się o audiencję u Wielkiego Księcia.

- Nic nie rozumiem, madame - rzekł księżę. - Jeżeli pani życzy sobie zobaczyć się z moim ojcem, to oczywiście może pani to zrobić bez przeszkód. On jednak nie wie o moim

zamiarze i pragnąłbym osobiście, na swój własny sposób, poinformować go tym.

- Powie mu pan teraz i powtórzy przed nim propozycję, którą właśnie złożył pan mojej siostrzenicy.

Książę popatrzył na nią przez chwilę tak, jakby chciał się jej sprzeciwić, później wzruszył ramionami, co najbardziej wymownie wyrażało jego opinię na ten temat, i poddał się.

- Jeżeli takie jest pani życzenie, madame, to ja nie będę się opierał.

- Ależ, ciociu Emilio... - zaczęła Mistral.

- Ty masz być cicho - burknęła na nią Emilia i Mistral poczuła, że żadna próba interwencji nie skutkuje.

Chciała tylko powiedzieć, że ona nie ma ochoty wyjść za księcia. Rozumiała aż nazbyt dobrze, że oświadczył się jej tylko dlatego, że był dobrze wychowany. Nigdy nie zgodziłaby się, nawet gdyby go kochała, tego wykorzystać. A przecież wcale go nie kochała. Bez względu na to, co czuł do niej sir Robert, nawet gdyby nie miała go zobaczyć już nigdy w życiu, zawsze będzie kochała właśnie jego.

Wiedziała o tym tak dobrze i była tego tak pewna, jakby posiadała dar przewidywania przyszłości. W jej życiu nigdy nie będzie innego mężczyzny, nigdy nie pojawi się nikt, kogo mogłaby pokochać tak mocno i z całego serca. Przecież jej serce nie należało już do niej. Oddała je sir Robertowi w kościele, w chwili gdy połączyły się ich usta, gdy trzymał ją w objęciach. Może jej nie chce, lecz ona należy do niego i nic, co ktokolwiek by powiedział czy zrobił, nie mogło zmienić tego nieodwracalnego faktu. Nawet jeżeli teraz nie uda jej się powstrzymać ciotki Emilii.

Mistral czuła się jak we śnie, gdy wszyscy troje w milczeniu schodzili po schodach. Przed hotelem czekał powóz księcia. Wciąż bez słów wsiedli do niego, Emilia i Mistral

usiadły obok siebie na tylnym siedzeniu, naprzeciw nich książę.

To nie może dziać się naprawdę, pomyślała Mistral, gdy powóz ruszył. Ale jednak to książę siedział naprzeciw niej, blady, bardziej przystojny niż zazwyczaj, choć brwi miał ściągnięte jakby bólem. Tuż obok niej siedziała ciotka Emilia. W samej jej postawie, w twardym błysku oczu i triumfalnym wyrazie twarzy było coś przerażającego.

Więc na to pracowała przez cały ten czas, zrozumiała nagle Mistral. Więc po to snuła swoje intrygi. Ale co się teraz stanie? Co to wszystko znaczy? Dlaczego jedziemy do Wielkiego Księcia?

Jechali dalej w całkowitym milczeniu. Mistral chciała się odezwać, ale doskonale wiedziała, że w tej samej chwili, w której wyjąłaby pierwsze słowo, znów nakazano by jej milczenie. Książę wyglądał przez okno. Pragnęła mu powiedzieć, żeby się nie martwił, bo cokolwiek ciotka Emilia powie lub zrobi, to nie może jej zmusić do małżeństwa wbrew woli. Może jej nakazać posłuszeństwo lub milczenie, ale małżeństwo jest świętym sakramentem i w końcu muszą ją dopuścić do głosu.

Próba powiedzenia księciu tego wszystkiego w obecności ciotki Emilii nie miała sensu. Mistral mogła więc tylko cierpieć w milczeniu. Ogarnęła ją wielka słabość. Zdawało się jej, że zaraz zemdleje. Czuła się po prostu głodna. Przypomniała sobie, że nie zjadła śniadania. Z prawdziwą ulgą spostrzegła, że zbliżają się do Chateau d' Horizon.

Była to ogromna posiadłość, otoczona rozległym ogrodem. Gdy tylko konie skrzyły w wielką, kutą z żelaza bramę, znaleźli się pośród tryskających fontann i orgii barw, od najciemniejszego odcienia purpury po najbielszy pastelowy róż, od lazuru po fiolet, od jasnej żółci po brąz.

Prócz kwiatów rosły tu setki drzew migdałowców, na których właśnie rozwinęły się kwiatowe pąki o delikatnym kolorze różowych muszli, wyraźnie widoczne na tle błękitnego nieba.

Mistral pomyślała, że jest tu niewiarygodnie pięknie. Rychło jednak z zachwytu wyrwało ją złowieszcze podniecenie ciotki Emilii, która wspięła się po marmurowych schodach do wielkich, szklanych, bogato zdobionych złotem drzwi rezydencji.

- Gdzie jest Jego cesarska wysokość? - zapytał księżę, a siwowłosy kamerdyner poprowadził ich przez szereg wysoko sklepionych pokoi.

Rozmiarami i wspaniałością rezydencja przewyższała wszystko, co Mistral dotąd widziała. Chociaż była zmieszana i zdenerwowana, nie mogła nie dostrzec, mijając kolejne pokoje, wytwornych tapet, cudownych mebli, wspaniałych kolekcji portretów, jakie tu się znajdowały. U wielu sportretowanych osób odnalazło podobieństwo do księcia. Później zbeształa samą siebie za to, że interesowało ją jeszcze coś oprócz księcia, który podążał za ciotką Emilią.

W końcu zostali wprowadzeni do pokoju najpiękniejszego ze wszystkich, które przeszli. Miał trzy okna z widokiem na morze i był pełen słońca. Mimo ciepła wielkie kłody drewna paliły się w otwartym kominku. Tuż przy nim, w fotelu, który wyglądał jak tron, siedział starszy mężczyzna.

Gdy kamerdyner ich zaanonsował, podniósł wzrok, a następnie wstał. Mistral najpierw pomyślała, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, a potem, że mogłaby mu całkowicie zaufać. Był bardzo wysoki, o szpakowatych włosach. Widać było, że po nim księżę odziedziczył swój wygląd. Wielki Księżę był chyba jeszcze przystojniejszy od syna. Miał klasyczne wyraziste rysy twarzy świadczące o arystokratycznym pochodzeniu. Wyglądał na

tego, kim był, na arystokratę i człowieka, który doświadczył w życiu zarówno rozkoszy, jak i cierpienia. W jego uśmiechu, było coś niezwykle czarującego, a w powadze spojrzenia, które skierował najpierw na syna, a później na Emilię, była mądrość filozofa i myśliciela.

- Dzień dobry, Mikołaju - powiedział Wielki Książę. - Cóż za niespodziewana wizyta.

- Wybacz, ojcze, że nie zawiadomiłem cię o tej wizycie - odparł książę Mikołaj - ale sam nie wiedziałem o niej jeszcze kilka minut temu. Czy mogę przedstawić ci madame Secret? - Wskazał Emilię lekkim ruchem dłoni, ale ona nawet nie drgnęła, by się uklonić. - A także mademoiselle Fantome, siostrzenicę tej damy.

Mistral ukloniła się, a gdy podniosła wzrok, Wielki Książę wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Mademoiselle Fantome? Wydaje mi się, że słyszałem o pani.

- Opowiadałem ci o niej, ojcze - przypomniał książę Mikołaj.

- Może teraz powtórzy pan ojcu propozycję, jaką pan złożył mojej siostrzenicy przed kilkoma minutami w Hotel de Paris - burknęła Emilia, a jej głos był chrapliwy i dziwnie zmieniony.

Książę spojrział na nią z niechęcią, ale odpowiedział spokojnie:

- Oczywiście, madame, właśnie miałem to uczynić. Ojcze, poprosiłem mademoiselle Fantome, aby zechciała zostać moją żoną.

- Ach tak! - Wielki Książę dotąd trzymał Mistral za rękę, teraz ją puścił i zapytał półgłosem: - Czy może mi pani wyjawić swoje imię, mademoiselle?

- Mistral, sir.

- A nazwisko? - pytał dalej Wielki Książę.

- Tak, powiedz mu prawdę, całą prawdę. Chcę, żeby ją usłyszał.

Powiedziała to w tak przerażający sposób, że Mistral zadrżała, potem podniosła wzrok na Wielkiego Księcia i poczuła się zadziwiająco uspokojona. Spoglądał na nią spokojnymi, przyjaznymi oczyma. Nie poruszył się nawet, nie zwrócił żadnej uwagi na wybuch Emilii.

- Nazywam się Mistral Wytham - szepnęła.

- Ile ma pani lat?

- Osiemnaście - odparła Mistral.

- Powiedz mu, gdzie się urodziłaś - wtrąciła ochryplym głosem Emilia.

Wielki Książę rozprostował ramiona. Zwrócił wzrok na Emilię.

- Dlaczego nie powiedziano mi o tym wcześniej? - zapytał. Emilia zaśmiała się. Był to ostry, nieprzyjemny dźwięk.

- Dobrze, że pan zadał to pytanie. Dlatego, że Alicja nie chciała, żeby pan się o tym dowiedział. Dlatego, że na łożu śmierci wymogła na mnie obietnicę, że nigdy panu tego nie powiem. Teraz też panu nie powiedziałam, sam pan to odkrył, ponieważ pański syn, tak, pański jedyny syn, z którego jest pan taki dumny, chce poślubić córkę kobiety, którą potraktował pan tak nikczemnie, że uciekła, by szukać pomocy u mnie. Piękny węzeł, co? I jak zamierza go pan rozwiązać, no jak? Pański syn jest zakochany i w kim tak się zakochał? W Mistral, córce Alicji Wytham, którą przywiózł pan tutaj dziewiętnaście lat temu, uwiódł, a potem zdradził dla swojej własnej przyjemności.

W gwałtownej przemowie Emilii było tyle gorczy i złości, że Mistral instynktownie odwróciła się w stronę księcia, jakby w poszukiwaniu pomocy. Stał tuż u jej boku. Wziął ją za rękę i uścisnął mocno. Przylgnęła do niego,

wdzięczna za jego siłę. Wiedziała, że on, podobnie jak ona, jest zaskoczony tym, co się zdarzyło. Żadne z nich nie mogło wykrztusić słowa. Przywarli tylko do siebie, jak dwoje dzieci zagubionych w gąszczu, przestraszonych i zadziwionych.

Tylko Wielki Książę wydawał się spokojny i zupełnie nie zmieszany. Patrzył na Emilię, a jego głos był poważny, gdy odezwał się bardzo cicho:

- Próbowałem się dowiedzieć, co się stało z pani siostrą. Powiedziano mi, że nie żyje.

- Tak, nie żyje - odparła Emilia - i to pan był przyczyną jej śmierci. Próbował pan ją odnaleźć, tak pan mówi? Owszem, zabrał się pan do tego w osiem miesięcy po tym, jak pana opuściła! Bardzo się starałam, żeby nie dowiedział się pan o dziecku, które osierociła, gdyż powierzyła je mnie, nie panu. Wiadomość o córeczce mogłaby pana ucieszyć, ale było już za późno na skruchę. Tak bezwstydnie pan uwiódł niewinną i przyzwoitą dziewczynę.

- Bardzo pani lubi słowo „uwiódł” - powiedział cicho Wielki Książę. - Myślę, że czas wyjaśnić pewni nieporozumienie. Ja nie uwiodłem pani siostry. Poślubiła mnie z własnej i nieprzymuszonej woli.

- Ona pana poślubiła?

Pytanie Emilii było niemal krzykiem.

- Tak, poślubiła mnie - odparł Wielki Książę. - Nie wiedziała pani o tym? Pobraliśmy się tutaj, w mojej prywatnej kaplicy, w obecności księdza mojego wyznania i księdza wyznania Alicji. Tam są akta, jeśli życzy sobie pani je obejrzeć.

- Poślubiła! Nie wiedziałam! Nie domyślałam się!

Emilia podniosła bezwiednie dłoń do gardła, jakby czuła, że coś ją dusi. Wielki Książę popatrzył na nią, jego oczy ciągle były poważne.

- Powinna pani była lepiej poznać swoją siostrę - mówił dalej - ale z tego, co o pani słyszałem, i z tego, czego dowiedziałem się teraz, wnioskuję, że nie zna pani nikogo prócz siebie. To pani, Emilio Riguid, była przyczyną rozpadu naszego małżeństwa, Wierzę, że Alicja kochała mnie tak, jak ja kochałem ją, ale jeszcze większy był jej strach przed panią. Pani ją przerażała. Po naszym ślubie ona po prostu bała się napisać do pani i zawiadomić, że jesteśmy mężem i żoną. Kiedy jej to zasugerowałem, ogarnęła ją prawdziwa histeria. Mówiła, że pani wpadnie w złość, że nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet wasi kuzynowie mieszkający na dole, na nabrzeżu. I dlatego trzymaliśmy to w sekrecie. Z czasem odkryłem, że trucizna, jaką wsadziła pani w duszę mojej żony, zapadła zbyt głęboko, abym mógł uchronić ją od jej własnego strachu i od przeczuwanego przez nią nieszczęścia. Zatrula pani swą siostrę nienawiścią do mężczyzn, jaką pani sama żywiła do każdego mężczyzny, z którym zetknął panią los. I tak dorastała, wierząc w to, czego ją pani nauczyła, że wszyscy mężczyźni są źli i okrutni.

Nie mogłem nic powiedzieć, nie mogłem też zrobić nic, co mogłoby ją zmienić. Drżała, kiedy się do niej zbliżałem. Jej miłość do mnie zmieniła się w nienawiść, w nienawiść, której uczyła ją pani od samego dzieciństwa. To było pani dzieło i dlatego właśnie odeszła ode mnie, rezygnując z miłości i szczęścia, które jej ofiarowałem. Wróciła do pani i pani nienawiści, która była silniejsza niż wszystko to, co ja mogłem jej dać. To właśnie pani była osobą, która zniszczyła nasze małżeństwo, Emilio Riguid, i to właśnie pani zabiła swoją siostrę, nie ja.

Emilia wydała jakiś dziwny okrzyk.

- To nieprawda! Pan kłamie! Mówi pan to tylko dlatego, aby się usprawiedliwić, aby uciec przed zemstą, którą zaplanowałam. Planowałam ją przez te wszystkie lata i

osiągnęłam to, co zamierzałam. Chciałam zrujnować pańskie życie i życie pańskiego syna i to mi się udało. Nigdy nie zapomni pan tej chwili, nie będzie pan mógł od niej uciec. Pan zrujnował Alicję, pan ją zabił, a jej córka, dziecko pana i Alicji, została wychowana i wykształcona za pieniądze pochodzące...

- Milcz!

Głos Wielkiego Księcia, donośny i władczy, powstrzymał obrzydliwe słowa. Wtem coś dziwnego stało się z Emilią. Wydawało się, że się dusi, straszliwy grymas wykrzywił jej rysy, zmieniając i zniekształcając twarz. Wyciągnęła rękę, jakby chciała uchwycić się czegoś, co by ją podtrzymało, i zanim ktokolwiek zdążył jej pomóc, runęła twarzą na podłogę.

Rozdział 15

Emilia żyła jeszcze trzy dni, ale nie odzyskała już przytomności. Jeanne pielęgnowała ją z całym oddaniem, a Mistral czuwała przy niej przez cały czas, jednak żadna z nich nie mogła nic zrobić. Emilia położona została do łóżka w Chateau d' Horizon. Wielki Książę posłał po swojego prywatnego lekarza, ale ten od razu, gdy zobaczył Emilię, postawił jednoznaczną diagnozę, nie dając żadnej nadziei.

- Ta dama przeszła silny atak apopleksji - oświadczył - i niemożliwe, aby przeżyła więcej niż kilka dni. Jeżeli jednak jakimś cudem przeżyje, będzie częściowo sparaliżowana do końca życia.

Mistral widząc, jak Emilia zapada coraz głębiej i głębiej w nieświadomość, czuła, że jest to miłosierne i dobre zrządzenie losu. Twarz miała tak potwornie zniekształconą, że nawet trudno było rozpoznać niegdyś przystojną Emilię w tej nieszczęsnej kobiecie pozbawionej świadomości.

Mistral spędzała długie godziny, siedząc przy ciotce, a gdy tak siedziała, sama także o niczym nie mogła myśleć i nic nie czuła. Było tak, jakby czas stanął w miejscu. Znalazła się na ziemi niczyjej, pomiędzy przeszłością a przyszłością, w próżni, w której mogła się zwyczajnie poruszać i istnieć, i to było zadziwiające, ponieważ wszystko poza tym wydawało się nieokreślone.

Nie rozumiała, że cierpi na skutek doznanego szoku. Przeszła już tyle, że nic nie mogło zranić jej bardziej, była nieczuła na bodźce docierające z zewnątrz.

Emilia umarła trzeciego dnia. Mistral właśnie opuściła zaciemniony pokój i weszła do znajdującego się obok salonu, gdyż powiedziano jej że Wielki Książę chce z nią mówić. Salon zalany był jasnym, słonecznym światem i Mistral czuła się, jakby na jej oczach osiadła szara mgła. Wielki Książę stał przy kominku. Podniosła na niego oczy, podkrążone z

niewyspania i spojrzała mu prosto w twarz. Nagle ktoś otworzył drzwi gwałtownym pchnięciem i do pokoju weszła Jeanne. Płakała, łzy toczyły się po przywiedłych policzkach.

- Nie żyje - powiedziała. - Madame nie żyje!

Jeanne wyglądała tak, jakby była bliska omdlenia, więc Mistral podbiegła do niej szybko. Ale stara służąca odsunęła się, wyciągając ręce tak, jakby chciała ją odepchnąć.

- Nie dotykaj mnie, mademoiselle - rozkazała. - Jest coś, co muszę powiedzieć, i to od razu.

Mówiąc to patrzyła na Wielkiego Księcia, a on rzekł cicho:

- Usiądź! Przeszłaś tak wiele! Jeanne potrząsnęła głową.

- Będę stała, Wasza cesarska mość.

Potem rozpoczęła swą opowieść. To wszystko, co dusiła w sobie przez lata niby w zakorkowanej butelce, w końcu zostało uwolnione i wytrysnęło falą monologu - szokującego, przerażającego, odrażającego i równocześnie nieskończenie wzruszającego.

Zarówno Wielki Książę, jak i Mistral słuchali jak zahipnotyzowani, nie próbowali jej powstrzymać ani nie mogli oderwać się od słuchania snutej przez nią opowieści. Powiedziała, że służyła Emilii od dziewiętnastu lat. Znała ją wcześniej, jeszcze gdy jako dzieci razem chodziły do szkoły w Bretanii. Mówiła o dziwnej naturze Emilii, o palącej nienawiści, jaką żywiła do swego ojca oraz o gwałtownej, egoistycznej miłości, którą darzyła przyrodnią siostrę, Alicję. Opowiedziała o narodzinach Mistral i o zemście, zaplanowanej przez Emilię, podsycanej i hodowanej, dopóki nie stała się największą i najważniejszą sprawą jej życia. Mówiła im, jak Emilia wyprawiła się do Paryża, zdecydowana na wszystko, byleby zarobić pieniądze na chesne za szkołę Mistral, i jak poślubiła monsieur Bleueta. To wtedy Emilia

posłała do Bretanii po Jeanne, aby przyjechała pomóc jej prowadzić dom.

I gdy Jeanne głosem pełnym łez, snuła opowieść o tych latach swojej służby, Mistral zaczęła rozumieć, jak pragnienie zemsty i odwetu stopniowo wypierało z natury Emilii to, co było w niej dobre i niewinne. Prawdziwe zło zatręło jej duszę, podobnie jak śmiertelna trucizna zniszczyłaby ciało. Zatrzymała owo znane przedsiębiorstwo monsieur Bleueta, ponieważ przynosiło jej pieniądze, a one były konieczne do zemsty Pracowała ciężko, bez wytchnienia z tego samego powodu.

Nigdy nie miała urlopu, nie pobłażała sobie w żaden sposób, lecz oszczędzała, ciułała, skąpiła w oczekiwaniu na dzień swojego rozrachunku z Wielkim Księciem.

W końcu opowieść Jeanne dotarła do momentu, gdy plany Emilii zostały zagrożone przez Henry'ego Dultona. Emilia wolała go zamordować w hotelu, niż ulec jego szantażowi. Mistral, kiedy uświadomiła sobie potworność tego czynu, poczuła nagły ból, jakby jakaś olbrzymia dłoń ścisnęła jej serce. Po raz pierwszy od chwili, gdy utraciła swoje szczęście w kaplicy świętej Devote i gdy znalazła się sama w całkowitej ciemności, łzy zaczęły napływać wolno do jej oczu i potoczyły się po policzkach.

A ponieważ Jeanne wciąż jeszcze mówiła, cała historia ciotki stała jej przed oczami. W końcu zrozumiała, dlaczego radza jej ubliżał, dlaczego miłość Roberta zamieniła się w nienawiść i pogardę. Zobaczyła to wszystko aż nazbyt wyraźnie. Ta otchłań zła, którą przebyła bez szwanku, wydała się we wspomnieniach tak przerażająca, że mogła tylko płakać jak przestraszone dziecko, które jeszcze szlocha, choć prawdziwe niebezpieczeństwo już minęło.

W jej głowie wszystko zaczęło się gmatwać i plątać. Płakała nad sobą, nad Robertem, nad Jeanne i nad Emilią.

Tak, także nad Emilią, którą dotknęło nieszczęście największe ze wszystkich, to znaczy świadome odejście od Boga.

Oślepiąca i roztrzęsiona burzą łez, Mistral osunęłaby się na podłogę, gdyby nie chwyciły jej czyjeś silne ramiona. Ktoś zaniósł ją do sypialni i zajął się nią, szepcząc słowa pełne otuchy. Jednak nie zdołał powstrzymać jej łez. Potem przyszedł lekarz. Usiłowała robić to, co kazał, ale nie mogła usłuchać nawet głosu rozsądku. Coś chyba piła, bo poczuła jakiś płyn o gorzkim smaku wlewający się do gardła.

W końcu uspokoiła się. Spała, budziła się, jadła i znowu usypiała. Nie miała pojęcia, ile czasu mija pomiędzy jej zaśnięciem a przebudzeniem. Zdawała sobie sprawę z jednego tylko. Nie bała się już więcej, a Jeanne była przy niej zawsze, gdy się obudziła. Jedyne jej pragnieniem było pragnienie snu. Czowała jakąś bolesną chęć powrotu do takiego zapomnienia, jakie daje sen bez marzeń.

Wreszcie pewnego dnia Mistral obudziła się z uczuciem szczęścia. Gotowa była znów powrócić do życia. Ktoś już odsłonił żaluzje w jej pokoju. Do środka wiewało się słoneczne światło. Przez duże otwarte okna widziała olbrzymią przestrzeń błękitnego nieba, a na jej tle delikatne gałązki mimozy, złote jak ranne słońce.

Mistral leżała przez długi czas i patrzyła na nie, rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło. Potem podniosła głowę i uświadomiła sobie, że jest głodna. Zastanawiała się właśnie, czy użyć dzwonka, gdy drzwi otworzyły się cicho i weszła pokojówka. Była młoda i ładna, biały czepeczek okalał ciemne włosy, miała uśmiechniętą, opaloną twarz. Podeszła do łóżka i ukłoniła się.

- Czy podać Waszej książęcej wysokości śniadanie? - spytała. Mistral ogarnęło takie zakłopotanie, gdy usłyszała ten tytuł, że dopiero po kilku sekundach odezwała się.

- Kim jesteś?

- Mam na imię Yvette, Wasza księżęca wysokość, i jeśli to panience odpowiada, mam być jej pokojówką i troszczyć się o panienkę.

Mistral uśmiechnęła się.

- To bardzo przyjemnie! Podaj mi, proszę, śniadanie.

- Już je zamówiłam - odparła Yvette. - Lekarz mówił, że panienka obudzi się dzisiejszego ranka, czując się dobrze, a jeśli ktoś się dobrze czuje, to jest też głodny.

Coś pogodnego i radosnego było w głosie tej dziewczyny i Mistral czuła, że podnosi ją to na duchu. Usiadła na łóżku. Yvette przyniosła więcej poduszek, umieściła je za plecami Mistral i owinęła ciepłym szalem jej ramiona. Rozległo się stukanie do drzwi. Dostarczono śniadanie. Yvette postawiła tacę przed Mistral.

Była rzeczywiście głodna, a świeże bułeczki, żółte masło i pachnąca kawa stanowiły pokusę nie do odparcia. Yvette wysliznęła się z pokoju w czasie jedzenia, ale gdy tylko Mistral skończyła, pokojówka pojawiła się znów, by zabrać tacę.

- Jak długo leżałam w łóżku? - zapytała Mistral, sama zdziwiona swoim pytaniem. Zdawało jej się, że to zaledwie wczoraj umarła Emilia.

Ku jej zdumieniu Yvette odpowiedziała:

- Sześć dni, Wasza księżęca wysokość.

- Sześć dni!

Mistral popatrzyła na nią tak, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, naprawdę - zapewniła Yvette. - Ale doktor mówił, że nie mamy się martwić. Mówił, że Jej księżęca wysokość potrzebuje snu i że, jeśli panienka będzie mogła spać, to zarówno płacz jak i przygnębienie miną. Mówił, że panienka obudzi się rześka i, jak widzę, mówił prawdę.

- Rzeczywiście, to prawda - przyznała Mistral. Odrzuciła pościel. - Chcę spojrzeć na ogród.

Wyskoczyła z łóżka, a Yvette natychmiast, w pośpiechu, narzuciła jej na ramiona wytworny negliż z białego aksamitu, zdobiony gronostajem. Mistral spojrzała na strój ze zdziwieniem.

- A to skąd się wzięło? To nie moje.

- Ależ tak, Wasza księżęca wysokość. Proszę spojrzeć!

Yvette przebiegła przez pokój i jednym ruchem otworzyła drzwi wielkiej szafy, która zajmowała całą ścianę. Trochę teatralnym gestem obu rąk wskazała na jej zawartość, a Mistral aż dech zaparło w piersiach.

Jeszcze nigdy nie widziała takiej kolekcji cudownych strojów. Były tam suknie różnokolorowe, ich barwy mogły rywalizować tylko z kolorami kwiatów w ogrodzie. Były tam sukienki w błękitach, różu, zieleni, czerwieni, żółci. Mistral spoglądała na nie wielkimi oczyma.

- To moje? - spytała ze zdziwieniem.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Yvette. - Jego cesarska mość zamówił je w Nicei. Mają przysłać jeszcze inne z Paryża. Te przywieziono wczoraj wieczorem i wkradłam się z nimi do pokoju, kiedy panienska spała, bo chciałam, żeby były niespodzianką, kiedy Jej wysokość się obudzi.

- I są niespodzianką - powiedziała Mistral.

Była już na tyle kobietą, że czuła podniecenie i dreszcz emocji na myśl, że wszystkie te cudowne stroje należą do niej. Przede wszystkim zauważyła od razu, że nie ma wśród nich nic szarego. Nie było tam nawet jednej pary butów w tym kolorze. To należało do przeszłości, choć było kilka takich rzeczy, które nigdy nie będą mogły zostać zapomniane. Mistral wiedziała, że będą prześladować ją już zawsze.

Teraz jednak nie było czasu, żeby o nich myśleć. W obawie przed własnymi myślami Mistral spytała szybko:

- Gdzie jest Jeanne?

- Właśnie się pakuje, Wasza księżęca wysokość. Wyjeżdża dziś rano.

- Dziś wyjeżdża? - powtórzyła Mistral. - Dokąd jedzie i dlaczego? Poproś ją, by natychmiast tu do mnie przyszła.

Yvette opuściła pokój, a Mistral nagle poczuła, że ma nogi jak z waty. Usiadła w fotelu przy oknie. Teraz mogła zobaczyć ogród, jej wzrok zatrzymał się na kwieciu migdałowca i krzewach mimozy, pod którymi rozciągały się rabaty pełne prześlicznych, wiosennych kwiatów.

Ze swojego okna widziała fontannę. Kryształowe krople rozpryskiwały się w słońcu, tworząc tęczę, żywą i piękną, na tle rzeźbionych, szarych kamieni. Był to widok rodem z zaczarowanej krainy i Mistral poczuła gwałtowne pragnienie, by zachwyty ten dzielić z kimś, kogo kochała. Jednak ledwie naszła ją ta myśl, próbowała się od niej uwolnić, wiedząc, że w tej chwili nie wolno jej wspominać Roberta zbyt żywo.

Ucieszyła się zatem, kiedy otworzyły się drzwi i weszła Jeanne. Była ubrana w czarną, podróżną suknię, ale twarz miała pogodną, oczy jasne. Mistral podniosła się szybko i przebiegła przez pokój, tak jak dziecko biegnie do ukochanej niani.

- Jeanne, powiedziano mi, że wyjeżdżasz.

- To prawda, mademoiselle.

- Ale dlaczego? Jak możesz mnie opuścić? - zapytała Mistral. Jeanne uśmiechnęła się.

- Nie zostaniesz sama, ma chere. Masz teraz rodzinę, która pragnie troszczyć się o ciebie, rozpieszczać cię i kochać. Wróciłaś do domu i ja także wracam do swego domu. Jadę do Bretanii.

- Cieszysz się z tego? - dopytywała się Mistral.

- Tak, ogromnie - odpowiedziała Jeanne. - Jego cesarska mość to wcielenie dobroci. Dał mi pieniądze, abym mogła

kupić domek na wsi i spędzić tam resztę życia nie pracując. Będę bawić wnuczeta moich sióstr we własnym domu, a kiedy odejdę, odziedziczą po mnie wszystko. Tak, cieszę się, że wracam, mademoiselle. Nigdy nie myślałam, że spotka mnie jeszcze taki szczęśliwy los.

- A więc ja także się cieszę - zawołała Mistral. - Kochana Jeanne, byłaś dla mnie zawsze taka dobra!

Na te słowa łzy napłynęły do oczu Jeanne, ale były to łzy szczęścia, inne niż te, które toczyły się po jej nieszczęśliwej twarzy podczas poprzedniego spotkania.

- Będę tęskniła za tobą, mademoiselle - wyznała - i nigdy o tobie nie zapomnę. Ale lepiej będzie, jeśli wyjadę. Jego cesarska mość życzy sobie, żebyś zapomniała o przeszłości. Ma rację! Przed tobą cała przyszłość. Jesteś młoda i taka śliczna. Nie rozmyślaj o tym, co się stało; spotka cię jeszcze wiele dobrego.

- Spróbuję zapomnieć - odparła z powagą Mistral, wiedząc, że Jeanne ma na myśli Emilię.

- To nie zawsze jest łatwe - szepnęła Jeanne - ale jeżeli się przebaczy, tak jak le bon Dieu nam przebaczył, wtedy przyjdzie i zapomnienie.

Mistral zawahała się przez chwilę, a następnie powiedziała zwyczajnie i szczerze:

- Ja przebaczyłam, cioci Emilii.

Wypowiadając te słowa, wiedziała, że mówi prawdę. Przebaczyła ciotce, chociaż to przez nią Robert obszedł i jego miłość przerodziła się w nienawiść. Mistral czuła, że rana, którą jej zadał, wciąż jeszcze nie jest zabliźniona, ciągle nie zagojona, ale nie chciała, nie mogła obwiniać Emilii i za coś, co się zdarzyło bez jej wiedzy, za incydent, w którym nie uczestniczyła w żaden sposób.

Mistral wiedziała teraz, że może będzie nieszczęśliwa, może będzie całkowicie osamotniona bez Roberta, ale Emilia

nie żyje, odeszła do grobu pokonana i bez skruchy, nie mogła więc żywić do niej urazy. Jeanne uśmiechnęła się i Mistral pomyślała, że może intuicyjnie odgaduje ona część tych sprzecznych uczuć. Słowa Jeanne potwierdziły to wrażenie.

- Musimy modlić się za panią Emilię - szepnęła.

- Byłaś na jej pogrzebie? - zapytała Mistral. Jeanne przytaknęła.

- Została pochowana bardzo cicho o świcie. Nie było nikogo poza mną, księdzem i grabarzami. Jego cesarska mość tak sobie życzył.

- Rozumiem - powiedziała Mistral. - Nigdy nie zapomnę o tym, żeby modlić się za mą.

- Ani ja za ciebie, mademoiselle - odparła Jeanne. - Może kiedyś, gdy będziesz miała trochę czasu, napiszesz do mnie, jak ci się wiedzie i czy jesteś szczęśliwa.

- Na pewno to zrobię. - Mistral poderwała się i pocałowała starszą kobietę w policzek. - Żegnaj, Jeanne, jeszcze raz ci dziękuję. Nigdy o tobie nie zapomnę.

Jeanne pochyliła głowę i ucałowała jej dłoń, po czym wyszła z pokoju, mając łzy w oczach.

Mistral westchnęła. Zobaczyć odjeżdżającą Jeanne to tak, jakby stracić przyjaciela. Lecz było to także zerwanie z przeszłością.

Do pokoju weszła Yvette. Szybko pomogła Mistral przy kąpieli. Potem chichocząc, gdyż było to na swój sposób ekscytujące, obydwie dziewczyny przejrzały suknie w wielkiej szafie. Wybrały sukienkę z bladozielonego muślinu, ozdobioną kokardkami o barwie róż. Mistral ubrała się, spojrzała w lustro i z trudem siebie rozpoznała. Przyzwyczyła się do tamtego wyglądu, ducha w szarych strojach, wymyślonego przez ciotkę Emilię i teraz ledwo mogła uwierzyć, że to promienne, barwne stworzenie, spoglądające na nią z lustra jest naprawdę nią samą.

Powolutku, z wielką nieśmiałością, wyszła z sypialni na poszukiwanie dopiero co odnalezionej rodziny. Nie była pewna, którądy iść. Szeroki korytarz o łukowatym sklepieniu zaprowadził ją do dużego pokoju z widokiem na ogród. W tym pokoju po raz pierwszy zobaczyła Wielkiego Księcia. Teraz było tu pusto, a piękne krzesło z wysokim oparciem, w którym siedział tamtego dnia, nie było zajęte. Mistral rozejrzała się dookoła z ciekawością. Oglądała tapety na ścianach, cudne perskie dywany przykrywające podłogę, kosztowne, inkrustowane francuskie meble i antyki o bezcennej wartości.

Właśnie przemierzała pokój, chcąc przyjrzeć się greckiej wazie, gdy usłyszała za sobą czyjś głos. Dwie ręce uchwyciły ją za ramiona i obróciły dookoła.

- Mój Boże, jaką ładniutką mam siostrzyczkę! Był to książę, a kiedy pochylił się, by pocałować ją w policzek, Mistral zarumieniła się.

- Więc obudziłaś się nareszcie! - droczył się z nią. - Już zacząłem wierzyć, że jesteś Śpiącą Królową i będziesz spała przynajmniej sto lat.

- Przez ciebie czuję się jak dziecko, które nabroilo i powinno przeprosić - powiedziała Mistral.

- Wcale nie musisz tego robić - zapewnił ją książę. - Poza tym nie ma rzeczy, której bym nie przebaczył komuś tak pięknemu, jak ty. Wyglądasz teraz jakoś inaczej.

Cofnął się nieco, jakby zastanawiał się nad jej wyglądem, potem wykrzyknął:

- Już wiem! Wiem, co mnie uderzyło. Nie jesteś już duchem!

- Wszystkie moje suknie zniknęły - odpowiedziała Mistral.

- No i dobrze - zauważył książę. - To oczywiście dzieło ojca.

- Zamiast tamtych podarował mi tę suknię i tuziny innych, cudownie pięknych - rzekła Mistral.

- Przypuszczałem, że coś takiego zrobi - uśmiechnął się książę. - Prawdę mówiąc jestem trochę o ciebie zazdrosny. Nigdy nie widziałem, żeby mój ojciec był z czegoś tak zadowolony, jak z tego, że jesteś tutaj.

Twarz Mistral nagle przybrała wyraz powagi.

- Cieszę się - wyznała. - Bałam się, że możecie mnie nie chcieć.

- Ja jednak mam pewne wątpliwości - powiedział książę poważnie, ale jego oczy iskrzyły się radością - Może będziesz jedną z tych wścibskich, apodyktycznych siostrzyczek, która będzie mi mówiła, co powinienem robić, a czego mi nie wolno.

- Ależ jakbym śmiała - odparła Mistral z udawanym oburzeniem, a gdy jej oczy spotkały jego wzrok, zaczęli się śmiać.

Było to takie zabawne, że ten atrakcyjny, przystojny, młody mężczyzna to jej brat, A poza tym cudowne było to, że ma brata. Nareszcie istniał ktoś, do kogo należała.

- Czy można przyłączyć się do zabawy? - spytał jakiś głos. Rozejrzeli się dokoła i zobaczyli Wielkiego Księcia stojącego

w szklanych drzwiach, prowadzących do ogrodu.

Mistral szybko podbiegła do niego. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Dziękuję! Bardzo, bardzo dziękuję!

- Za co tak bardzo dziękujesz? - zainteresował się Wielki Książę.

- Za te cudowne stroje... za to, że tu jestem - gorączkowo odpowiedziała Mistral.

Wielki Książę wyciągnął rękę i ona wsunęła w nią swoją dłoń.

- Mamy sobie wiele do powiedzenia, ty i ja - szepnął cicho.

- Tak, Wasza cesarska mość. Jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

- Czy mamy być tacy oficjalni? - zapytał, - Z niecierpliwością czekam, aby usłyszeć, jak zwracasz się do mnie innym tytułem. Czy zgadniesz jakim?

- Tak... ojciec - wyjąkała Mistral.

Uśmiechnął się do niej i pochylił, aby ucałować jej policzki.

Impulsywnie objęła go ramionami za szyję. W oczach Wielkiego Księcia pojawiła się czułość, a jego głos był dziwnie wzruszony, gdy mówił:

- Dziękuję ci, córeczko.

Wskazał dwa wygodne fotele ustawione na balkonie z widokiem na ogród. Rozpościerał się nad nimi baldachim, chroniący od słońca; świergot ptaków fruujących między drzewami brzmiał jak muzyka. Mikołaj zniknął. Mistral domyśliła się, że wiedział, iż jego ojciec chce zostać z nią sam.

Wielki Książę usadowił się wygodnie w fotelu, a następnie powiedział:

- Po tym wszystkim nie mam zamiaru rozmawiać z tobą na temat Emilii Riguid. Ona umarła i możemy tylko mieć nadzieję, że jej umęczona dusza znajdzie spokój na tamtym świecie. Nie można zrobić dla niej nic więcej, jak tylko próbować wymazać z naszej pamięci kłopoty i troski, jakich przysporzyła wielu ludziom, a między nimi tobie. Wydałem polecenie w Hotel de Paris, by nie odpowiadali na żadne pytania dotyczące dwóch dam, które przebywały tam pod nazwiskami madame Secret i mademoiselle Fantome. Na wszystkie zapytania mają odpowiadać tylko, że obie panie wyjechały w nieznanym kierunku.

Za kilka tygodni rozpowszechnię wieść, że do Monte Carlo przyjechała moja córka. Przedstawię cię moim przyjaciom, złożysz wizytę w pałacu i tak zniknie powód, dla którego ktokolwiek mógłby kojarzyć z tobą tamtą dziewczynę o budzącej wątpliwość przeszłości, która zatrzymała się na jakiś czas w Hotel de Paris. Sezon zimowy prawie się kończy, więc większość gości, którzy spędzili w Monte Carlo ostatnie tygodnie, wróci do swoich krajów. Jeżeli przyjadą znów w przyszłym roku, a wskutek dziwnego trafu nie będzie między nimi radży Jehangaru, nie rozpoznają cię ani nie skojarzą w żaden sposób ze słynną mademoiselle Fantome. Z pewnością zgodzisz się ze mną, że to najlepszy sposób, aby wszystko zorganizować.

- Tak... Jestem pewna, że tak, ojczy - powiedziała Mistral, ale w jej głosie zabrakło przekonania.

Wielki Książę mówił dalej:

- Jest bardzo wiele spraw, które ty i ja będziemy musieli w przyszłości omówić, ale jest też kilka takich, które muszę ci wyjaśnić od razu, gdyż dotyczą one przeszłości. Jedna z nich wiąże się z twoją matką. Nie chciałbym, abyś myślała, że jej nie kochałem. Nie opuściła mnie dlatego, że nie pragnąłem szczerze jej szczęścia. Kochałem ją namiętnie, tak jak kochałem w życiu tylko jedną kobietę - moją pierwszą żonę, matkę Mikołaja. Może zbyt szybko uwierzyłem w możliwość harmonijnego połączenia uczuć młodziutkiej kobiety z moim uczuciami człowieka już doświadczonego. Gdy się pobraliśmy, nie wiedziałem jeszcze, że to dziecko była źle traktowana i że jej poglądy i cały charakter były zdeformowane przez strach - strach przed ludźmi, ale przede wszystkim przed mężczyznami. Jej przyrodnia siostra, Emilia Rigoad, wychowywała ją w przeświadczeniu, że wszyscy mężczyźni są brutalami.

Po naszym ślubie jej miłość do mnie nie okazała się dość mocna, aby zrównoważyć strach, jaki czuła przed moją, zupełnie naturalną, miłością i moim pożądaniem. Kiedy opuściła mnie po burzliwej scenie, podczas której powiedziała, że mnie nienawidzi i że nigdy już do mnie nie wróci, pomyślałem, że będzie mądrzej pozwolić jej pójść własną drogą. Wiedziałem, że naprawdę boi się swojej przyrodniej siostry, i wiedziałem, że nie lubi nędzy bretońskiej farmy. Wierzyłem, schlebając swojej próżności, że jeśli zostawię ją samej sobie, niedługo wróci do mnie, z własnej, nieprzymuszonej woli.

Ale, jak wiesz, srodze się omyliłem, a kiedy po dłuższym czasie, niepomny swej dumy, tak bardzo jej potrzebowałem, że byłem gotowy błagać ją, aby do mnie wróciła na warunkach, jakich zażąda, było za późno. Powiedziano mi, że nie żyje. Oczywiście, nie miałem najmniejszego pojęcia, że urodziło się dziecko.

Twarz mu się ściągnęła boleśnie i Mistral dotknęła ręką jego ramienia.

- Nie opowiadaj mi tego, jeżeli sprawia ci to ból - szepnęła łagodnie.

- Chcę, żebyś jak najwięcej zrozumiała - odparł. - Jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć. Odebrałem ci perły, które należały do twojej matki. Miałem kiedyś nadzieję, że Alicja je sprzeda, by kupić sobie za nie odrobinę luksusu i wygody. Oczywiście, nigdy nie przypuszczałem, że Emilia zatrzyma je, aby wykorzystać jako narzędzie swej diabelskiej zemsty. Była bystra. Wiedziała, że to niepowtarzalne okazy. Przewidywała, że jeśli pokażesz się w Monte Carlo, mając je na szyi, z pewnością o nich usłyszę i sprawdzę, jak weszłaś w ich posiadanie.

Gdy się zjawiłaś, Mikołaj nawet wspomniął mi o nich, opowiadając o dwóch tajemniczych kobietach, mieszkankach

Hotel de Paris, z których jedna twierdzi, że jest moją znajomą. Ale ta część planu Emilii zawiodła. Nie skojarzyłem pereł mademoiselle Fantome z tymi, które stanowiły część bajecznej kolekcji mojego pradziadka, cara. Pomyślałem, że Mikołaj plecie bzdury, a więc, wbrew przewidywaniom Emilii, nie zainteresowałem się nimi i nie przyspieszyłem godziny jej triumfu.

- Dziwną wybrała sobie zemstę - rzekła Mistral w zamyśleniu.

- Ale sprytną - odparł Wielki Książę. - Widzisz, ona wiedziała, że jedyną naprawdę drogą mi osobą jest mój syn. Niewątpliwie słyszała o tym, że Mikołaj lubi się bawić i że pociągają go piękne kobiety. Pomyślała więc, że jeśli uda się wplątać go w romans z tobą, ona za jednym zamachem załatwi dwie sprawy. Zapewne ja doznam wstrząsu, gdy dowiem się, kim jesteś naprawdę, Mikołaj zaś będzie miał złamane serce i zrujnowane życie, dlatego że zakochał się we własnej siostrze: Sprytna intryga, ale jak powiedziałem, niezupełnie udana. Wydaje mi się bowiem, że ani Mikołaj nie jest w tobie zakochany, ani ty w nim.

- To prawda, ani on we mnie, ani ja w nim. Przez chwilę zawahała się, niepewna, czy ma powiedzieć ojcu o sir

Robercie. Potem poczuła, że nie mogłaby powiedzieć nikomu o tym, jak ją poniżył swoim brakiem zaufania, jak cierpiała, gdy zwątpił w jej niewinność. Mamrocząc jakieś przeprosiny, wstała z fotela i zeszła kamiennymi schodami do ogrodu.

Obserwował ją, jak szła, i nie próbował zatrzymać. Miał mądre, pełne zrozumienia oczy. Wiedział, że jeszcze nie zdobył jej zaufania, było na to za wcześnie.

Reszta dnia minęła pogodnie. Mistral oglądała ogród. Wielki Książę zabrał ją do szklarni, gdzie miał najwspanialszą w całej Francji hodowlę orchidei. Później oprowadził ją po

Chateau. Pokazał jej część skarbów przywiezionych z Rosji. Mistral była oszołomiona, kiedy się dowiedziała o znamienitości swego rodu.

I pomyśleć, że zaledwie kilka dni temu była nikiem, dziewczyną, która w szkole nawet nie miała prawa używać nazwiska swego ojca, a teraz stała się księżniczką, spowinowaconą z monarchami wielu europejskich państw i spokrewnioną w linii prostej z carem Wszechrosji.

Chyba nigdy nie przywyknie do tego, że ludzie zwracają się do nie rodowym tytułem, ale kiedy wspomniała o tych obawach Wielkiemu Księżciu, zaczął się z niej śmiać.

- To wszystko minie - zapewnił. - Niebawem się okaże, że przychodzi ci to z łatwością, ponieważ jesteś prawdziwą arystokratką kochanie. Twoja angielska krew to krew starego, szlacheckiego rodu. Któregoś dnia pojedziemy do Anglii we dwoje i poznam cię z twoim tamtejszymi krewnymi. Właśnie jeden z twoich kuzynów został ostatnio sekretarzem stanu do spraw zagranicznych,

- To nieco przerażające, mieć tak wielu krewnych - zauważył Mistral niemal ponuro - jeżeli się do niedawna nie miało ani jednego.

- Takie jest życie - dodał Wielki Książę. - Ma się albo wszystko albo nic. Często okazuje się, że nie istnieje złoty środek.

Mistral poszła do pokoju, aby przebrać się do obiadu. Wśród tego dostatku ciągle czuła się jak ktoś umierający z pragnienia, jak ktoś marzący o łyku wody. Ta jedyna rzecz, której naprawdę pragnęła, która miała w jej życiu znaczenie, była nieosiągalna. W zaciszu własnego pokoju nie potrafiła powstrzymać myśli o Robercie. Nurtowały ją, wypierając wszystkie inne, i napełniały tępy, bezustanny ból, który nie zelżeje, dopóki ona znów nie zobaczy Roberta.

A to było niemożliwe. Z pewnością wyjechał z Monte Carlo i już zapomniał o niej do tej pory. Nawet gdyby chciał ją odnaleźć, nie mogło mu się to udać. Mistral ukryła twarz w dłoniach. Tęskniła za nim tak rozpaczliwie, że na całym świecie nie liczyło się nic oprócz miłości do niego.

Drżała od intensywności tego uczucia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Minęła chwila, zanim Mistral trochę się opanowała.

- Proszę!

Drzwi otworzyły się.

- Przepraszam, jeśli przeszkodziłam Jej książęcej wysokości - powiedziała Yvette - ale na dole czeka jakaś kobieta, która bardzo chce z panią mówić.

- Ktoś do mnie? - zdziwiła się Mistral. - Któż to taki?

- To madame Boulanger - odparła Yvette. - Mówiła, że panią nie zna jej nazwiska. Kazała powiedzieć, że pewnego razu miała na sobie suknię z haftowanymi motylami i że to bardzo ważne, by mogła mówić przez chwilę z panią.

Ładna twarz Stelli pojawiła się nagle przed oczyma Mistral.

- Oczywiście, wiem, kim ona jest! Wprowadź ją tutaj, Yvette.

- Dobrze, proszę pani.

Mistral przeszła przez pokój, aby podnieść papier, który spadł z biurka, i spostrzegła suknię przygotowaną dla niej na wieczór przez Yvette. Była uszyta z białej koronki, ozdobiona maleńkimi bukietkami róż. Wyglądała inaczej niż ta, którą miała na sobie tego wieczora, gdy po raz pierwszy przestraszył ją radca, i w którą wplątała się suknia Stelli w szatni kasyna.

Dlaczego ta kobieta chce się z nią zobaczyć? Niemal żałowała, że odruchowo posłała po nią, nie zawiadamiając o

tym Wielkiego Księcia. Ale już było za późno na zmianę decyzji. Pukanie do drzwi oznaczało, że madame Boulanger już stoi za nimi. Po zaanonsowaniu przez Yvette Stella weszła do sypialni. W pierwszej chwili Mistral nie poznała jej.

Była ubrana bardzo skromnie, bez kapelusza, z ramion zwieszał się wełniany szal, najwyraźniej zsunięty z głowy. Twarz miała nie umalowaną, rzęsy nie przyciemnione, a mimo to wyglądała ładniej niż wtedy gdy ubrana w kosztowną suknię, w przepysznej biżuterii towarzyszyła radzy w kasynie.

Przez chwilę dwie kobiety patrzyły na siebie, potem Stella ukłoniła się z szacunkiem.

- To miło ze strony Jej księżęcej wysokości, że zechciała się ze mną zobaczyć.

- Jak dowiedziała się pani, że tu jestem? - zapytała Mistral. - To ma być tajemnica.

- Tak, wiem o tym - odparła Stella - ale kuzyn mojego męża jest kamerdynerem Jego cesarskiej mości. Opowiadał nam o pięknej młodej damie, która przybyła do Chateau. Opisał wygląd Waszej księżęcej wysokości i nie było trudno złożyć jedno do drugiego po tym jak dowiedzieliśmy się, że mademoiselle Fantome nieoczekiwanie i bez uprzedzenia opuściła Hotel de Paris.

- Czy powiedzieliście komuś o tym?

- Ależ rozumie się, że nie. Nawet kuzynowi męża nie powiedziałam, kim pani jest. Nie przyszedł tu po to, aby komukolwiek szkodzić mademoiselle, ale żeby powiedzieć coś, co z pewnością panienka chciałaby wiedzieć.

- Co to takiego?

- To dotyczy sir Roberta.

Mistral drgnęła gwałtownie, potem z niecierpliwością, której nawet nie próbowała kryć, spytała szybko:

- Co z nim? Czy ciągle jest w Monte Carlo? Czy ma jakieś kłopoty

- Owszem, mademoiselle, ma kłopoty.

- Och!

Ta pojedyncza sylaba wyrwała się z samego dna serca Mistral. Po chwili pytała dalej:

- Jakie kłopoty? Proszę mi powiedzieć!

- Jest ranny - odpowiedziała Stella, po czym poprawiła się

- Został zraniony!

Później, zauważywszy, że krew odpływa z twarzy Mistral, dodała.

- Proszę się nie martwić. Już czuje się dużo lepiej! Prawdę mówiąc to wydaje mi się, że jutro wyjeżdża do Anglii.

- Jak to się stało? - dopytywała się Mistral.

Stella obejrzała się przez ramię, aby upewnić się, czy drzwi są zamknięte.

- Nie wykorzystaj pani tego, jeżeli powiem prawdę? Była pani dla mnie taka miła i tylko dlatego chce wyświadczyć pani przysługę.

- Obiecuję, że nie wydam ani pani, ani nikogo innego - oświadczyła Mistral.

- To sprawka Potoka - rzekła Stella.

- Służącego księcia?

- Tak - odparła Stella. - Ugodził sir Roberta nożem w plecy, kiedy ten spacerował po ogrodach kasyna.

- Wbił mu nóż! - Mistral straciła oddech z przerażenia. - Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

Zadając to pytanie, już знаła odpowiedź. Potok mścił się za to, że Robert zranił księcia. Nie przebaczyłby nikomu, kto skrzywdził jego ukochanego pana, i dokonał swej zemsty szybko i potajemnie. Mistral złożyła ręce, jakby chciała odzyskać panowanie nad sobą.

- Czy życiu sir Roberta nie zagraża niebezpieczeństwo?

- Już nie! - zapewniła Stella - Szczęśliwie został znaleziony krótko po tym, jak to się stało. Zabrano go z

powrotem do Hotel Hermitage i doktor zatamował krwawienie oraz zszył ranę. Mówiono mi, że jutro sir Robert wyjeżdża do Anglii.

Mistral podniosła oczy.

- Co ja mam teraz począć?

- Mówię to, mademoiselle, gdyż panienka była dla mnie taka dobra. Podjęła panienka za mnie decyzję, która odmieniła całe moje życie i przyniosła mi niewiarygodne szczęście. Wiem, ponieważ mój mąż pracuje jako kuchmistrz w Hotel Hermitage, że sir Robert kocha panią. Służba plotkuje, szczególnie Francuzi, mademoiselle. Kiedy sir Robert był pierwszej nocy nieprzytomny i majaczył, nieustannie wypowiadał imię panienki. Może panienka myśleć, że jestem arogancka, bo przyszedłam tu pod tak błahym pretekstem, ale ja wiem swoje. Któregoś dnia, kiedy stała pani nad brzegiem morza, rozmawiając z sir Robertem, przejrzałam obok powozem. Myślę, że nie widzieliście mnie, bo nie widzieliście nikogo i niczego poza sobą. Pomyślałam wtedy, że panienka kocha sir Roberta i gdy on wzywał panienkę przez całą noc, domyśliłam się, że i on panią kocha. Jeżeli byłam impertynencka i niedyskretna, przychodząc tutaj, niech mi to panienka wybaczy.

Wyczuwając pokorę w głosie Stelli. Mistral impulsywnie wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu kobiety.

- Słusznie pani zrobiła, przychodząc tutaj. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna. Wiedzieć, że on mnie kocha, to dla mnie bardzo wiele. Miała pani rację, ja również go kocham.

Stella uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - Dziękuję! Uspokoila pani moje sumienie. Teraz mogę wrócić do hotelu i do mojego męża.

- Chyba niedawno wyszła pani za mąż? - spytała Mistral.

- Tak - odpowiedziała Stella - Zawdzięczam to właściwi panience i nigdy nie zdołam za to podziękować.

Obie kobiety uściśniły sobie dłonie gestem pełnym przyjaźni i Stelli odeszła, zostawiając Mistral znów samą.

Teraz jednak nie wahała się ani chwili. Wiedziała, co zrobi, i musiała to zrobić jak najprędzej. Zadzwoiła po Yvette i przebrała się w wieczorową suknię z białej koronki. Następnie pobiegła korytarzem do salonu, gdzie siedział Wielki Książę czekając na obiad.

Gdy wchodziła, podniósł wzrok, z uwagą przyjrzał się jej twarzy i wstał.

- Ojczy, stało się coś! Proszę, wysłuchaj mnie! Chcę ci o tym opowiedzieć - zawołała łapiąc oddech.

Spoglądając na nią, Wielki Książę wiedział już, że od tej chwili nie będą mieli przed sobą żadnych tajemnic.

W niecałe dwie godziny później sir Robert, siedzący w fotelu tuż przy oknie w Hotel Hermitage, usłyszał pukanie do drzwi. Okno było otwarte i spoglądał przez nie w mroczną noc. Księżyc w nowiu wznosił się nad morzem, wieczorne gwiazdy wschodziły jedna po drugiej. Nie odwrócił głowy na stukanie, myśląc, że to przyszedł służący, by dołożyć do kominka albo podać mu coś do picia.

Dalej wpatrywał się w ciemność. Ktoś wszedł i zamknął za sobą drzwi. Potem zapadła cisza. Ciągłe jeszcze się nie poruszył, aż jakiś szósty zmysł podpowiedział mu, że jest obserwowany. Ktoś stał i patrzył na niego. Niecierpliwie odwrócił głowę i słowa zamarły mu na ustach, gdy zobaczył Mistral.

Przez chwilę myślał, że to wytwór jego wyobraźni. W świetle świec widać ją było bardzo niewyraźnie. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Miała białą sukienkę, w której wydawała się jeszcze młodsza i powabniejsza, a może

sprawił to wyraz twarzy, oczy ogromne, ciemne i te włosy w kolorze bladego złota.

Patrzył na nią zdumiony, przez chwilę niezdolny, aby się poruszyć lub odezwać. Mistral osunęła się na kolana u jego boku, swoje małe dłonie złożyła na poręczy fotela.

- Przyszłam, aby panu coś powiedzieć. - Jej głos był słodki i cichy. - Żądał pan, abym na kolanach przysięgała na wszystko, co dla mnie święte, że nie wiedziałam, iż moja ciotka to madame Bleuet. Otóż... dopóki nie umarła, nie wiedziałam, kim była ani czym... wsławiła się pod tym nazwiskiem. Nie miałam pojęcia ani o tym... co robiła, ani... o... nikczemności, z jaką się to wiązało. Przysięgam to panu teraz.. przed Bogiem i... wszystkimi świętymi.

Gdy zamilkła, Robert, jakby dopiero ocknął się ze snu, pochylił się do przodu i chwycił ją w ramiona.

- Mistral! - wykrzyknął. - Tak bardzo mi ciebie brakowało! Pragnąłem, byś się pojawiła, modliłem się o ciebie. Powiedziano mi jednak, żeś wyjechała. Teraz wiem, że ty w niczym nie zawiniłaś, że powinienem był ci zaufać. Och, moja ukochana, musiałem być ślepy szalony, żeby choć przez chwilę myśleć, że możesz być inna; niż się wydajesz. Jesteś czysta i święta! Jesteś najdoskonalszą kobietą na świecie. Przebacz mi, tylko mi przebacz i powiedz, że jeszcze mnie kochasz.

Słowa biegły jedno po drugim. Jego wargi zbliżały się do jej ust, jego ramiona obejmowały ją coraz mocniej i mocniej.

Głowa Mistral opadła w tył, na ramiona.

- Przebacz mi - wyszeptał Robert i dopiero teraz mogła odpowiedzieć mu trzema słowami.

- Ja... och... ja cię kocham!

Słyszał jej głos potykający się o każde słowo. Jego usta odnalazły jej wargi. Poczula znów owo upojenie i zachwyty, który ogarnął ich w tamtej chwili w kaplicy, kiedy wyznali

sobie miłość przed ołtarzem, ale wiedziała, że tym razem żadne zło już ich nie rozdzieli. Stanowili jedność, mężczyzna i kobieta, połączeni ze sobą w obliczu Boga, jedność na wieki.

- Och, moja kochana, moja najdroższa.

Robert szeptał czułe słowa tuż przy jej policzku, a gdy podniosła na niego wzrok, spostrzegła, że w oczach miał łzy. Kiedy odetchnęła głębiej i poruszyła się w jego objęciach, powiedział:

- Nie, nie pozwolę ci odejść. Jesteś moja. Boję się, że możesz gdzieś zniknąć, a ja ciebie pragnę, Mistral. Nie spocząłbym, dopóki bym ciebie nie odnalazł, ale nie miałem pojęcia, skąd zacząć! Wróciłaś do mnie, a ja kocham cię zbyt mocno, by kiedykolwiek zgodzić się na twoje odejście

Znów się całowali. Tym razem jego pocałunki były mniej niewinne, były namiętne, bardziej pożądliwe i poczuła rosnący w niej płomień odpowiedź na jego namiętność. Świat stanął w miejscu, znaleźli się w niebie, gdzie czas przestał się liczyć.

Robert odsunął się od jej ust i spojrzał na Mistral.

- Jesteś taka piękna - powiedział półgłosem, drżąc ze wzruszenia. - Wracam jutro do Anglii. Zabieram cię ze sobą. Pojedziemy do Cheveron, do mojego domu. Pobierzemy się tam, albo tu, przed wyjazdem, jeśli wolisz.

- Co do tego, to najpierw będzie pan musiał prosić o pozwolenie mnie - odezwał się czyjś głos od strony drzwi.

Robert podniósł wzrok. I gdy spłoniona Mistral wyrwała się z jego objęć, powoli wstał z fotela.

- Wasza cesarska mość! - wykrzyknął zdumiony.

Wielki Książę wszedł dalej do pokoju.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam - powiedział - ale zanim zaczniecie cokolwiek planować, nalegam, aby uczynił pan zadość pewnej formalności i zwrócił się do mnie z prośbą o rękę mojej córki.

- Pańskiej córki? Robertowi trudno było ukryć, jak wielką niespodziankę stanowiły dla niego te słowa, a Mistral wybuchnęła cichym, beztroskim, pełnym szczęścia śmiechem.

- Tak - rzekła - Wielki Książę jest moim ojcem. To tak cudownie mieć w końcu własną rodzinę.

- Jednak, jeśli nie zawiodły mnie oczy i jeśli dobrze słyszałem - powiedział Wielki Książę - marzysz o tym, by mnie opuścić.

Mistral spojrzała na niego nieco zmieszana.

- Proszę cię, ojczy, zrozum - odezwała się.

Wielki Książę uśmiechnął się uspokajająco,

- Myślę, że rozumiem. Robertcie, pana ojciec był moim dobrym przyjacielem. Pan i ja spotkaliśmy się przy kilku okazjach. Córka mówiła mi, że pokochała pana z wzajemnością. Wiem, że zaszło między wami jakieś nieporozumienie, ale z tego, co zobaczyłem wchodząc do pokoju, wnioskuję, że zostało ono zażegnane.

- A nawet zapomniane - wtrącił Robert.

- Cieszę się z tego - odparł Wielki Książę. - Jest wiele takich spraw, które najlepiej puścić w niepamięć i zignorować, gdy się tworzy plany na przyszłość.

- Czy wobec tego wolno mi, sir, prosić pana o zgodę na poślubienie Mistral? - zapytał sir Robert.

- Już pan ją ma - odpowiedział Wielki Książę - pod jednym warunkiem. Tak, pod warunkiem - powtórzył, a Mistral i Robert spojrzeli na niego z pewnym lękiem.

- Pod jakim warunkiem? - spytał Robert.

- Nie odbierze mi pan córki zbyt szybko - oświadczył Wielki Książę. - Ale nie patrzcie na mnie z takim rozczarowaniem, tym razem myślę za was oboje. Przed wami całe życie. Przejdziecie przez nie razem i, jeśli Bóg pozwoli, będziecie ze sobą szczęśliwi. Życzę sobie jednak, abyście rozpoczynali w sposób właściwy, bez skandalu, bez

wlokących się cieni z przeszłości. Pan, Robercie, przyjechał tu dla kogoś zupełnie innego. Ta przyczyna jest już nieaktualna, ale ludzie mają dobrą pamięć i długie języki. Chcę, żeby jutro wyruszył pan do Anglii, wrócił do Cheveron i zaczął swoje życie w tym miejscu, w którym je pan porzucił. Bez wątplenia wiele spraw wymaga pańskiej obecności w majątku. Musi pan także pogodzić się z matką. Za trzy miesiące Mistral przyjedzie ze mną do Anglii.

- Za trzy miesiące! - W głosie Mistral wyraźnie brzmiało rozczarowanie.

- Tak, córeczko - z powagą rzekł Wielki Książę. - Za trzy miesiące. Teraz wydaje ci się to bardzo odległe, wiedz jednak, że masz przed sobą całe życie, które spędzisz z Robertem. Możesz podarować ojcu trzy miesiące, a czerwiec w Anglii jest bardzo przyjemny, o ile dobrze pamiętam. Chciałbym przedstawić cię w Londynie, mam tam wielu przyjaciół i kiedy pokłonisz się już królowej w Windsorze, może pojedziemy do Cheveron i zatrzymamy się w domu mojego starego przyjaciela u jego syna, sir Roberta Stanforda.

- Och, ojcze!

Mistral złożyła dłonie, jej oczy zaślnęły.

- Jeżeli ogłosicie zaręczyny podczas spotkania w Cheveron - mówił dalej Wielki Książę - będzie to w pełni naturalne i uroczne zdarzenie. Rozumie mnie pan?

Spojrzał Robertowi prosto w oczy.

- Rozumiem, sir, i dziękuję, jest pan o wiele mądrzejszy ode mnie.

- Może nie tyle mądrzejszy, ile bardziej doświadczony w sprawach tego świata.

Wielki Książę wyciągnął do Roberta rękę.

- Do widzenia, mój chłopcze. Spotkamy się w czerwcu, w Cheveron.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Wielki Książę wyjął z kieszonki zegarek.

- Poczekam na ciebie w powozie, Mistral - oznajmił. - Konie zaczną się niecierpliwić, jeśli nie znajdziesz się na dole w ciągu pięciu minut.

- Dziękuję, ojczy - szepnęła.

Wielki Książę wyszedł z pokoju i drzwi zamknęły się za nim. Przez chwilę Mistral i Robert stali patrząc na siebie, później on wyciągnął ku niej ramiona, a ona przytuliła się do niego z cichym westchnieniem.

- Twój ojciec ma rację, kochanie. Musimy poczekać. Ale czy nie zapomnisz o mnie? Obiecuj mi, że będziesz o mnie myślała o każdej porze dnia i nocy, dopóki nie spotkamy się znowu.

- Obiecuję - odpowiedziała Mistral.

- Pojadę przygotować dla ciebie swój dom. Będę śnił podobnie, dotąd, aby połączyć ze sobą dwa swoje ideały - ciebie i Cheveron

Przyciągnął ją do siebie bliżej i całował jej włosy. Wiedział już, znalazł to, czego szukał przez całe życie. Jego poszukiwanie kończy się, bo cel jest już w zasięgu wzroku. Pamiętając o tym, jak szybko ucieka podarowany mu czas, poszukał jej ust.

- Kocham cię - wyszeptał.

Słowa stały się niepotrzebne, gdy zatopili w namiętym pocałunku.